MARK GIMENEZ

KOLOR PRAWA

Z języka angielskiego przełożył Jarosław Rybski

Tak już jest, Smyku, że każdemu adwokatowi siłą rzeczy zdarza się prowadzić co najmniej jedną sprawę w życiu, która porusza go osobiście. Otóż ta sprawa chyba stała się dla mnie taka.

Fragment powieści Zabić drozda Harper Lee w przekładzie Zofii Kierszys.

PROLOG

Clark McCall miał trzydzieści jeden lat i był jedynym dziedzicem ojcowskiej fortuny wartej 800 milionów dolarów. Był również łajdakiem pierwszej wody. Tak przynajmniej mówił o nim ojciec, zwykle jednocześnie grożąc Clarkowi wydziedziczeniem. Zawsze po takich nocach jak ostatnia - z chlaniem, prochami i dziewczynami.

Była sobota wieczór i Clark, upity whisky oraz zamroczony kokainą, wyruszył mercedesem swojego ojca na poszukiwanie dziwki. Przejechał szmat drogi na południe, dojechał niemal do centrum i... nic. Minął mnóstwo zawodowych prostytutek, ale po prostu nie znalazł tej właściwej. Zatrzymał się na światłach i wpatrywał się we wznoszącą się przed nim panoramę Dallas: zacienione budynki, teraz rozświetlone białymi, niebieskimi i zielonymi światłami na tle nocnego nieba, widoczne w odległości sześćdziesięciu kilometrów. Duszno mu się zrobiło od tego patrzenia, wymacał więc przełącznik i opuścił nieco szybę samochodu. Wychylił głowę na zewnątrz i poczuł na twarzy ciepłą, letnią bryzę. Wdychał nocne powietrze nasycone mdło-słodkim zapachem seksu na sprzedaż.

Zamknął oczy i być może nawet usnąłby za kierownicą, gdyby nie stojący za nim na światłach kowboj w pikapie, który wdusił klakson o sile syreny przeciwmgielnej. Clark się poderwał. Momentalnie otworzył oczy - światła się zmieniły. Wrzucił gaz do dechy i szarpnął za kierownicę, żeby zawrócić, ale silnik wozu był zbyt potężny na te beztroskie manewry, poza tym Clark nie mógł znaleźć tego pierdolonego hamulca, przeleciał więc przez trzy pasy tak, że koło mercedesa wjechało na krawężnik, niemal ścinając znak drogowy. „Kto go tu, do diabła, postawił?”. Wóz cały aż zachybotał, zjeżdżając z powrotem na jezdnię.

Ledwie Clark wyrównał bieg wielkiego niemieckiego sedana i zaczął poruszać się mniej więcej jednym pasem, zobaczył ją - miłą dziewczynkę z czarnej dzielnicy na południu miasta, która wolno przechadzała się w towarzystwie koleżanki w gorącą noc. Była taka, jak lubił: szczupła czarnulka w blond peruce, rajcownej różowej spódniczce, butach na wysokim obcasie tego samego koloru i w obcisłym białym topie. Machała w przód i w tył małą różową torebką, ruchem doskonale zgranym z nieco przesadnym kołysaniem się na boki kształtnej okrągłej pupy. Było widać, że jest wygimnastykowana, nogi ma szczupłe, a z całej jej postury biła taka zmysłowość i czar, że nie mógł się mylić: to musiała być ona - czarna dziwka z południowego Dallas, specjalizująca się w białych facetach z północnego Dallas.

To z nią pójdzie na randkę w tę sobotnią noc.

I nie dlatego, że nie mógł się umówić z jedną z tych samotnych białych ślicznotek szukających męża w Dallas. Był przystojny, a jego ojciec bogaty. W Dallas bogactwo było wymagane i niezbędne, męska uroda stanowiła zaś jedynie miły dodatek. Jako posiadacz jednego i drugiego Clark McCall został niedawno uznany za jedną z najlepszych partii w Dallas. Wolał jednak prostytutki od innego damskiego towarzystwa. Dziwki robią to, co się im każe, i nie składają doniesień na policję po fakcie, poza tym doskonale wiedział, ile taka znajomość mogłaby kosztować jego ojca.

Clark wjechał na krawężnik i wolno zbliżył się do dwóch dziwek. Opuścił okno od strony pasażera i krzyknął:

- Blondyna!

Zatrzymały się, on więc również stanął. Murzynka w blond peruce podeszła wolno do samochodu z niedbałą zmysłowością, którą tak uwielbiał u dziwek. Pochyliła się i wsunęła połowę ciała przez okno. Miała gładką i jasną skórę, wyglądającą bardziej na opaloną niż czarną, oraz kanciastą twarz z ostrymi rysami, bardziej białą niż czarną. Usta i paznokcie pomalowała na jaskrawoczerwony kolor, a piersi wypychające bluzkę były krągłe, pełne i wyglądały na prawdziwe. Jej zapach wprawiał zaś w takie oszołomienie, że uderzał do głowy szybciej niż cokolwiek, co Clark wypił tego wieczoru. Była piękna, seksowna i pragnął jej.

- Ile?

- Co chcesz robić?

- Wszystko, o czym pomyślisz, skarbie.

- Dwie setki.

- Tysiąc. Za całą noc. Uśmiechnęła się.

- Pokaż kasę.

Clark wyjął plik setek i pomachał nimi przed oczami dziewczyny, jakby pokazywał cukierek małemu łakomczuchowi. Wsiadła i opadła na skórzane siedzenie tak, że jej krótka różowa spódniczka ze skóry powędrowała do góry i mógł zobaczyć czarne majtki ciasno opinające krocze. Na ten widok poczuł, jak ogarnia go podniecenie. Wcisnął pedał gazu i skierował wóz w stronę domu.

Jego myśli zaczęły jednak krążyć wokół ojca, jak często w takich chwilach. Clark McCall był politycznym utrapieniem dla swojego ojca. Tak było zresztą od dawna - z powodu picia, ćpania i łajdactwa. Och, gdyby starszy senator z Teksasu mógł teraz zobaczyć swojego syna - pijanego, na haju, biorącego czarną prostytutkę za jego pieniądze i wiozącego ją jego samochodem do jego posiadłości w Highland Park! Oczywiście pierwsza myśl starego byłaby

refleksją polityka, nie ojca. Jak bardzo zaszkodziłoby jego kampanii, gdyby prasa dowiedziała się o ostatnim wyskoku syna?

Clark zaśmiał się w głos i prostytutka spojrzała na niego jak na wariata. Przynajmniej zabiera swój wyskok do domu w Dallas. Gdyby jednak jego ojciec się dowiedział, że wciąż robi takie numery, znów pojawiłyby się gniewne groźby na temat wydziedziczenia, ale Clark wróci do Waszyngtonu, zanim czcigodny senator się zorientuje, że w ogóle tu przyjechał. Ponownie się zaśmiał, ale poczuł wzbierającą w nim furię, jak zawsze gdy myślał o swoim ojcu - człowieku, który chciał zasiąść w Białym Domu bardziej, niż pragnął mieć syna.

***

Senator Stanów Zjednoczonych Mack McCall spojrzał na swoją drugą żonę i pomyślał, jaką wspaniałą pierwszą parę mogliby stanowić.

Siedzieli w skórzanych fotelach, ciesząc się niedzielnym popołudniem w swoim miejskim domu w Georgetown. Przed nimi na sofie siedziało dwóch mężczyzn, którzy doprowadzą ich do Białego Domu. Ich konsultant polityczny i specjalista od badania opinii publicznej ślęczeli nad wynikami ostatnich analiz i materiałami dotyczącymi społecznych grup docelowych, pracując nad wystąpieniem McCalla na temat istotnych kwestii politycznych. Zajmowane przez niego stanowisko było starannie wypracowane, żeby pozwoliło mu dotrzeć do każdej z istotnych grup amerykańskich wyborców w zależności od ich rasy, religii, przynależności do grupy etnicznej, płci, miejsca zamieszkania, wieku, statusu społecznego i ekonomicznego, a także orientacji seksualnej - czyli do wszystkich, którzy mogliby oddać głos na senatora Macka McCalla. Senator z Teksasu prowadził według sondaży przedwyborczych.

Życiowy cel Macka McCalla był nareszcie w zasięgu jego możliwości. Spojrzał na swoje dłonie, nadal mocne i zrogowaciałe od lat pracy na platformach wiertniczych. Wciąż miał dłonie prostaka i determinację nuworysza. Jak zwykle uparcie dążył też do celu, wiedząc, że nic i nikt nie stanie mu na drodze. Oficjalnie zgłosi swoją kandydaturę w poniedziałek.

Następnie wyda sto, dwieście milionów - albo tyle, ile będzie trzeba - żeby wygrać wyścig do Białego Domu. Już dawno się nauczył, że przy odpowiedniej ilości pieniędzy człowiek może sobie kupić cokolwiek lub kogokolwiek zechce, niezależnie od tego, czy są to wybory, czy też młoda kobieta. Mack McCall miał wystarczająco dużo pieniędzy i na to, i na to. Znów zwrócił wzrok w kierunku żony, podziwiając jej urodę, jakby widział ją po raz pierwszy. Przepełniała go duma właściciela, tak samo jak wtedy, kiedy wiele lat temu

wyszedł na swoje pola naftowe i podziwiał szyby, wiedząc, że jest właścicielem czegoś, o czym inni mogą tylko pomarzyć.

McCall miał sześćdziesiąt lat, Jean skończyła czterdzieści. Był już senatorem od dwóch dekad, a ona była jego asystentką od czasu, kiedy piętnaście lat temu skończyła prawo. Była szykownym, elokwentnym i fotogenicznym aktywem jego kariery politycznej. Wyszła za niego dziesięć lat temu - wystarczająco dawno, żeby głośny rozwód z pierwszą żoną nie wpłynął na wyniki sondaży.

Nie miała dzieci i nigdy też ich nie pragnęła. On miał syna z pierwszego małżeństwa, Clarka - zachłanną na pieniądze latorośl, miernotę, trzydziestoletniego nastolatka. Pół roku temu, myśląc, że dzięki stałej pracy chłopak wydorośleje, stanie się stateczny, a posada odciągnie go od złego środowiska w Dallas, McCall pociągnął za sznurki i załatwił mu stanowisko mianowanego członka Federalnej Komisji Regulacji Energii. Ale chłopak wymykał się do domu, żeby robić Bóg wie co z Bóg wie kim w ich posiadłości w Dallas. Jego syn nie był politycznym aktywem.

- Panie senatorze?

Bradford, lokaj, pojawił się z zakłopotaną miną w wykończonym łukiem wejściu do salonu, trzymając w dłoni przenośny aparat telefoniczny.

- To Clark, proszę pana. McCall machnął tylko ręką.

- Powiedz mu, że jestem zajęty.

- Nie, proszę pana, to dzwonią ludzie z FBI z Dalia sprawie Clarka.

- FBI? Jezu Chryste, co on nawyrabiał tym razem?

- Nic, proszę pana. Nie żyje.

Rozdział pierwszy

Jaka jest różnica między martwym grzechotnikiem na autostradzie a martwym prawnikiem na autostradzie? - Zawiesił głos. - Przed wężem widać ślady hamowania.

Prawnicze towarzystwo poprawnie zareagowało grzecznym śmiechem, a niektóre twarze dyplomatycznie przybrały odpowiednie grymasy.

- Dlaczego New Jersey dostały się wysypiska odpadów toksycznych, a Kalifornii prawników? - Znów zawiesił głos. - Bo New Jersey mogło wybierać pierwsze.

Śmiech był tym razem jakby nieco słabszy, a gdzieniegdzie rozległy się nerwowe kaszlnięcia. Dyplomacja ulatywała szybko.

- Czym różni się prawnik od plemnika? - Tym razem dokończył bez pauzy. - Niczym, jedno i drugie ma jedną szansę na milion, żeby stać się człowiekiem.

Dyplomacja legła w gruzach. Zapadła cisza złowroga jak w prosektorium, wpatrywały się teraz w niego kamienne twarze. Prawnicy na podium skupili się nad swoim posiłkiem, zażenowani prostackim poczuciem humoru gościa. Ten rozejrzał się po zatłoczonej sali wyraźnie zaskoczony. Odwrócił dłonie do góry.

- Czemu się nie śmiejecie? Mało śmieszne dowcipy? Ludzi bawią te dowcipy, cholernie ich bawią. Nie mogę uczestniczyć w żadnym przyjęciu ani w spotkaniu w klubie, nie mając w zanadrzu jakiegoś głupiego dowcipu o prawnikach. Przyjaciele, stanowimy ulubiony obiekt amerykańskich dowcipów!

Poprawił mikrofon tak, że dało się słyszeć głębokie westchnienie, ale cały czas utrzymywał wzrokowy kontakt z publicznością.

- Ja też sądzę, że to mało śmieszne. Nie po to poszedłem na studia prawnicze, żeby opowiadali sobie o mnie okrutne, głupie kawały. Poszedłem na prawo, żeby zostać kolejnym Atticusem Finchem. Zabić drozda to była ulubiona książka mojej mamy, czytała mi ją do poduszki. Czytała rozdział co wieczór, a kiedy książka się kończyła, zaczynała od nowa. „Scotty, mawiała, bądź taki jak Atticus. Zostań prawnikiem. Bądź dobrym człowiekiem".

To moim zdaniem, szanowne koleżanki i szanowni koledzy z palestry, jest fundamentalne pytanie, jakie musimy sobie codziennie zadawać: Czy czynimy dobro, czy też po prostu nam się świetnie wiedzie? Czy jesteśmy szlachetnymi strażnikami rządów prawa, walczącymi o praworządność w Ameryce, czy też wyłącznie zachłannymi pasożytami wykorzystującymi prawo do wysysania ostatniego dolara ze społeczeństwa, jak pijawki żerujące na konającym? Czy staramy się, żeby świat był lepszy, czy po prostu bogacimy się ponad miarę?

Musimy zadawać sobie te pytania, przyjaciele, ponieważ te same pytania zadają sobie ludzie. Wątpią w nasze szczere intencje, wytykają nas palcami, obwiniają nas o wszystko. Cóż... Spytałem o to sam siebie i mam odpowiedzi dla siebie, dla was i dla ludzi: Otóż tak! Czynimy dobro! Tak, walczymy o sprawiedliwość! Tak, staramy się, żeby ten świat był lepszy!

Szanowne panie, szanowni panowie, jeśli wybierzecie właściwego nowego przewodniczącego palestry stanu Texas, właśnie to powiemy jego mieszkańcom! Przypomnimy im, że to my napisaliśmy Deklarację Niepodległości i Kartę Praw, że walczyliśmy o prawa społeczne, że chronimy biednych, bronimy niewinnych, uwalniamy prześladowanych. Bronimy ich niezbywalnych praw. Że jesteśmy tymi, którzy stoją między

wolnością i prześladowaniem, dobrem i złem, niewinnością i winą, życiem i śmiercią. Powiem też ludziom, że jestem dumny, cholernie dumny, że jestem prawnikiem... Ponieważ prawnicy czynią dobro!

Można to zrzucić na karb upalnego teksaskiego lata, ale publiczność złożona w całości z prawników - prawników, którzy nigdy nie chronili biedaków ani nie bronili niewinnych i nie uwalniali prześladowanych, którzy raczej bronili praw wielonarodowych korporacji - uwierzyli w te słowa jak dzieci, które były już zbyt duże, żeby wierzyć w Świętego Mikołaja, mimo to desperacko i kurczowo trzymały się tej tradycji. Jak jeden mąż wstali z miejsc w jadalni w Belo Mansion w centrum Dallas i rzęsistymi brawami nagrodzili wysokiego trzydziestosześciolatka, który zdjął okulary w szylkretowej oprawie, odgarnął blond włosy z opalonej twarzy i posłał im uśmiech gwiazdora filmowego. Zajął na podium miejsce oznaczone tabliczką z napisem: A. SCOTT FENNEY, ESQ., FORD STEVENS LLP.

Kiedy brawa przybrały na sile, doradca finansowy wielkiej firmy, który wspierał kandydaturę Scotta na stanowisko przewodniczącego stanowej palestry, pochylił się i wyszeptał:

- Wiesz, Scotty, masz niezwykły dar bajerowania. Teraz rozumiem, dlaczego cały żeński akademik stał przed tobą otworem.

Scott poprawił jedwabny krawat, wygładził garnitur za dwa tysiące dolarów i odszepnął przez nieskazitelnie białe zęby:

- Henry, nie wygrasz wyborów, ani nie poderwiesz żadnej cizi, mówiąc prawdę.

Następnie odwrócił się i skłonił członkom palestry, którzy wciąż stojąc, bili mu brawa.

Wszyscy poza jednym prawnikiem. Starszy, elegancki pan siedział samotnie przy tym samym co zawsze stoliku na końcu sali. Grube białe włosy spadały mu na czoło. Bystre oczy widziały dobrze na odległość, ale jedząc, podobnie jak do czytania, zakładał okulary w czarnych oprawkach. Nie był wysoki, a jego nieco przygarbiona postura powodowała, że sprawiał wrażenie raczej niskiego. Mimo to był prawnikiem, którego inni prawnicy unikają jawnie lub też zbliżają się do niego z wielką ostrożnością, jak wasale do feudała, czekając cierpliwie, aż spojrzy znad smażonego filetu z kurczaka, tłuczonych ziemniaków i ciasta z orzechami, po czym uraczy ich skinieniem głowy, a kiedy ma dobry dzień - nawet zaszczyci pobieżnym uściskiem dłoni. Nigdy jednak nie wstaje. Choćby się waliło i paliło, sędzia federalny Samuel Buford będzie siedział dopóty, dopóki nie skończy posiłku. Dzisiaj jednak, po wysłuchaniu przemowy młodego prawnika, delikatny uśmiech zagościł na jego ustach.

A. Scott Fenney właśnie bardzo ułatwił mu podjęcie trudnej decyzji prawnej.

Rozdział drugi

Kancelaria prawnicza Ford Stevens zajmowała od pięćdziesiątego piątego do sześćdziesiątego trzeciego piętra w Dibrell Tower w centrum Dallas. Odnosząca niezwykłe finansowe sukcesy firma spoczywała na barkach dwustu prawników, którzy pracowali średnio dwieście godzin na miesiąc za przeciętną stawkę dwieście pięćdziesiąt dolarów na godzinę, co łącznie dawało sto dwadzieścia milionów dolarów rocznie, przynosząc średni dochód półtora miliona dolarów rocznie na każdego wspólnika, co z kolei stawiało firmę z Dallas na poziomie kancelarii z Wall Street. Scott Fenney został wspólnikiem cztery lata temu i wyciągał siedemset pięćdziesiąt tysięcy rocznie, a miał zamiar podwoić tę kwotę, kiedy dobiegnie do czterdziestki.

Jako jeden z pięćdziesięciu wspólników Scott miał wiele przywilejów: osobistą sekretarkę, dwóch prawników do pomocy i czterech innych asystentów, zarezerwowane miejsce na podziemnym parkingu, członkostwo w klubach, w których można było zjeść wyszukany posiłek, skorzystać z odnowy biologicznej i spędzić czas w eleganckim towarzystwie, oraz olbrzymie biuro w narożniku sześćdziesiątego drugiego piętra z widokiem na północ - jedyną stronę, która była warta oglądania w centrum Dallas. Szczególnie upodobał sobie to biuro: drewniana boazeria, mahoniowe biurko, obite skórą meble, na parkiecie prawdziwy perski dywan sprowadzony z Iranu, a na ścianie półtorametrowa, oprawiona podobizna jego samego jako zawodnika numer 22 drużyny SMU Mustangs, pokonującego triumfalnie sto siedemdziesiąt sześć metrów w meczu przeciw Texas Longhorns w dniu, w którym Scott Fenney stał się miejscową legendą futbolu. Korzystanie z tych wszystkich przywilejów wymagało od Scotta jedynie traktowania najznamienitszych klientów firmy z takim samym oddaniem, z jakim apostołowie traktowali Jezusa Chrystusa.

Godzinę po wygłoszonej na spotkaniu prawników mowie Scott stał na swoim perskim dywanie, patrząc z podziwem na Missy, dwudziestosiedmioletnią byłą czirliderkę Dallas Cowboys, która prowadziła letni program praktyk studenckich. Co roku jesienią prawnicy firmy Ford Stevens jeździli po kraju i przeprowadzali rozmowy kwalifikacyjne z najlepszymi studentami drugiego roku czołowych szkół prawniczych w kraju. Firma zatrudniała czterdziestu najlepszych i zapraszała ich latem do Dallas, gdzie dostawali dwa i pół tysiąca dolarów tygodniowo, wikt, opierunek, imprezy, alkohol, a w niektórych firmach kobiety. Wielu obecnych wspólników wielkich kancelarii prawniczych miało wprawę w organizowaniu zajęć tego typu, bo sami wiedli dosyć rozrywkowy tryb życia na studiach,

dlatego też większość programów letnich była głównie nastawiona na beztroskie bratanie się w gronie palestry. Program firmy Ford Stevens nie stanowił pod tym względem wyjątku.

W pierwszy poniedziałek czerwca nastąpiła więc inwazja czterdziestu praktykantów, takich jak obecny tutaj Bob, a wszyscy starali się przyciągnąć wzrok potężnych wspólników, którzy z wyżyn swojej wspaniałości starali się ocenić, czy te młode prawnicze wilki nadają się do firmy Ford Stevens. Bob się nadawał. Po minie stojącego obok Missy studenta prawa było widać, że marzy o tym, by mieć kiedyś podobne biuro. Znaczyło to, że będzie harował przez następne osiem lat po dwieście godzin na miesiąc, nie skarżąc się i nie ociągając, ponieważ szanse nowego pracownika na zostanie wspólnikiem w Ford Stevens wynosiły jeden do dwudziestu. Ambitni studenci i tak ciągnęli jak pszczoły do miodu, bo jak mówił im Scott: „Jeżeli chcecie liczyć na to, że się wam poszczęści, jedźcie do Vegas. Jeżeli chcecie jednak stać się obrzydliwe bogaci przed czterdziestką, zatrudnijcie się w firmie Ford Stevens".

- Panie Fenney?

Scott niechętnie odwrócił wzrok od Missy i spojrzał na swoją pulchną sekretarkę w średnim wieku, która stała w drzwiach.

- Tak, Sue?

- Mam cztery rozmowy. Pańska żona, Stan Taylor, George Parker i Tom Dibrell.

Scott odwrócił się do Missy i studenta, wzruszając ramionami.

- Obowiązek wzywa. - Uścisnął dłoń bladego, brzydkiego studenta, który był zdecydowanym prymusem na roku, i klepnął go po ramieniu. - Bob...

- Rob.

- Och, przepraszam. Słuchaj, Rob, muszę uzgodnić kilka szczegółów w związku z jublem na czwartego lipca, to mój obowiązek.

- Tak, proszę pana, już o tym słyszałem.

- Przyprowadzisz w tym roku jakieś koleżanki? - zwrócił się z tym pytaniem do Missy.

- Dziesięć.

- Dziesięć? - Scott gwizdnął. - Dziesięć byłych czirliderek Dallas Cowboys.

Firma płaciła każdej dziewczynie po pięćset dolarów za kilka godzin paradowania w bikini i okazywania zainteresowania studentami prawa.

- Bob... - Rob.

- Jasne. Powinieneś popracować nad opalenizną, Rob, jeśli chcesz usidlić jedną z nich.

Rob wyszczerzył zęby w uśmiechu, choć miał takie szanse na poderwanie byłej czirliderki Dallas Cowboys, jak jednonogi w zajęciu pierwszego miejsca w konkursie na kopanie po tyłkach.

- Panie Fenney. Pana wystąpienie podczas lunchu było naprawdę inspirujące - powiedział praktykant.

Pierwszy dzień w pracy, a ten chłopak już podlizywał się jak doświadczony pracownik. Jak mógł być szczery?

- Dzięki, Bob.

Missy mrugnęła. Scott nie wiedział, czy mruga, bo wie, że wciskał kit podczas lunchu, czy też znów go podrywa. Jak wszystkie samotne piękności z Dallas, Missy doprowadziła umiejętność podrywu do rangi sztuki, za każdym razem przyciągając jego uwagę, kiedy zakładała jedną długą smukłą nogę na drugą, ocierając się o niego w windzie czy też patrząc na niego w taki sposób, żeby było jasne, że coś za chwilę się między nimi wydarzy. Oczywiście każdy mężczyzna w firmie myślał podobnie o Missy, ale Scott był co roku ogłaszany przez żeński personel pomocniczy najprzystojniejszym prawnikiem w firmie Ford Stevens - nie żeby miał specjalną konkurencję. Scott był gwiazdą futbolu już w college'u, gdy pozostali mogli jedynie poszczycić się statusem gwiazd szachownicy. Jak ten tu Bob.

- Rob.

- Jasne.

Missy i Bob zniknęli, a Scott obszedł biurko i usiadł na skórzanym fotelu z wysokim oparciem. Wzrokiem odszukał aparat telefoniczny - cztery diody mrugały do niego. Bez zastanowienia jego wyszkolony w tych sprawach umysł momentalnie ustalił kolejność rozmów: Tom, Stan, George, żona. Tom w zeszłym roku zapłacił firmie trzy miliony, £tan sto pięćdziesiąt tysięcy, George pięćdziesiąt, a żona ani centa.

Scott podniósł słuchawkę i nacisnął przycisk, łącząc się z Tomem.

***

- Panie Fenney!

Scott czekał niecierpliwie na windę w holu na sześćdziesiątym drugim piętrze, żeby zobaczyć się z Tomem Dibrellem na sześćdziesiątym dziewiątym. Nie mógł powstrzymać uśmiechu na twarzy. Los obdarzył go bogatym klientem, o jakim marzy każdy prawnik: deweloperem, który po prostu musi budować. Klientem, który bez przerwy pożyczał, kupował, budował, wynajmował, sprzedawał, składał pozwy, był pozywany i - co najważniejsze - który miał dziwną skłonność do wikłania się w rozmaite sprawy sądowe,

jedną po drugiej, przy których nieustannie potrzebował bardzo drogiej obsługi prawnej, jaką zapewniał mu A. Scott Fenney.

Nadbiegła Sue, z twarzą czerwoną od wysiłku, jaki włożyła w to, żeby go dogonić.

- Panie Fenney, o czternastej ma pan spotkanie wspólników. Scott sprawdził godzinę. Była trzynasta czterdzieści pięć.

- Nie dam rady. Tom mnie potrzebuje. Co będzie przedmiotem spotkania?

Sue podała mu harmonogram. Tylko jeden punkt wymagał jego obecności: musiał oddać głos za usunięciem Johna Walkera z listy wspólników firmy. W przeciwieństwie do Scotta John nie był już orłem palestry, któremu sprzyjało szczęście. Jego bogaty klient został podkupiony przez firmę z Nowego Jorku, co oznaczało, że nie będzie on już płacił kancelarii Ford Stevens, a w konsekwencji sam John Walker nie będzie już dla nich pracował. Jego ośmiusettysięczne pobory stały się dla firmy Ford Stevens zbędnym wydatkiem. John był wyśmienitym prawnikiem i grał ze Scottem dwa razy w tygodniu w kosza, ale interes to interes - doskonali prawnicy bez bogatych klientów byli bezwartościowi dla wielkich kancelarii prawniczych.

Drzwi windy otworzyły się w chwili, w której Scott sięgnął do kieszeni marynarki po pióro. Wszedł do kabiny, a Sue za nim. Do planu porządku dziennego była dołączona karta do głosowania: USUNIĘCIE JOHNA WALKERA. Jedynym wspólnikiem, który nie wiedział, że John Walker zostanie dziś wylany, był sam John Walker. Dan Ford uważał, że element zaskoczenia jest kluczowy przy zwalnianiu wspólnika, bo przecież mógłby odejść, zabierając jeszcze kilku klientów ze sobą. Piętnaście minut po tym, gdy John Walker wejdzie do biura Dana, zostanie bezceremonialnie wylany po dwunastu latach pracy w firmie, a następnie wyprowadzony z budynku w asyście ochroniarzy. Firma nigdy nie straciła żadnego klienta z powodu zwolnionego prawnika.

Sue odwróciła się plecami, a Scott położył na nich kartę i zaczął składać podpis: „A. Scott Fenney...". Zamarł jednak. Mimo że głosowanie było zwykłą formalnością, miał poczucie winy. Cały ten proces stwarzał złudzenie, że Ford Stevens jest firmą prawniczą złożoną z równoprawnych wspólników. W rzeczywistości Dan Ford był jej właścicielem, a jego własnością był również każdy pracujący w niej prawnik, jak każde biurko czy skoroszyt. Dan zaś już zdecydował, że trzeba wywalić Johna Walkera. Scott mógł jedynie podpisać się pod jego decyzją albo się jej sprzeciwić i... „I co...?". Stanąć za Johnem w ogonku po zasiłek? Westchnął i podpisał kartę w kolumnie „ZA", a następnie podał dokument Sue ze słowami:

- Oddaj to Danowi.

Wpatrywała się w kartkę, jakby to był wyrok śmierci, i wyszeptała:

- Jego żona ma raka piersi.

- Żona Dana?

- Nie. Żona Johna Walkera. Jego sekretarka powiedziała, że gdzieś na węzłach chłonnych.

- Co ty wygadujesz? Jezu, przecież jest taka młoda.

Matka Scotta również była młoda, miała dopiero czterdzieści trzy lata, kiedy taki sam rak ją zabił. Scott patrzył bezradnie, jak traci piersi, włosy, życie. Pomyślał teraz o żonie Johna i o Johnie, który za chwilę będzie stał na ulicy przed budynkiem, z płaszczem i karierą przewieszonymi przez ramię, przeklinając wspólników, że go opuścili, a Boga za to, że opuścił jego żonę. Scott również przeklinał Boga, kiedy rak pochłaniał gram po gramie ciało jego matki, aż stała się lekka jak piórko, kiedy dźwigał ją z łóżka i niósł do łazienki. - Niech to szlag.

Nie mógł pomóc żonie Johna, podobnie jak nie mógł pomóc własnej matce ani też samemu Johnowi i innym prawnikom, których Dan Ford wywalił bez ostrzeżenia... Mimo to... Scott wpatrywał się w swoje oblicze w lustrze na ścianie windy, dopóki nie zatrzymała się bezszmerowo na sześćdziesiątym dziewiątym piętrze. Gong windy wyrwał go z rozmyślań jak gwizdek sędziego przed wznowieniem gry. Drzwi windy zamknęły się za nim. Wszedł na teren firmy Dibrell Property Company, właściciela budynku i najważniejszego klienta, który generował co roku ponad dziewięćdziesiąt procent wypracowywanych przez Scotta Fenneya zysków, dzięki którym mógł mieć w życiu to, co miał - od łóżka, w którym spał, do butów na nogach.

Niemal równo jedenaście lat temu Scott - wówczas nowy pracownik firmy Ford Stevens - jechał windą w tym samym budynku, kiedy rozsunęły się drzwi i wszedł Thomas J. Dibrell. Scott rozpoznał go od razu. Wszyscy w Dallas wiedzieli, kto to jest Tom Dibrell: absolwent Southern Methodist University i zagorzały miłośnik futbolu, choć mówiło się, że wraz z gubernatorem był zamieszany w jakieś machlojki na boisku, co sprawiło, że federacja NCAA wykluczyła drużynę Southern Methodist University z rozgrywek w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku. Wybudował luksusowy wieżowiec Dibrell Tower, wzniesiony za trzysta milionów dolarów pożyczonych z nowojorskiego funduszu emerytalnego podczas boomu budowlanego w latach osiemdziesiątych, i w jakiś sposób przetrwał bankructwo w latach dziewięćdziesiątych - mimo że nie udało się to wielu teksaskim deweloperom po załamaniu się rynku. Tak naprawdę sposób, w jaki Tomowi Dibrellowi udało się zatrzymać swój drapacz chmur, gdy pozostałym wielkim

przedsiębiorcom skonfiskowano ich budynki, pozostawało drugą największą tajemnicą w Dallas zaraz po pytaniu: „Czy Oswald działał sam?”.

Ale tego dnia, kiedy Scott rozpoznał Dibrella w windzie, Dibrell rozpoznał również Scotta. Jego twarz przybrała ten szczególny wyraz, który Scott widział tak wiele razy, kiedy dorosły mężczyzna doświadcza bliskiego spotkania z gwiazdą futbolu - to wyraz twarzy dziecka w bożonarodzeniowy poranek. Przedstawili się sobie, Scott powiedział Dibrellowi, że pracuje w firmie Ford Stevens, i Dibrell zaprosił go na lunch w znajdującym się na jednym z wyższych pięter Downtown Club. Przy steku Dibrell zwierzył się, że rynek nieruchomości w Dallas schodzi na psy, jego firma ledwie przędzie, a jego prawnicy - nielojalne gnojki, którym płacił miliony w czasach prosperity - opuścili go i przeszli do jankeskich banków, które przejęły niewypłacalne banki z Dallas, gdzie właśnie ulokował swoje pieniądze. Po lunchu Dibrell odgryzł koniuszek olbrzymiego cygara, rozparł się w fotelu i poprosił Scotta Fenneya, legendę teksaskiego futbolu, by został jego nowym prawnikiem.

A. Scott Fenney miał swojego pierwszego klienta.

Reszta to już historia. Jedenaście lat później rynek nieruchomości w Dallas znów przeżywał złote lata, firma Dibrell stała się łakomym kąskiem w Dallas, a klient promieniował swoją aurą - wynikająca z szacunku i wysokiej pozycji społecznej

- również na swojego prawnika, który za każdym razem, kiedy się przedstawiał, oświadczał z dumą: „Nazywam się Scott Fenney, jestem prawnikiem Toma Dibrella”. Scott pozostał lojalny wobec niego za kwotę trzech milionów dolarów rocznie.

Obcasy Scotta stukały o mahoniowo-marmurową posadzkę, aż stanął w obszernych drzwiach. Pod żyrandolem z długich rogów teksaskiej krowy stał okrągły stół, na którym umieszczono półmetrową realistyczną rzeźbę z brązu, przedstawiającą pętanego przez dwóch kowbojów cielaka, który za chwilę miał stracić swoją męskość za sprawą trzeciego kowboja, dzierżącego narzędzie wyglądające jak olbrzymie cążki do paznokci. *Wiosenny spęd* - taki tytuł widniał na srebrnej plakietce umieszczonej na podstawie rzeźby.

Za każdym razem, kiedy Scott pojawiał się w Dibrell Property Company, miał wrażenie, że oto wchodzi do muzeum Dzikiego Zachodu. Na podestach stały rzeźby Frederica Remingtona. Na ścianach wisiały obrazy G. Herveya przedstawiające kowbojów na koniach - takie arcydzieła, jak *Kiedy bankierzy nosili ostrogi*, *Przeprawa przez Rio Grande, Dobry Bóg tak sprawił i Dzika Banda nie wyrusza na szlak*. Meble wyglądały jak wykupione z planu filmu Olbrzym - skórzane kanapy w wielkie romby, podobne krzesła z mosiężnymi ćwiekami i boazerie z ciemnego drewna od sufitu do podłogi. Na ścianie nad kontuarem recepcji wisiała chluba tego muzeum osobliwości - olbrzymi portret Toma Dibrella na potężnym czarnym

ogierze. Wyglądał jak chłopiec, którego rodzice zmusili, żeby wsiadł na kucyka w zoo dla dzieci. Była to tak naprawdę jedyna okazja, kiedy można go było zobaczyć w siodle. Tom kochał jednak wszystko, co miało związek z Dzikim Zachodem, mimo że w Dallas i Houston ze świecą można było szukać prawdziwego kowboja. Miło było jednak sobie poudawać.

Wzrok Scotta przeniósł się z dzieła Roya Rogersa juniora na prawdopodobnie najpiękniejszą dziewczynę, jaką widział w życiu, przynajmniej od ostatnich odwiedzin w tym miejscu. Blondynka - błękitnooka piękność - siedziała za ladą recepcji i malowała sobie paznokcie nad poranną gazetą. Tom Dibrell zawsze mocno podkreślał, że liczykrupy należy zatrudniać po Harvard Business, a recepcjonistki po Hooters. Problem polegał na tym, że droga kariery recepcjonistek wiodła jedynie od recepcji do kanapy w biurze Toma i w konsekwencji kończyła się znaczną odprawą w celu uniknięcia pozwu sądowego.

- Boże, ależ on był przystojny - powiedziała.

Nie chodziło jej o Toma. Jej błękitne oczęta były wlepione w gazetę i czarno-białe zdjęcie młodego mężczyzny pod nagłówkami: *Clark McCall zamordowany... Prostytutka oskarżona... Senator McCall zdruzgotany... Kampania prezydencka opóźniona.*

- To zwykły napad - stwierdził Scott. - Nic dziwnego, skoro przymknęli go za prochy. Zawsze pakował się w kłopoty. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Był bogaty.

- Jego tatuś jest bogaty.

- Mnie by to wystarczyło.

- Może więc powinien poderwać ciebie w tę sobotnią noc zamiast tej panienki.

- Och, to by go kosztowało znacznie więcej. Ale ja nie noszę broni.

- Dziewczyno, moim zdaniem, broń nie jest ci wcale potrzebna.

Posłała mu lekki uśmiech, następnie wróciła do lektury gazety. Wolno kręciła głową, jakby starała się rozwikłać jakąś wielką tajemnicę.

- Bogaty i przystojny. Po co brał czarną prostytutkę, kiedy mógł mieć każdą białą dziewczynę w mieście?

- Bo czarne są tańsze, co właśnie stwierdziłaś. Scottowi zawsze sprawiało dużą przyjemność flirtowanie z sekretarkami Dibrella, ale zmęczyła go już ta rozmowa. Morderstwo syna senatora obchodziło go tyle, ile zeszłoroczny śnieg. Przyszedł tutaj, żeby zarobić pieniądze. Przedstawił się więc:

- Scott Fenney, do Toma.

Recepcjonistka odłożyła lakier, dmuchnęła na paznokcie i podniosła słuchawkę. Trzymała ją ostrożnie opuszkami palców, żeby nie zarysować świeżo położonego lakieru. Nacisnęła odpowiedni klawisz gumką na końcu ołówka, mówiąc:

- Przyszedł pan Fenney.

Odłożyła słuchawkę, przekręciła swoje ponętne ciało na krześle, podkreślając niezwykłe walory górnych partii, i zapytała:

- Jest pan żonaty?

Scott uniósł lewą dłoń, pokazując obrączkę.

- Od jedenastu lat.

- Niedobrze. - Dmuchnęła na paznokcie i dodała: - Proszę zaraz wrócić, panie Fenney. Proszę też do mnie przedzwonić, jeśli to się zmieni... Niech tam, dzwoń pan, nawet jak nie!

Jeśli pominąć drobne braki w edukacji językowej, była idealnym przykładem tego, czego mężczyźni w Teksasie pragnęli najbardziej - przepięknej dziewczyny z Teksasu. Wiele było mitów teksaskich, ale jeden z nich to najświętsza prawda: najpiękniejsze dziewczyny na świecie mieszkały w Teksasie. W Dallas w Teksasie. Takie panny jak ona kończyły ogólniak, może nawet studium pomaturalne, po czym pędziły z małych miasteczek w Teksasie do Dallas jak ćmy do ognia. Przyjeżdżały tu w poszukiwaniu pracy, nocnego życia, kawalerów zarabiających mnóstwo pieniędzy, za które kupowało się wielkie domy i bajeranckie bryki, modne ciuchy i błyskotki - to zawsze wywoływało uśmiech na twarzy teksaskiej dziewczyny. Te, które chciały się wydać za pracownika rafinerii i mieszkać w bliźniaku, przeprowadzały się do Houston, te zaś, które chciały wyjść za mężczyzn z dużymi pieniędzmi i mieszkać w posiadłości, przeprowadzały się do Dallas.

Scott przeszedł przez hol i dalej przez galerię, gdzie było jeszcze więcej kowbojskich dzieł sztuki, i przypomniał sobie o założeniu okularów. Miał lekką wadę wzroku, z powodu której musiał nosić okulary do czytania i żeby widzieć w słabym świetle, ale miał zwyczaj nosić je przy klientach, ponieważ lubili oni prawników wyglądających na inteligentów. Wszedł do biura Toma, składającego się z sekretariatu, prywatnej łazienki, gabinetu z atrapą kominka i samotni Toma.

Marlenę, sekretarka Toma, kobieta w średnim wieku, podniosła wzrok znad artykułu o McCallu, uśmiechnęła się i pomachała mu. Tom siedział w najdalszym kącie swojego gabinetu, obejmując głowę dłońmi. Wyglądał bardzo niepozornie za potężnym biurkiem w pomieszczeniu, w którym sufit znajdował się trzy i pół metra nad jego głową. Scott zbliżył się do swojego bogatego klienta, zręcznie omijając skórzane meble, ozdobione srebrem meksykańskie siodło na stojaku, krążąc wśród zdjęć Toma z gubernatorami, senatorami i

prezydentami, mijając też ławę, na której leżał kask budowlany z napisem DIBRELL i zwinięte plany konstrukcyjne, których to rekwizytów Tom Dibrell używał, żeby zwiększyć swoją wiarygodność, mimo że nigdy nie pracował na budowie.

- Na dole mamy spotkanie w sprawie umowy o kupno gruntu - powiedział Scott do spuszczonej głowy Toma. - Powinniśmy dzisiaj ją zamknąć.

Głowa Toma poruszyła się wolno w górę i w dół.

- Nie poprosiłem cię w tej sprawie.

Tom miał pięćdziesiąt pięć lat, był niemal łysy, niedawno wszedł więc w fazę zaczesywania się na bok, mierzył metr siedemdziesiąt w markowych kowbojkach i był tłustym draniem, choć za trzy miliony dolarów Scott mówił o nim, że jest mocno zbudowany. Żenił się czterokrotnie z coraz młodszymi kobietami, a obecna pani Dibrell miała dwadzieścia dziewięć lat. Tom uniósł dłoń i Scott od razu wiedział, że chodzi o problem z płcią piękną. Westchnął. Jego najlepszy klient w obecności ładnej pracownicy nie potrafił trzymać łap przy sobie.

- Kto tym razem, Tom?

- Nadine.

Scott potrząsnął głową. Nie przypominał sobie żadnej Nadine.

- Brunetka, wysoka, ma czym oddychać. Boże, Scott, ona ma biodra jak chłopiec!

Tom zamilkł i oczy mu się zaszkliły, jakby przypomniał sobie coś wzruszającego na ten temat. Po chwili odezwał się znowu:

- Zagroziła, że zaskarży mnie za molestowanie seksualne.

- Tom wyciągnął dłoń z listem. - Wzięła sobie, kurwa mać, prawnika!

Scott chwycił kartkę i od razu jego wzrok powędrował ku nagłówkowi FRANKLIN TURNER, ESQ. Słynny kosiarz od odszkodowań. Ciężko wypuścił powietrze z płuc.

- Kurde.

W Dallas pracuje dwadzieścia tysięcy prawników, a Nadine znalazła sobie akurat Franklina Turnera! Scott przebiegł wzrokiem po liście. Franklin Turner groził pozwaniem Dibrell Property Company i Thomasa J. Dibrella osobiście w imieniu swojej klientki Nadine Johnson, chyba że w ciągu dziesięciu dni nastąpi ugoda finansowa.

- Z tego Turnera rzeczywiście taka kosa, jak mówią? - zapytał Tom.

- Tak, to prawdziwy skurczybyk. - Scott powiedział to grobowym tonem, jak lekarz, który mówi: „Tak, ma pan raka". Zawsze dobrze było nieco przycisnąć klienta, bo zaniepokojony klient bez szemrania zapłaci większe honorarium. Zmarszczył brwi i podszedł do wykuszu, jaki Tom specjalnie zaprojektował w swoim biurze, żeby podziwiać panoramę

Dallas. Tylko po to, by móc tak stać i głęboko oddychając, wpatrywać się w miejskie zabudowania z myślą: „Boże, ale przygnębiający widok!”. Szary i nudny - jakby człowiek oglądał program w starym, czarnobiałym telewizorze. Jak okiem sięgnąć krajobraz z betonu i stali, niknący w brązowej mgiełce zanieczyszczonego powietrza, która spowijała całą aglomerację, ugór pozbawiony drzew, na którym gołym okiem od razu było widać intencje architektów:

- wybetonować każdą piędź ziemi w całym cholernym mieście. Tłumaczyło to oczywiście, dlaczego Dallas zawsze zajmowało pierwsze miejsce w kategorii „najbrzydsze duże miasto w Stanach Zjednoczonych”. Poza wspomnianymi kobietami Dallas było pozbawione jakiegokolwiek naturalnego piękna. Nie było oceanu ani jeziora czy innego zbiornika wodnego poza Trinity River, która płynęła na zachód od centrum i od dziesiątek lat służyła za naturalny ściek, a dzisiaj jeszcze dodatkowo za miejsce odprowadzania kanalizacji. Nie było tutaj żadnego Central Parku, żadnych Gór Skalistych ani żadnego Miami Beach. Pogoda do bani. Nie było niczego, co miały inne miasta. Dallas mogło się poszczycić jedynie wielkim białym „X” na Elm Street, w miejscu, w którym zastrzelono amerykańskiego prezydenta. W Dallas nie mieszkało się jednak przecież po to, żeby podziwiać widoki, ale żeby szybko zarobić kupę szmalu.

- Scott?

Głos Toma brzmiał jak skarga chłopca, który niemal z płaczem chce się wymigać od kary za zjedzenie wszystkich cukierków na raz. Scott odwrócił się do swojego bardzo zmartwionego klienta.

- Tom, gdy stanę w sądzie przeciwko Franklinowi Turnerowi, będę miał szczęście, jeśli uda mi się wywalczyć dwukrotnie większe odszkodowanie, niż zapłaciliśmy ostatniej.

Tom pokręcił głową.

- Nieważne, Scott. Zapłać jej dwa miliony, jeśli musisz, tylko się tym zajmij. Załatw to, proszę, po cichu, nie chcę stracić przez to Babs. Naprawdę ją lubię.

Babs była żoną numer cztery.

- Zajmę się tym, Tom, tak jak zająłem się poprzednimi. Tom wyglądał, jakby się miał rozpłakać.

- Nigdy ci tego nie zapomnę, Scott. Nigdy. Scott ruszył do drzwi, rzucając przez ramię:

- Tylko pamiętaj o tym, kiedy wyślę ci rachunek. Mijając Marlene i idąc przez kowbojskie muzeum, Scott zachował poważną minę - mrugnął tylko do recepcjonistki - i wszedł do windy w holu. Kiedy jednak tylko znalazł się na bezpiecznym gruncie w pustej

windzie, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech i rzekł do swego odbicia w lustrze: „Jak jeden człowiek może pakować się w tyle głupich spraw? Ten facet jest, kurde, przedziwny".

W zaciszu windy, sam na sam ze swoimi myślami, Scott Fenney pomyślał o tym bogatym kliencie w ten sam sposób, w jaki myślą wszyscy prawnicy o bogatych klientach, którzy zapewniają im dostatek: to istoty o niższej inteligencji, które za sprawą łaski boskiej odziedziczyły, ukradły, wyłudziły niezmierzone bogactwa lub po prostu miały wystarczająco dużo szczęścia, żeby je zarobić. Aby przywrócić więc równowagę w przyrodzie, obowiązkiem prawników jest uwolnić tych klientów od jak największych zasobów w formie honorariów.

A. Scott Fenney zawsze bardzo sumiennie wypełniał obowiązki wobec Toma Dibrella.

Rozdział trzeci

Scott zjechał windą w dół, do biur firmy Ford Stevens, a następnie wszedł przez hol do sali konferencyjnej na sześćdziesiątym drugim piętrze, mijając biuro Johna Walkera, gdzie sekretarka pakowała jego rzeczy do kartonowego pudła, a kolejny prawnik, który czekał na to miejsce w kolejce, właśnie się wprowadzał. Scott szedł dziarskim krokiem, pstrykając palcami do rytmu kroków, niesiony najbardziej uzależniającym narkotykiem znanym człowiekowi - sukcesem.

Otworzył na oścież podwójne drzwi i wszedł do sali konferencyjnej - dość dużego pomieszczenia, w którym znajdował się dwunastometrowy stół z drewna wiśniowego, trzydzieści krzeseł obitych ciemnobrązową skórą oraz tuzin prawników walczących o pieniądze swoich klientów jak lwy o kawał surowego mięsa. Dzisiaj drapieżni młodzi pracownicy świętowali zakup przez Dibrell Property Company pięćdziesięciu akrów ziemi przy Trinity River za dwadzieścia pięć milionów dolarów, na którym to terenie Dibrell planował wybudowanie magazynów przemysłowych. Trzech prawników firmy Ford Stevens walczyło dzielnie o interesy klienta Scotta za łączne honorarium ośmiuset pięćdziesięciu dolarów za godzinę. Scott podszedł do szczytu długiego stołu konferencyjnego.

- Panowie!

W sali zapadła cisza, a oczy, krawaty i szelki wszystkich zwróciły się w stronę Scotta.

- Nie doszliście jeszcze do porozumienia? Co, do diabła, ma znaczyć ta zwłoka?

Sid Greenberg, pracownik firmy z pięcioletnim stażem, którego Scott postawił na czele ekipy zajmującej się sprawą Dibrella, powiedział:

- Scott, wciąż się borykamy z depozytem ekologicznym.

- Jeszcze tego nie pokonaliście? Ile to już trwa? Dwa tygodnie?

- Nie sądzę, Scott, żebyśmy mogli się z tym uporać - odparł Sid.

- Sid, każdy prawny problem można rozwiązać. O co więc chodzi?

- Problem polega na tym, Scott: my wiemy, ale rząd nie, że teren jest skażony ołowiem od czasów, kiedy działała tutaj fabryka akumulatorów. Teraz zawsze wtedy, gdy pada deszcz, następuje wyciek do rzeki. Duży wyciek. Musimy więc złożyć w depozycie pewien procent kwoty zakupu, aby pokryć ewentualne koszty oczyszczania na wypadek wykrycia ołowiu, zanim Dibrell zdoła wszystko zabetonować. Problemem jest wysokość depozytu.

- Do diabła, Sid, wynajmij po prostu konsultanta od ochrony środowiska. On nam powie, ile zdeponować.

- Zatrudnilibyśmy go już dawno, Scott, tylko że sąd nakazał nam przekazać wszystkie raporty ekologiczne tym ekoświrom, którzy złożyli pozew, żeby nie dopuścić do transakcji.

- Prawi Obrońcy Rzeki Trinity?

- Tak, PORT. Chcą na tym terenie urządzić park krajobrazowy, w którym dzieci mogłyby zobaczyć mieszkańców rzeki z bliska. Zobaczą zaś tylko śnięte ryby pływające w ścieku. Kurde, można zachorować, jak się wsadzi palec do tej wody! Nieważne. Powiedzieliśmy sędziemu, że żadna ze stron nie ma raportu o stanie środowiska. Gdybyśmy dali swój do opracowania, musielibyśmy go przedstawić tym z PORT-u, którzy w ten sposób dowiedzieliby się o wycieku wody skażonej ołowiem i nie dopuściliby do zawarcia transakcji. Od razu mielibyśmy na głowie kogoś z Wydziału Ochrony Środowiska! Bez raportu nie wiemy jednak, jaką sumę należy złożyć w depozycie. My chcemy pięćdziesiąt procent ceny, sprzedający chce pięć procent.

Sid wzniósł ręce do góry.

- Może trzeba będzie powiedzieć Dibrellowi, że nic z tego!

Scott westchnął. Kilka lat temu zrobił ten błąd i zaproponował Tomowi odwołanie transakcji z powodu jakichś niuansów prawnych. Tom wysłuchał cierpliwie swojego nowego prawnika i powiedział:

- Scott, nie płacę ci, żebyś mi mówił, czego nie mogę zrobić. Płacę ci za to, żebyś mi powiedział, jak mam zrobić to, co chcę. Jeśli zaś tego nie potrafisz, to znajdę mądrzejszego prawnika, któremu to się uda.

Scotta dużo nauczyło tamto doświadczenie. Nie miał zamiaru mówić Tomowi Dibrellowi, że powinien anulować transakcję za dwadzieścia pięć milionów dolarów, płacąc honorarium w wysokości pięciuset tysięcy firmie Ford Stevens, a już na pewno nie z powodu

wycieku ołowianej wody do jakiegoś ścieku, który nie wiedzieć czemu, nazywa się Trinity River.

- Dobra, zrobimy tak. Ford Stevens wynajmie konsultanta do spraw ochrony środowiska. Ten przekaże swój raport mnie, do rąk własnych. Prawnik sprzedającego może przyjść do mnie i go przeczytać, ale żadna kopia nie opuści tych murów. Ten raport będzie stanowił własność Ford Stevens, ale nie Dibrella czy sprzedającego. Dzięki temu dokument będzie chroniony zgodnie z zasadą prawnik-klient, a ja zeznam w sądzie pod przysięgą, że żadna ze stron nie ma raportu o stanie środowiska podlegającego nakazowi przedstawienia działaczom PORT-u. W ten sposób nikt nigdy się nie dowie o wycieku zanieczyszczonej wody do rzeki.

- Czy to się uda? - zapytał Sid.

- Pracowałem kiedyś dla firm tytoniowych, Sid. Przez czterdzieści lat trzymali raporty mówiące o właściwościach uzależniających nikotyny, ponieważ ich prawnicy wynajęli naukowców, którzy przez lata prowadzili odpowiednie badania. Wyniki badań nie podlegały nakazom sądu, ponieważ były chronione zasadą prawnik-klient. Nikt nawet nie wiedział, że takie dowody istnieją, gdyż ich prawnicy chronili się tą zasadą. Tak jak my to zrobimy.

Sid się rozpromienił.

- To genialne. Możemy więc zamknąć sprawę, ustalając właściwy depozyt ekologiczny.

- Oczywiście - odparł Scott. - Ci ekolodzy mogą zaś spierdalać na drzewo.

***

- Franklin, co u ciebie słychać, chłopie?

Scott zadzwonił na wabia do Franklina Turnera - słynnego kosiarza pozwanych. Bez wątpienia Franklin poinstruował sekretarkę, że jeśli zadzwoni prawnik Toma Dibrella, powinna go od razu z nim połączyć, ponieważ jedna taka rozmowa mogła mu zapewnić tłuste honorarium.

- Dwa miliony, Scott.

Scott zamknął drzwi i rozmowa odbywała się za pośrednictwem zestawu głośnomówiącego, mógł więc ćwiczyć uderzenia golfa, negocjując warunki ugody z prawnikiem młodej kobiety, która twierdziła, że Tom Dibrell, wykorzystując pozycję pracodawcy, wywierał na nią presję w celu osiągnięcia korzyści natury seksualnej - co, znając charakter bogatego klienta Scotta, było zapewne prawdą. Scott machnął żelazną dziewiątką, którą trzymał w biurze. Kiedyś używał żelaznej szóstki, ale wybijał dziury w kasetonach na suficie, zmienił ją więc na inny kij - dziewiątkę. Stojąc na drugim końcu biura, Scott odparł:

- Jezu, Frank, moglibyśmy sobie darować te gierki przynajmniej na chwilę, chociaż w imię zawodowej uprzejmości.

- Scott, Tom Dibrell ma pięćdziesiąt pięć lat, pięcioro dzieci...

- Sześcioro - poprawił go Scott, sprawdzając swoją pozycję golfisty w odbiciu w okiennej szybie.

- Sześcioro dzieci, żonaty...

- Czwarty raz - Scott znów przerwał wyliczankę Franklina.

- Żonaty i prezes jednej z największych firm deweloperskich w Dallas, do cholery. Jest członkiem rady biznesu, Izby Przemysłowo-Handlowej i wszystkich ważnych organizacji publicznej w tym mieście. Ktoś taki rzuca się na naiwną dwudziestodwulatkę...

- Rzuca się? Daj spokój, Frank. Jak znam zatrudniane przez Toma dziewczyny, to prawdopodobnie opadła na kolanka szybciej niż Monika Lewiński.

Zarechotał i sprawdził pozycję w połowie zamachu. - To nie są żarty, do cholery, Scott! Nadine spotkała krzywda, z której nie podniesie się do końca życia!

- Te dwa miliony dolarów mogą jakoś zmniejszyć jej cierpienia, tak?

- Nie, ale sprawią, że zniknie na zawsze.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Scott odwrócił się od okna i zobaczył, że Sue wsuwa głowę do środka.

- Panie Fenney, dzwoni pańska córka. Mówi, że to bardzo pilne - powiedziała ściszonym głosem.

„Pilne?". Scott poczuł ukłucie ojcowskiej troski tak mocne, jakby bila we fliperze rozświetliła całą tablicę. W czterech długich susach znalazł się przy biurku.

- Franklin, poczekaj chwilę, dobrze? - powiedział do mikrofonu. Nie czekał na odpowiedź. Oparł kij golfowy o biurko, podniósł słuchawkę i nacisnął mrugający przycisk na telefonie, zawieszając rozmowę z Franklinem Turnerem i łącząc się ze swoją dziewięcioletnią córką.

- Cześć, kochanie, co się stało? Rozległ się dziewczęcy głosik:

- Mamy nie ma, a Consuela płacze.

- Dlaczego?

- Aresztowali Estebana.

- Kto? Służby Imigracji i Naturalizacji?

- Powiedział *inmigración*.

- Rozmawiałaś z nim?

- Najpierw rozmawiał z Consuelą, ale zaczęła płakać, dlatego ja z nim porozmawiałam. Powiedział, że aresztowali go tam, gdzie budował dom, mówił, że teraz wyślą go do Meksyku. Możesz mu pomóc?

- Słoneczko, nie mogę nic zrobić. Esteban jest twardy, nic mu nie będzie. Wyślą go autobusem do Matamoros, wróci na drugi dzień i dotrze tutaj za kilka tygodni, tak jak ostatnio.

- Tak, tak właśnie powiedział.

- Dlaczego więc Consuela się denerwuje?

- Jest przerażona, że po nią też przyjdą i też odeślą ją do Meksyku. Mówi, że nie ma nikogo w Meksyku, że to jedyny dom, jaki miała w życiu.

Consuelę dostali wraz z domem. Kiedy poprzedni właściciel ogłosił bankructwo i nie mógł już dłużej utrzymywać ani posiadłości, ani meksykańskiej pokojówki, rodzina Fenneyów pozyskała Consuelę de la Rosa jako dodatek do majątku.

- Powiedziałam jej, że załatwisz to tak, żeby zawsze mogła z nami mieszkać... Prawda, że tak będzie?

- Tak, pracuję nad tym. - Miał zamiar wynająć prawnika zajmującego się emigrantami, żeby załatwić jej zieloną kartę. - Słuchaj, powiedz jej, żeby się nie martwiła. Służby emigracyjne nie robią nalotów na domy w Highland Park. Poleciałyby głowy.

- Co?

- Wyrzuciliby ich z pracy, gdyby zaczęli zabierać pokojówki z Highland Park.

- Aha, ale ona jest bardzo przerażona. Zaciągnęła kotary, nie chce wyjść nawet do ogrodu i odmawia różaniec. Siedzimy w domu i... I ja też zaczynam się bać. Czy nikt nie wejdzie do nas z drzwiami, jak to pokazują w telewizji?

- Nie, maleńka, nikt nie wejdzie do naszego domu.

- Słowo?

- Słowo. Daj mi z nią porozmawiać.

Consuela była bardzo nerwową dziewczyną i potrafiła nagle wybuchnąć płaczem z powodu prawdziwego lub wyimaginowanego niebezpieczeństwa, które odpędzała od siebie, nosząc trzy krzyżyki, odmawiając regularne modlitwy do różnych świętych, paliła też tyle świec na parapecie w kuchni nad zlewem, że można nimi było oświetlić spory supermarket. Lęk, który nigdy jej nie opuszczał, wiązał się z odesłaniem do Meksyku. Esteban był jej chłopakiem - poznali się w kościele katolickim w dzielnicy Dallas zwanej Małym Meksykiem. Scott zawoził ją tam na cotygodniowe spotkania w każdy niedzielny poranek i zabierał po południu. Esteban pracował na budowie w innych dzielnicach Dallas i był

narażony na naloty Służb Imigracji i Naturalizacji, ale Consuelę chroniło niepisane prawo, które głosiło, że pracownicy tych służb nie wchodzą do dzielnicy Highland Park, gdzie mieszkają najbogatsi i najbardziej wpływowi ludzie w Teksasie - a także ich nielegalnie przebywające w Stanach Zjednoczonych gosposie. Nielegalnie przebywająca w Stanach gosposia Scotta była słodka i okrąglutka, a po trzech latach prowadzenia domu rodziny Fenneyów stała się prawie członkiem rodziny, który jednak w ciężkich chwilach wracał do swojego ojczystego języka. W słuchawce usłyszał płaczliwy głos Consueli.

- *Seńor Fenney, tengo miedo de inmigración.*

- Nie bój się, Consuelo. Wszystko w porządku. *Esta bien*. Nikt cię nie zabierze. Zawsze będziesz mieszkała z nami.

Scott poznał kilka słów od swojej meksykańskiej pokojówki, która właśnie pociągnęła nosem i upewniła się:

- *Para siempre?*

- Tak. Na zawsze.

- *Seńor* Fenney, czy pan daje, czy... Ee... *Promesa a Consuela?*

- *Si,* Consuela. Przyrzekam. Znów pociągnięcie nosem.

- To dobra. *Adiós seńor.*

- Przestała płakać - w słuchawce znów usłyszał głos córki.

- To dobrze.

- Scott, nie pozwolisz, żeby ktoś ją zabrał, prawda?

- Nie, maleńka, za żadne skarby.

- Dobrze.

- Słuchaj, skarbie, jestem trochę zajęty, skoro więc wszystko już w porządku, muszę wracać do pracy.

- Dobrze. O stałej porze, aligatorze.

- Po kadrylu, krokodylu. Scott odłożył słuchawkę i pomyślał, że musi zadzwonić do Rudy'ego Gutierreza, prawnika zajmującego się emigrantami, którego poznał kilka lat temu. Starał się znaleźć na to czas od pół roku, może nawet roku, i już miał do niego dzwonić, kiedy zawsze pojawiało się coś pilniejszego i... Wzrok Scotta spoczął na mrugającym światełku i przypomniał sobie, że Franklin Turner czeka na dokończenie rozmowy, chociaż Scott bynajmniej nie miał zamiaru dopuścić do tego, żeby poszło mu zbyt łatwo. Obraz jego córki skrytej za kotarami w ich domu w Highland Park z meksykańską pokojówką znikł w jego głowie, a na jego miejsce pojawiła się zadowolona gęba Franklina Turnera, słynnego rekina palestry rozpartego w fotelu w wymyślnie urządzonym biurze, który już był pewny, że wygrał

rozgrywkę ze Scottem Fenneyem o dwa miliony dolarów dla swojej słodkiej Nadine. „Zapomnij, Franklin". Scott złapał kij numer dziewięć i nacisnął przycisk, włączając mikrofon i nawiązując rozmowę z Franklinem dokładnie w tym miejscu, w którym została przerwana:

- Dwa miliony? To musi być bardzo kosztowna dupa, Franklin. Co, była dziewicą?

- Jej dotychczasowe pożycie seksualne nie ma tutaj nic do rzeczy.

- Tak jak każdej innej gejszy. - Scott wymierzył kijem w mikrofon. - Bardzo prawdopodobne, że sypiała z facetami od czternastego roku życia, lepiej powiedz więc swojej klientce, że jeśli pójdzie na noże i dojdzie do rozprawy, to wytropimy każdego fajfiisa, z którym kiedykolwiek miała przyjemność na stopie prywatnej i zawodowej, po czym postawimy ich na baczność. Opowiedzą o rozlicznych cnotach Nadine i kiedy skończymy obrabiać jej słodką dupcię, to kurewki Harry'ego Hinesa będą wyglądały przy niej jak stadko cholernych zakonnic!

- Naprawdę? To powiedz Tomowi Dibrellowi, że kiedy z nim skończę, będzie żałował z całej duszy, że nie był wierny swojej pierwszej żonie!

Scott zaśmiał się chwacko, jakby właśnie usłyszał najzabawniejszy dowcip w życiu.

- Nie mówiłbyś tak, gdybyś ją kiedykolwiek widział. - Znów odwrócił się twarzą do okna i sprawdził, jak wygląda jego pozycja w pełnym wymachu. - Posłuchaj, Franklin, dwóch kumpli z jednej starej budy naskakuje na siebie jak pies i kot. Nasi klienci nie są przecież niewinni. Ani mój, ani twój klient niej jest niewinny. Zróbmy więc tak, żeby obojgu było dobrze. Tom zapłaci słodziutkiej Nadine pół miliona dolarów, a to zdecydowanie więcej, niż zarabiała w Hooters.

- Tam dają całkiem przyzwoite napiwki. Półtora.

- Nie aż tak przyzwoite. Milion.

- Załatwione.

Scott sprawdził zamach dołem.

- Poślę ci umowę i klauzulę poufności jutro z samego rana. Daj jej do podpisu i odeślij, a czek będzie na ciebie czekał.

- Czek kasjerski wystawiony na mnie i Nadine Johnson.

- Franklin, proszę cię, poinformuj dokładnie Nadine, że jeśli będzie kłapać dziobem na prawo i lewo o swoich pokładzinach z moim klientem, nawet psychiatrze, zgodnie z warunkami ugody, zwraca wszystko co do centa, a ty oddajesz honorarium. Tom zaś pewnie po prostu ją udusi. Franklin wybuchnął śmiechem.

- Jak puści parę z gęby, to sam zaduszę sukę, że muszę oddawać trzysta pięćdziesiąt tysięcy!

- Ile ty bierzesz? Jedną trzecią?

- Standardowe honorarium w sprawie zakończonej ugodą.

- Trzysta pięćdziesiąt tysięcy zielonych to niezła dniówka, Franklin.

- To brudna robota, Scott, ale ktoś musi to robić. Scott potrząsnął głową. Prawnicy od spraw cywilnych...

W swojej karierze udało mu się uzyskać około pięćdziesięciu milionów dolarów, ale te rekiny, te gnoje, wyciągają tyle rocznie, biorąc trzydzieści trzy, czterdzieści, a czasami pięćdziesiąt procent odszkodowania, jakie dostaje klient, niemal zawsze poza salą sądową, ponieważ korporacje nie mogą sobie pozwolić na loterię z teksaskim sądem. Nie po tym, jak w sprawie Pennzoil przeciw Texaco, kiedy podczas procesu zasądzono jedenaście miliardów sto dwadzieścia milionów dziewięćset siedemdziesiąt sześć tysięcy sto dziesięć dolarów i osiemdziesiąt trzy centy - najwyższe odszkodowanie w dziejach ludzkości. Dzięki temu znacznie wzrosła liczba adwokatów specjalizujących się w pozwach cywilnych. Franklin Turner uzyskał dotąd ponad miliard dolarów na sali sądowej i w ugodach, gnojek jeden.

- Hej, Scott, co sądzisz o tym czarnym napastniku bocznym, którego dostaliśmy z Houston? Pobije twój rekord?

Frank był członkiem orkiestry SMU Mustangs. Grał na tubie.

- Od czternastu lat próbują, Frank. Nikt się nawet nie zbliżył do mojego wyniku.

- Nadejdzie taki dzień, Scott, nadejdzie.

- Tak, tak, tak... Miło się z tobą robi interesy, Franklin. Scott sięgnął swoją dziewiątką i nacisnął przycisk rozłączający rozmowę. Była to właściwie poprowadzona dziesięciominutowa negocjacja, za którą skasuje swojego klienta na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Tom Dibrell był przygotowany zapłacić Nadine dwa miliony za ugodę. Jego prawnik zręcznie zbił tę kwotę do jednego miliona, nawet przy pięćdziesięciotysięcznym honorarium sprawił więc, że Dibrell zaoszczędzi dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy. Wpatrując się w swoje odbicie w szybie, przećwiczył pełny zamach golfowy i zamarł w sportowej pozycji jak zawodowiec. Scott Fenney odkrył w sobie trzy talenty niezbędne do prowadzenia trzech najważniejszych w życiu gier: futbolu, golfa i prawa.

Rozdział czwarty

Godzina piąta po południu. Koniec kolejnego dnia kryzysów, konfliktów i konfrontacji. Życie prawnika. Nie każdemu jest ono dane, nawet nie każdemu prawnikowi. Prawo albo ma się we krwi, albo nie. Jeśli człowiek nie budzi się gotowy do walki, jeśli ucieka przed bezpośrednim starciem, jeśli nie lubi konkurencji, wyzwania, jeśli nie ma wrodzonej mocy, żeby doprowadzić do konfrontacji z rekinami palestry i pokonać ich samotnie w krwawym pojedynku, to męski sport, jakim jest prawo, nie jest dla niego. Lepiej, żeby taki ktoś zaangażował się w pracę społeczną.

Prawo nie przypomina futbolu. Zanim Scott stał się prawnikiem, uważał swoją karierę sportową tak naprawdę za kolejne zajęcia szkolne, chociaż z pewnością ułatwiła mu ona wkroczenie na ścieżkę, którą teraz podążał. Jeżeli futbol jest formą zalegalizowanej przemocy, to prawo polega na brutalnym starciu na boisku legalizmu: prawnicy wykorzystują prawo, żeby laniem zmusić klienta drugiej strony do posłuszeństwa. Tak jak trenerzy piłkarscy chcą mieć w swojej drużynie bystrych, wrednych i twardych zawodników, tak samo bogaci klienci potrzebują bystrych, wrednych i twardych prawników. Tak samo chcą też wygrać. Za wszelką cenę. „Kłam, oszukuj, kradnij, tylko wygraj dla mnie tę cholerną sprawę!”. W futbolu i w prawie zwycięstwo oznacza wszystko. To jedyna wartość. Zwycięzca zgarnia wszystko, przegrany traci. A. Scott Fenney rozparł się wygodnie w fotelu, założył ręce za głowę i rozważył swoją pozycję na tle firmy Ford Stevens. Był zwycięzcą. Nagrodą za to było doskonałe życie. Całkowicie idealne życie.

Usłyszał, że na biurku Sue zadzwonił telefon. Po chwili stanęła w drzwiach z torebką w dłoniach.

- Panie Fenney, to telefon z sądu federalnego. Scott pokręcił głową.

- Oddzwonię do nich jutro.

- Ale to nie dzwoni jakiś urzędnik. To sędzia. Sędzia Buford.

Scott poderwał się w fotelu.

- Sędzia Buford do mnie dzwoni? Sue skinęła głową.

- Czego on, do cholery, chce ode mnie?

Sue wzruszyła ramionami, a wzrok Scotta spoczął na mrugającej diodzie telefonu. Po drugiej stronie linii czekał Samuel Buford, starszy sędzia federalny Północnego Teksasu. Mianowany przez Cartera, od trzech dekad rozpatrywał każdą sprawę cywilną w Dallas. Stał się swego rodzaju ikoną w tym konserwatywnym mieście, będąc liberalnym demokratą. Jako sędzia federalny zarabiał mniej niż pracownik kancelarii Ford Stevens po dwóch latach, ale prawnicy zarabiający miliony wciąż zwracali się do niego „Sir”, nawet poza salą sądową, a

Scott nigdy nie rozmawiał z nim poza sądem. Wziął głęboki wdech, podniósł słuchawkę i nacisnął mrugający przycisk.

- Sędzia Buford, co za niespodzianka, sir.

- Scott, jak się masz, synku?

- Ech... W porządku, dziękuję, panie sędzio. Wprost wspaniale. Ee... A jak pan się miewa?

- Cóż, nie najlepiej, Scott, dlatego do ciebie dzwonię. Mam wielkie zmartwienie i potrzebuję prawnika z górnej półki, żeby rozwiązać ten problem. Pomyślałem, że skoro jesteś prawnikiem Toma Dibrella, to...

- Czy chodzi o Toma?

- Och nie, Scott. Po prostu jako prawnik Dibrella jesteś przyzwyczajony do wielkich spraw i twoja postawa na sali sądowej zawsze była bez zarzutu. Co najważniejsze, masz właściwe podejście. Kiedy słuchałem dziś twojej przemowy podczas lunchu, wiedziałem, że idealnie się nadajesz do tego zadania. Scott, nawet nie wiesz, jak się poczułem, kiedy utwierdziłeś mnie w przekonaniu, że są jeszcze prawnicy, którzy wiedzą, na czym polega istota tego zawodu. W dzisiejszych czasach tak wielu młodych kolegów zdaje się gonić wyłącznie za pieniędzmi.

- Tak, to naprawdę straszna szkoda, panie sędzio.

- Wiesz, Scott, kiedy cię tam zobaczyłem, kiedy wszyscy cię oklaskiwali, przypomniałem sobie twoją grę przeciwko drużynie Teksasu. Niech to szlag, synku, to był najlepszy bieg, jaki widziałem w życiu. Ile zrobiłeś tego dnia, sto siedemdziesiąt metrów?

- Sto siedemdziesiąt sześć, panie sędzio. Trzy przyłożenia. Ale i tak przegraliśmy.

- Co za mecz.

- Nie wiedziałem, że jest pan kibicem, panie sędzio.

- Jestem Teksańczykiem z krwi i kości, Scott, czyli też fanem futbolu. Wiesz, że kończyłem Southern Methodist University?

Scott się zaśmiał.

- Oczywiście, że wiem, panie sędzio. Każdy student prawa wie wszystko o Samuelu Bufordzie: najwyższe oceny w historii szkoły, wydawca przeglądu prawniczego, aplikant u sędziego Sądu Najwyższego Douglasa, zastępca generalnego radcy prawnego przy...

- Hola, synku, bo czuję się bardzo stary.

- Och, przepraszam, sir.

- Ty też sobie nieźle radziłeś, Scott, byłeś pierwszy na roku.

- Dziękuję, sir.

- Jak więc będzie, Scott, co? Pomożesz staremu sędziemu?

- Zawsze chętnie pomogę we wszystkim, sir.

W tym momencie w jego umyśle pojawił się widziany kątem oka skrzydłowy, który właśnie zabiega go z boku, żeby przygwoździć go na spalonym.

- To trudne zadanie, Scott. Dla adwokata twardziela. Adwokata, który nie da za wygraną, na którym nie robią wrażenia naciski, który przyjmie mocny cios i potrafi wstać. Na boisku dowiodłeś, że to potrafisz. Sam wiesz, Scott, wet za wet, zawsze uważałem, że jesteś najtwardszym zawodnikiem, jakiego widziałem. No, może poza Meredithem.

Zanim Don Meredith został czołowym rozgrywającym, gwiazdą Dallas Cowboys, był również gwiazdą drużyny SMU od 1957 do 1959 roku. Wiejski chłopak z Mount Vernon, jeden z najlepszych sportowców, jakich wydał stan Teksas, uważany za najtwardszego rozgrywającego w historii tego sportu. Meredith wciąż był żywą legendą w Dallas, mimo że mieszkał w Santa Fe.

- Ale, Scott, to zadanie wymaga również prawnika, który, jak ty, wierzy, że powinien chronić biednych, bronić niewinnych i walczyć o sprawiedliwość.

- Jak najbardziej, sir.

W czasach, kiedy uprawiał sport, Scott Fenney - numer 22 - zawsze omijał wszelkie przeszkody, żeby zapewnić swojej drużynie zwycięstwo. Mimo że nie był pewien, w co teraz grał - być może Buford chce go wyznaczyć niezależnym adwokatem do zbadania jakiegoś skandalu w wysokich kręgach politycznych, co uczyniłoby Scotta Fenneya bardzo sławnym prawnikiem - jego wrodzona żądza zwycięstwa wzięła górę. Ominął wszelkie przeszkody.

- Ochrona biednych, obrona niewinnych i walka o sprawiedliwość to nie tylko nasz zawodowy obowiązek, panie sędzio; to uświęcony zaszczyt.

„Niech to! To dopiero zabrzmiało dobrze! Najlepszy tekst, jaki wymyśliłem!”. Scott postanowił zapamiętać tę frazę, żeby ją wykorzystać w kampanii.

- Dobrze to słyszeć, Scott. Czytałeś może o sprawie McCalla, o synu senatora zamordowanym w sobotę w nocy?

- Tak, sir. Zabiła go jakaś panienka.

- Tak, Murzynka, lat dwadzieścia cztery, kilkanaście zatrzymań za prostytucję, posiadanie narkotyków... Mówi, że jest niewinna.

Scott się zaśmiał.

- W więzieniach wszyscy siedzą za niewinność.

- Ta sprawa zostanie rozdmuchana w mediach. Czarna prostytutka oskarżona o zamordowanie syna senatora. I to nie jakiegoś tam senatora, ale prawdopodobnie przyszłego prezydenta.

- Tak. Nie chciałbym być w skórze jej obrońcy.

- Cóż, Scott, właśnie w tej sprawie do ciebie dzwonię.

Dopiero teraz to, czego chciał sędzia, uderzyło Scotta Fenneya jak stojący na jego drodze mur. „W pułapce zastawionej przez sędziego federalnego!". Na czole Scotta pojawiły się nagle kropelki potu. Podskoczył mu puls. Odruchowo sięgnął do kołnierzyka i poluzował jedwabny krawat.

- Ona potrzebuje dobrego obrońcy, Scott. Potrzebuje ciebie. „To właśnie jest ta wygrana? Taki puchar zawiozę do domu?". Na granicy paniki bystry umysł Scotta zaczął wymyślać sposoby na wydarcie zwycięzcy z gardła swojej porażki.

- Ale, panie sędzio, a biuro obrońców z urzędu?

- Scott, nie mogę oddać sprawy zagrożonej wyrokiem śmierci w łapy jakiegoś żółtodzioba z mlekiem pod wąsem, który ledwie przebrnął przez studia. Ta dziewczyna potrzebuje prawdziwego prawnika.

- Ale ja się zajmuję sprawami firm. Gzemu nie można wyznaczyć jakiegoś adwokata karnisty?

- Zamierzałem tak zrobić... Usłyszałem jednak twoje wystąpienie. Adwokaci karniści to tylko ludzie do wynajęcia. Mają gdzieś bronienie niewinnych i walkę o sprawiedliwość. Chcą tylko dostać pieniądze. Nie tak jak ty, Scott. Poza tym większość z nich pracuje w sądzie krajowym, ty jesteś oblatany w sądzie federalnym.

- Dlaczego sprawa o morderstwo znalazła się w sądzie federalnym?

- Clark McCall był, dzięki wsparciu senatora, członkiem Federalnej Komisji Regulacji Energii. Zamordowanie urzędnika federalnego jest przestępstwem federalnym.

- Ale panie sędzio...

- A poza tym, Scott, twoja matka będzie z ciebie dumna.

- Co takiego?

- Masz okazję zostać drugim Atticusem Finchem. - Ale...

- Ta dziewczyna ma prawo do adwokata, a ty jesteś adwokatem, Scott. Niniejszym wyznaczam cię, żebyś reprezentował oskarżoną w procesie Stany Zjednoczone Ameryki przeciwko Shawandzie Jones. Spotkaj się z klientką jutro rano. Przesłuchanie wstępne w środę o dziewiątej.

***

Scott szedł szybko - do diabła, prawie biegł - przez wyścielane dywanami korytarze na sześćdziesiątym drugim piętrze do mahoniowo-marmurowej klatki schodowej prowadzącej na sześćdziesiąte trzecie. Wbiegł po schodach i przemknął obok niewielkich pomieszczeń, w których zdolni młodzi prawnicy wyrabiali tygodniowe normy niczym robotnicy w fabryce podbijający karty zegarowe, idąc do pracy przy taśmie. Dziś wieczór, jak zawsze o tej porze, robotnicy tyrali na drugą zmianę dla dobra wspólników. Ale ta myśl nie przepełniła, jak zwykle, serca Scotta radością - dziś, Tciedy wpadł do biura starszego wspólnika, jego serce przepełniał wyłącznie strach.

Dan Ford miał sześćdziesiąt lat. Założył tę firmę z Genem Stevensem trzydzieści pięć lat temu, tuż po skończeniu prawa na Southern Methodist University. Dan Ford zatrudnił Scotta Fenneya jedenaście lat temu, kiedy ten skończył ten sam uniwersytet. Wziął go pod swoje skrzydła, nauczył go dochodowego zawodu prawnika, wywindował na stanowisko wspólnika, zapewnił mu dobrą hipotekę na dom, wprowadził go do klubów, w których można było zjeść, zrelaksować się i odpocząć, a także załatwił mu dobrą cenę na ferrari. Był mentorem Scotta i zachowywał się wobec niego jak ojciec. Siedział za swoim biurkiem, na swoim stanowisku pracy, od siódmej rano do siódmej wieczór, od poniedziałku do piątku i od siódmej rano do południa w soboty, pięćdziesiąt tygodni w roku. Dan Ford przepracowywał ponad trzy tysiące godzin rocznie od trzydziestu pięciu lat i był to wyczyn, który można porównać jedynie z doskonałą passą DiMaggio. Ta firma to było jego całe życie.

Lśniąca głowa Dana się podniosła i na jego twarzy zajaśniał szeroki uśmiech.

- Scotty, mój chłopcze! Scott opadł na sofę.

- Nie wyglądasz za dobrze, synku. Masz jakiś problem?

Dan Ford przyczynił się do rozwiązania większości życiowych problemów Scotta przez ostatnie jedenaście lat. Scott miał nadzieję, że z tym będzie tak samo.

- Sędzia Buford wyznaczył mnie do reprezentowania tej dziwki, która zabiła syna senatora McCalla.

Dana zatkało, kiedy usłyszał wieści. Opadł z powrotem na fotel.

- Żartujesz chyba.

- Wolałbym, żeby to był żart.

- Dlaczego to zrobił? Scott rozłożył ręce.

- Bo poczęstowałem ludzi moim tekstem o Atticusie Finchu podczas prawniczego lunchu! Sędzia był na sali.

- I uwierzył w to?

- Najwyraźniej.

Dan przesunął dłońmi po swojej łysej czaszce.

- To fatalnie. Całkowity klops. Nie możemy pozwolić sobie na wkurzenie przyszłego prezydenta i z całą pewnością nie stać nas, do cholery na to, żeby zdenerwować Buforda. Dlaczego ta cholerna sprawa o morderstwo nie powędrowała do sądu stanowego? Z tym byśmy sobie poradzili!

Sędziowie Sądu Stanowego w Teksasie zawsze odpowiednio reagują na telefon od potężnego wspólnika wielkiej firmy prawniczej, ponieważ są oni wybierani w kampaniach wspieranych finansowo przez klientów wielkich firm prawniczych. Groźba przeniesienia poparcia na kontrkandydata w następnych wyborach ma w pewnym stopniu wpływ na decyzje sędziego. Wybieranie sędziów stanowych jest teksaską konstytucyjną tradycją od tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku i służy zapewnieniu ładu i porządku w teksaskim systemie prawnym kosztem przesadnie rozbuchanej sprawiedliwości. Tym samym prawnicy z wielkich firm prawniczych nie obawiają się sędziów stanowych, tak jak człowiek nie obawia się zwierzątka, które trzyma w domu.

Ale sędziowie federalni to już inna para kaloszy. Nie byli wybierani. Byli mianowani przez prezydenta zgodnie z trzecim artykułem Konstytucji Stanów Zjednoczonych - dożywotnio. Nie można ich było odwołać ze stanowiska. Nie potrzebowali wsparcia wielkich firm prawniczych. Nie obawiali się wpływowych adwokatów. Jak się nastąpiło sędziemu federalnemu na odcisk, to trzeba było z tym żyć przez trzydzieści, czterdzieści lat - a na sali sądowej można było sobie od razu odpuścić. Duża firma prawnicza - taka jak Ford Stevens - zajmująca się sprawami w sądzie federalnym nie mogła sobie pozwolić na urażenie sędziego Samuela Buforda.

- Mamy z tuzin spraw czekających na jego wokandzie. Na grube pieniądze. Nasi prawnicy będą persona non grata w sądzie Buforda, utracimy zdolność działania w sądzie federalnym, dopóki drań nie kopnie w kalendarz.

- Albo nie przejdzie na emeryturę.

- Buford umrze na sali sądowej, tak jak Gene.

Gene Stevens, współzałożyciel firmy, zmarł przy swoim biurku z piórem w jednej dłoni, a terminarzem w drugiej, zapisując harmonogram ostatnich godzin pracy w życiu. W ciągu dwudziestu czterech godzin opróżniono jego biuro i wprowadził się tam Scott.

- Buford twierdzi, że sprawie będzie towarzyszył szum medialny - powiedział Scott.

- Tak, to wspaniała reklama dla naszej firmy... Najgorsza z możliwych!

Twarz Dana zaróżowiła się jak u noworodka.

- Niech to jasny szlag trafi. Ta firma nie może bronić jakiejś kurwy!

Dan przymknął oczy, zakrył twarz dłonią i potarł skronie. To był jego tryb myślący. Kiedy zaś Dan Ford myślał intensywnie, zawsze pojawiało się właściwe rozwiązanie. Starszy wspólnik Scotta miał umysł tak sprawny jak silnik mercedesa, którym jeździł: potężny, wydajny, taki, na jakim można było polegać, i całkowicie pozbawiony komponentów moralnych. Scott czekał więc cicho, a umysł Dana pracował na najwyższych obrotach. Młodszy prawnik rozejrzał się po ścianach w poszukiwaniu nowego trofeum. Dan był zapalonym myśliwym. W biurze wisiały trofea upolowanych zwierząt, które zbierał latami - wszystkie wpatrywały się w Scotta. Sprawiało to straszne wrażenie.

Po chwili Dan odsłonił twarz, opuszczając dłoń. Uśmiechał się.

- Niech ona się podda wyrokowi sądu.

- Mówi, że jest niewinna, chce procesu.

- I co z tego? Scotty, idź do niej i wyjaśnij, że najprawdopodobniej sprawa będzie przegrana, zostanie skazana na śmierć, a w najlepszym razie spędzi resztę życia w więzieniu. Jeśli podda się wyrokowi sądu, wypuszczą ją, kiedy skończy pięćdziesiątkę, i jeszcze sobie trochę pożyje... Przecież wiesz, wpłyń na nią, używając tego swojego słynnego czaru, udawaj, że jej los nie jest ci obojętny.

- I co, ona na to pójdzie?

- Niech cię lepiej posłucha, do jasnej cholery! Nie pozwolę, żeby wpływy tej firmy nagle się skończyły za sprawą jakiejś podrzędnej zdziry!

Twarz Dana przybrała teraz kolor jaskrawoczerwony i celował palcem w Scotta, co było jasnym komunikatem, że należy wyjść. Scott wstał i skierował się do drzwi.

- Powiedz jej, że złoży takie oświadczenie, czy jej się to podoba, czy nie!

Scott pokiwał głową i wymknął się z biura. Stał już dobre dziesięć kroków za drzwiami, kiedy znów usłyszał wołanie Dana:

- Załatw tę sprawę, Scotty!

Rozdział piąty

Scott wyjechał czerwonym ferrari z garażu, oddał Osvaldo, parkingowemu, zwyczajowy salut i skierował się na północ. Większość osób pracujących w centrum miasta zmierzała teraz do odległych przedmieść przez Dallas North Tollway albo North Central Expressway, beznadziejnie zaklinowana na wiele godzin zderzak w zderzak w korku, tłamsząc w sobie drogową wściekłość, z powodu której co roku wielu kierowców ginie na autostradach w Dallas. Scott Fenney jechał swobodnie przez Cedar Springs Road, Turtle

Creek Boulevard, Lakeside Drive obok parku imienia Roberta E. Lee w kierunku domu tą samą drogą, którą ważni ludzie w Dallas podróżowali od stu lat. Po dziesięciu minutach przejechał dwupasmowy pas asfaltu i jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki świat wokół raptownie się zmienił: grunty podrożały pięciokrotnie, domy czterokrotnie, dochody roczne skoczyły trzy razy, wyniki testów studenckich podwoiły się, a cała ludność wyraźnie zbielała.

Wjeżdżał do dzielnicy Highland Park.

Założone w tysiąc dziewięćset szóstym roku na pięciuset trzydziestu hektarach położonych powyżej centrum Dallas dzisiejsze Highland Park jest ostoją eleganckich domów, trawników projektowanych przez specjalistów i szerokich alei ocienianych koronami górujących nad nimi dębów. Na tutejszych szerokich chodnikach można zobaczyć nianie z Europy i meksykańskie pokojówki pchające w wózkach dziedziców wielkich teksaskich fortun, gdy ich ojcowie - miliarderzy i milionerzy oraz zajmujący się ich interesami prawnicy - pracują w centrum w wieżowcach, ich matki zaś grają w tenisa w klubie lub robią zakupy u Anne Fontaine, Luca Luca czy Bottega Veneta w centrum handlowym Highland Park Village. Hiszpańska i śródziemnomorska architektura dzielnicy, nawiązująca do staroświeckich budynków ozdobionych stiukami, krytych dachami z terakoty i okolonych artystycznie giętymi żelaznymi parkanami, była odwołaniem do odległych czasów i miejsc, w których wielkie bogactwo było zarezerwowane dla ludzi o pewnym pochodzeniu, a nie dla kogoś, kto potrafi sprawnie rzucać piłką do kosza. Goście z Kalifornii mówią, że ta dzielnica przypomina im Beverly Hills, i nie bez przyczyny: architekt, który projektował Beverly Hills, projektował również Highland Park. Jedyna różnica polegała na tym, że założyciele Beverly Hills nie wprowadzili ograniczenia prawa własności, na mocy którego właścicielami nieruchomości mogli być tylko biali, a tak uczynili założyciele Highland Park.

Prawie sto lat później miasteczko Highland Park było wyspą o powierzchni pięciuset hektarów, otoczoną miastem Dallas zajmującym blisko sto tysięcy hektarów. Wyspą białych na oceanie kolorów: Dallas, miasto liczące milion dwieście tysięcy mieszkańców, jest obecnie zamieszkiwane w 39 procentach przez białych, a na osiem tysięcy ośmiuset pięćdziesięciu mieszkańców Highland Park 98 procent to biali, przy czym żaden czarny nie jest właścicielem domu w tej dzielnicy. To wyspa bogactwa - codziennie sto domów w Highland Park wystawia się na sprzedaż za ceny przekraczające milion dolarów. Jest to wyspa nietknięta przestępstwami i chorobami społecznymi dotykającymi Dallas - dzieci z Highland Park nazywają swoje rodzinne miasteczko Bąblem, szczęśliwie odseparowane od świata zewnętrznego widocznego na jego obrzeżach. Chociaż była to wyspa bez rzeki, strumienia czy też nawet fosy, które oddzielałyby jej mieszkańców od świata poza nią, to najwyższe

ceny domów w Teksasie, dobrze uzbrojona policja i od dawna obowiązujące zasady, że osoby o czarnym czy brązowym kolorze skóry, które tutaj nie mieszkają, powinny lepiej szybko jechać dalej swoją drogą, były skuteczne.

Policja z Highland Park nie zatrzymała ferrari: Scott Fenney był biały i tu mieszkał. Podobnie jak inni zamożni biali mężczyźni zarabiał pieniądze w Dallas, ale wracał do domu w Highland Park, mieszkał z rodziną w Highland Park i posłał swoje dziecko do szkół w Highland Park. Skręcił w prawo na Beverly Drive i wjechał na podjazd swojego dwuipółpiętrowego domu z sześcioma sypialniami i sześcioma łazienkami, liczącego blisko siedemset metrów kwadratowych powierzchni, wartego trzy i pół miliona dolarów. Kupił ten dom trzy lata temu za dwa miliony osiemset tysięcy dolarów, kiedy poprzedni właściciel ogłosił bankructwo i posiadłość przejął bank. Wykorzystując dług wdzięczności, Dan Ford nakłonił bank do sprzedaży domu Scottowi za całość kosztów plus pięć procent wartości. Usytuowana na czterech tysiącach metrów kwadratowych w centrum Highland Park posiadłość była warta o wiele więcej. Scott rzucił się na tę okazję i wpadł po uszy w długi. W wielu miasteczkach w Teksasie na ludzi z wielką forsą patrzy się podejrzliwie, w Dallas patrzy się na nich z podziwem.

Scott podjechał brukowanym cegłami podjazdem pod dom i zaparkował z tyłu na parkingu. Wyłączył silnik, ale nie wysiadał. Zwykle, kiedy co wieczór przyjeżdżał do domu i ponownie podziwiał swoją posiadłość, przepełniało go poczucie dumy, że dzięki zdolnościom i ciężkiej pracy osiągnął doskonałe życie w idealnym domu.

Tego wieczoru było jednak inaczej.

Po raz drugi w życiu poczuł wyraźnie, jak czarne myśli wzbierają w jego głowie, tak jak wtedy, kiedy dziesięcioletniego Scotta mama zabrała wcześniej ze szkoły, mówiąc, że tata miał wypadek. Wiedział, że ojciec nie żyje.

Butch Fenney był robotnikiem budowlanym. Trzasnęła lina i cały ładunek drewna poleciał w dół, przygniatając go do ziemi. Matka Scotta robiła, co mogła, ale musieli sprzedać swój mały dom we wschodnim Dallas. Pracowała u chirurga ortopedy, który mieszkał w Highland Park w niewielkim, sześćdziesięcioletnim domu obok Southern Methodist University. Gdyby ten dom dobrze popchnąć, mógł się zawalić. Budynek nie był nic wart, ale osiemsetpięćdziesięciometrowa działka, na której stał, była warta przynajmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Doktor planował zatrzymać własność do czasu przejścia na emeryturę, kiedy będzie mógł zburzyć dom i sprzedać działkę ze sporym zyskiem. Dobry pan doktor wynajął dom rodzinie Fenneyów - matce i synowi.

Dzięki temu Scott Fenney zaczął uczęszczać do szkół w Highland Park wraz z synami i córkami gubernatorów, senatorów, milionerów i miliarderów, potomków wielkich rodów z Dallas, takich jak Hunt, Perot czy Crow. Był ubogim krewnym, chłopakiem, który nie nosił firmowych dżinsów czy butów Nike za sto dolarów, który nie jeździł do Europy na wakacje ani nie dostawał bmw za pięćdziesiąt tysięcy dolarów na szesnaste urodziny. Scott Fenney miał jednak coś, czego żaden zarozumialec nie był w stanie kupić za pieniądze tatusia - miał predyspozycje do uprawiania sportu. Niezwykły dany od Boga talent ujawnił się w biegu, którego miasto miało nigdy nie zapomnieć. Podczas meczu futbolowego w ogólniaku. Gorączka piątkowej nocy. Była to legalna, zorganizowana przez mężczyzn przemoc, stosowana przez chłopców i fetowana przez wszystkich - poza tym sprawdzona i skuteczna metoda na poprawienie swojego losu w Teksasie, wykorzystując do tego innych. Scott był silny, twardy i szybki. Stał się gwiazdą futbolu Highland Park High, największą od czasów Doaka Walkera.

Po ogólniaku poszedł do Southern Methodist University. Większość młodzieży z Highland Park śmiertelnie boi się opuszczać granice spokojnego i bezpiecznego Bąbla, dla nich wyjazd do college'u oznacza więc wyprowadzenie się z domu rodziców w Highland Park, przejechanie kilku przecznic własnym bmw i wprowadzenie się do domu bractw żeńskich bądź męskich campusu SMU w Highland Park. Scott Fenney poszedł na ten uniwersytet, ponieważ zaoferowano mu stypendium sportowe. Był gwiazdą uczelni przez cztery lata, jego stusiedemdziesięcioześciometrowa ucieczka na boisku uczyniła z niego legendę. Był również tak lubiany, że został starostą roku, i wystarczająco mądry, żeby mieć najlepsze oceny w grupie. Kiedy selekcjonerzy przyjęli białego biegacza o wzroście stu dziewięćdziesięciu centymetrów, ważącego osiemdziesiąt cztery kilogramy, z bliznami na kolanach, zaczął studiować prawo na Southern Methodist University.

Nie wstępuje się jednak na wydział prawa tego uniwersytetu z zamiarem zrobienia kariery prawnika w Nowym Jorku, Waszyngtonie, Los Angeles czy nawet w Houston. Nie jest to Harvard Południowego Zachodu. W istocie - jak mówią - dużo łatwiej dostać się na prawo na SMU niż do bractw żeńskich i męskich tej uczelni. Prawo studiuje się tutaj wtedy i tylko wtedy, jeśli chce się pracować w zawodzie w Dallas w Teksasie, ponieważ prawnicy Southern Methodist University płodzą prawników Southern Methodist University od tylu już dziesięcioleci, że w środowisku palestry w Dallas jest więcej kazirodczych związków niż w ostępach leśnych Alabamy w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Scott skończył studia z pierwszą lokatą, co otworzyło mu drogę kariery właściwie w każdej kancelarii prawniczej w Dallas. Wybrał Forda i Stevensa, ponieważ płacili o pięć

tysięcy dolarów więcej niż inne firmy. Jedenaście lat później Scott Fenney nie był już ubogim krewnym.

***

Scott wszedł do domu przez tylne wejście, które prowadziło do sieni, a następnie do przestronnej kuchni, gdzie zastał gotującą Consuelę, wpatrzoną w niewielki telewizor nastawiony na meksykański teleturniej.

- *Buenas noches, señorita*. Co na kolację?

Jej śniada twarz odwróciła się od stalowej kuchenki.

Uśmiechnęła się.

- *Enchiladas, señor* Fenney. *Especial* dla pana. Podszedł do niej, objął ją ramieniem i rzekł:

- Consuelo, nie martw się. Esteban wkrótce wróci. Powstrzymywała łzy.

- *Si*. On przyjedzie.

Consuela de la Rosa miała dwadzieścia osiem lat, była niska i pękata. Mieszkała w domku przy basenie na tyłach posiadłości, podobnie jak niezliczone rzesze innych pracujących na czarno meksykańskich pokojówek w Highland Park, co skutecznie zapewniało im azyl polityczny przed Służbami Imigracji i Naturalizacji. Z ich obecności nie robiono żadnej tajemnicy. Spacer po zakamarkach delikatesów w Highland Park w dzień powszedni, kiedy meksykańskie służące robiły zakupy, wystarczał za godzinę konwersacji hiszpańskiego. Prawdziwym zagrożeniem dla jego meksykańskiej pomocy domowej nie były Służby Imigracji i Naturalizacji, ale hormony Estebana. Gdy jej hombre sprawi, że Consuela zajdzie kiedyś w ciążę, będzie musiała opuścić Highland Park przy cichej akceptacji wszystkich: hiszpański w sklepie spożywczym był do przyjęcia, hiszpański w szkole już nie.

- Pani Fenney w domu?

- Nie. *Señora* wyszła na cały dzień. Ona bije w piłkę golfową.

- Przy wszystkich lekcjach golfa, które wzięła, powinna być teraz na meczu wyjazdowym zawodowych graczy drużyny żeńskiej.

Trzymając się dziennej rutyny, Scott wspiął się po tylnych schodach, przeskakując po dwa stopnie na raz. Przeszedł przez hol i ruszył kolejnymi schodami na najwyższe piętro, które było królestwem jego dziewięcioletniej córki. Nie był to typowy pokój dziewczynki w jej wieku, ścian nie zdobiły plakaty Britney Spears ani bliźniaczek Olsen. Były tu tylko książki: książki na półkach, na biurku, na nocnym stoliku, na podłodze. W wieku dziewięciu lat była poważnym dzieckiem, myślącym i inteligentnym. Scott zastał ją przy biurku wsuniętym pod mansardowe okno. Siedziała na bosaka, ubrana w szorty-ogrodniczki oraz

zieloną koszulkę Dallas Mavericks, najwyraźniej nie robiąc sobie nic z gróźb matki, która mawiała, że ją wydziedziczy, jeśli jej córka nie zacznie się ubierać w markowe ciuchy od Neimana Marcusa jak inne dziewczynki z Highland Park w jej wieku. Ale ona uparcie odmawiała, powtarzając, że ma własną tożsamość, na co jej matka odpalała: „Jaką tożsamość, chłopaka?".

- Cześć, Boo.

Barbara Boo Fenney. Dostała imię po jego matce, która zmarła, zanim Boo się urodziła. Matka Scotta nie dożyła dnia, w którym mogłaby zobaczyć posiadłość syna ani jego córkę. Boo odwróciła się na obrotowym krześle, powiewając rudymi włosami do ramion, i posłała mu uśmiech, na widok którego od razu zmiękło mu serce. Scott kochał swoją żonę, ale Boo była miłością jego życia.

- Cześć, A. Scott.

Wziął w dłonie jej twarz, pochylił się i pocałował w czoło.

- Miałaś udany dzień, maleńka?

- Och, czytałam i grałam na komputerze, oglądałam telewizję, gotowałam z Consuelą, sam wiesz, dzień jak co dzień... Aż zadzwonił Esteban. Dziękuję za uspokojenie Consueli, wciąż by jeszcze płakała.

Scott pokiwał głową.

- Mamy nie było cały dzień? Posłała mu znaczące spojrzenie. - Uff...

- Jest lato, powinnyście spędzać ze sobą więcej czasu.

- Cóż, nie należę do komitetu organizacyjnego Balu Baronów Bydła. - Uśmiechnęła się. - Co u ciebie?

- W porządku.

- Stosowałeś te ważne prawnicze kruczki? - O tak!

- Na przykład?

Scott przypomniał sobie, co robił przez cały dzień - dwanaście godzin, z których dziewięć spędził w biurze: mowa a la Atticus Finch w barze podczas lunchu, flirtowanie z Missy i równoczesne sztorcowanie studenta prawa, który miotał się jak ryba na żyłce, głosowanie za wylaniem Johna Walkera, flirtowanie z recepcjonistką Toma Dibrella, ukrywanie zanieczyszczenia związkami ołowiu spornego gruntu dzięki zastosowaniu klauzuli prawnik-klient, groźby zniszczenia młodej kobiety przez ujawnienie jej bujnego życia seksualnego w celu uzyskania korzystnej ugody - i szybko postanowił, tak jak zawsze, że dzień prawnika powinien lepiej zostać w jego biurze. Powiedział tylko:

- Och, wiesz, co robią prawnicy.

- Aha - znów posłała mu znaczące spojrzenie. - Mówisz mi tylko to, co chcesz mi powiedzieć, prawda?

Uśmiechnął się do niej.

- Tak.

Zmarszczyła brwi.

- To nie fair.

- Co jest nie fair?

- Tkwię tutaj cały dzień, matka spotyka się z damami z towarzystwa na lunchu i gra w golfa, a ty idziesz do biura i adwokatujesz. Mama przychodzi do domu i chce opowiedzieć mi o swoim dniu, ale ja chcę, żebyś ty opowiedział mi o swoim dniu, a ty nie chcesz. To jest nie fair.

Scott usiadł na brzegu łóżka Boo i spojrzał na córkę - jej śliczną twarzyczkę przecinała zmarszczka. Wiedział, że w rzeczywistości nie jest na niego zła, ale i tak zaniepokoiło go to. Przejrzał więc ponownie w myślach cały dzień i postanowił jej powiedzieć o jednej sprawie.

- Dobra, powiem ci, co mnie dziś spotkało. Zostałem wyznaczony, żeby reprezentować oskarżoną w sprawie karnej; kobietę, która zamordowała syna senatora McCalla.

Twarz jej pojaśniała i już wszystko było znów dobrze.

- Nie jesteś adwokatem od spraw karnych.

- Niektórzy mówią, że wszyscy prawnicy powinni podlegać kodeksowi karnemu.

- Wiesz, co mam na myśli. - Boo się uśmiechnęła.

- Cóż, mam nadzieję, że nie dojdzie do rozprawy, że ona podda się wyrokowi.

- Co to znaczy: poddać się wyrokowi?

- Przyzna się do winy.

- Jest winna?

- Prawdopodobnie.

- Zapytasz ją o to?

- Może... To znaczy tak, oczywiście.

- Dlaczego chcesz, żeby poddała się wyrokowi? Sądziłam, że kiedy jest proces, to zarabia się więcej pieniędzy.

- Nie w tej sprawie. Robię to za darmo.

- Dlaczego?

- Zmusił mnie sędzia Buford.

- Może to zrobić?

- Tak. Zajmuję się sprawami prowadzonymi przez sąd federalny, dlatego może. Takie są zasady.

- Poprzyj jego kontrkandydata w kolejnych wyborach. Dobrze ją wyuczył.

- Sędzia Buford to sędzia federalny, mianowany dożywotnio.

- Jasna dupa.

- Boo, nie mów tak.

- Mama mówi.

- To nie powinna. Ty też nie powinnaś. Zachowujesz się jak łobuz.

- Przeklinają przecież w filmach, nawet tych dla maluchów. Inne dzieci też bluzgają.

- To nie znaczy, że to ładnie. Nie idź za stadem, Boo. Nie rób złych rzeczy tylko dlatego, że inni je robią. Bądź grzeczna.

- Nie mówię słowa na „p". Scott się uśmiechnął.

- To dobrze.

- Nawet nie wiem, co ono znaczy.

- Mam nadzieję.

- Sally, ta z naszej ulicy, mówi, że jej tato cały czas mówi na „p", kiedy myśli, że jej nie ma w pobliżu. Ty nie mówisz słowa na „p", kiedy mnie koło ciebie nie ma, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. Niewinne kłamstewko.

- Ona nie ma więc pieniędzy, żeby ci zapłacić?

- Kto. Oskarżona? Nie.

- Nie ma pracy?

- Ona jest, ee...

- Prostytutką. Słyszałam w telewizji. I narkomanką. Co to jest prostytutka?

Kiedy Boo zadawała mu tego typu pytania, Scott nigdy nie wiedział, co ma odpowiedzieć. W jakiś sposób zawsze wiedziała, kiedy nie mówił całej prawdy, jednak mimo że zachowywała się, jakby miała już dwadzieścia pięć lat, niechętnie mówił jej o wszystkich sprawach. Odpowiedział więc jak prawnik, owijając w bawełnę.

- To taka osoba towarzysząca.

- Co to takiego?

- Zajmuje się mężczyznami.

- Jak ty zajmujesz się klientami?

Była to bliższa analogia, niż podejrzewała.

- Coś w tym stylu.

- Czy masz takich klientów jak ona?

- Nie, Boo, nie reprezentuję prostytutek i narkomanek.

- Czyli czarnych klientów?"

- O nie, nigdy nie miałem czarnego klienta.

- Czemu nie?

- Bo ja reprezentuję korporacje, a nie ludzi.

- Co z tymi ludźmi, do których cały czas dzwonisz?

- Moimi klientami są korporacje, ale dzwonię do szefów tych firm.

Boo skrzywiła usta. Zastanawiała się nad czymś.

- Dlaczego?

- Dlaczego co?

- Dlaczego reprezentujesz korporacje zamiast ludzi?

- Ponieważ zwykłych ludzi nie stać na moją pracę. Do licha, Boo, mnie samego nie byłoby stać na zaangażowanie mnie, nie za trzy pięćdziesiąt na godzinę.

Otworzyła szeroko oczy.

- Kasujesz trzy dolary pięćdziesiąt centów za godzinę? Scott się zaśmiał.

- Nie. Trzysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę.

- Nie bujasz? To dlatego tak wolno pracujesz?

Dziewięciolatka, a miała wszelkie kwalifikacje, żeby zostać starszym wspólnikiem w największej firmie adwokackiej w kraju.

- Jesteśmy więc bogaci, bo korporacje muszą ci płacić trzysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę? - zapytała. - Tak... Cóż, nie. Nie jesteśmy bogaci, Boo.

- Mieszkamy w dużym domu, a ty masz ferrari.

- Tak, ale muszę ciągle ciężko pracować, żeby to wszystko utrzymać. Bogaci tego nie muszą robić.

- Ojciec Cindy został wylany z roboty i musieli sprzedać dom.

- Nie martw się, maleńka, to nam się nigdy nie przytrafi.

Usłyszał, jak żona woła do niego z jacuzzi:

- Musisz z nią porozmawiać, Scott. Ciebie posłucha! Jak mam zostać przewodniczącą komitetu organizacyjnego Balu Baronów Bydła, skoro moja córka ubiera się jak chłopak?!

Rebecca Fenney miała trzydzieści trzy lata, była bardzo wygimnastykowana i do tego śliczna. Wciąż była najpiękniejszą kobietą w Highland Park - idealna żona w doskonałym życiu. Miała poza tym jedno gorące pragnienie, mianowicie dostać się do komitetu organizacyjnego Balu Baronów Bydła, największego dorocznego spędu socjety z Dallas,

kiedy to wysublimowane kobiety i wysublimowani mężczyźni z Highland Park przebierają się w stroje z Dzikiego Zachodu i zachowują się jak rasowi Teksańczycy. Wieczór, podczas którego akcent przechodzi w bardziej nosowy, cygara stają się dłuższe, suknie krótsze, diamenty większe i każdy stara się prześcignąć pozostałych w teksańskości, przybywając na bal w limuzynach, hummerach, rolls-royceach, a nawet w helikopterach na Southfork Ranch, do domu J.R. Ewin ga z serialu telewizyjnego Dallas, czy też do innej odpowiedniej chatki. Piją szampana i whisky, jedzą pieczonego aligatora czy? inne paskudztwo, dosiadają automatycznego wierzgającego byka, robią zakłady w wyścigach pancerników i tańczą do muzyki Oak Ridge Boys, Dwighta Yoakama czy Williego Nelsona.

Następnie rozpoczyna się rywalizacja mężczyzn na pieniądze: stawiają zakłady, grając w kości w kasynie lub licytując diamenty czy samochody porsche. Kobiety rywalizują w ubiorach. Ubierają się na czarno, granatowo, czerwono, różowo i zakładają białe kowbojki ze skóry jaszczurek, strusi, słoni, kangurów i z weluru, noszą też skąpo skrojone gorsety bez ramiączek, bluzy ze skóry jagnięcej, skórzane kamizelki i sukni wieczorowe, a do tego pasujące do stroju kowbojskie kapelusze. W zeszłym roku Rebecca miała na sobie jasnoniebieską minispódniczkę z frędzlami, kowbojki w tym samym kolorze, obcisły różowy gorset z frędzlami i różowy welurowy kowbojski kapelusz - i była wściekła, ponieważ nikt nie zwrócił na nią uwagi. Scotta zawsze to wszystko bawiło, ale Bal Baronów Bydła był śmiertelnie poważną sprawą dla pań z Highland Park i każd" z nich konkurowała o miano królowej wieczoru. Szczęściara która znajdzie się w komitecie organizacyjnym, jest na zawsze hołubiona przez elitę z Highland Park - być może poza byłą przewodniczącą, która została zamknięta za kradzież w sklepie Neimana Marcusa. Jeżeli nie popełni jakiegoś przestępstwa do czasu wyborów, Rebecca Fenney zostanie już na czele grupy kandydatek do funkcji przewodniczącej komitetu organizacyjnego następnego Balu Baronów Bydła.

Scott i Rebecca znajdowali się w głównej łazience na drugim piętrze - ona leżała nago w jacuzzi, a on wściekał się, stojąc nad nią w szlafroku. Starał się porozmawiać z żoną o tym, co go dzisiaj spotkało, ale nie wykazała najmniejszego zainteresowania wydarzeniami ostatnich godzin. Sprawa McCalla irytowała go w najwyższym stopniu, jego żona zdołała mu jednak jeszcze bardziej podnieść ciśnienie. Chciała rozmawiać wyłącznie na temat Balu Baronów Bydła i najnowszego skandalu w Highland Park - kolejnego romansu, co nie robiło na jej mężu żadnego wrażenia.

Rebecca mówiła:

- Muffy, pamiętasz ją z ostatniego przyjęcia w klubie? Scott nie przypominał sobie żadnej Muffy i nawet nie miał zamiaru sobie o niej przypominać. Pokręcił przecząco głową.

- Rozjaśniana blondynka, piersiasta, cały czas zadziera nosa...

- Cóż, to zawęża krąg podejrzanych mniej więcej do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent żeńskiej populacji Highland Park.

- Wyszła za Billa, jak on się nazywał? Taki stary, gruby, łysy...

- O tak, pamiętam ją. Miała na sobie obcisły dwuczęściowy kostium, fajny brzuszek. Jest chyba dwadzieścia lat młodsza od tego Billa. Co, przyprawiła mu więc rogi?

- Złapał ją w łóżku z kimś mieszkającym tuż obok.

- Wiesz, Rebecco, to mnie jakoś specjalnie nie dziwi. Posłała mu blady uśmiech, za którym - jak Scott wiedział z doświadczenia - kryła się porażająca i straszna pointa.

- Nie przyłapał jej jednak z sąsiadem. Przyłapał ją z sąsiadką!

- Poszła do łóżka z kobietą?

- Tak! Dzwoniłam, żeby ci to powiedzieć, ale Sue mówiła, że jesteś zajęty.

- Nie zawracaj mi w pracy głowy plotkami.

- Jeśli coś nie jest plotką, jest prawdą; sam tak mówiłeś.

- Przekręcasz, Rebecco. Prawda jest najlepszą obroną przed potwarzą i zniesławieniem. Nie ma obrony przed plotką.

- Nawet przy romansie lesbijskim?

- Czy oni nie mają córki w wieku Boo?

- Mieli. Muffy i jej przyjaciółka uciekły do Kalifornii.

- Zostawiła córkę? Dlaczego? Rebecca wzruszyła ramionami.

- Wszyscy o tym wiedzą. Nie może się tutaj pokazać. Poza tym jest lesbijką, dziecku lepiej będzie bez niej.

- Czy tylko tym zajmujecie się podczas lunchu? Plotkami?

- Nie... Tylko kiedy podają deser. Nazywamy to skandalicznym sufletem.

Wyglądała na zadowoloną z siebie, ale tylko ona tak się w tej chwili czuła. Myśl o tym, że jego żona siedzi i plotkuje, gdy Boo siedzi w domu sama, podburzyła irytację Scotta, wznosząc ją na nieznany mu dotąd poziom. Miał już powiedzieć coś, co by jej dopiekło, ale smukłe, mokre ciało, kiedy wyszła z jacuz-: zi z rudymi włosami oblepiającymi twarz, jej pełne piersi zaróżowione od gorącej wody, płaski brzuch wymęczony podczas godzin w salonie piękności i jędrne pośladki, które nie opadły ani o centymetr od ich ślubu jedenaście lat temu, sprawiły, że żądza przegoniła wszystkich McCallów, Bale Baronów Bydła, skandaliczne suflety oraz całą irytację Scotta. Zrzucił szlafrok z ramion i spojrzał w dół, podziwiając swoją erekcję w pełnej krasie. Podszedł do niej i dotknął dłonią jej łona - był to dotyk, który jeszcze nie tak dawno wywołałby ciche jęknięcie zakończone wspólnym

tarzaniem się pod marmurową toaletką. Dzis wieczór wywołało to tylko zniecierpliwione westchnienie.

- Nie dzisiaj, Scott. Jestem zmęczona. Była zmęczona przez ostatnie pół roku. Puścił ją, poszedł do sypialni i usiadł pod jednym z okien. Usiadł i wsłuchiwał się w pac, pac, pac chrabąszczy uderzających o szybę, które szukały światła jak nawróceni grzesznicy. Pilotem włączył telewizor i spojrzał w dół. Jego erekcja opadła jak topnieje lód w letni gorący dzień.

Nie zawsze tak było. Poznali się, kiedy był na trzecim roku studiów, na imprezie po meczu u starego kumpla w domu. Była główną czirliderką i aktualną miss piękności SMU. Scott Fenney był już legendą futbolu i osobą powszechnie znaną w miasteczku akademickim, zbliżenie się do najpiękniejszej studentki uniwersytetu było więc dziecinnie proste. Tej nocy kochali się po raz pierwszy w łazience na piętrze, a później w każdym, nawet najmniej prawdopodobnym miejscu: w jej samochodzie, w jego samochodzie, w jej akademiku, w jego mieszkaniu, na klatce schodowej na wydziale prawa, w parku w biały dzień, podczas dnia wiosny na polu golfowym w klubie, przeskoczywszy wcześniej przez płot - do dzisiaj, patrząc na zielony kolor, wspomina tamte chwile. Byli tak napaleni, że nie mogli się od siebie oderwać.

Ale gdzieś po drodze - kiedy, nie był pewien - ten żar wygasł. Spali teraz odwróceni plecami do siebie i oddzieleni półmetrowym pasem materaca jak strefą zdemilitaryzowaną. Nie złościli się na siebie, rzadko padały ostre słowa, ale kochali się sporadycznie. Ona po prostu gdzieś odpłynęła.

Siedział taki sflaczały i bezwładny, aż drażniące myśli - o sprawie McCalla, braku zainteresowania żony jego osobą, samotnym wieczorze, skandalicznym suflecie i jego córce samej w domu przez cały dzień - wróciły z nowym impetem. Krzyknął do żony w łazience:

- Może zaczniesz spędzać więcej czasu z Boo. Wtedy będzie cię słuchać.

Rebecca wyłoniła się z łazienki. Wciąż była naga. Podparła się pod boki.

- Nigdy mnie nie słucha. To z jej powodu mam te ohydne rozstępy, ale to twoja córeczka. Kiedy byłam w jej wieku, wygrałam dwa konkursy piękności. Ona zaś nosi ogrodniczki. Poza tym jestem tego lata zajęta. Dlaczego ty nie poświęcisz jej więcej czasu?

- Pracuję.

- Aha, rozumiem. To, co ja robię, jest mało ważne.

- Wygląda na to, że tylko plotkujesz.

- Wyłącznie podczas deseru. Podczas lunchu planujemy bal.

- Wielką imprezę dla socjety.

- Gdzie zbiera się pieniądze na dobroczynność.

- Którą masz głęboko gdzieś. To dla ciebie tylko kolejny szczebelek w drabinie społecznej Highland Park. Ty się pnies w miejscowej hierarchii, a Boo jest wychowywana przez Consuele!

Obrzuciła go wyniosłym spojrzeniem, okręciła się na pięcie i zniknęła w łazience. Scott chciał jeszcze za nią krzykną „Wystarczy, żebyś spędzała z Boo tyle czasu, ile chlapiesz ozorem w towarzystwie tych starych pudernic", ale wtedy ona od parowałaby: „Cóż, powinieneś poświęcać mi tyle samo czasu, ile poświęcasz swoim klientom!", wówczas on odpowiedziałby: „Ci klienci płacą za dom, samochody, twoje ciuchy i...".

- McCall...

Głos dziennikarza wyrwał Scotta z zamyślenia i sprawił, że zaczął patrzeć w telewizor.

- Morderstwo popełnione na jego synu - kontynuował dziennikarz - przysporzyło senatorowi sympatii, która znalazła odzwierciedlenie w sondażach, ugruntowując tym samym jego pozycję na pierwszym miejscu w wyścigu do Białego Domu.

Rozdział szósty

Wydanie „Dallas Morning News" z dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku zawierało wielkie na całą stronę ogłoszenie w czarnej ramce, zatytułowane: „Witamy Pana Kennedy'ego w Dallas". To nie było powitanie. Była to jawna prowokacja, za którą zapłaciło kilku prawicowych nafciarzy z Dallas, „obywateli myślących po amerykańsku" - jak sami się określali. Oskarżali Kennedyego o miękką postawę wobec komunizmu, mimo że prezydent skutecznie wytrzymał próbę sił podczas kryzysu kubańskiego, kiedy Rosjanie zamontowali wyrzutnie rakietowe mające w swoim zasięgu cele w Ameryce. Podczas lotu samolotem Air Force One do Dallas doradca prezydenta pokazał to ogłoszenie prezydentowi. Kennedy przeczytał je i stwierdził: „Dzisiaj jedziemy do krainy świrów". Według ogłoszenia, burmistrz Dallas był sympatykiem Kennedyego.

Burmistrz nazywał się Earle Cabell. Spotkał się z prezydentem tego ranka na Love Field i pojechał w prezydenckiej kawalkadzie, trzy samochody za błękitną limuzyną prezydenta. Kiedy Jego samochód skręcał w Elm Street, Cabell usłyszał odgłosy wystrzałów dobiegające od strony składnicy książek Texas School Book Depository. Przyjechał do Parkland Memorial Hospital w chwilę po tym, jak wyciągnięto prezydenta z limuzyny. Cabell został w szpitalu do chwili, kiedy zabrano stamtąd ciało prezydenta. Miał nadzieję, że pokaże

prezydentowi Dallas, które już nie jest „południowo-zachodnią stolicą nienawiści Dixie". Nie powiodło mu się. Stojący w centrum Dallas budynek federalny wciąż jednak nosi jego nazwisko - Cabella, nie prezydenta.

Oczywiście kiedy A. Scott Fenney pojawił się w Budynku Federalnym im. Earle'a Cabella przy Commerce Street tuż po godzinie dziewiątej następnego dnia, nie miał pojęcia, kim był Earle Cabell ani też czemu nadali tej nijakiej, dwudziestojednopiętrowej budowli jego nazwisko. Wiedział tylko, że nie podoba mu się u Earle'a i że chce tylko skłonić oskarżoną, aby oddała się do dyspozycji sądu, i zniknąć stąd jak najszybciej. Wyszedł z windy na piątym piętrze, gdzie znajdował się areszt federalny. Gdy poddano go już badaniu wykrywaczem metali i przeszukaniu aktówki, podszedł do niego czarny strażnik.

- Scott Fenney do Shawandy Jones.

- Jest pan jej obrońcą?

Scott chciał krzyczeć z całych sił: „Do diabła, nie jestem jej obrońcą!". Skinął jednak głową. Strażnik poprowadził go przez wąski korytarz do małego pomieszczenia, pustego, jeżeli nie liczyć metalowego stołu i dwóch metalowych krzeseł. Scott wszedł do środka i gapił się na gołe ściany, aż drzwi otworzyły się i do środka weszła Murzynka, wnosząc tak intensywny zapach ciała, że wkrótce wypełnił on całe pomieszczenie jak dym tytoniowy. Przyjrzała mu się od stóp do głów, zakryła usta dłońmi i kichnęła głośno kilka razy. Następnie zapytała:

- Pan jest tym prawnikiem?

- Tak, to ja.

Shawanda Jones miała dwadzieścia cztery lata, ale wyglądała na dużo starszą. Była drobną kobietą, ledwie sięgającą Scottowi do ramienia. Miała dziwne włosy - ni to poskręcane, ni to proste. Były brązowe. Założyła je za uszy i wyglądały na miękkie, choć oczywiście od kilku dni nie dotykał ich grzebień ani szczotka. Jej oczy przypominały owalne spodki wypełnione śmietanką z brązowym środkiem, ale zdawały się puste i bez życia. Skóra pod jej oczami była ciemniejsza od reszty twarzy, opalonej, gładkiej i błyszczącej, pokrytej cienką warstewką potu. Miała wąski nos i cienkie usta. W obwisłym, białym więziennym stroju jej ciało zdawało się smukłe, chociaż pełne. Miała kanciastą twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi. Była atrakcyjna, jednak kiedyś, dawno temu, na pewno była pięknością. Przypominała Scottowi Halle Berry, ale aktorka mogłaby tak wyglądać, gdyby miała zły dzień. Bardzo zły dzień.

Scott nie zakładał dziś rano okularów, miał gdzieś to, czy ta klientka uzna go za inteligentnego, czy nie. Nie wyciągnął też do niej ręki, mimo że zawsze podawał rękę

nowemu klientowi: Dan Ford wyjaśnił Scottowi na początku jego prawniczej kariery, że prawnik ma tylko jedną niepowtarzalną szansę na wywarcie dobrego wrażenia na nowym kliencie, zawsze powinien więc patrzeć mu w oczy i wymienić z nim mocny uścisk dłoni. Wywrze to, jak mówił Dan, na kliencie wrażenie szczerości i otwartości, tym samym zmniejszając jego opory podczas wypłacania honorarium. Zamiast tego, obawiając się, że dotykając jej dłoni - jednej z tych, w którą kichała, jakby miała zapalenie płuc - może się zarazić jakąś zakaźną chorobą, wskazał gestem nowej klientce, żeby usiadła. Nie zrobiła jednak tego. Zaczęła chodzić po pokoju.

Chodziła od jednej ściany do drugiej i z powrotem. Chodziła w tę i we w tę, raz za razem pocierając dłońmi ramiona, jakby w pomieszczeniu panował chłód, i przebierając palcami jak Consuela odmawiająca różaniec. Jej rozproszony wzrok skakał po pokoju. Nogi wyraźnie się plątały i drgały w niekontrolowany sposób. Nagle stanęła na środku, zgięła się w pół i jęknęła.

- Nic ci nie jest?

- To skurcze - mruknęła.

Jak prawie każdy mężczyzna, kiedy słyszy, jak kobieta mówi o swoim okresie, Scott nie wiedział, co ma powiedzieć. Rzekł więc:

- Moja żona też ma straszne skurcze co miesiąc.

- Nie takie - odparła między jednym a drugim jękiem. Po chwili opanowała skurcze i wróciła do chodzenia. Scott usiadł i wyciągnął z kieszeni wizytówkę, po czym popchnął ją w jej stronę po blacie. Ponownie mijając stół, gwałtownie złapała krzesło, usiadła, a jej ręce opadły na blat. Scott zauważył ślady wkłuć po wewnętrznej stronie obu ramion, jakby ktoś grał w łączenie kropek, ale bez powodzenia. Wtedy sobie przypomniał - była heroinistką. Podniosła wizytówkę kciukiem i palcem wskazującym i trzymała chwilę przed oczami.

- Co to znaczy to „A”? - zapytała. - Nic.

- Pana imię to litera?

Scott nie zamierzał rozmawiać na temat swojego imienia. Chciał mieć to za sobą i wrócić do swojego biura na sześćdziesiątym drugim piętrze, gdzie było jego miejsce.

- Pani Jones, nazywam się Scott Fenney. Sąd wyznaczył mnie na pani obrońcę. Została pani oskarżona o morderstwo, jest to przestępstwo federalne, ponieważ ofiarą był urzędnik federalny. Jeśli pani wina zostanie dowiedziona, zostanie pani skazana na karę śmierci lub na dożywocie. Dlatego chcę z panią porozmawiać o oddaniu się do dyspozycji sądu i złagodzeniu wyroku. Wyjdzie pani wówczas za trzydzieści lat.

Jej dłonie gwałtownie chwyciły Scotta za nadgarstki. Instynktownie cofnął się przed dzikim spojrzeniem kobiety, ale była silna jak na swój wzrost i miała mocny uchwyt.

- Proszę, niech mi pan da działkę! Nie spałam od dwóch dni! - powiedziała.

- Działkę?

- Trochę hery. Bardzo tego potrzebuję!

- Znaczy prochów? Nie, tego nie mogę zrobić!

- Myślałam, że jest pan moim prawnikiem!

- Miałaś prawników, którzy dawali ci narkotyki?

- Za seks. Chodź pan, zaraz panu obciągnę! - Nie!

Skoczyła na równe nogi i znów zaczęła przemierzać pomieszczenie. Scott dochodził do siebie przez minutę. Miał już klientów, którzy proponowali mu łapówki (znane również pod nazwą honorariów), żeby zniszczył obciążające ich dowody, popełnił krzywoprzysięstwo, ukrył matactwa i sfałszował raporty dla SEC*, ale byli to dobrze ubrani i wykształceni biali mężczyźni - żaden z nich nigdy nie proponował mu seksu oralnego!

Scott doszedł w końcu do siebie i powiedział:

- Jak już mówiłem, może się pani oddać do dyspozycji sądu i...

- Powiedzieć, że go zaciukałam?

- Tak, ale bez zamiaru popełnienia morderstwa. Zatrzymała się i wpatrywała w niego, podpierając się rękami pod boki z niedowierzaniem na twarzy.

- Mówisz mi pan, żebym powiedziała, że go zabiłam? A nie chcesz pan wiedzieć, czy to zrobiłam?

- Ee, jasne... - Oparł się na krześle. - Powiedz mi, co się stało.

Machnęła ręką w stronę stołu.

- Nic pan nie będzie pisał?

Scott sięgnął do aktówki i wyjął żółty notes oraz czarne pióro.

- Słucham.

Shawanda Jones, prostytutka, zaczęła chodzić po pokoju i przedstawiła swojemu obrońcy fakty dotyczące tego, co się zdarzyło (według niej) w sobotnią noc, piątego czerwca.

- Tyrałyśmy na Harrym Hinesie...

Harry Hines Boulevard, nazwany tak, żeby upamiętnić nafciarza z Dallas, zaczyna się na północ od centrum i zatacza pętlę na linii północ-południe, zakreślając obszar, który, jak to mówią, jest „kulturowo zróżnicowany". Poruszając się ciągle tym samym długim chodnikiem, można dostać najlepszą opiekę medyczną w kraju w nie mniej niż czterech szpitalach, zdobyć tytuł lekarza na wydziale medycznym Uniwersytetu Teksańskiego, kupić najmodniejsze

ubrania i meble w centrum handlowym albo też zrobić bardziej ekonomiczne zakupy w sklepie Army-Navy, pograć w golfa w ekskluzywnym Brook Hollow Golf Club, posmakować kuchni czterech stron świata, kupić tanio używany samochód, narkotyki, sfałszowane dowody tożsamości i podrabiane markowe torebki, pójść do baru topless, klubu ze striptizem, przenocować w schronisku Armii Zbawienia, zrobić skrobankę lub poderwać prostytutkę.

- Kto „my”? - Ja i Kiki.

- Jak Kiki ma na nazwisko?

- Skąd mam widzieć? Nawet nie ma Kiki na imię.

- O której to było?

- Może dziesiąta była.

- Wieczorem?

- Shawanda nie robi na pierwszą zmianę.

- Co...

- Chcesz pan usłyszeć moją wersję czy nie?

Scott podniósł ręce na znak, że się poddaje. Shawanda Jones opowiadała dalej, niezwykle podniecona i poruszona, wymachując rękami:

- Czułyśmy się zajebiście i wyglądałyśmy jak laski, ja miałam blond perukę, a Kiki rudą. Chodzimy sobie, a faceci kursują, gwiżdżą, wrzeszczą. „Ej, mamuśka, obciągnij mi!”. Czarni kolesie, Meksykanie, tylko by się gapili, a jak już na poważnie, to nie ma odważnych, nie stać ich na takie laski jak my. My czekamy na białych chłopców w dobrych brykach. Lubią nas, bo nie jesteśmy za ciemne i trzymamy się, ja i Kiki, ćwiczymy, gapiąc się w te kasety z ćwiczeniami prawie codziennie, miałyśmy właśnie nową. Firma?. Mam sztangi. Sam pan przyfiluj.

Podciągnęła rękaw więziennego drelichu, napięła mięśnie, pokazując imponujący jak na dziewczynę biceps. Wspaniale: narkomanka, która pakuje.

- Jest więc jakoś tak wpół do jedenastej i jedzie biały chłoptaś w mercedesie, w tym takim długim z ciemnymi szybami, parkuje koło nas i opuszcza szybę, żeby nas obciąć. Wiemy, że jedna za chwilę będzie miała farta. A on wtedy: „Blondyna! Pakuj się”. Ale Shawanda nie od razu wskakuje, jak ktoś ją woła. Podchodzę więc, obcinam gościa, przechylam się przez okno, a w środku jedzie jak w gorzelni. Mówi, że zapłaci mi tysiaka za noc. Ja na to: „Pokaż kasę”. Z filmu to wzięłam. On mi harmonią pieniędzy macha taką, że koń by się zadławił, to wsiadam i niemal zjeżdżam na podłogę, a kiecka aż mi trzeszczy o ten skórzany fotel. On sięga do mnie, łapie mnie za cycka i pyta: „Prawdziwe są?”. A ja na to: „Skarbie, cała Shawanda prawdziwa”.

Nagle znów jęknęła, chwyciła się za brzuch i zgięła wpół.

- Niech to szlag!

Została w tej pozycji przez chwilę. Scott często cierpiał na skurcze, kiedy jeszcze grał w futbol, i wiedział, że to potrafi naprawdę boleć. Poczuł dla niej odrobinę współczucia. Znów sprawdził jednak czas i pomyślał o tych płatnych godzinach, które mu uciekają. Bardzo chciał, żeby już skończyła. W końcu skurcze ustąpiły, wyprostowała się i zaczęła niestrudzenie mówić dalej, chodząc po pokoju.

- To jedziemy sobie. Myślę, że do motelu. Ale zajeżdżamy do Highland Park, jak pisze na tablicy. Nigdy żem nie była w Highland Park, czarna dziewczyna nie powinna tam jeździć. Ale zaraz zajeżdżamy przed największy dom, jaki żem w życiu widziała, przez wielgachną bramę, za mur, od tyłu. Wysiadam, idę za nim, fajnie tam było. Pyta mnie, czy bym sobie czegoś nie walnęła. Co mi tam! Mówię, że i owszem. Myślę sobie, że biały chłoptaś ma kasę i taką chatę, i sam jest niczego sobie, to czego w takim razie chce od Shawandy? Dowiedziałam się dopiero na górze. Włazi na mnie i zaczyna jechać z koksem. Pyta: „Podoba ci się?". Ja oczywiście na to: „Och tak, słonko, jesteś taki duży". Leszcze. Oni lubią tego słuchać. Na to on: „Gadaj, czarnucho, podoba ci się mój wielki kutas?". Nie lubię, jak ktoś do mnie mówi per czarnucho, ale za tysiaka zmilczę. „O tak, skarbie", jęczę sobie tylko. Wtedy on mnie prask, mocno, i mówi, że zawsze tak daje babkom. Nikt tu nie będzie lutował Shawandy. Walę typa w ryło i zrzucam go z siebie. Trzepnął plecami o wyro, aż zadudniło, skaczę na równe nogi i mówię mu: „Nie będziesz sobie tu pogrywał z Shawandą w te klocki, białasie!". Znów mnie wali, teraz zły, podrapałam go więc po pysku i na pożegnanie jak mu jeb! - Zademonstrowała zamach lewym sierpowym. - Prosto w limo. Padamy na łóżko i on mnie znów, tym razem z pięści, o tu - pokazuje na lewą stronę twarzy, gdzie widać wyraźnie siniak. - Ale zaprawiłam go kolanem prosto w jaja, spadł i zaczyna bluzgać: „Ty czarna zdziro!". Łapię ciuchy, mojego tysiaka, jego kluczyki do wozu i w długą. Wracam do Kiki i zostawiam brykę.

- Wtedy po raz ostatni widziała pani Clarka McCalla?

- Tak mu było?

- Tak. Był synem senatora Macka McCalla.

Nic jej to nie mówi. Nie odróżnia Macka McCalla od Myszki Mickey.

- Jak go ostatni raz widziałam, panie Fenney, to zwijał si po podłodze, trzymał za klejnoty i klął na czym świat stoi.

- Tej nocy został zamordowany. Policja znalazła go w niedzielę nagiego na podłodze w sypialni. Leżał postrzelony raz w głowę, z bliska. Obok leżała broń, kaliber dwadzieścia dwa, z twoimi odciskami palców.

- Musiała mi wylecieć z torebki. Więc to była twoja broń?

- Pracująca dziewczyna w Dallas musi mieć coś pod ręką-

- Nie zastrzeliłaś go jednak?

- Nie, proszę pana. Panie Fenney. I nie będę się tam... Jak to szło? A, właśnie, „oddawać do przyznania".

- Ale panno Jones...

- Panna Jones to była moja mamusia. Do mnie per Shawandą. I nie będę się oddawać. Co z kaucją? Kiedy wyjdę na powietrze? Bardzo mi potrzeba...

- Prochów?

- Panie Fenney, patrzy pan na mnie, jakbym była śmieciem jakim, ale pan nie był tam, gdzie ja byłam.

Scott westchnął. Tego nie było w planach.

- Sprawdzę możliwość wpłacenia kaucji, ale nie liczyłbym na nią w sprawie o morderstwo. Nawet jeśli sąd wyznaczy kaucję, to będzie bardzo wysoka. Ma pani jakieś środki?

Klepnęła się po tyłku.

- To jedyny środek Shawandy.

- Fajny tyłek nie wyciągnie cię z więzienia.

- W niektórych miejscach by się udało. - Pomyślał, że żartuje, ale nie uśmiechała się. - To jestem uziemiona do rozprawy? Panie Fenney, ja muszę zobaczyć moją małą!

- Masz dziecko?

- Na imię ma Pajamae, ma dziewięć lat. Scott przyłożył pióro do notesu.

- Jak to się pisze?

- Pa-ja-mae. Pa-szu-mej. To po francusku.

- Gdzie ona jest?

- Mieszkamy sobie w czynszówkach na osiedlu. Już to przerabiałyśmy, ale tylko przez kilka dni. Mówię jej: „Nawet nie otwieraj drzwi, dziewczyno".

- Czy Kiki się nią opiekuje?

- Nie, panie Fenney. Kiki mieszka z facetem. Ja tam nie wpuszczam facetów do mnie, bo mógłby krzywdę zrobić mojej Pajamae. Louis, ten się nią opiekuje, zakupy jej robi, sprawdza, co u niej. Jest jak wujek, chociaż wujkiem nie jest.

Scott popchnął w jej kierunku pióro i notes.

- Zapisz mi adres... I telefon do tego Louisa.

Shawanda przestała chodzić, usiadła, wzięła pióro do lewej dłoni, ale zaczęła się trząść jak staruszka. Scott zdał sobie sprawę z niezręczności tej chwili.

- Moja córka też jest leworęczna.

Teraz wpatrywała się tylko w swoją dłoń. Po chwili przestała pisać, odłożyła pióro i spojrzała na Scotta załzawionymi oczami.

- Panie Fenney, ta hera mnie kiedyś wykończy. Po czym zgięła się w pół i zwymiotowała.

***

Dan Ford rozmawiał przez telefon, kiedy Scott wszedł do biura swojego starszego wspólnika i opadł na sofę jak worek ziemniaków.

Dan mówił do słuchawki:

- Oczywiście, że poprzemy pańską reelekcję, panie gubernatorze. Pana kadencja dała środowisku biznesowemu wszystko, czego oczekiwaliśmy pod względem legislacyjnym: żadnych nowych podatków, reformy deliktów... Tak... tak... W porządku. Do zobaczenia jutro.

Dan odwiesił słuchawkę i zdziwiony aż potrząsnął głową.

- Ten facet nie znalazłby ropy na stacji benzynowej. - Westchnął przeciągle. - Ale jest gubernatorem. - W końcu skupił uwagę na młodszym koledze. - Poszła na to?

- Nie, nie podda się wyrokowi. Znacząco pokiwał głową.

- Wiedziałem, że nie pójdzie.

Scott przygotował się na jedną pełną przekleństw tyrad Dana Forda, ale jego starszy wspólnik wcale nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego.

- Co powinniśmy zrobić?

- Podnająć ją - odparł Dan. - Podnająć?

- Tak, zatrudnić adwokata karnistę, żeby zajął twoje miejsce. To zwykła matematyczna kalkulacja, Scotty.

- Dan, o czym ty, do cholery, mówisz?

Dan wstał i podszedł do zamontowanej na ścianie pod głową łosia tablicy, otworzył drewniane drzwiczki i wziął do ręki marker. Pisząc, jednocześnie mówił:

- Powiedzmy, że w najgorszym wypadku ta sprawa zajmie tysiąc godzin pracy prawnika. Zapłacimy obrońcy, i nie mówię tu o absolwencie prawa *summa cum laude*, że tak

powiem, wystarczy nam ktokolwiek, kto ma praktykę adwokacką, za pięćdziesiąt dolarów za godzinę.

- Pięćdziesiąt za godzinę? Nasi praktykanci zarabiają w czasie wakacji stówę.

- To wzorowi studenci. Ja mówię o kimś z końca stawki, Scott. O kimś, kto kasuje pięćdziesiąt za godzinę. Tysiąc godzin po pięćdziesiąt to jest pięćdziesiąt tysięcy kosztów firmy.

Scott wiedział, że jego starszy wspólnik przemyślał to dokładnie, ponieważ Dan Ford nie lubił wydawać na próżno pięćdziesięciu centów, nie mówiąc już o pięćdziesięciu patykach. Był prawnikiem, którego firma generowała zyski na każdej kserokopiarce - pięćdziesiąt centów za stronę - i pilnował, żeby cholerne kserokopiarki pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę, wypluwając stale kartki papieru i dodając prawie milion dolarów do rocznych przychodów firmy. Firma Ford Stevens zarabiała na wszystkim, co się znajdowało w biurach - ożywione, nieożywione - na każdym pracowniku, aplikancie, sekretarce, maszynistce, gońcu, kserokopiarce, faksie i rozmowie telefonicznej. Dan Ford skrupulatnie notował zaś wszystko i poczynania wszystkich.

Mówił dalej:

- Ale to uwalnia godziny pracy, które ty wypracowujesz u klientów, którzy płacą trzysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę. To trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów wpływów dla firmy. Po odjęciu pięćdziesięciu tysięcy, jakie zapłacimy adwokatowi wciąż mamy trzysta tysięcy zamiast straconych trzystu pięćdziesięciu tysięcy, jeśli musiałbyś sam pracować nad tą sprawą. Podniosło to nieco Scotta na duchu.

- Buford pójdzie na to?

- Jasne. Zanim sąd federalny dorobił się swoich obrońców z urzędu, postępowaliśmy tak cały czas. Podnajmowanie oskarżonych było standardową procedurą stosowaną przez wielkie firmy. - Dan wzruszył ramionami. - A poza tym, wilk syty i owca cała: ona dostaje prawnika, który wie więcej o obronie w sprawach karnych, a ty masz ją z głowy.

Dan zamknął drzwiczki tablicy i powiedział:

- Znasz jakiegoś taniego adwokata karnistę?

***

RO ERT HERR N, ADWO AT PROCES Y - tak stało napisane na tabliczce, ponieważ z administratora budynku było niezłe skąpiradło i nie chciało mu się uzupełnić odstrzelonych liter. Była to zresztą jedyna tablica z napisem po angielsku, a większość ludzi w tej okolicy i tak nie potrafiła jej przeczytać. Kancelaria adwokacka nie znajdowała się w najlepszej dzielnicy, tylko na gównianym deptaku w centrum wschodniego Dallas.

Prowadzący ją adwokat był prawnikiem ulicy, jego kancelaria znajdowała się więc na poziomie ulicy. Często, kiedy przychodził do pracy, ktoś spał mu na wycieraczce. Nigdy nie budził ich kopniakami, jak to robili właściciele innych zakładów na deptaku: do cholery, ten facet mógł być jego kolejnym klientem. I nigdy nie dzwonił na policję, bo byłaby to tylko strata impulsów telefonicznych - policja patrolowała jedynie liczące się dzielnice. Po prostu przechodził nad śpiącym i wchodził do kancelarii Roberta Herrina.

Na jego biuro o powierzchni kilkunastu metrów kwadratowych składało się jedno pomieszczenie i niewielki kibel. Było wciśnięte między bar meksykańskfa koreański sklep z pączkami. Jadł więc pączki na śniadanie i pił piwo na obiad.

Dach przeciekał, kasetony na suficie dawno straciły kolor, a w całym pomieszczeniu unosił się zapach stęchlizny. Linoleum na podłodze było popękane i podwijało się jak elfie buty. Biurko było metalowe, podobnie jak krzesło, które obracało się jednak i leżała na nim wygodna poduszka. Na całe szczęście całkiem nieźle pisał na maszynie, bo nie byłoby go stać na sekretarkę. I w takim oto miejscu Robert Herrin, adwokat, zarabiał na życie od jedenastu lat, reprezentując tych członków społeczeństwa, których ochrona nie wpuszczała do firm prawniczych w centrum.

Wpisał się na stałe w krajobraz wschodniego Dallas - był przecież prawnikiem - podobnie jak wpisały się bar i sklep z pączkami. Dzięki cienkim ścianom kancelarii mógł liznąć kilka obcych języków, chociaż hiszpański szedł mu zdecydowanie lepiej niż koreański, prawdopodobnie dlatego, że jeśli nie było go właśnie tutaj, siedział obok w sali bilardowej baru. Ogólnie rzecz biorąc, Angole nie byli mile widziani w barze meksykańskim. Ale *Seńor Herrin, el abogado*, zawsze był witany z otwartymi ramionami, ponieważ barman, kelnerki i większość bywalców baru byli jego klientami. Dzięki temu również nikt nie strzelał do jego witryny w kancelarii. Od razu się do niego szło, jeśli zapuszkowano konkubenta, latorośl czy braci, zarówno dlatego, że okazywał im szacunek, jak i dlatego, że przedstawiał dogodny plan spłaty honorarium. Często, kiedy otwierał drzwi (po przestąpieniu przez wcześniej wspomnianego, zmęczonego pijaka), zastawał w środku piątki lub dziesiątki, rzadziej dwudziestodolarowe banknoty, z przypiętymi karteczkami, żeby mógł się zorientować, który klient mu zapłacił, wsuwając pieniądze pod drzwiami.

Nie o takim życiu marzył, kiedy studiował prawo.

Zadzwonił telefon. Doświadczenie wskazywało, że Bobby Herrin wkrótce będzie jechał do więzienia stanowego, żeby wpłacić kaucję za jednego ze swoich stałych klientów. Sięgnął po słuchawkę.

Rozdział siódmy

Bobby Herrin czuł się jak adwokat na obcej sali sądowej.

Stał w lobby usytuowanego na najwyższym piętrze Dibrell Tower Downtown Club - bez wątpienia najbardziej szykownego lokalu w mieście - i obserwował, jak najbogatsi ludzie w Dallas przychodzą na lunch, a w ślad za nimi, niczym świta gwiazdy rapu, ciągną prawnicy. Byli to adwokaci, którzy prowadzili największe firmy prawnicze w mieście i liczyli sobie trzy, cztery setki, a może nawet i pięć setek za godzinę (Bobby zarabiał pięćset dolarów, kiedy miał dobry tydzień), ubrani w wełniane garnitury, wykrochmalone koszule, jedwabne krawaty i buty wyczyszczone przez czarnego pucybuta przed budynkiem. Wszystko, co Bobby miał na sobie, zostało kupione lata temu z wyprzedaży i było wykonane z poliestru, oprócz oczywiście butów, które nie widziały szczotki i pasty od miesięcy. Potarł wierzchem prawego buta o lewą łydkę i powtórzył tę czynność z lewym, starając się nadać im jako taki połysk.

- Bobby!

Odwrócił się, a wtedy powitał go najbardziej promienny uśmiech pod słońcem na niebywale przystojnej twarzy; twarzy przyjaciela, którego niegdyś lubił i podziwiał i któremu zazdrościł oraz szedł za nim jak *groupie* za gwiazdą rocka - i kochał jak brata. Twarz Scotta Fenneya. Bobby nie widział Scotta od jedenastu lat i teraz walczył z odruchem uściskania swojego dawnego najlepszego przyjaciela. Wymienili uścisk dłoni.

- Cieszę się, że znalazłeś chwilę - powiedział Scotty. - Nie czekasz długo, co, stary?

Bobby pokręcił głową. Ale trochę mu jednak zeszło. Przybył tutaj piętnaście minut temu, zaparkował samochód w podziemnym garażu i pojechał ekspresową windą na samą górę. Coś mu się właśnie przypomniało. Wyciągnął bilet parkingowy z kieszeni koszuli.

- Kasują gości?

Gdyby kasowali, dziesięciodolarowa opłata zrujnowałaby dziś Bobbyego. Ale Scotty nic nie powiedział. Patrzył tylko na dawnego przyjaciela taksującym spojrzeniem od stóp do głowy, jakby przygotowywał się do wypowiedzenia jakiegoś komplementu na temat stroju kolegi. W końcu poddał się i klepnął Bobbyego w ramię.

- Chodź, zjemy coś.

Scotty poprowadził Bobby'ego wzdłuż krótkiego korytarza do kierownika sali. Na ścianach wisiała galeria portretów założycieli klubu i rady nadzorczej, byłej i obecnej, czyli swoiste *Kto jest kim w Dallas*.

- Ach, panie Fenney, jak miło pana dziś gościć - powiedział Latynos w średnim wieku, z wystudiowanym uśmiechem, jakby widok Scotta był najpiękniejszą chwilą, jaką dziś przeżył. Był niewysoki, nosił włosy z przedziałkiem starannie zaczesane na bok i był gładko ogolony, jeśli nie liczyć cienkiego wąsika. Nad całą postacią unosił się intensywny zapach wody kolońskiej. Miał na sobie czarny garnitur, ciemny krawat i białą koszulę. Można by go było wziąć za miejscowego latynoskiego grabarza. Wsadził sobie pod pachę dwie karty w skórzanej oprawie.

- Dwie osoby, sir?

- Tak, Roberto.

Bobby poszedł za Roberto i Scottem przez przedsionek do sali oświetlonej wymyślnymi kandelabrami i światłem z portfenetrów, w którym pyszniła się boazeria z ciemnego drewna, drewniane kolumny i ciemne stoły przykryte białymi obrusami. Młodzi latynoscy mężczyźni w białych kamizelkach i czarnych muszkach obsługiwali starych białych mężczyzn. Roberto strzelił palcami na swoich podwładnych i wskazał na kieliszki, które trzeba było napełnić, i talerze, które trzeba było wynieść. Magiczne aromaty steków z rusztu, świeżo smażonych krewetek i ryby z grilla, w połączeniu z symfonią brzęku srebrnych sztućców trącających o kryształy i szkło, uświadomiły Bobby'emu, w jakim otoczeniu mógłby przebywać, gdyby jego życie potoczyło się inaczej. Zwykle jadał lunch w barze z grillem na rogu ulicy, gdzie siedziało się przy stołach z desek, spożywając jedzenie z papierowych talerzyków jednorazowych za pomocą plastikowych sztućców.

O ile Bobby czuł się jak pomywacz zaproszony na walne zebranie miejscowej Izby Handlowo-Przemysłowej, o tyle Scott kroczył przez jadalnię niczym gwiazda futbolu po wygranym meczu, witając się i wymieniając uściski z każdym, kogo mijali - oto doskonale znane zachowanie Scotta Fenneya, które Bobby widział tak często za starych czasów (i podobnie jak wtedy, z tej samej perspektywy - zza pleców przyjaciela). Bobby poznawał twarze osób, z którymi witał się Scotty - widział je na stronach gazet i w telewizji. Ci ludzie byli właścicielami Dallas: ziemi, budynków, firm i wszystkiego innego, co było warte posiadania w tym mieście. Nagle uwagę Scotta przykuło coś po drugiej stronie sali.

- Zaraz do ciebie dojdę - powiedział do Bobby'ego i podszedł do stolika, przy którym siedziało czterech mężczyzn.

Bobby podreptał za Roberto do stolika przy oknie. Roztaczał się przez nie widok na miasto, w którym mieszkał przez całe życie. Urodził się w biednej dzielnicy we wschodnim Dallas, ale latem przed dziewiątą klasą przeprowadził się do dwupoziomowego mieszkania czynszowego obok SMU. Rodzice Bobbyego chcieli, żeby ich syn miał lepsze życie, ale nie

było ich stać na szkołę prywatną z pensji ojca, kierowcy ciężarówki! Tutaj jednak ich syn mógł korzystać z dobrodziejstw szkolnictwa powszechnego w Highland Park, jak wszyscy synowie najbogatszych ludzi w Dallas.

Bobby poznał Scotta Fenneya tego roku i od razu się zaprzyjaźnili - dwóch mieszkańców czynszówek w gronie boga czy (w hierarchii Highland Park czynszownicy zajmowali jedynie stopień wyżej od meksykańskich pokojówek).

Bobby stał się wiernym druhem Scotta, na podobieństwo Robina, który uwielbiał Batmana, a status Fenneya rósł z każdym meczem i tym samym Bobby windował się w cieniu swojego przyjaciela. Był wszędzie mile widziany w Highland Park, oczywiście jeśli przychodził ze Scottem Fenneyem.

Po ogólniaku Bobby poszedł za Scottem do SMU. Scotty dostał stypendium sportowe, a Bobby studencką pożyczkę. Cztery lata później wspólnie ze Scottem rozpoczął studia na wydziale prawa. Ale tytuł prawnika nie prowadził w jego wypadku do lepszego życia. Pieniądze zarabia się w wielkich firmach, a te są zarezerwowane dla najlepszych z najlepszych, pierwszych dziesięciu procent - dla Scottów Fenneyów, nie dla Bobbych Herrinów. Przez całe studia mówili o otworzeniu wspólnej kancelarii, ale pojawiły się wielkie firmy i Scotty odpowiedział na ich wezwanie. Nagle więc, tak szybko jak letnia burza w Teksasie, podczas której spada dziesięć centymetrów wody i momentalnie znika, zniknął i Scotty. Po raz pierwszy, od kiedy skończył czternaście lat, Bobbyemu zabrakło Scotta, za którym mógłby podążać.

Przez jedenaście lat Bobby wałęsał się w życiu jak Mojżesz po pustyni Synaj, starając się odnaleźć w nim sens bez Scotta. Czasami czytał o swoim starym przyjacielu w kronice towarzyskiej (państwo Fenneyowie pojawili się na takim to a takim balu), a czasami na stronach gospodarczych (kolejny triumf na sali sądowej A. Scotta Fenneya). Za każdym razem, kiedy czytał coś na temat starego druha, wracały wspomnienia i znów czuł się bardzo samotny.

A jednak, choć bez wielkiego przekonania, Bobby ułożył sobie jakoś życie. Nie było to specjalnie ciekawe życie - tak właśnie sobie pomyślał dziś rano, kiedy po przybyciu do kancelarii przeszedł nad pijakiem leżącym na progu. „Oto kolejny dzień wpłacania kaucji za ćpunów, walka o uniemożliwienie eksmisji, jedzenie koreańskich pączków, picie meksykańskiego piwa i gra w bilard w barze obok". Ale wtedy zadzwonił telefon i odezwała się jakaś kobieta, przedstawiając się jako sekretarka Scotta Fenneya. Kiedy zaprosiła go na lunch ze Scottem w Downtown Club, Bobby poważnie rozważał wykonanie telefonu na numer ratunkowy i prośbę o podłączenie go do defibrylatora. Przyjął zaproszenie, położył

słuchawkę na widełki, przejrzał garderobę i momentalnie pożałował pochopnej decyzji. Chodził po kancelarii przez godzinę jak niespokojny lew w klatce w zoo, postanawiając, że zadzwoni i wykręci się z tego spotkania, i tyle samo razy dochodząc do wniosku, że może jednak nie. Kiedy w końcu zaparkował swojego starego gruchota na parkingu pod Dibrell Tower, a parkingowy obrzucił samochód spojrzeniem i parsknął tylko, Bobby wiedział, że porywa się z motyką na księżyc.

Bobby Herrin zdecydowanie nie pasował do takiego miejsca jak Downtown Club.

Spostrzegł, że palcem stuka w stół, jakby wysyłał z tonącego statku gorączkowe SOS alfabetem Morsea. Bardzo chciało mu się zapalić papierosa, ale rada miejska Dallas zakazała palenia w miejscach publicznych. Bardzo, ale to bardzo chciał wstać, wyjść i wrócić do wschodniego Dallas, gdzie było jego miejsce. »Niech to jasny szlag trafi! Dlaczego przyjąłem to zaproszenie na lunch?". Powtarzał sobie w myślach, że uczynił to tylko dlatego, że telefon od sekretarki Scotta zupełnie go zaskoczył, ale prawda była inna: bardzo chciał się ze Scottem zobaczyć.

Tęsknił za nim bardziej niż za dwiema byłymi żonami.

Bobby odszukał Scotta wzrokiem i zobaczył go kilka stolików dalej, jak opiera się o blat i szepcze coś do ucha facetowi, którego twarz również rozpoznał. Nie wiadomo, co Scotty mu powiedział, ale facet był w siódmym niebie. Wstał i uścisnął Fenneyowi dłoń, walnął go po plecach i, cholera, niemal uściskał. Scott podszedł do Bobbyego, szeroko się uśmiechając, i usiadł po drugiej stronie stołu.

- Znasz Toma Dibrella? - zapytał Bobby.

- Jestem jego adwokatem. Ściągnąłem go z jednej baby. Dosłownie. - Scotty pochylił się i wyszeptał. - Tom ma duży problem, bo jego kutas kasuje go jak nowojorski taksówkarz. I

- Scotty, to jest facet, który płacił zawodnikom SMU i przez niego drużyna odpadła z rozgrywek! Kiedyś nienawidziłeś takich szmaciarzy. A teraz pracujesz dla niego? Dlaczego?

Scott się uśmiechnął.

- Dla trzech milionów dolarów w honorariach, Bobby. Dlatego.

Suma ta odebrała Bobbyemu mowę. „Trzy miliony dolarów!". W najlepszym roku Bobby zarobił dwadzieścia siedem tysięcy pięćset dolarów. Ledwie spotkali się po jedenastu latach, a już ponownie zaczął zazdrościć przyjacielowi takiego życia. Oczywiście Bobby miał lojalnych klientów - jeden przynosił mu co tydzień domowe ciasto, pewna kobieta nazwała swojego nieślubnego syna jego imieniem, ale piwo i pączki za darmo to był szczyt możliwości, jakie zapewniała mu jego obecna pozycja. W zeszłym roku jego najlepszy klient

zapłacił mu pięćset dolarów. Najlepszy klient Scotta płacił mu trzy miliony. We wszystkich anglojęzycznych dzielnicach Dallas pieniądze były jedynym wyznacznikiem sukcesu adwokata i tym samym jedynie wśród hiszpańskojęzycznej populacji wschodniego Dallas Robert Herrin mógł nie być uważany za całkowite zero.

Podobne myśli prowadziły do głębokiej depresji, która zdarzała mu się codziennie. W takich chwilach szedł do baru obok na kilka kolejek tecates. Rozmyślania te przerwał Roberto, zjawiając się z dwiema szklankami mrożonej herbaty, które postawił na stole, następnie rozłożył gościom serwetki na kolanach, na co Bobby aż podskoczył - jeśli w jego ulubionej restauracji ktoś się tak nachylał, to niechybnie sięgał po portfel. Kiedy Roberto się oddalił, Bobby wsypał dwie saszetki cukru do herbaty, wypił pół szklanki i powiedział:

- Trochę się zdziwiłem, kiedy rano odebrałem od ciebie wiadomość, Scotty. No, telefon od twojej sekretarki. Ale znasz mnie, darmowego lunchu nie odpuszczam.

- Jak żyjesz, Bobby?

Bobby przyglądał się Scottowi siedzącemu na wprost niego w drogim garniturze, wykrochmalonej koszuli i markowym krawacie. Scotty wyglądał jak książę Dallas i Bobby zastanawiał się, dlaczego naprawdę jego stary przyjaciel chce wiedzieć, jak Bobby Herrin żyje. Kiedy Bobby spotykał dawnego kolegę ze studiów, któremu wiodło się lepiej - czyli mówiąc wprost, każdego kolegę ze studiów - obaj czuli się nieswojo i salwowali się ucieczką. Ale stąd nie było ucieczki.

Dlatego Bobby odpowiedział:

- Scotty, kiedy wstajesz rano, czy masz pewność, że spotka cię dziś coś dobrego?

Scotty marszczył czoło przez chwilę, po czym wzruszył ramionami i odrzekł:

- Tak, Chyba tak.

- Dlaczego?

Znów wzruszenie ramion.

- Bo mnie się zawsze przytrafia coś dobrego.

- Najlepszy zawodnik, najlepszy student, najprzystojniejszy facet na roku, który żeni się z najpiękniejszą czirliderką, zostaje bogatym prawnikiem i żyje długo i szczęśliwie?

Scotty ponownie uśmiechnął się szeroko.

- Coś w tym guście.

- Właśnie, jakbym przy tym był.

- Tak.

- Cóż. Widzisz, Scotty, nie każdy tak ma. Ja nie budzę się z przeświadczeniem, że dziś przydarzy mi się coś dobrego. Budzę się i zastanawiam, co mi znów spadnie na łeb.

Scotty wpatrywał się w swój kieliszek na wodę z taką samą miną, jaką Bobby widział u dawnych kolegów ze szkoły i studiów, na których wpadał przez te wszystkie lata. Była to mina wyrażająca skrajne zażenowanie. Ale zabrnął za daleko, żeby się teraz powstrzymać.

- Skończyłeś studia z najlepszym wynikiem, Scotty. Ja; po prostu je skończyłem. Pamiętasz ten stary dowcip z prawa? Jak wołają lekarza, który ukończył studia na ostatnim miejscu na roku? Lekarz. A jak wołają prawnika, który ukończył studia z ostatnią lokatą? Rzadko. - Bobby wbił wzrok w srebrny widelec, którym się od jakiegoś czasu bawił. - No, ale to tyli ko dowcip.

Scotty nie od razu odpowiedział, Bobby podniósł więc wzrok, oczekując wyniosłego skrzywienia ust. Zamiast tego jednak zobaczył w oczach starego przyjaciela prawdziwą troskę. Scotty i Bobby byli nierozłączni w college u i na wydziale prawa: mieszkali razem, uczyli się razem, upijali się razem,; łajdaczyli się razem (choć Bobby dostawał towar już przetestowany) i razem grali w kosza i golfa. Byli jak bracia, aż do dnia, w którym firma Ford Stevens zatrudniła Scotta, oferując pensję roczną w wysokości stu tysięcy dolarów. Od tamtej pory nie rozmawiali ze sobą.

- Sprawy nie mają się najlepiej, co? - zapytał Scotty.

- Klienci, którzy znajdują cię w panoramie firm, nie płacą najlepiej. - Bobby wzruszył ramionami i starał się uśmiechnąć. - Cóż, życie po prostu nie wypaliło.

Scotty wyprostował się na krześle.

- Bobby, zjedzmy więc coś i porozmawiajmy o tym. Fenney podniósł palec do góry i momentalnie zjawił się kelner.

Bobby przeglądał menu z daniami, które kosztowały więcej niż jego garnitur, kiedy usłyszał ciężki latynoski akcent:

- Pan Herrin?

Spojrzał na kelnera, młodego Latynosa, który doskonale wyglądał, wyprostowany jak struna, w swoim służbowym stroju. Zdawało mu się, że poznaje tę twarz.

- Panie Herrin, to ja, Carlos. Carlos Hernandez. Pamięta pan, w zeszłym roku? Był pan moim adwokatem. No, posiadanie narkotyków z podejrzeniem o dystrybucję.

Wielu klientów Bobby'ego wyglądało bardzo podobnie - byli to młodzi mężczyźni, śniadzi lub czarni, oskarżani o te same przestępstwa: posiadanie nielegalnych substancji, posiadanie i podejrzenie o dystrybucję nielegalnych substancji, zamierzone rozprowadzanie nielegalnych substancji. Byli tylko drobnymi ćpunami złapanymi w krzyżowy ogień walki z narkotykami. Czasami kojarzył jakiegoś klienta po charakterystycznych tatuażach - doskonale pamiętał klienta o imieniu Hector (zamierzone rozprowadzanie nielegalnych substancji),

ponieważ całe jego ciało to był jeden wielki malunek, obrazek na cześć Maryi Dziewicy - ponieważ jednak Carlos był ubrany od stóp do głów, Bobby nie mógł pamiętać, czy to Carlos, Jorge, Ricardo czy może Lupe. Powiedział jednak:

- O tak, Carlos. Jak ci leci, stary? Jesteś czysty, mam nadzieję?

Carlos odpowiedział szerokim uśmiechem i jeszcze większym kłamstwem.

- Tak, sir. Tak, panie Herrin. Nigdy nie są czyści.

- To dobrze, zuch chłopak.

Scotty zamówił łososia, a Bobby duży stek z kością. Kiedy Carlos odszedł, Bobby wskazał za nim.

- Mój najlepszy klient.

- Często bronisz w sprawach kryminalnych? Bobby pokiwał głową.

- Wsadzie reprezentuję środowisko drobnych przestępców. Faceci tacy jak Carlos nie rabują Banku Rezerw Federalnych.

- W sądzie federalnym?

- Tak, odkąd wszystkie przestępstwa związane z narkotykami trafiły pod jurysdykcję sądów federalnych.

Carlos wrócił wkrótce z lunchem i obaj przyjaciele jedli, śmiali się, wspominając stare czasy, kumpli ze studiów, dobre chwile i rodziny. Scott nie wiedział, że Bobby ożenił się i rod wiódł dwa razy. Z kolei Bobby nie wiedział, że matka Scotta zmarła ani że jego rozmówca ma córkę. I przez krótką chwilę, tak jakby nie było tych jedenastu lat, znów byli najlepszymi przyjaciółmi. Ale Bobby wiedział, że był tylko kopciuszkiem na balu u księcia Dallas i wkrótce opuści szykowny klub, wróci do swojego obskurnego biura we wschodnim Dallas, aby dalej wieść gówniane życie i reprezentować klientów takich jak Carlos.

Kiedy więc zjadł już stek, odsunął talerz na bok i powiedział:

- Scotty, dzięki za lunch, stary. Było fajnie, powspominaliśmy i w ogóle. Ale wiem, że nie zaprosiłeś mnie tutaj na wspominki, nie po tylu latach. O co chodzi?

Fenney rozejrzał się wokół, pochylił nad stołem i cicho odpowiedział:

- Buford wyznaczył mnie, żebym reprezentował w sądzie prostytutkę, która zabiła Clarka McCalla.

Bobby prawie udławił się mrożoną herbatą.

- Zalewasz. - Nie.

Bobby Herrin może i nie był największym bystrzakiem palestry, ale niemal od razu wyczuł, co jest grane: Scotty Fenney dawał mu kolejny ochłap z pańskiego stołu.

- Chcesz ją podnająć? Scotty pokiwał głową.

- Powiem ci, o co chodzi. Spotkałem się z oskarżoną dziś rano. Nazywa się Shawanda Jones. Jest czarną panienką do towarzystwa i heroinistką. Jezu, prawie mi zarzygała garnitur! Mówi, że go nie zabiła, ale to chyba gówno prawda, bo jej spluwa była narzędziem zbrodni. Mówi, że McCall zgarnął ją z Harry Hines Boulevard, zaproponował tysiąc dolarów za noc, zabrał do domu, zaczął ją lać, przeklinać i - tu głos Scotta znów przeszedł w szept - mówił słowa na „cz". - Wrócił do normalnego głosu. - Nieważne. Bili się. Kopnęła go w jaja, zabrała forsę, którą jej obiecał, i kluczyki do samochodu, pojechała z powrotem na Harry Hines Boulevard i porzuciła samochód. Policja znalazła odciski palców na broni. Dziewczyna była już notowana za prostytucję, zgarnęli więc ją na drugi dzień. Nie chce się poddać wyrokowi, chce procesu. Bobby, Ford Stevens nie może reprezentować dziwki! Bobby kiwnął głową.

- Dobra.

- Co „dobra"?

- Biorę ją. Jaka kasa?

- Pięćdziesiąt dolarów za godzinę?

- Plus koszty.

- Na przykład?

- Prywatny detektyw, ekspertyzy, testy DNA...

- Dobra, ale nie przeginaj.

- Tak, w końcu to tylko durna asfaltowa.

- Tego nie powiedziałem, Bobby.

- Przepraszam. Cios poniżej pasa. Kiedy wstępne przesłuchanie?

- Jutro rano. O dziewiątej.

- Będę.

Wstali. Bobby wyciągnął kwit parkingowy.

- To kasują gości czy nie?

***

Klub sportowy z siłownią mieścił się na ostatnim piętrze budynku przylegającego do Dibrell Tower i był z nim połączony klimatyzowanym pasażem, Scott Fenney nie musiał się więc pocić w drodze na swój codzienny trening. Większość biurowców w centrum Dałaś było połączonych wiszącymi pasażami lub klimatyzowanymi podziemnymi tunelami, żeby prawnicy, bankierzy i biznesmeni nie musieli wychodzić na skwar ani też mieszać się z włóczęgami i ulicznymi straganiarzami, którzy nazywali ulice w centrum swoim domem. Była to uzasadniona ostrożność, szczególnie po tym, jak kilka lat temu pewien bezdomny

napadł na policjanta, wyrwał mu broń i zastrzelił go, przystawiając mu lufę do twarzy po drugiej stronie ulicy, naprzeciw śródmiejskiego baru McDonald's.

Scott właśnie przeszedł przez jeden z takich pasaży. Było wpół do szóstej. Spoglądał teraz z góry na Dallas, biegnąc dziesięć kilometrów na godzinę na bieżni treningowej pod kątem dziesięciu stopni, i czuł się cholernie wyjątkowy. Nie było to nowe uczucie. Scott Fenney zawsze czuł się wyjątkowy, przez całe życie. Jego ojciec, Butch, powiedział mu to, kiedy Scott mający zaledwie osiem lat, po raz pierwszy założył ochraniacze i odkrył swój talent do futbolu na boisku dla maluchów.

- Masz dar, Scotty - powiedział wtedy Butch. Później jego matka powiedziała to samo:

- Masz dar, ale nie chodzi mi o futbol.

Nigdy się nie dowiedział, o co jej chodziło, bo niedługo potem matka umarła.

Ale te słowa głęboko zapadły w jego jaźń i rosły, pielęgnowane przez osiem lat wyczynów futbolowych w szkole średniej i na studiach. Fani, studenci, czirliderki, kibice, trenerzy i dziennikarze - wszyscy zapewniali go codziennie, że Scott Fenney jest naprawdę wyjątkowy. Ta cecha stała się jego wyznacznikiem, podobnie jak błękit oczu. I zawsze była z nim, rosła tylko w siłę przez trzy lata studiów prawniczych na SMU i jedenaście lat pracy w firmie Ford Stevens. Ale teraz, w odróżnieniu od zdolności sportowych, to pieniądze czyniły Scotta Fenneya wyjątkowym. Pieniądze na tyle duże, że mógł sobie pozwolić na kupno posiadłości, ferrari, doskonałego życia, a nawet starego przyjaciela.

Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin, jakie minęły od telefonu sędziego federalnego, umysł Scotta był czysty, nastrój wyśmienity, a oczy spoglądały na tyłeczek dziewczyny biegnącej na bieżni z przodu. Jej niesamowite pośladki prawie w ogóle się nie chybotały, a tylko unosiły się w górę i opadały w dół jak tłoki doskonałego silnika. Scott oderwał wzrok od jej tyłka i spojrzał w lustro po prawej stronie i przyłapał dziewczynę na bieżni z tyłu, jak taksuje jego sprężyste pośladki. Ich spojrzenia się spotkały. Dziewczyna mrugnęła do niego, wywołując falę upajającej męskiej jurności, która rozchodziła się po nerwach i żyłach w całym ciele jak narkotyk, pompując energię w mięśnie. Zwiększył prędkość na bieżni do piętnastu kilometrów. Uwielbiał być wyjątkowy.

***

Kiedy tego wieczoru Scott wszedł do sypialni Boo, córka siedziała już w piżamie w łóżku oparta na poduszkach. Z wyszczotkowanymi włosami i wyszorowaną buzią siedziała, trzymając ręce na kolanach. Pachniała świeżymi truskawkami. Ustawiła sobie koło łóżka krzesło, na którym leżała książka, jaką Scott czytał jej teraz do snu. Scott wziął książkę do ręki, wolną dłonią potarł oczy i nałożył okulary.

- Gdzie to skończyliśmy? - zapytał.

- Na numerze sześć - odpowiedziała Boo.

Scott otworzył książkę na stronie, na której znajdowała się Szósta Poprawka do konstytucji. Nauczycielka Boo wspomniała na lekcji o Karcie Praw, z oczywistych względów Boo chciała więc wiedzieć wszystko na temat tych praw, o których posiadaniu nie miała wcześniej najmniejszego pojęcia.

Zaczął czytać:

- *Przy wszelkich oskarżeniach o przestępstwo kryminalne oskarżony ma prawo do szybkiego publicznego procesu.* - Podniósł wzrok. - Jak myślisz, co to znaczy?

- Policjanci nie mogą mnie zaaresztować i wyrzucić klucza od celi.

- Właśnie. I twój proces nie może być utrzymywany w tajemnicy.

- Jeśli więc ta prostytutka, której obroną masz się zająć, nie będzie chciała oddać się do dyspozycji sądu, to każdy może przyjść na jej rozprawę.

- Tak. I nie zrobi tego.

- Nie zrobi czego?

- Nie odda się do dyspozycji sądu.

Boo pochyliła się do przodu z oczami jak spodki.

- Rozmawiałeś z nią?

- Dziś rano w areszcie.

- Jaka jest?

Scott wzruszył ramionami.

- Młoda, niewykształcona, na głodzie. Mówi, że jest niewinna.

- A myślisz, że jest? Scott potrząsnął głową.

- Nie. Jej broń była narzędziem zbrodni i były na niej jej odciski palców.

- Miała broń? - Tak.

- Kurde... To znaczy... ale numer!

Boo oparła się na poduszkach, wrócił więc do czytania:

- *Sądzony przez bezstronnych sędziów.* Wiesz, co znaczy słowo „bezstronny”?

Pokręciła głową.

- Ee...

- To znaczy, że sędziowie nie powinni być uprzedzeni do oskarżonego. „Uprzedzony” oznacza, że ktoś nienawidzi drugiego człowieka dlatego, że jest inny.

Kiwnęła głową.

- Rozmawialiśmy na ten temat w szkole podczas ostatniego Kwanzaa. Jeśli więc ktoś nienawidzi czarnych, nie może być sędzią przysięgłym tej prostytutki.

- Właśnie tak.

- A skąd to wiadomo?

- Zadaje się kandydatom na przysięgłego odpowiednie pytania, zanim zostaną przysięgłymi.

- Na przykład jakie?

- W jej wypadku pytania powinny dotyczyć tego, czy nie są uprzedzeni do czarnych, prostytutek lub narkomanów.

- Ale mogą powiedzieć, że nie są.

- Cóż, nie zadaje się pytań wprost. Trzeba pytać podchwytliwie, na przykład, hm... Czy był pan w domu u kogoś o czarnym kolorze skóry? I obserwuje się, jak reaguje, na przykład kiedy biały siedzi obok czarnego: czy się odsuwa.

- A ty?

- Co ja?

- Byłeś kiedyś w domu u czarnoskórego? - Nie.

- Ale nie jesteś uprzedzony, co?

- Nie, Boo. Oczywiście, że nie. Miałem czarnych kumpli, kiedy grałem w piłkę w SMU.

- Na przykład kogo?

- Był Rasheed... i Leroy... i Wielki Charlie... Uśmiechnęła się.

- Kto to jest Wielki Charlie? Teraz Scott się uśmiechnął.

- Charles Jackson. Był moim prawoskrzydłowym obrońcą. Blokował dostęp do mnie. Wiele razy uratował mnie na boisku... a kilka razy poza boiskiem.

- Kolegowaliście się? Scott pokiwał głową.

- Tak. Był fantastycznym kumplem.

- Nie żyje?

- Nie... chyba żyje.

- Czemu się więc już nie przyjaźnicie? Scott wzruszył ramionami.

- On przeszedł na zawodowstwo. Ja poszedłem na prawo, traciliśmy ze sobą kontakt.

Pokiwała głową.

- Jedynym więc powodem, dla którego nie masz czarnych klientów, jest to, że reprezentujesz firmy, a nie osoby?

- Otóż to.

Wskazała na książkę.

- Co dalej?

Scott znów zaczął czytać:

- *Ma prawo do poznania natury i przyczyny oskarżenia*. Oznacza to, że muszą ci powiedzieć, o jakie przestępstwo jesteś oskarżany.

- Morderstwo. O to oskarżają tę prostytutkę.

- Tak. - Wrócił do czytania. - *Ma prawo być skonfrontowany ze świadkami zeznającymi przeciwko niemu*. To oznacza, że prokuratura musi przedstawić w sądzie świadków zeznających przeciwko oskarżonemu. *Obowiązkowo ma prawo do przedstawienia swoich świadków*. To z kolei oznacza, że możesz powołać swoich świadków, żeby się bronić.

- Ta prostytutka może więc znaleźć ludzi, którzy powiedzą, że tego nie zrobiła.

- Oczywiście. Jeśli kogoś znajdzie. I *ma prawo do adwokata do swojej obrony*.

- Kto to jest adwokat?

- Prawnik.

- Ta prostytutka ma prawo do prawnika?

- Tak, ma.

- Nawet jeśli ci nie może zapłacić?

- Tak.

- Dlaczego?

- Co „dlaczego”?

- Dlaczego może cię mieć za darmo, kiedy wszyscy inni muszą ci płacić trzysta pięćdziesiąt dolarów na godzinę?

- Cóż, Jerzy Waszyngton i pozostali ojcowie założyciele... Słyszałaś o nich? - Pokiwakugłową. - Otóż doszli oni do wniosku, że to nie byłoby w porządku oskarżać kogoś o przestępstwo nie dając mu prawnika, który by go bronił.

- Bo mógłby być niewinny, a gdyby nie miał prawnika, który dowiedzie, że jest niewinny, to i tak mógłby trafić do więzienia.

- Właśnie... Ale prawnik nie ma udowodnić, że oskarżony jest niewinny, to państwo musi udowodnić, że jest winny. I to jest zadanie prawnika, Boo, żeby się upewnić, że udowodnią temu człowiekowi winę ponad wszelką wątpliwość.

- Czy państwo udowodniło, że twoja prostytutka jest winna?

- Jeszcze nie. I to nie jest moja prostytutka, Boo. To moja klientka.

- Ale chciałeś, żeby poddała się wyrokowi, żeby powiedziała, że jest winna.

- Tak, żeby wyznała, że to zrobiła.

- Żeby państwo nie musiało udowadniać, że jest winna?

- Właśnie tak.

- Po co więc jesteś jej potrzebny? Scott zachichotał.

- Cóż, mam... To znaczy... Sąd wyznacza adwokata, nawet jeśli jest winna i postanawia złożyć zeznania. Żeby wszystko było zgodnie z prawem.

- A sędzia wyznaczył ciebie, żeby mieć pewność, że wszystko idzie zgodnie z prawem?

- Tak, ale ona nie chce przyznać się do winy. Chce procesu, dlatego ją podnająłem.

Zmarszczyła brwi.

- Wyjaśnij mi to.

- Podnająłem ją mojemu dawnemu kumplowi z prawa, który będzie ją reprezentował w sądzie.

- Dlaczego?

- Bo ja jestem bardzo zajęty.

- Jesteś zbyt zajęty, żeby skłonić państwo, by udowodniło że ona jest winna?

- Tak. Dlatego płacę koledze, żeby zrobił to za mnie.

- Tak jak ja zapłaciłabym koleżance za odrobienie mojego zadania domowego?

- Otóż to... Nie, nie aż tak. Lekcje trzeba odrabiać samodzielnie, Boo.

- Dlaczego?

- Bo inaczej to jest oszustwo.

- Ale jak się jest prawnikiem, to nie jest oszustwo?

- Tak... No, nie. To znaczy... To bardzo skomplikowane, Boo. Wskazała palcem na książkę.

- Czy ta Szósta Poprawka ma jedno z tych... Jak to się mówi? Zatrze...

- Zastrzeżeń?

- Tak, zastrzeżeń.

- Co masz na myśli?

- Zastrzeżenie, że jak prawnik jest bardzo zajęty, to nie ma się prawa do adwokata?

- Nie. Ale on nie ma prawa do konkretnego prawnika, ma prawo po prostu do prawnika.

- Jakiegokolwiek? - Tak.

- Nawet złego prawnika?

Scott wzruszył ramionami.

- Tak.

- Czy twój kolega jest dobrym czy złym prawnikiem?

- Nawet nie wiem.

- Jest tak dobry jak ty? Scott się uśmiechnął. - Nie.

- Czyli sędzia wyznaczył ciebie na jej obrońcę, a ty jesteś świetnym prawnikiem, ale teraz będzie skazana na twojego kolegę, który wcale nie jest taki świetny?

- Tak. Nie każdy może mieć takiego prawnika jak ja.

- Tylko wielkie firmy, które płacą ci trzysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę.

- Właśnie.

Westchnęła.

- Zdaje się, że to żadna rewelacja ta cała poprawka.

- Co takiego?

- To prawo do posiadania kiepskiego adwokata.

Rozdział ósmy

Następnego dnia rano Scott ponownie pojawił się w budynku federalnym za kwadrans dziewiąta, nie mogąc się doczekać, żeby przekazać Shawandę Jones Bobbyemu Herrinowi i wrócić do doskonale poukładanego życia. Przed budynkiem został napadnięty przez ekipę telewizyjną i dziennikarzy, podtykających mu mikrofony pod nos i wykrzykujących pytania. Przepchnął się przez nich, kilkakrotnie rzucając „Bez komentarza", i wszedł do budynku. Pojechał windą na piętnaste piętro, gdzie zastał Bobbyego Herrina czekającego przed salą sądową sędziego Buforda. Bobby miał na sobie ten sam garnitur i śmierdział papierosami. Przeszli przez wysokie podwójne drzwi i zajęli miejsca w ławkach, siadając wraz z innymi adwokatami oczekującymi na przesłuchania i orzeczenia w sprawie swoich klientów.

Przez trzy dekady sędzia Samuel Buford rządził na tej sali. I patrząc na oczekujących oskarżonych, dilerów narkotykowych, którym postawiono zarzuty w sądzie federalnym, czarnych, brązowych i zdenerwowanych, na przestępców wyglądających jak urzędnicy - białych, dobrze ubranych, oburzonych, że pieniądze podatników marnuje się na oskarżanie ich o defraudację i nadużycia podatkowe (wszyscy się zastanawiali, czy dostaną wyrok w zawieszeniu, czy też spędzą w więzieniu federalnym od pięciu do dziesięciu lat) - Scott nie mógł pohamować myśli, że oto życie wszystkich tu obecnych uległo zmianie za sprawą jednego sędziego. Przy takiej złowrogiej sile trudno było wygrać z prawem. Woźny wywołał pierwszą sprawę z wokandy:

- Stany Zjednoczone Ameryki przeciw Shawandzie Jones.

Scott założył okulary - zawsze nosił okulary na sali sądowej - i wraz z Bobbym wstali i przeszli przez barierkę do miejsca zajmowanego przez obronę. Podszedł do nich trzydziestoletni prokurator.

- Co, Bobby, wchodzisz do pierwszej ligi? - zapytał. Uśmieszek na twarzy zdradzał, że był to wredny przytyk, a nie komplement. - Nie wiedziałem, że to twoja sprawa.

- Ja tylko staram się pomóc niewinnej kobiecie atakowanej przez nadgorliwego prokuratora - odparł Bobby niewzruszonym głosem.

Ray zachichotał i odparł.

- Jasne, że tak.

Następnie wyciągnął rękę do Scotta.

- Ray Burns, zastępca prokuratora rządu Stanów Zjednoczonych.

Scott uścisnął dłoń Burnsa i odparł:

- Scott Fenney z firmy Ford Stevens.

- Słyszałem, że Buford wyznaczył znanego mecenasa do tej sprawy - powiedział Burns. Odwrócił dłonie w obronnym geście, spoglądając to na Bobby'ego, to na Scotta. - To jak, wymigujesz się od obrony oskarżonej?

- Nie, nie wymiguję się. Staram się zrobić, co należy, i wynajmuję jej prawdziwego procesowego karnistę.

- Zrobić co należy? - odezwał się Burns z tym samym uśmieszkiem, nad którym najwyraźniej już nie panował. - Dla mnie to wygląda jak klasyczne wymigiwanie się.

Ray Burns, zastępczy patafian rządu Stanów Zjednoczonych, wrócił na miejsce oskarżenia, aż kulejąc pod brzemieniem przygniatających go zaszłości. Prawnicy urzędowi zawsze noszą to brzemię w kontaktach z mecenasami z dużych firm, takimi jak Scott, ponieważ to nie ich wybrano jeszcze na studiach. Jeśli to możliwe, absolwent prawa dostaje się do wielkiej firmy, jeśli niemożliwe, wykłada na uczelni, a jeśli nie może wykładać na wydziale prawa, to zatrudnia go Wujek Sam.

Bobby nachylił się do Scotta i wyszeptał:

- Burns to kutafon. Stara się zebrać odpowiednią liczbę skazanych, żeby mógł się przenieść do Waszyngtonu. Skurwysyn zamknął na dobre kilku moich klientów za posiadanie. Oczywiście nazwał to „zamiarem rozpowszechniania".

Otworzyły się boczne drzwi i pojawiła się w nich dziwna czarna strażniczka w śnieżnobiałym stroju. Scott wpatrywał się w nią kilka chwil, zanim nie uświadomił sobie, że to Shawanda. Wczoraj wyglądała koszmarnie, dzisiaj wyglądała, jakby miała zaraz skonać.

Znajomy czarny strażnik prowadził ją przez salę, niemal unosząc ją pod ramię, w kierunku Scotta. Kiedy stanęła koło niego, jej twarz wyglądała jak jedna wielka brązowa zmarszczka.

- Dzień dobry, Shawando.

Całe jej ciało trzęsło się, drgało i skręcało. Scott niemal chciał ją objąć, żeby ją rozgrzać, jak to robił z Boo, kiedy wychodziła z basenu, dygocząc, ale w ostatniej sekundzie, przypominając sobie, że niemal zwymiotowała na jego drogi garnitur, powstrzymał się od tego. Odsunął się od niej o krok.

- Kto to jest ten facet, panie Fenney? - zapytała słabym głosem, wskazując na Bobbyego.

- To Bobby Herrin, twój adwokat.

- Myślałam, że pan jest mój adwokat.

- Shawando, ja reprezentuję firmy, a nie przestępców... To znaczy... ludzi oskarżonych o popełnienie przestępstw. Wynająłem ci prawdziwego adwokata od spraw kryminalnych.

- Proszę wstać, sąd idzie!

Głos woźnego zadudnił i wszyscy w sali podnieśli się z miejsc, kiedy sędzia Samuel Buford wyłonił się zza drzwi przy ławkach. Miał wygląd typowego sędziego federalnego: białe włosy, patrycjuszowska twarz, okulary w czarnych oprawkach i czarna toga. Usiadł w ławie, która znajdowała się nieco wyżej niż pozostałe, jakby na podkreślenie wyjątkowej mocy prawa. Żeby spojrzeć mu w oczy, Scott musiał unieść głowę o dwadzieścia stopni.

- Proszę usiąść - powiedział sędzia. Szeleścił przez chwilę papierami na stole, spoglądając znad okularów najpierw na Raya Burnsa, później na Scotta, Shawandę i Bobby'ego. W końcu rzekł: - Stany Zjednoczone Ameryki przeciwko Shawandzie Jones. Przesłuchanie wstępne.

Ponownie popatrzył na Shawandę.

- Pani Jones, dobrze się pani czuje?

Był jak ojciec pytający córeczkę, czy nic się jej nie stało po upadku z roweru. Shawanda pokiwała głową i teraz sędzia zwrócił się do prawników.

- Panowie, proszę się przedstawić. Burns powiedział:

- Ray Burns, zastępca prokuratora Stanów Zjednoczonych, z ramienia rządu.

Następnie odezwał się Scott:

- A. Scott Fenney, kancelaria Ford Stevens, za oskarżoną. Jeśli mogę, wysoki sądzie, moja firma wyznaczyła pana mecenasa Roberta Herrina do reprezentowania oskarżonej. Pan Herrin jest szanowanym karnistą procesowym w Dallas. Posiada on znacznie więcej doświadczenia w tego typu sprawach niż ja i będzie w stanie zapewnić oskarżonej bardziej

kompetentną obronę. Jeśli wysoki sąd pozwoli, wycofam się z reprezentowania oskarżonej na rzecz obecnego tu pana mecenasa Herrina.

Sędzia przypatrywał się Scottowi znad okularów, a na jego ustach pojawił się cierpki uśmiech.

- Tak naprawdę nigdy nie chciał pan być drugim Atticusem Finchem, co, panie Fenney?

Scott nie wiedział, jak ma na to odpowiedzieć. Uśmiech spełzł z twarzy sędziego, ustępując miejsca pełnej zawodu minie, która z jakiegoś powodu zaniepokoiła Scotta. Sędzia westchnął i spuścił wzrok. Zaczął pisać coś, co jak podejrzewał Scott, było protokołem sprawy, oficjalnie wprowadzając mecenasa Roberta Herrina jako adwokata oskarżonej w miejsce mecenasa A. Scotta Fenneya. Scott ucieszył się jak dziecko, wiedząc, że za chwilę będzie mógł wyjść z sali.

Sędzia powiedział:

- Jeśli to odpowiada pani Jones...

***

Shawanda Jones pocierała twarz, ale jej skóra wciąż była zdrętwiała. Nie spała od czterdziestu ośmiu godzin - głód narkotykowy trzymał ją na nogach dzień i noc. Od kiedy zaczęła zażywać narkotyki, nigdy tak długo nie była na głodzie, i to ją wykańczało. Miała mętlik w głowie i nie była w stanie się skupić. Czuła otępiający ból głowy, który nie chciał ustąpić. Bolało ją całe ciało. Każdy mięsień i każda kość tętniły bólem, a od wstrząsających jej ciałem dreszczy pojawiła się gęsia skórka.

Suchymi, przekrwionymi oczami spojrzała na białego mężczyznę siedzącego obok, na tego mecenasa Roberta Herrina. Był niski, miał brzuch i w młodości musiał przejść prawdziwą inwazję trądziku, bo jego twarz była poorana bliznami. Było widać, że zapomniał rano umyć rudawe włosy. Miał na sobie najtańszy garnitur, jaki kiedykolwiek widziała na białym prawniku - to cholerstwo błyszczało we fluorescencyjnym świetle na sali! Biała koszula już pożółkła, a w kołnierzyku z zapinanymi bocznymi guzikami jednego brakowało. Jego krawat aż krzyczał „Wyprzedaż w sklepie Ciuch za Grosik!”. Bez wątpienia zarabiała więcej pieniędzy w najstarszym zawodzie świata niż on w swojej kancelarii.

Jej spojrzenie powędrowało następnie do drugiego białego, pana Fenneya. Wysoki blondyn i do tego przystojny. Miał na sobie ciemny garnitur w jodełkę, który wisiał mu na szerokich ramionach jak jedwabna suknia, śnieżnobiałą koszulę z prawdziwymi spinkami, jedwabny krawat w kolorze dojrzałego kasztana, i wyglądem przypominał najwredniejszego

alfonsa w jej czynszówkach. Miał to spojrzenie, które mówiło: „Jestem ogierem”. Ogier czy frajer?

Shawanda miała dwadzieścia cztery lata. Dała nogę ze szkoły w wieku piętnastu lat, kiedy zaszła w ciążę. Miała za sobą tylko dziewięć lat szkoły. Ale głupia nie była. A poprzednie doświadczenia z amerykańskim systemem prawnym nauczyły ją czegoś ważnego, czegoś, czego nie zapomni przez całe życie: bogaty prawnik to dobry prawnik, biedny prawnik to zły prawnik. Spojrzała na sędziego i rzekła:

- Nie. Nie odpowiada!

***

Serce Scotta zamarło, kiedy dotarły do niego słowa stojącej obok Murzynki. Sędzia gwałtownie uniósł głowę. Wlepił spojrzenie w Shawandę Jones. Scott odwrócił się i wpatrywał w nią intensywnie, dławiąc w sobie gwałtowną chęć zaduszenia klientki, która nie chciała się od niego spokojnie odczepić.

- Co takiego? - zapytał sędzia.

- Mnie to nie pasuje! - powiedziała Shawanda. Wskazała drżącym palcem na Scotta. - Sędzio, jestem niewinna i chcę, żeby pan Fenney był moim prawnikiem.

Sędzia zdjął jednym ruchem okulary z nosa i skinął głową w kierunku Scotta.

- Panie Fenney, czy nie uzgodnił pan z klientką przed rozprawą, że będzie wnosił o wyznaczenie zastępczego obrońcy?

Scott odchrząknął.

- Nie, wysoki sądzie.

- To może powinien był pan to zrobić. - Sędzia zwrócił się znów do Shawandy. - A dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego chce pani, żeby pan Fenney był pani obrońcą?

- Sędzio, ja mu wierzę. Przy nim czuję się pewnie. Wiem, że może mnie uniewinnić.

Sędzia ponownie zwrócił się do Scotta.

- Panie Fenney, oskarżona ma prawo do obrony, decyzja należy więc do niej.

- Wysoki sądzie, mogę zamienić słówko z panią Jones? Sędzia machnął tylko ręką.

Scott stanął między sędzią a Shawanda i pochylił się nad nią, szepcząc przez zaciśnięte zęby:

- Słuchaj, do cholery! Moja firma wynajmuje ci prawnika. Mam za dużo roboty, żeby zajmować się twoim procesem. Nie będę twoim obrońcą. A teraz grzecznie powiesz sędziemu, że chcesz, żeby Bobby był twoim adwokatem.

Scott wyprostował się i stanął twarzą do sędziego. Sędzia uniósł dłonie.

- Tak, pani Jones?

Shawanda znów odwróciła się w stronę Roberta Herrina. „Frajer!”. Potem w stronę A. Scotta Fenneya. „Kosa!”. Wskazała na Fenneya i powiedziała:

- Chcę tego!

***

- Jezusie, Maryjo i Józefie święty! - Dan Ford był naprawdę wściekły. - Cholerna zdzira trzyma za jaja całą firmę!

Scott właśnie przyszedł z sądu, przynosząc złe wieści.

- Możemy oprotestować to powołanie? - zapytał Scott.

- Do diabła, nie! Nawet gdybyśmy mogli, nie zrobilibyśmy tego. To by wkurzyło Buforda na amen. Nie moglibyśmy nawet wejść do jego sądu bez bólu.

- To co ja mam zrobić?

Dan patrzył na swojego protegowanego, najwspanialszego młodego prawnika, jakiego spotkał w ciągu trzydziestu pięciu lat pracy. Chłopak miał wrodzony talent: był zmyślny, zadziorny, wygadany i obdarzony umiejętnością bezwzględnego kasowania klientów, zanim się zorientowali, o co chodzi. Traktował Scotta jak syna.

- Niech Herrin pracuje nad sprawą, niech się gimnastykuje, pisze pisma, wykonuje odpowiednie ruchy i występuje publicznie; to spowoduje, że nazwa firmy nie będzie się pojawiać w gazetach i w telewizji. I żadnych cholernych wywiadów, przypomnij o tym Herrinowi! A ty... - wskazał palcem na Scotta - ty; będziesz pracował na chleb w normalnych warunkach.

Dan sprawdził godzinę i podszedł do wieszaka na płaszcze.

- Informuj mnie na bieżąco. Nie chcę żadnych niespodzianek, Scott.

Scott wyszedł, a Dan założył płaszcz. Miał dziś na sobie czarny garnitur. Musiał iść na pogrzeb.

Rozdział dziewiąty

Większość mieszkańców Highland Park, którzy znali Clarka McCalla, zawsze podejrzewała, że nie dożyje statecznego wieku. Był beztroski i szalony w takim stopniu, na jaki może sobie pozwolić wyłącznie dziecko z bogatego domu. Chłopak z klasy średniej nie ryzykowałby zaprzepaszczenia szansy, jaką otrzymał, dostawszy się do najlepszej szkoły,

żeby nie pójść potem na wydział prawa czy na medycynę. Ale Clark McCall zupełnie się tym nie przejmował - majątek jego ojca był szacowany na jakieś osiemset milionów dolarów.

Dan Ford siedział w świątyni Zjednoczonego Kościoła Metodystów w Highland Park, stojącej na południowym krańcu campusu SMU, czekając na rozpoczęcie nabożeństwa pogrzebowego Clarka McCalla. Znał Clarka od małego, ponieważ znał ojca Clarka od czterdziestu dwóch lat, kiedy to na pierwszym roku w SMU Dan i Mack przystąpili do tego samego bractwa.

Kiedy Ameryka zaangażowała się w wojnę w Wietnamie i Wujek Sam zrobił nabór młodych mężczyzn idących na śmierć, Dan Ford postanowił walczyć na wojnie w prywatnym college'u, a następnie w prywatnej wyższej uczelni prawniczej. Nie poszedł drogą kariery prawniczej dlatego, że pałał gorącą miłością do prawa, ale dlatego, że bał się bardzo konania na jakimś polu ryżowym tysiące kilometrów od domu. Nie był odosobniony w tym lęku: liczba chętnych na amerykańskie wydziały prawa wzrosła dwukrotnie podczas wojny.

Ale kiedy już było wiadomo, w jakim kierunku zmierza jego kariera, Dan Ford ruszył ścieżką prowadzącą do sukcesu. Wiedział, że prawnicy bogacą się przy bogatych klientach. Dlatego więc, mimo że większość świeżo upieczonych studentów zabawiała się chlaniem i łajdactwem po raz pierwszy w życiu z dala od mamusi i tatusia, młody Dan Ford zaczął kręcić się wokół swoich przyszłych klientów.

Mack McCall znajdował się na szczycie tej listy. Kiedy go tylko poznał, wiedział, że Mack zajdzie wysoko. Miał w sobie to coś. Urodzony w Odessie, syn zbira i sam będący zbirem, Mack był zaręczony ze swoją miłością ze szkoły średniej, jedyną córką wiceprezesa firmy naftowej. Jego przyszły teść opłacał Maćkowi naukę w SMU.

Latem Dan praktykował w firmach prawniczych w Dallas, poznając kulisy tego zawodu, a Mack pracował na platformach wiertniczych w zachodnim Teksasie. W tamtych czasach baryłka ropy kosztowała dwa dolary. Mack przewidywał, że cena skoczy do dziesięciu dolarów. Nawet jemu się nie śniło, że będzie kosztować pięćdziesiąt.

W dniu rozdania dyplomów Mack wiedział, jak się wierci szyby. Co ważniejsze, wiedział, gdzie należy wiercić. Przez cztery lata college'u oznaczył każdą studnię i złoże w niecce permskiej. Odkrył pierwszą studnię na niezbadanych terenach latem, tuż po skończeniu szkoły. W czasie, kiedy Dan otrzymał dyplom prawnika, Mack McCall miał już pierwsze dwadzieścia milionów dolarów. Podobnie jak H.L. Hunt i inni nafciarze z Teksasu przed nim, Mack McCall wkrótce znudził się tym, co mógł dostać za swoje pieniądze w miasteczku nafciarskim, i przeprowadził się do Dallas. I Dan Ford zyskał swojego pierwszego bogatego klienta.

Dan spoglądał teraz, jak senator z Teksasu płynął przez tłum w kościele, jakby pogrzeb jego syna był kolejnym elementem kampanii prezydenckiej, chociaż jego twarz przybrała szczególną dla niego wersję miny nieutulonego w żalu. Był przystojnym mężczyzną, z szopą siwych włosów na głowie, zawsze nienagannie ubrany w sposób wywołujący u nastolatków płci męskiej reakcję jednoznaczną: „Ohyda!", ale panie z AARP* postrzegały go jako wybitnie atrakcyjnego.

W tle rozbrzmiewała cicho muzyka organowa, cichły głosy. Dan siedział w ławce pośrodku kościoła, doskonałym punkcie, z którego można było zobaczyć, kto się pojawił, a kto nie. Martha McCall, pierwsza żona Macka i matka Clarka, przyszła wcześniej i usiadła w pierwszej ławce wraz z członkami rodziny. Wyglądała niezwykle staro przy Jean McCall, ale kto by tak nie wyglądał? Martha była jak pierwszy rodzinny wóz drabiniasty zaparkowany obok sportowego samochodu.

Drabiniasty wóz Dana zaparkował obok niego - jego żona miała prawie tyle lat co on i wyglądała właśnie na tyle. Pobrali się zaraz po uzyskaniu przez niego dyplomu i od razu postarali się o potomka, na wszelki wypadek, żeby Dan nie musiał jechać na wycieczkę krajoznawczą do Indonezji, zorganizowaną przez Wuja Sama. W swojej karierze zawodowej Dan miał trzy krótkie romanse, jeśli romansem można nazwać przelecenie sekretarki po pijaku na sofie w biurze po przyjęciu gwiazdkowym, ale nigdy nie rozważał rozwodu z żoną z powodu innej kobiety. Po pierwsze, żadna kobieta nie wykazywała najmniejszej ochoty, żeby zostać jego kolejną żoną, a po drugie, jedyną prawdziwą miłością Dana była jego firma prawnicza.

Na pogrzebie zjawiły się polityczne zwierzęta wszelkiego sortu. Nie przybyli tutaj złożeni żalem z powodu śmierci młodego McCalla, ale z powodów bardziej przyziemnych: prezesi firm potrzebowali głosu McCalla do przedłużenia ulgi podatkowej albo też zwolnienia od uciążliwego przepisu dotyczącego ochrony środowiska, członkowie Kongresu, którzy za nic na świecie nie chcieli narazić się najpotężniejszemu senatorowi, wiceprezydent, bo były tutaj kamery, członkowie gabinetu w nadziei na zostanie członkami administracji McCalla, i sędziowie - sądu federalnego, którzy chcieli zostać sędziami sądu apelacyjnego, oraz sądu apelacyjnego, którzy chcieli zostać sędziami Sądu Najwyższego, a wszystkie nominacje musiały przejść przez Senat. Pogrzeb Clarka McCalla przyciągnął taki zestaw figur ze szczebli rządowych i biznesowych, jakiego Dallas dawno nie oglądał. Kiedy ma się zostać następnym prezydentem, ludzie tłumnie przychodzą na pogrzeb syna.

Przybyły też starsze panie z Highland Park, których nie mogło zabraknąć na żadnym pogrzebie, wspominając, jaki przystojny chłopak był z tego Clarka. Uczestnicy pogrzebu byli

przyjaciółmi rodziny, a nie Clarka. Pojawiło się kilku młodych ludzi w wieku Clarka, którzy sami byli synami wielkich fortun i zawsze już będą ogromnym ciężarem dla swoich rodziców. Ale nie pojawiła się ani jedna młoda kobieta. Zdaje się, że Clark nie miał żadnych przyjaciółek, które opłakiwałyby jego zejście.

Tak samo jak na pogrzebie syna Dana nie byłoby żadnych przyjaciółek, ponieważ ostatnio wyznał, że jest gejem. Bóg jeden wie, ale heteroseksualizm Clarka nigdy nie był kwestionowany. Ile to razy senator dzwonił do Dana w środku nocy, żeby wpłacił za Clarka kaucję w areszcie w Highland Park? Przynajmniej raz w miesiącu podczas jego studiów na SMU i od tamtej pory jakiś tuzin razy. Picie, ćpanie, łajdactwo - z całą stanowczością można było powiedzieć, że Clark McCall żył pełnią życia. Na szczęście chłopak miał na tyle zdrowego rozsądku, że dawał się aresztować w Highland Park, gdzie pieniądze coś znaczyły.

Wielebny podszedł do pulpitu, ludzie zajęli miejsca w ławkach, a muzyka w tle przycichła. Pastor mówił o Bogu, niebie i spokoju wiecznym, o tym, że Clark znajduje się w lepszym ze światów. Kaznodzieja prawił o wieczności, ale do Dana to w ogóle nie docierało. Mamy tylko to, co tu i teraz. Nie ma co czekać na życie wieczne. Bierz, co możesz, dopóki możesz.

Po dziesięciu minutach kazania senator Mack McCall wstał i podszedł do trumny syna stojącej przy ołtarzu, położył dłoń na wieku i zamknął oczy, jakby się modlił. Ale Dan tego też nie kupił - zbyt dobrze znał Macka.

Następnie Mack podszedł do pulpitu i rozejrzał się po zgromadzonych z ponurą miną. Mówił wolno i emocjonalnie o swoim jedynym synu, o tym, że to wbrew naturze, żeby ojciec chował syna, a także o tym, jaki to ból w wieku sześćdziesięciu lat, ale była to nieprawda. Clark sprawiał kłopoty, za co w przemowie Mack obwiniał siebie, a co, jak wiedział na pewno Dan, było wierutnym kłamstwem. Tak naprawdę Mack obwiniał Marthę za to, że nie pozwalała mu posłać chłopaka do szkoły wojskowej o zaostrzonym rygorze, kiedy skończył dziesięć lat. Ale Mack McCall był doskonałym mówcą i na koniec tej mowy pogrzebowej większość uczestników ceremonii szlochała lub też za chwilę miała się rozpłakać.

***

Jego jedyny syn był martwy i leżał w grobie.

Nigdy nie byli ze sobą blisko, Mack McCall i jego syn. Clark był blisko związany z matką, z ojcem łączyły go wyłącznie pieniądze. Mack sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął i otworzył portfel: nie było w nim zdjęcia syna ani żadnej z jego żon, ale był wypchany grubym plikiem podobizn Benjamina Franklina i Ulyssesa S. Granta. Pieniądze i

władza były towarzyszami jego życia, a nie żadna z żon czy syn. Teraz mógł wykorzystać swoje pieniądze, żeby utorować sobie drogę do fotela prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Wydał dwadzieścia pięć milionów dolarów na fotel senatora tylko po to, żeby odkryć, że jedyną władzą senatora jest kontrola nad dostawami wieprzowiny do jego stanu, czyli władza podobna do tej, którą dzierżył listonosz roznoszący czeki z opieki społecznej. Była to jedyna władza, jaka wiązała się z tym urzędem.

Ale Mack McCall chciał zostawić po sobie jakiś ślad na ziemi. Chciał zapisać się złotymi zgłoskami na kartach historii. Zanim się z nią rozwiódł, Martha zasugerowała mu, by założył jakąś fundację, żeby wykorzystał swoje bogactwo na pomoc biednym na świecie: ofiarom AIDS w Afryce, niewykształconym dzieciom w Meksyku, bezdomnym w Ameryce. Ale przy problemach świata nawet osiemset milionów dolarów to była kropla w morzu potrzeb. A poza tym on nigdy nie przejmował się losem biedaków - to nie było w jego stylu. Rozwiódł się więc z Marthą i ożenił z Jean, a teraz wyda konieczną część swojego majątku, by posiąść to, czego pragnął najbardziej - władzę pozwalającą na wysłanie armii Stanów Zjednoczonych na wojnę. Usunie w niebyt kilku bliskowschodnich dyktatorów i wtedy na pewno będzie wymieniony w podręcznikach historii.

Mack stał w sypialni swojej posiadłości w Highland Park, gdzie zamordowano jego syna. Śledził w myślach ostatnie minuty życia Clarka, opierając się na tym, co wyczytał z policyjnych raportów: chwile wypełnione alkoholem, kokainą, żądzą, wściekłością i strachem. I jeszcze ta dziwka - na miły Bóg, jakiś asfalt! Jego syn przeleciał ją, pobił i zginął tu, na tej podłodze, z której FBI zdjęło dywan i zabrało go do analizy. Niemal zobaczył swojego syna leżącego na podłodze i emocje zaczęły brać u niego górę, gdy pomyślał o tym, co zawsze przychodziło mu do głowy, kiedy widział Clarka: jakim popierdolonym nieudacznikiem był jego syn.

Gdyby to był syn kogokolwiek innego, Mack stwierdziłby wówczas, że sobie na to zasłużył. Beztroski gówniarz, który zaciąga dziwkę do domu w Highland Park. Ale to jego syn, dlatego wszystko przedstawiało się inaczej, bo przecież żaden inny mieszkaniec Highland Park nie startował w wyborach prezydenckich. Przez ostatnie dwadzieścia lat każde działanie Macka McCalla, każda przemowa, każde wystąpienie publiczne i głosowanie w Senacie - każde jego tchnienie - było przedmiotem jęczącej troski: „Jak to wpłynie na jego prezydenckie ambicje?”. Nie musiał więc teraz dokonywać specjalnej oceny morderczyni jego syna i jej procesu pod tym samym kątem.

Maćkowi nie podobały się wnioski, do jakich doszedł.

Niejednokrotnie groził Clarkowi wydziedziczeniem, starając się poskromić trudny charakter wizją ubogiej przyszłości. Ale teraz to syn zagroził przyszłości ojca: okoliczności śmierci Clarka i jego styl życia stanowiły poważne zagrożenie dla marzeń Macka o Białym Domu. A Mack McCall nie należał do ludzi potulnie oczekujących na ziszczenie się gróźb.

***

Dwie godziny później Mack stał w otwartych podwójnych drzwiach holu, żegnając tych, którzy przyszli złożyć mu kondolencje. Dan Ford wychodził ostatni. Mack patrzył za Danem, jak szedł długą ścieżką do okrągłego podjazdu, gdzie służący otworzył przed nim drzwi jego mercedesa. Dan Ford będzie współdziałał - lojalność prawnika zawsze można kupić za stosowne honorarium.

- Ten mały Fenney - powiedział Mack. - Ten, który grał w piłkę w SMU, był cholernie dobry, jak sobie przypominam.

Mack zamknął frontowe drzwi i zwrócił się do Delroya Lunda, wielkiego łysego mięśniaka bez szyi. Delroy, dawny pracownik DEA, nie był może najbystrzejszym agentem w kraju i był nieco nieokrzesany - delikatność nie należała do atutów Delroya - ale wykazał się lojalnością jako ochroniarz i zdolny śledczy, odkrywając brudne sekreciki senatorów przeciwnych stanowisku Macka w sprawie tuszy wieprzowych w Senacie. Okazał się też bardzo pomocny podczas rozwodu z pierwszą żoną.

- Dowiedz się wszystkiego na temat tego Fenneya. Podkreślam: wszystkiego. Chcę mieć wyciągi z indeksu, z banku, kredyty i zwroty podatku. Chcę poznać jego klientów, przyjaciół, wrogów. Chcę wiedzieć, czy pierdoli się na prawo i lewo i czy jego żona w rym czasie nie robi tego samego. - Wycelował palec w swojego zaufanego człowieka. - Delroy, chcę wiedzieć, jaką wali kupę co rano. Zrozumiałeś? Delroy pokiwał głową.

- I żadnych rozwiązań siłowych tym razem, Delroy. Ja chcę mieć tylko nad nim pełną kontrolę.

Delroy wzruszył ramionami.

- Pan tu rządzi.

***

- Daj mi wszystkie artykuły prasowe na temat morderstwa McCalla - powiedział Scott do Sue. Wskazał ręką na Bobby'ego siedzącego na sofie. - Sue, to jest Bobby Herrin. Pracujemy razem nad tą sprawą. Daj jej swoją wizytówkę, Bobby, żeby miała twoje namiary.

Bobby pogrzebał w kieszeniach, wyjął zgniecioną wizytówkę i podał ją Sue, która przekazała Scottowi plik różowych kartek z wiadomościami.

- Dziennikarze i producenci telewizyjni. Chcą, żeby się pan pojawił w porannych programach informacyjnych *Dateline, 20/20* i...

- Wywal je. I zadzwoń do ochrony, niech trzymają tych dziennikarzy za drzwiami.

- Franklin Turner wciąż czeka.

- Poproś go. - Zwrócił się do Bobby'ego: - Mecenasi od odszkodowań mogą sobie trochę poczekać.

Scott opadł na fotel za mahoniowym biurkiem. Ostatni raz czuł się tak po kontuzji kolana podczas pierwszego sezonu piłkarskiego.

- Kiedy człowiek sobie myśli, że trzyma cały świat za jaja

- powiedział Scott - wówczas się okazuje, że to cały świat trzyma go za jaja.

- Witaj w moim świecie - rzekł Bobby.

Sue wprowadziła FranklinaTurnera do biura Scotta. Franklin wyglądał jak wzorcowy rekin palestry - w drogim ubraniu, ze starannie przyciętymi włosami, opalony i wypoczęty po kolejnym wypadzie do Cancun na pokładzie prywatnego samolotu, gnojek jeden. Franklinowi powiodło się podczas rozprawy odszkodowawczej dziesięć lat temu i od tego czasu już nie wziął żadnej sprawy przed ławą przysięgłych. Jego reputacja zmuszała każdego firmowego prawnika do ugody na znaczną sumę, z której jedna trzecia wędrowała do kieszeni Franklina. Tak więc kiedy Scott kupił sobie ferrari, Franklin sprawił sobie odrzutowiec Leara. Scott nie wstał.

- Franklin, nie spodziewałem się, że zjawisz się osobiście. Franklin uśmiechnął się drapieżnie.

- Zawsze się zjawiam osobiście, żeby zainkasować.

- Pańskie oko konia tuczy. - Scott wskazał na siedzącego na sofie Bobby'ego. - Franklin, Bobby Herrin. Bobby, Franklin Turner, sławny bicz na pozwanych.

Uścisnęli sobie dłonie. Franklin wskazał dłonią na duże zdjęcie Scotta Fenneya z numerem 22 na boisku, które wisiało na ścianie nad sofą.

- To tego dnia zrobiłeś ten wypad na sto siedemdziesiąt sześć metrów w meczu przeciwko drużynie Teksasu?

- Tak, to z tego dnia.

Wzrok Franklina błądził po fotografii i Scott zauważył w jego oczach zawiść gracza na tubie. Ale Franklin Turner był teraz prawnikiem egzekwującym pieniądze i w tym celu tu przyszedł. W końcu więc odwrócił się do Scotta i zapytał:

- Masz dla mnie czek?

- A masz oświadczenie?

Franklin wyciągnął dokument, który Scott zaczął uważnie przeglądać, żeby się upewnić, czy pazerny gnojek czegoś nie zmienił. Usatysfakcjonowany przewrócił dokument na ostatnią stronę, gdzie słodka Nadine i oślizły Frank złożyli swoje podpisy na trzech egzemplarzach. Wtedy podał Franklinowi Turnerowi czek kasjerski.

- Oto milion dolarów, Franklin.

Franklin wpatrywał się w czek przez chwilę, po czym uśmiechnął się jak bachor w dniu urodzin.

- A więc to robisz codziennie w pracy, Franklin? Chodzisz od kancelarii do kancelarii i zbierasz czeki?

Na twarzy Franklina zagościła na krótko wystudiowana powaga, po czym powrócił na nią uśmiech.

- Tak, Scott, jak słusznie zauważyłeś, właśnie to robię. Wciąż z uśmiechem na ustach i czekiem na milion dolarów w dłoni skierował się do drzwi, ale nagle zatrzymał się i odwrócił. Wyciągnął czek w kierunku Scotta.

- Aha, tak do twojej wiadomości, Scott. Nadine wzięłaby i pół miliona.

Franklin już się odwracał, kiedy Scott odpowiedział:

- Skoro przyszedł czas na wyznania, Franklin, to tak do twojej wiadomości: Tom zapłaciłby dwa miliony.

Uśmiech Franka zniknął jak kropla deszczu na rozgrzanym chodniku i ramiona mu opadły. Jedyna rzecz, która nie pozwala zasnąć prawnikowi od odszkodowań, to zgarnięcie mniejszej kwoty niż była dostępna. Odwrócił się i wymknął z biura, nie zastanawiając się nad tym, że zarobił 333 333,33 dolara, ale że właśnie stracił taką samą kwotę. Przynajmniej to było jakieś moralne zwycięstwo Scotta.

- Gnojek - podsumował Scott.

- Kto, ja?

Głowa Sida Greenberga wychyliła się zza drzwi. Scott zaprosił go gestem do środka.

- Sid, poznaj Bobby'ego Herrina.

Sid podszedł i uścisnął dłoń Bobbyego.

- Jak leci? Przejmujesz tę dziwkę?

- Niezupełnie - odpowiedział za niego Scott.

- Sędzia nie chce cię puścić?

- Nie. Wygląda na to, że utknąłem w martwym punkcie. Bobby będzie dźwigał cięższy koniec kłody: będzie pisać pisma, stawiać się, gdzie trzeba...

Sid uśmiechnął się do Bobby'ego.

- Czyli robić to, co ja robię dla niego w sprawach Dibrella. Uśmiech Sida spełzł mu z ust, kiedy odwrócił się do Scotta, któremu wcale nie było do śmiechu.

- Tak, Sid. Jedyna różnica polega na tym, że mnie Bobby jest potrzebny. Ciebie można kimś zastąpić.

Sid skręcił się i wymusił na sobie potulny uśmiech. Pracownicy Scotta nigdy nie wiedzieli w takich chwilach, czy mówi poważnie, przez co chodzili na rzęsach przez wiele godzin.

- Dlaczego stoisz na moim perskim dywanie, Sid?

- Bo zatrudniliśmy konsultanta w sprawie Dibrella. Teraz pracuje dla firmy Ford Stevens. To był wspaniały pomysł, Scott.

Sid ledwie panował nad sobą.

- Tylko tyle?

- Nie. Jeszcze jedna sprawa, Scott. - Spojrzał na Bobby'ego, potem na Scotta. - Poufna.

- Zakryj uszy, Bobby - zażartował Scott. Skinął głową na Sida, żeby mówił dalej.

- Porządkując papiery, natknęliśmy się w naszym zestawie dokumentów na pozew przeciw Dibrellowi, w którym wszyscy mieszkańcy jego kompleksu mieszkalnego twierdzą, że zostali poszkodowani, bo mają pleśń w mieszkaniach, a on niczego z tym nie zrobił.

- No i?

- Przeglądając dokumenty, natrafiliśmy na jeden list, który może być kłopotliwy. Jest w nim coś o objawach zatrucia pleśnią. Ale przyjęliśmy stanowisko, że Dibrell nie miał żadnej wiedzy na temat szkodliwości pleśni.

Scott zwrócił się do Bobby'ego:

- Cholerny pozew o pleśń. Od kiedy sąd w Austin przyznał odszkodowanie w wysokości trzydziestu dwóch milionów dolarów, zaraz wszyscy umierają od zatrucia pleśnią.

Zwrócił się z powrotem do Sida:

- Ile stron dokumentacji musimy przekazać prawnikom od odszkodowań?

- Dwadzieścia siedem tysięcy stron.

- Dobra, zrobimy tak. Skopiujcie wszystko w ten sposób, żeby dać im pięćdziesiąt cztery tysiące stron. I poprzekładajcie wszystko tak, żeby się kupy nie trzymało. Potem przygotujcie beznadziejne ksero tego listu, wiesz, tak jak nieświadomie robią to nasze sekretarki, żeby tego się w ogóle nie dało przeczytać. Wepchnijcie tę kartkę w środek między te pięćdziesiąt cztery tysiące stron i zobaczymy, czy ją znajdą.

Sid uśmiechał się promieniście.

- To genialny pomysł!

- Agresywne i kreatywne stosowanie litery prawa, Sid.

Wśród prawników wykorzystujących sprytne taktyki postępowania, jak ukrywanie dokumentów stwarzających zagrożenie w pięćdziesięciu czterech tysiącach stron innych akt - nie wspominając już o niszczeniu takiego cholerstwa, znane jest pod nazwą „agresywnego i kreatywnego stosowania litery prawa" i doceniane przez członków palestry. Na agresywnym i kreatywnym stosowaniu litery prawa opiera się sukces znanych prawników. I na tym, że nie zostają przyłapani. Jak nauczył się Scott, duża część tego sukcesu opiera się właśnie na tym, że prawnik nie daje się na tym przyłapać.

Sid poszedł, a Scott machnął ręką w kierunku, w którym zniknął.

- Pierwszy na roku w Harvardzie. Może jeszcze zrobimy z niego prawnika.

Bobby spojrzał na niego znacząco. Scott uniósł ręce do góry.

- No co?

- To właśnie robicie wy, doskonale opłacani mecenasi? Gracie w zgaduj-zgadulę?

- To jest jak gra w futbol, Bobby; jeśli cię na czymś nie przyłapali, to znaczy, że to się nie zdarzyło. Kiedy rozgrywa się z gnojami w typie Franklina Turnera, wówczas gra się według takich samych reguł jak oni. Robisz wszystko, żeby wygrać, ponieważ bogaci klienci nie lubią prawników, którzy kierując się etyką, przegrywają, Bobby. Oni chcą prawników, którzy wygrywają.

Bobby wydawał się nieprzekonany tą argumentacją, Scott wskazał więc palcem na otwarte drzwi.

- Bobby, ten łajdak Franklin ma odrzutowiec!

Myśli Scotta powróciły do Shawandy Jones, jak u kogoś, komu przed oczami staje wciąż ten sam koszmar.

- Aha, żadnych wywiadów, Bobby. Chcemy trzymać firmę jak najdalej od gazet.

Bobby pokiwał głową.

- Zapoznam się z raportem policyjnym, zobaczę, jakimi dowodami dysponuje Burns, wynajmę prywatnego detektywa. On przesłucha świadków, znajdzie ślady, sprawdzi Clarka i każdego, z kim się stykał. Ma na imię Carl i jest byłym gliniarzem.

- Dan się zesra, jak będzie musiał zapłacić za prywatnego detektywa.

- Scotty, musimy mieć prywatnego śledczego. To sprawa zagrożona karą śmierci.

Scott westchnął.

- Dobra, ale ukryj jego rachunki w swoich, które przedstawisz firmie. Żeby Dan się nie dowiedział.

- Jasne, oczywiście. Słuchaj, Scotty, ta sprawa pochłonie mnóstwo mojego czasu. Będę musiał ponieść spore koszty i... myślisz, że mogę dostać jakąś zaliczkę?

- Jasne.

Zawołał sekretarkę:

- Sue!

Pojawiła się w mgnieniu oka.

- Sue, wypisz Bobbyemu firmowy czek na dwa i pół tysiąca dolarów.

Kiedy wyszła, Bobby powiedział:

- Dzięki.

Scott tylko machnął ręką. Dla Forda Stevensa dwa i pój tysiąca to było kieszonkowe.

- Trochę to dziwne, nie, Scotty?

- Co?

- Jeszcze na studiach mówiliśmy, że będziemy pracować razem. I po tylu latach pracujemy. - Wzruszył ramionami. - Zabawne.

Scott wpatrywał się w swojego dawnego najlepszego kumpla.

- Tak, Bobby. Tak zabawne, że aż, kurwa, można boki rwać ze śmiechu.

***

Boo aż krzyknęła z radości:

- Scott, jesteś w telewizorze!

Jej ojciec i matka podeszli do kuchennego telewizora i zobaczyli to co ona: w wieczornych wiadomościach A. Scott, wyglądający jak znudzona gwiazda filmowa, przepycha się przez tłum kamer telewizyjnych i las mikrofonów, a dziennikarze zasypują go gradem pytań.

- Czy pana klientka zamordowała Clarka McCalla?

- Czy przyzna się do winy?

- Jaka będzie linia obrony?

- To było dziś rano - wyjaśnił Boo ojciec. - Motłoch pod gmachem sądu.

- Nie możesz się pozbyć tej sprawy? - zapytała Boo.

- Nie.

- Będziesz w sądzie?

- Tak.

- Kiedy?

- W sierpniu.

- Jak zwykle. Żegnaj, Vail - powiedziała jej matka, wzdychając dramatycznie. - Będziemy jedyną rodziną męczącą się w Highland Park w sierpniu. To żenujące.

- A ja mogę? - zapytała Boo.

- Tak, przecież możecie pojechać z mamą do Vail - odpowiedział Scott.

- Nie. Chcę iść na rozprawę.

- Chcesz iść na salę sądową?

- Jeszcze nie będzie szkoły.

- Nie, nie możesz, moja mała - stwierdziła jej matka. - Proces o morderstwo nie jest dla dziewięcioletnich dziewczynek.

- Ale będę świadkiem tego, jak tworzy się historia. Matka wydała z siebie kolejne teatralne westchnięcie.

- Codziennie jest jakiś proces o morderstwo.

- Nie, mam na myśli to, że Scott będzie reprezentował istotę ludzką.

Jej ojciec spojrzał na nią, a ona na niego, i oboje wybuchnęli śmiechem.

Rebecca nie była w nastroju do żartów.

- Ale to nie zachwieje twoją pozycją w firmie?

Było to jedyne pytanie, które mu zadała, kiedy wracali do siebie. Jej sposób na zadanie pytania: „Czy nie wpłynie to na twoje zarobki?".

- Nie, oczywiście, że nie. Wciąż jestem prawnikiem Toma Dibrella.

Po jej minie było widać, że nie jest przekonana.

- Posłuchaj, kochanie, Bobby zajmuje się sprawą. Przejdzie przez nią, dziewczyna zostanie skazana i wszystko wróci do normy. Nie martw się.

Ale Scott się przejmował. Poczucie, że oto czarne chmury zawisły nad nim, jeszcze się spotęgowało. Opadł na swój fotel w sypialni i pilotem włączył telewizor. Ostatnie wiadomości. Była to relacja z popołudniowego pogrzebu Clarka McCalla. Na filmie było widać, jak ludzie w czarnych garniturach i sukienkach wchodzą do Pierwszego Zjednoczonego Kościoła Metodystów w Highland Park. Bogaci, biali, ważni, w tym wiceprezydent, członkowie Kongresu, gubernator, burmistrz i starszy wspólnik Scotta.

Rozdział dziesiąty

Pozostałe dni czerwca minęły spokojnie. Temperatura pięła się stopniowo do góry wraz z nadejściem lata, a słupek rtęci pod koniec miesiąca zatrzymał się na trzydziestu ośmiu stopniach. Deszcz pojawiał się sporadycznie i słońce smagało niemiłosiernie ziemię. Dęby

zakopały głębiej swoje korzenie, żeby wyssać ostatnią kroplę wody ze spieczonej teksaskiej gleby, i wszystkie stworzenia kuliły się pod żarem bezwzględnego lata, poza bogatymi rodzinami w Dallas, które mogły sobie pozwolić na ucieczkę do chłodniejszego Kolorado czy zimniejszej Kalifornii. Ci, którym się powodziło gorzej, musieli polegać na klimatyzacji i basenach za domem, żeby przetrwać upał.

Rebecca Fenney niestrudzenie pięła się po drabinie społecznej Highland Park, Boo Fenney siedziała przy komputerze i czytała książki, Consuela de la Rosa cieszyła się z powrotu Estebana Garcii znad granicy, Scott Fenney zarobił dwieście godzin po trzysta pięćdziesiąt dolarów na bogatych klientach firmy Ford Stevens, Bobby Herrin zarobił sto godzin po pięćdziesiąt dolarów na jedynej niepłacącej klientce firmy, a federalna ława Przysięgłych formalnie oskarżyła Shawandę Jones o morderstwo Clarka McCalla. Wyznaczono kaucję w wysokości jednego miliona dolarów, co oznaczało, że pozostanie w areszcie do odczytania wyroku, kiedy to albo odejdzie wolna, albo też będzie odesłana do więzienia federalnego, gdzie rozpocznie odsiadywanie wyroku lub będzie czekać na egzekucję. Dzwoniła do swojego prawnika codziennie, czasami po kilka razy na dzień, zawsze histerycznie płacząc zarówno z powodu braku swojej córki, jak i heroiny. Nie mając pojęcia, gdzie może zdobyć dla niej heroinę, adwokat zrobił jedną rzecz, żeby się w końcu, kurwa, zamknęła: zgodził się przyprowadzić jej córkę, by mogła się z nią zobaczyć w areszcie. Albo przynajmniej polecić Bobby emu, żeby ją przyprowadził.

Ale Bobby się poddał - ze strachu.

- Kurde, Scotty, wschodnie Dallas jest dla mnie wystarczająco przerażające - powiedział. - Gruby białas, taki jak ja, nie przetrwałby nawet pięciu minut w południowym Dallas. Wybacz, stary, ale nie będę ryzykował życia za pięćdziesiąt dolarów za godzinę!

I tak drugiego lipca, i pierwszego dnia, w którym temperatura przekroczyła czterdzieści stopni, A. Scott Fenney, wspólnik w firmie Ford Stevens, z pensją siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie, jechał wolno swoim lśniącym czerwonym ferrari 360 Modena przez posępne dzielnice czynszówek w południowym Dallas przy dźwiękach głośnej, rytmicznej muzyki rap, obrzucany spojrzeniami wyglądających na twardzieli młodych czarnych mężczyzn, i wydawało mu się, że ma przypięty do samochodu wielki neon z napisem: RĄBNIJ MI BRYKĘ! Scott grał w piłkę z czarnymi kolegami z drużyny czternaście lat temu, ale nie sądził, żeby to zrobiło jakiekolwiek wrażenie na tych facetach. Podświadomie Scott zsunął skórzany fotel tak, że ledwie widział drogę zza kierownicy.

Scott Fenney mieszkał trzydzieści sześć lat w Dallas i ani razu nie był w jego południowej części. Biali przejeżdżali przez południową dzielnicę trzy razy do roku, żeby

uczestniczyć w imprezach na ogrodzonym terenie Fair Park - State Fair, mecz futbolowy Oklahoma-Texas i mecz The Cotton Bowl - uważając, żeby trzymać się głównej drogi stanowej, skręcić w zjazd do Fair Park i wjechać prosto w bramę, nie zbaczając nigdzie ani się nie ociągając - Biali nigdy nie wjeżdżali do południowego Dallas, w zaułki i groźne okolice południowego Dallas; do drugiego Dallas, w którym panowała przestępczość i otwierał się świat narkotyków, prostytucji i biedy, strzelanin pod sklepami i napadami na ulicy; do czarnego Dallas, gdzie biały chłopak z Highland Park jeżdżący włoskim samochodem sportowym za dwieście tysięcy dolarów nie był ani mile witany, ani też zbyt mądry.

Ale Scott się tutaj pojawił. Zaparkował samochód przed betonowym blokiem, nazwanym eufemistycznie przez władze lokalowe „domem ogrodowym", chociaż Scott nie zobaczył tu ani źdźbła trawy, o ogrodzie nie wspominając. Wyłączył silnik i zbierał się na odwagę, żeby wysiąść z wozu - ferrari przyciągnęło spory tłumek - kiedy nagle słońce z Dallas przesłoniła mu bluza Dallas Cowboys na największym Murzynie, jakiego kiedykolwiek widział poza boiskiem. Czarne kłykcie zastukały o przyciemnianą szybę. Scott opuścił nieco okno.

Ten w bluzie pochylił się i Scott zobaczył szerokie ramiona, grubą szyję i w końcu szeroką czarną twarz. Mężczyzna opuścił okulary przeciwsłoneczne na nosie i zerknął do środka.

- Pan prawnik? - Co?

- Jest pan prawnikiem Shawandy?

- Tak.

- Przyjechał pan po Pajamae?

- Tak. Skąd...?

- Shawanda do mnie zadzwoniła. Pomyślała, że pewnie będzie pan potrzebował... Ee... przewodnika, jeśli mnie pan rozumie.

Scott rozumiał. Spojrzał, jak tłumek po obu stronach wozu ogląda do środka. Były to głównie czarne kobiety - właściwie dziewczęta, z niemowlętami na biodrach i berbeciami przyczepionymi do grubych nóg, oraz muskularni czarni mężczyźni. Pomyślał, że ostatnio był tak blisko silnych młodych mężczyzn podczas Fight Night. Te imprezy rozpoczęły się w samym dołku depresji na rynku nieruchomości w Dallas, kiedy środowisko związane z rynkiem nieruchomości musiało się czymś zająć. Fight Night stało się doroczną galą: ring bokserski stawiano w szykownym hotelu Anatole. Sprowadzano tam czarnych bokserów, żeby tłukli się do upadłego ku uciesze bogatych białych mężczyzn z wielkimi cygarami,

zajadających się grubymi stekami, pijących mocne alkohole i grających w salonowca z pięknymi młodymi modelkami zaangażowanymi na ten wieczór. Scott przypomniał sobie, że może i ci bokserzy byli już przebrzmiałymi sławami w boksie zawodowym, ale mogli z łatwością położyć na deski każdego z tych białych jednym ciosem - i najprawdopodobniej mieli na to dużą ochotę.

Scott założył okulary; nie żeby wyglądać inteligentnie, ale w nadziei, że ci czarni nie pobiją białasa w okularach. Wziął głęboki wdech, otworzył drzwi, wysiadł i stanął przyciśnięty do swojego ferrari. Czuł, że się rumieni, i usłyszał dudnienie głosu wielkiego faceta:

- No, cofnijcie się, dajcie człowiekowi trochę miejsca! To jest ten prawnik!

Tłumek cofnął się o kilka kroków. Scott odetchnął z ulgą, następnie wciągnął powietrze, które tutaj wydawało się jeszcze gorętsze. Wszystko stało w miejscu, a wokół nie było widać ani jednego drzewa, które dawałoby zbawczy cień. Słońce prażyło niemiłosiernie. Na czole zaczęły mu wyskakiwać kropelki potu, jak popcorn, a wykrochmalona koszula przylgnęła do ciała. Rozejrzał się wokół po szarych, podobnych do bunkrów budynkach, szarych, niebrukowanych podwórkach, szarym, betonowym krajobrazie i jego czarnych mieszkańcach - dziwacznym świecie trwającym w cieniu wieżowców miasta. Gdyby okna biura Scotta wychodziły na południe, to widziałby z nich t° osiedle, wolał jednak widok na północ, w kierunku Highland park. Jedynie dziesięć kilometrów dzieliło to osiedle od Highland Park, ale czarne maluchy przyciskające nosy do szyby, żeby zobaczyć miękkie, obite skórą wnętrze, mogłyby równie dobrze mieszkać w Chinach.

- To fajna bryka, proszę pana - powiedział jeden z czarnych chłopców z szerokim uśmiechem.

- Jestem Louis - wyjaśnił wielkolud. Pokazał ręką na tłumek. - Niech się pan nimi nie przejmuje. Niewielu prawników nas odwiedza.

Louis miał grubo ponad dwa metry wzrostu i ponad sto pięćdziesiąt kilogramów wagi. Przy jego rękach dłonie Scotta wyglądały mikroskopijnie. Scott nie wyciągnął więc do niego ręki na powitanie, powiedział tylko:

- Scott Fenney.

I podał Louisowi wizytówkę. Murzyn dokładnie ją obejrzał.

- Litera „A” to skrót od czego?

- Od niczego. - Scott wskazał kciukiem na ferrari. - Może powinienem poczekać w samochodzie?

Louis spojrzał groźnie na chłopaków:

- Jak ktoś ruszy ten samochód, to będzie miał ze mną do czynienia. Nic się wózkowi nie stanie, panie Fenney. - Louis się obrócił i tłum się rozstąpił. Scott uszedł kilka kroków po chodniku, ale Louis zatrzymał się gwałtownie i odwrócił. - Może jednak lepiej byłoby go zamknąć.

- Racja.

Scott wyciągnął kluczyki z kieszeni i pilotem zamknął ferrari, na co jeden z chłopców krzyknął: - Ale czad!

Scott odwrócił się i poszedł za Louisem przez szpaler półnagich młodych Murzynów, odbijających piłki do koszykówki, któtych odgłos na betonie przypominał serię z broni dużego kalibru: - u-u-u-m, b-u-u-u-m, b-u-u-u-m. Mężczyźni mieli umięśnione torsy pokryte potem, ich szerokie ramiona ozdabiały tatuaże z motywem drutu kolczastego, a spojrzenia były groźne. Nosi-li nisko spodnie za kolana, na nogach mieli buty firmy Nike za sto dolarów, na które Scott nie mógł sobie pozwolić w młodości, i patrzyli na niego jak na zwierzynę łowną, którą niewątpliwie by się stał, gdyby nie obecność Louisa. Scott unikał patrzenia im w oczy, żeby ich nie prowokować. Chciał się odwrócić, pobiec do samochodu i ruszyć stąd na pełnym gazie. Ale nie dobiegłby do ferrari. Przez głowę przebiegł mu obraz stada wilków goniących za tłustym królikiem. Zmniejszył więc odległość między sobą a Louisem i szedł w cieniu wielkoluda. I musiał się przed sobą przyznać, że on, który nigdy nie czuł strachu na boisku futbolowym, teraz się bał. Scott Fenney był przerażony. Kiedy dotarli do mieszkania numer 110, serce tłukło mu się w klatce piersiowej jak młot. Cały się też spocił. Louis zapukał do drzwi.

- Pajamae, tu Louis.

Żadnej odpowiedzi. Louis zapukał drugi raz. Okno wyposażone w kraty antywłamaniowe było przysłonięte grubymi zasłonami. W mieszkaniu nie paliło się też światło.

- Może nie ma jej w domu - powiedział Scott. Louis aż zatrząsł się ze śmiechu.

- Na pewno jest w domu. Boi się wychodzić na zewnątrz. Nawet okien nie otwiera, a tam nie ma klimatyzacji. Nie wychodzi, odkąd aresztowali Shawandę. - Nachylił się i powiedział ciszej: - Dobrą rzecz pan robi, panie Fenney, że zabiera pan Pajamae do mamy.

Scott gorączkowo myślał o tym, jakie ma szanse przejść ponownie przez żywy szpaler, rzucił więc:

- A czemu pan tego nie zrobił?

Po czym zdał sobie sprawę z tego, co powiedział. Ale Louis nie zareagował gniewem. Na jego twarzy pojawił się za to uśmiech ukazujący złote zęby.

- Cóż, panie Fenney. Ja i federalni mamy, jak to powiedzieć, pewne zaszłości, jeśli wie pan, o czym mówię.

Scott wiedział, o czym mówił Louis. Zauważył cień po drugiej stronie judasza. I usłyszał cienki głosik: - To ten prawnik?

- Tak - odpowiedział Louis.

W judaszu ponownie ukazało się światło i Scott usłyszał, jak coś ciężkiego przesuwa się po podłodze za drzwiami, a następnie odgłos otwieranych zasuw. Drzwi się uchyliły i wielkie brązowe oczy na drobnej brązowej twarzyczce wpatrywały się w Scotta.

- Uratuje mi pan mamę? - zapytała dziewczynka.

- Pajamae. To, hm... nieco dziwne imię.

Z twarzą przytkniętą do wylotu wentylatora w samochodzie dziewczynka powiedziała:

- Mama mówi, że to francuskie imię, ale tak naprawdę to czarne imię. My nie nazywamy się Susie, Patty czy Mandy. Mamy takie imiona, jak Shantay i Beyonce, i Pajamae.

- Moja córka nazywa się Boo. Pajamae się uśmiechnęła.

- To dopiero dziwne.

Scott również się uśmiechnął.

- Ona sama jest dziwna. Spodoba ci się.

Scott z ulgą wyjechał z osiedla i skręcił w Martin Luther King Boulevard, główną drogę do centrum Dallas. Rytm serca wrócił do normy i pot nie ciekł już z niego jak woda z ogrodowego spryskiwacza. Nawet już nie kulił się w fotelu. Siedział prosto, rozglądając się po nieznanym terenie jak japoński turysta na rodeo. Po jednej stronie drogi czarny parkan z kutego żelaza strzegł terenów Fair Park. W środku znajdował się stadion Cotton Bowl, na którym grała drużyna Cowboys, aż została zepchnięta na koniec ligi, oraz historyczne budynki w stylu art déco z czasów wystawy na stulecie Teksasu w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku, które teraz - opuszczone - przypominały porzuconą scenografię filmową. Po drugiej stronie ulicy Mo widać zarośnięte parcele, służące za miejscowe wysypiska śmieci, oraz zabite deskami budynki, przed którymi snuli się czarni mężczyźni.

- To ćpalnie - wyjaśniła Pajamae.

Za odrapanymi witrynami mieściły się lombardy i sklepy z alkoholem. Rozpadające się domy pochylały się, jakby za chwilę miały się rozsypać, a farba schodziła z nich płatami niczym skóra poparzona od słońca. Na chwiejących się gankach wystawiono sofy, w podwórzach stały na cegłach stare samochody, na ulicach piętrzyły się hałdy śmieci, a wszystkie drzwi i okna zostały zabezpieczone kratami antywłamaniowymi, jakby każdy z

budynków stanowił czyjeś prywatne więzienie. Cała okolica była monotonna i bezbarwna, jeśli nie liczyć graffiti zdobiącego każdą ścianę i mur oraz kolorowych bluzek, koszul i butów korpulentnych Murzynek przechadzających się ulicami.

- Pracujące dziewczyny - ponownie odezwała się Pajamae. - Mama mówi, że pracują tu, bo są za grube, żeby dostać białych klientów na Harry Hines Boulevard.

Scott wyobraził sobie życie w takiej dzielnicy i spacerowanie po tych ulicach z Boo albo, co gorsza, gdyby Boo chodziła po nich sama, kiedy kątem oka zobaczył jakieś poruszenie po jednej stronie ulicy, trochę więc zwolnił.

- Co się dzieje?

Na chodniku przed rozpadającym się blokiem mieszkalnym piętrzyła się hałda rzeczy - mikrofalówki, ubrania, piłki do kosza i lalki - jakby ktoś podjechał ciężarówką od tyłu i zrzucił wszystko z paki. Na krawężniku siedziało dwoje czarnych dzieci, podpierających dłońmi brodę z takim minami, jakby właśnie skończył się świat. Otyła kobieta w czerwonych szortach i białym podkoszulku krzyczała coś i gestykulowała wściekle w kierunku chudego czarnego mężczyzny w koszuli z krótkim rękawem i w krawacie. Pajamae wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć, po czym opadła na fotel

- Dzień eksmisji - stwierdziła obojętnie.

- Eksmitują ich z mieszkania?

- Tak. Zawsze na początku miesiąca.

Będąc młodym prawnikiem, Scott wiele razy pojawiał się w sądzie, reprezentując interesy właścicieli budynków, którzy chcieli eksmitować niepłacących lokatorów. Ale nigdy nie widział, jak to się odbywa - rzeczy rodziny zostają wyniesione z mieszkania i rzucone na ulicę, czyli tak, jak nakazywały przepisy. Obrzucił jeszcze raz wzrokiem cały obrazek i dodał gazu. Kiedy drogie wyścigowe opony ferrari wjechały na stanową drogę prowadzącą na północ, do centrum Dallas, odetchnął z ulgą.

- A mój tatuś był biały - powiedziała Pajamae. Spojrzał na dziewczynkę na siedzeniu pasażera. Była ładna, z rysami twarzy bardziej białymi niż czarnymi. Jej włosy, zaplecione tuż przy skórze, kończyły się warkoczykami sięgającymi do wąskich ramion. Była ubrana w różową koszulkę, krótkie dżinsy, różowe opadające skarpetki i białe buty marki Nike. Pomijając kolor skóry, nie różniła się niczym od dziewczynek, które Scott widywał w Highland Park, chyba że fryzurą.

- Gdzie jest?

- Nie żyje.

- Och, przepraszam.

- Nie ma za co. Bił mamę.

- Jak zmarł?

- Policja go zastrzeliła. Uprawiał dilerkę.

Pociągnęła delikatnie palcami po desce rozdzielczej, jakby chciała sprawdzić, czy nie ma na niej kurzu, po czym zwróciła się do Scotta.

- Panie Fenney, czy mama zabiła tego białego pana?

***

- Nie, maleńka, mamusia nie zabiła nikogo - powiedziała Shawanda przez szklane przepierzenie, przystawiając swoją dłoń do jej dłoni po drugiej stronie. Zarówno matka, jak i córka plakaty, bardzo chcąc się przytulić. Kiedy Shawanda powiedziała mu Wcześniej, że ma córkę, Scott automatycznie założył, że jest złą matką - była prostytutką, na miły Bóg. Ale teraz, kiedy je zobaczył razem, stało się jasne, że kocha swoją córkę tak, jak on kocha Boo. Zwrócił się do czarnoskórego strażnika.

- Nie mogą pobyć trochę razem?

Strażnik spuścił oczy i podrapał się po brodzie. Kiedy podniósł wzrok, zapytał Scotta:

- Przyszedł pan tutaj, żeby omówić linię obrony? Scott szybko załapał.

- Tak.

Strażnik wskazał na Pajamae.

- Ona jest ważnym świadkiem?

- Tak.

- Dobra.

Strażnik zaprowadził ich do niewielkiego pomieszczenia, w którym zawsze odbywały się spotkania Scotta z Shawandą. Wskazał mu miejsce, ale Scott tylko pogłaskał dziewczynkę po głowie. Kiedy wprowadził Shawandę, opadła na kolana i bardzo długo obejmowała Pajamae. Strażnik powiedział, że będzie na zewnątrz. Shawanda w końcu puściła Pajamae, objęła dłońmi jej drobną twarzyczkę i wpatrywała się w nią, jakby badała każdy centymetr jej gładkiej buzi. Następnie odsunęła się od niej na długość ramion i spojrzała na nią z góry na dół.

- Naprawdę ładnie się sama ubierasz - powiedziała do córki. - Louis przynosi ci zakupy i pilnuje cię?

Pajamae pokiwała głową.

- Tak, mamo.

- Siedzisz w domu? Znów kiwnięcie.

- Tak, mamo.

Shawanda była w znacznie lepszym stanie niż ostatnio, kiedy ją Scott widział. Wydawała się żywsza i trochę mniej się martwił, że mu zwymiotuje na garnitur.

- Już możesz spać? - zapytał Scott.

- Tak, proszę pana, panie Teńney. Najgorsze już przeszłam, tylko te bóle głowy.

- Przyniosłam ci lekarstwo, mamo - powiedziała Pajamae.

- Grzeczna dziewczynka.

- Ja na bóle głowy zawsze biorę tylenol - rzucił Scott.

- Potrzeba mi czegoś mocniejszego.

- Jak ibuprofen? - Tak... ibu... Właśnie ten.

- Kiedy wyjdziesz, mamo?

- Dopiero po procesie. Jeśli pan Fenney udowodni, że jestem niewinna.

- Nie, Shawando. Ja nie muszę dowodzić, że jesteś niewinna. To prokurator musi udowodnić, że jesteś winna.

Shawanda spojrzała na niego, jak dorosły patrzy na naiwne dziecko.

- Musi się pan jeszcze sporo uczyć, panie Fenney.

- Kiedy proces? - zapytała Pajamae.

- Pod koniec sierpnia - odpowiedział Scott. Pajamae zrobiła nadąsaną minę.

- Ale to dopiero za dwa miesiące! Co ja mam robić tak długo? Mamo, ja się boję być sama na osiedlu!

I strach, którego doświadczył Scott Fenney przed niecałą godziną, powrócił ze zdwojoną siłą. Na czole ponownie pojawił mu się pot. Serce znów przyspieszyło. W myślach znowu rozważał szanse przetrwania, jak tłusty królik goniony przez wilki. Nie chciał wracać do południowego Dallas, nie dzisiaj. Już nigdy. Nie chciał zabierać tej małej dziewczynki z powrotem do jej mieszkania na osiedlu, wysiąść z ferrari i odprowadzać ją pod drzwi, przechodząc przez szpaler silnych młodych Murzynów, wpatrujących się w niego jak sroka w kość. A co się stanie, jeśli nie będzie tam Louisa, jego przewodnika? Ale nie mógł również wsadzić dziewczynki samej do autobusu czy taksówki. Co on, do diabła, ma z nią zrobić? Kiedy matka i córka obejmowały się ze łzami w oczach, jego błyskotliwy umysł rozważał wszelkie możliwości i w końcu pojawiło się rozwiązanie: Consuela de la Rosa.

Pomyślał, że Consuela zajmowała się jedną dziewczynką przez całe lato, dlaczego więc nie miałaby się zająć dwiema. To było idealne rozwiązanie: Boo będzie miała koleżankę, ta mała dziewczynka nie będzie się już bała mieszkać sama na osiedlu, a on nie będzie musiał jechać z powrotem do południowego Dallas. Tak więc powodowany emocjami Scott Fenney powiedział słowa, których jego żona będzie żałować:

- Pajamae, a może zamieszkasz w moim domu do procesu?

- Co ja mam z nią, do diabła, zrobić?

Twarz żony Scotta przybrała barwę jej włosów. Wzięła się pod boki, zaciskając pięści na wąskich biodrach, i rzucała oczami gromy, jakby mąż był sprzedawcą u Neimana Marcusa i podał jej sukienkę w złym rozmiarze.

Scott pojechał do domu prosto z sądu. Ale traf chciał, że akurat tego dnia, kiedy przywiózł czarną dziewczynkę do rezydencji w Highland Park, jego żona nie wspinała się po szczeblach kariery społecznej. Boo powiedziała:

- Masz fajne włosy.

I zabrała Pajamae do siebie na górę. Consuela wycofała się do kuchni i Scott, chcąc nie chcąc, musiał sam stawić czoła furii swojej żony. Oczywiście nie zamierzał mówić Rebecce całej prawdy, że przywiózł tę czarną dziewczynkę do domu, ponieważ bał się odwieźć ją do domu w południowym Dallas. Odpowiedział więc jak prawnik. Wyjawił jej tylko część prawdy, tę część, która działała na jego korzyść.

- Mieszka sama w osiedlu, ma dziewięć lat, nie ma nikogo. Nie ma nawet klimatyzacji! Do diabła, Rebecco! Łazisz na spotkania Junior League i z innymi damulkami z Highland Park rozprawiacie sobie o tym, jak to dobrze by było pomóc osobom pokrzywdzonym przez los. Dzięki temu możesz zdobyć puchar pierwszeństwa, do cholery!

- Pomagamy tym ludziom, Scott, ale nie zapraszamy ich do domu! Sam powiedziałeś, że jej matka zostanie skazana. Co wtedy z nią zrobisz, adoptujesz ją? Wychowasz ją jak naszą córkę? Wyślesz do szkół w Highland Park? Scott, w szkole Boo nie ma ani jednego czarnego dziecka!

Czasami, tak jak teraz, intensywność złości jego żony wytrącała go z równowagi, jak wtedy, gdy jego trener w college'u złapał go za ochraniacz na twarz, przyciągnął go do siebie i wypalił, że spartolił mecz. Wtedy Scott Fenney stał bez słowa przed trenerem, a teraz stał bez słowa przed piękną, wściekłą kobietą. Jedyna różnica polegała na tym, że z każdym złym słowem na twarz Scotta nie padały drobiny tytoniu do żucia, przylegając do niej. A jednak dałby wszystko, żeby w mgnieniu oka zamienić tę złośnicę na mokre plamy z tytoniu na twarzy.

- Poza tym nie ma w niej też żadnej dziewczynki o imieniu Pajamae!

Rozdział jedenasty

Scotty, z takimi dowodami możemy jej uratować życie.

Scott uciekł przed gniewem żony i znalazł schronienie w przyjaznych salach Dibrell Tower. Wraz z Bobbym jedli późny lunch na górze, w Downtown Club. Zdał Bobbyemu relację z wizyty na osiedlu w południowym Dallas, opowiedział o nowej lokatorce rezydencji Fenneyów i o reakcji żony. Później Bobby zaczął przedstawiać mu szczegóły dotyczące sprawy.

- Carl, wynajęty przeze mnie prywatny detektyw, odnalazł tę Kiki, która potwierdziła wersję Shawandy. Bez niespodzianek. Ale potem pogadał z gliniarzami z Highland Park, z którymi jest zaprzyjaźniony. - Bobby nachylił się nad stołem tak, że Scott wyczuł smród papierosów w jego oddechu. Ściszył głos do szeptu. - Posłuchaj tego: okazuje się, że Clark McCall był rok temu oskarżony o napaść i gwałt na jakiejś studentce z SMU. Dziewczyna złożyła skargę, ale ją wycofała, kiedy tatuś (czyli senator Mack McCall) jej zapłacił. Carl rozmawiał z oficerem dyżurnym, który pracował tamtego wieczoru, to on przyjął doniesienie. Powiedział, że dziewczyna była nieźle poobijana.

- Jak my ją mamy znaleźć bez śladu w papierach?

- Ten sierżant głupi nie jest. Wiedząc, że senator wie, że on wie, pomyślał sobie, że może to się kiedyś przydać, i zachował kopię doniesienia.

- Dał ją Carlowi?

- Nic z tego. Powiedział, że schował to w bezpiecznym miejscu, w skrytce depozytowej. Powiedział, że jakby dał to Carlowi, to by go dopadli i wylali z roboty, a zostały mu tylko dwa lata do emerytury. Powiedział, że wyprze się tego pod przysięgą, jeśli powołamy go na świadka. Ale zdradził Carlowi nazwisko tej dziewczyny: Hannah Steele. Teraz mieszka w Galveston.

- Będzie zeznawać?

- Carl poleciał tam, żeby ją namówić. Scott rozłożył ręce.

- No i...?

- Nasza linia obrony może więc iść dwutorowo. Po pierwsze, nie ona nacisnęła na spust, co będzie trudno udowodnić z jej odciskami palców na pistolecie i z kulą z tej broni w jego czaszce. A jeśli nie ona, to kto? Clark? Nagle doszedł do przekonania, że jest zły do szpiku kości i uwalnia świat od swojej osoby? Nie sądzę. Naszą pomocniczą linią obrony jest samoobrona. Wyzywa ją od ostatnich, bije ją, dziewczyna strzela do niego w samoobronie. Ale jest czarną prostytutką i narkomanką; kto jej w to uwierzy, prawda? I tutaj właśnie powinna pojawić się Hannah Steele, potwierdzając jej zeznania. Miła, biała dziewczyna zeznaje, że Clark pobił ją i zgwałcił rok temu, i ława przysięgłych dochodzi do wniosku, że

może Shawanda mówi prawdę. I tak przysięgli powoli odkrywają cały obraz. Pokażemy im, że Clark McCall był rasistowskim gwałcicielem, i może ocalimy jej życie.

- Będzie uniewinnienie?

Bobby spojrzał na niego z politowaniem.

- Nie, nie uniewinnienie, Scotty. Zycie w więzieniu, może możliwość zwolnienia warunkowego po trzydziestu latach. Nie uzyskuje się uniewinnienia, kiedy twoja spluwa jest narzędziem zbrodni z odciskami palców, a strzał oddano z bliskiej odległości, prosto w mózg ofiary, kiedy leżała na podłodze. Z takimi dowodami dożywocie jest dla niej wygraną.

***

- Nich to szlag trafi, Dan! Powiedz mu, żeby odpuścił, i to natychmiast!

Głos senatora brzmiał tak głośno w słuchawce, że Dan Ford musiał odstawić ją od ucha. Dan właśnie dostał raport od Scotta w sprawie Shawandy Jones i na mocy swojej umowy z senatorem od razu zadzwonił do Waszyngtonu. Maćkowi McCallowi, senatorowi z Teksasu, nie podobało się, to co usłyszał.

- Źle było, Dan, kiedy dziwka złożyła zeznania, że Clark pobił ją i nazwał czarnuchą. Ale jak twój chłopak zacznie sprowadzać białe dziewczyny, które będą zeznawać, że Clark je bił i gwałcił, to już, kurwa mać, po mnie! Sądziłem, że sprawa z tamtą dziewczyną jest załatwiona! A co będzie, jak wyciągną tę sprawę z Clarkiem i jego bractwem?

Clark McCall zorganizował „Noc Mniejszości" w swoim bractwie - każdy przebrał się za przedstawiciela ulubionej mniejszości. Clark wystąp ił jako murzyński alfons. Mack zapłacił gazecie, żeby wyciszyć tę historię. Dan Ford dostarczył pieniądze.

- Opinia publiczna pomyśli sobie, że nauczył się tego w domu! Ode mnie! Prasa się zabierze za to i zostanę napiętnowany jak jakiś pierdolony Goebbels! Nigdy nie zobaczę się w Białym Domu! - Po chwili dodał. - A ty, Dan, nigdy nie zostaniesz prezydenckim prawnikiem.

***

- George W. Bush?

- Tak - potwierdził Scott.

Sid Greenberg był zdruzgotany.

- Prezydent wykorzystał swoją pozycję, żeby zabrać czyjąś ziemię na budowę stadionu bejsbolowego?

- Nie był wtedy prezydentem, Sid. Nawet nie był jeszcze gubernatorem. Kiedy ciebie w Harvardzie uczyli lewicowi profesorowie, George Bush kierował Texas Rangers. Grali na

gównianym, starym stadionie, skłonił więc władze miasta, żeby wyburzyły teren pod budowę nowego stadionu.

- Czy to był teren własności publicznej? - Nie.

- To jak miasto mogło go wyburzyć?

- Ponieważ prawo na to pozwala... a przynajmniej sądy jeszcze tego nie powstrzymały. Zrobili tak, gdy budowali stadion Rangersów, zrobili tak przy wznoszeniu toru motorowego NASCAR i robią tak dla nowego stadionu Cowboys... Cholera, Sid, robią tak w całym kraju, i to nie tylko w wypadku dróg i parków, ale również stadionów, centrów handlowych i supermarketów...

- A teraz my to zrobimy, żeby Dibrell mógł wybudować sobie hotel.

Scott wzruszył ramionami.

- Taką umowę Dibrell zawarł z miastem.

- Będziemy zabierać domy biedakom, żeby bogaci mogli mieszkać sobie w pięciogwiazdkowym hotelu? - Sid zdawał się oburzony. - Czemu bogatym nigdy nie zabierają domów?

- Bo bogatych stać na prawnika i starcie w sądzie. Biednych nie.

- Czyli miasto ich wykupi za bezcen za pieniądze Dibrella, zburzy ich domy buldożerami, żeby on mógł sobie wybudować hotel? Co miasto z tego ma?

- Miliony dolarów z podatku od nieruchomości. Hotel będzie wart minimum sto milionów. Te domy są warte maksymalnie milion.

- Dibrell dostanie swój hotel, miasto więcej pieniędzy z podatków, a biedni zostaną wydymani. I to wszystko w całkowitej zgodzie z prawem.

- Sid, robimy tylko to, na co pozwala prawo... A czasami to, na co nie pozwala.

- Wiesz, Scott, dymanie rządu i prawników od odszkodowań to niezła zabawa. Ale biedaków? Moi rodzice byli biedni. Dorastałem w jednym z takich domów.

- Słuchaj, Sid. Mnie się to też nie podoba, ale taką mamy rację - My przynajmniej zabieramy trzydzieści domów. Na sklep w Hurst zabrali sto dwadzieścia i zabierają dziewięćdziesiąt na stadion Cowboys.

- I niby dlatego mam się lepiej czuć. - Sid pokręcił głową. - To po to poszedłem na prawo na Harvardzie?

Scott rozłożył ręce.

- Sid, co ja mam zrobić? Powiedzieć Dibrellowi, że tego nie zrobimy? Jak się powie Dibrellowi, że nie, to znajdzie takiego prawnika, który powie „tak". Interes ma dojść do skutku, domy pójdą do rozbiórki i wybudują ten hotel. Problem w tym, którzy prawnicy

dostaną pół miliona za przeprowadzenie tej operacji. Jeśli Dibrell zwróci się do innej firmy, Sid, to będzie znaczyło, że muszę zwolnić jednego z moich pracowników. Czy jesteś gotów poświęcić swoją pracę (dwieście tysięcy dolarów rocznie) żeby nie brać udziału w wywłaszczeniu? Żeby zachować czyste ręce?

Sid wpatrywał się w czubki swoich butów. W końcu wolno pokręcił głową i powiedział: - Nie.

- Sid, kiedy byłem początkującym prawnikiem, Dan Ford powiedział mi: „Scotty, zostaw swoje sumienie za drzwiami za każdym razem, kiedy wchodzisz do kancelarii, albo nie wytrwasz w tym zawodzie".

Sid podniósł wzrok.

- To prawo jest do dupy.

- To tylko biznes, Sid.

- Nie mówią tego na wydziale prawa, że prawo jest tylko interesem, grą, w którą gramy z życiem i pieniędzmi innych? Nie, muszą tylko płacić czesne: młodzi ludzie, którzy nie wiedzą, na czym polega bycie prawnikiem, młokosy, którym się wydaje...

Scott usiadł, nic już nie mówiąc, tylko wolno kiwając głową jak terapeuta, który zwraca się do pacjenta, z którego uchodzi powietrze. Każdy prawnik przechodzi metamorfozę, jaką przechodził teraz Sid, jak poczwarka zmieniająca się w motyla, czy też odwrotnie: jak piękna istota ludzka zmieniająca się w ohydnego prawnika. Scottowi przypomniało się, jak Dan Ford kiwał głową nad uspokajającym się młodym pacjentem Scottem Fenneyem. Sid zaczął mówić:

- Kiedy ostatni raz byłem w domu, moi rodzice skrzyknęli wszystkich sąsiadów, żeby móc się mną pochwalić, swoim synem, wspaniałym mecenasem. Jak niby mam im powiedzieć, co naprawdę robimy, Scott?

- Nie mów. Nie możesz. Nie mów. Za każdym razem, kiedy wychodzisz stąd po pracy, odwieś na kołku swoje sprawy prawnicze. Nie bierz ich do domu. Słuchaj, Sid, tkwisz w tym dopiero od pięciu lat. Po jakimś czasie dochodzisz do wniosku, że lepiej o tych sprawach rozmawiać wyłącznie z innymi prawnikami. Zwykli ludzie po prostu nie rozumieją, co my robimy.

- W tym sęk, Scott. Sądzę, że rozumieją.

- Sid, poczekaj, aż się ożenisz i będziesz miał dzieci, to sam zobaczysz. Wrócisz do domu, a żona i dzieci zaczną cię pytać: „Tatusiu, co robiłeś dzisiaj?". Co im powiesz? Prawdę? Do diabła, nigdy w życiu. Skłamiesz. Jak my wszyscy.

Sid przez chwilę zastanawiał się nad słowami Scotta, następnie wolno wstał i podszedł do drzwi, ale jeszcze się obrócił.

- Aha, Scott. Zamknęliśmy umowę Dibrella na ziemię. Mamy raport środowiskowy i zdeponowane dziesięć milionów od ceny. Wkrótce zaczniemy brukować teren zanieczyszczony ołowiem. PORT nigdy nie dowie się o raporcie, a EPA nigdy nie dowie się o ołowiu.

- Agresywne i kreatywne stosowanie litery prawa, Sid. Sid pokiwał głową i odwrócił się, ale Scott usłyszał, jak mówi:

- Powinienem pójść na medycynę.

Po wyjściu Sida Scott usiadł przy komputerze. Wpisywał godzinę pracy na konto Dibrella za trzydziestominutową „konferencję prawniczą" z Sidem, kiedy poczuł czyjąś obecność. Odwrócił się i zobaczył Dana Forda stojącego w drzwiach, co było tak zwykłym wydarzeniem, jakby po przyjściu na niedzielną mszę zobaczyć papieża stojącego przy ołtarzu.

- Dan, wejdź.

Dan wszedł z wyraźnie zmartwioną miną. Zaczął wolno kręcić głową i wzdychać, jak człowiek, na którego barkach spoczywa los całego świata.

- Wiedziałem, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Co masz na myśli?

- Właśnie rozmawiałem przez telefon z McCallem.

- Z samym senatorem? Wspominałeś o nim wcześniej, ale nie wiedziałem, że znacie się na stopie towarzyskiej.

Dan pokiwał głową.

- Mack i ja byliśmy w jednym bractwie w SMU. Jestem wykonawcą jego testamentu i od czasu do czasu zajmuję się jego sprawami osobistymi. Od czasu, kiedy sprzedał firmę i powędrował do Waszyngtonu, nie jest tego wiele. Ale jeśli zostanie wybrany i firma Ford Stevens będzie znana jako osobista firma prawnicza prezydenta... Scotty, to będzie żyła złota.

- Wspaniale.

- Tak, będzie wspaniale, Scotty. Będziemy mogli zatrudnić pięćdziesięciu prawników, może więcej, dostaniemy nowe sprawy, firmy będą się ustawiać w kolejce do moich drzwi i płacić tyle, ile zażądam, bo będę mógł podnieść słuchawkę i od razu połączyć się z prezydentem. Wiesz, jak to jest cenne dla prawnika? Tu, w Dallas, jestem grubą rybą w małym stawie, Scotty, ale jako prezydencki adwokat będę grubą rybą w wielkim stawie. Będę grał na skalę ogólnokrajową... Moglibyśmy otworzyć biuro w Waszyngtonie. Pomyśl, co to będzie dla mnie znaczyło - Pomyśl, co to będzie znaczyło dla firmy. Dla ciebie. Scotty,

podczas pierwszego roku urzędowania mógłbyś zarobić milion dolarów, dwa miliony w następnym roku, a trzy zanim skończysz czterdziestkę. Będziesz obrzydliwie bogaty, jak to mówisz do swoich letnich praktykantów. Dan zamilkł i złapał oddech.

- Ale Mack postawił sprawę jasno: jeśli nazwisko jego syna będzie szargane w procesie, Ford Stevens przestanie być jego firmą.

Scott oparł się na krześle.

- Chce, żebym ukrył przeszłość Clarka.

- Tak, tego właśnie chce.

- Ale, Dan, Clark McCall był rasistą i gwałcicielem. A teraz, mając zeznanie Hannah Steele, możemy uratować życie Shawandy.

- Może i tak. Ale jednocześnie zniweczysz szanse na prezydenturę Macka. Scotty, jeśli gazety poskładają słowa „rasista" i „gwałciciel" z nazwiskiem McCalla w jednym zdaniu, nawet jeśli będzie to dotyczyć tylko jego syna, to szanse na wygranie wyborów będzie miał takie jak szanse na przerżnięcie Miss America.

- Dan, dlaczego nie powiedziałeś mi, że pracujesz dla McCalla? Mogłem powiedzieć Bufordowi, że występuje konflikt interesów, i pozbyć się tej sprawy.

Dan pokiwał głową.

- Rozmawiałem z Maćkiem na temat takiej opcji, ale powiedział, że dobrze byłoby mieć, hm... pewien wpływ na adwokata dziwki.

- Na wypadek, gdyby jej adwokat dowiedział się o przeszłości Clarka.

Dan wzruszył ramionami.

- Mack McCall nie zarobił ośmiuset milionów dolarów, nie rozważając wszelkich ewentualności.

- Clark McCall był nieudacznikiem, Dan. Bogatym chłoptasiem, który lubił bić dziewczyny i który skończył tak, jak skończył, bo pobił o jedną za dużo. Niby czemu miałbym się przejmować jego reputacją?

- Nie przejmujemy się, ale tutaj nie chodzi o Clarka McCalla, Scott, chodzi o Macka McCalla. I, do cholery dbamy o jego reputację, ponieważ leży to w najlepiej pojętym interesie firmy, żeby został kolejnym prezydentem. Scotty, trzymamy jego prezydenturę w rękach! Przemyśl to sobie. Tak wiele mi zawdzięcza!

Jego wzrok poszybował gdzieś w dal, a na ustach pojawiło się coś na kształt uśmiechu, co oznaczało, że Dan Ford aż fika kozły z radości. Po chwili wrócił do rzeczywistości i zapytał.

- I co na to powiesz, Scotty, mój chłopcze?

Scott nie powiedział nic. Dwóch prawników, których dzieliło pół metra drewnianego parkietu i dwadzieścia lat doświadczenia zawodowego, wpatrywali się w swoje twarze jak mali chłopcy czekający, który pierwszy mrugnie. Scott wiedział, czego oczekuje od niego jego starszy wspólnik - że będzie wypełniał polecenia McCalla, bo to, co było dobre dla McCalla, było dobre i dla firmy Ford Stevens. Ale - Scott nie wiedział zupełnie, dlaczego - nie był w stanie wypowiedzieć tych słów. Czy był to ośli upór, który odziedziczył po Butchu, czy też jego zadawniona pogarda dla bogatych chłopców pokroju Clarka McCalla, a może coś mającego korzenie gdzieś głębiej, to coś nie pozwalało mu na wypowiedzenie tych słów. W końcu Dan przerwał kontakt wzrokowy i głośno wypuszczając powietrze, odwrócił się do drzwi. Odchodząc, powiedział:

- Scott, muszę dać McCallowi odpowiedź. I to szybko.

***

Boo siedziała na leżaku przy basenie z tyłu domu. Miała na sobie biały strój kąpielowy i okulary przeciwsłoneczne, a w dłoni trzymała szklankę z różowym napojem, który przygotowała Consuela. Pajamae leżała na brzuchu na drugim leżaku, w jednym z wielu kostiumów Boo. Na zmianę wcierały sobie olejek do opalania. Tym razem przyszła kolej na Boo. Uniosła długie warkoczyki Pajamae i wycisnęła linię kremu ochronnego na plecy dziewczynki.

W zwykłe letnie popołudnie Boo siedziałaby w domu sama czytając książkę. A. Scott był w miesicie, matka przesiadywała w klubie, a większość dzieci w jej wieku przebywało w letnich domach lub na wakacjach w Europie. Nie, żeby Barbara Boo Fenney miała wielu przyjaciół w Bąblu. Większość dziewczynek tylko przechwalała się nowymi rzeczami. Ona nie. Ona była inna. Myślała inaczej, nosiła inne ciuchy i pragnęła innych rzeczy. Inne dziewczynki mówiły, że jest dziwna, i nazywały ją lesbijką, bo nie ubierała się jak dziewczynka. Zwykle więc zajmowała się sobą albo też pływała pod czujnym okiem Consueli. Ale dzisiaj miała nową koleżankę. Która również była inna.

- Podobają mi się twoje włosy - powiedziała Boo. Zaczęła wcierać biały krem w brązową skórę Pajamae. - Czy czarni potrzebują filtru przeciwsłonecznego?

Po chwili Pajamae odpowiedziała:

- Nie wiem. Ale mama zawsze mi nakłada.

- Kiedy wyjdzie z więzienia?

- Pod koniec lata, jeśli pan Fenney ją wydostanie.

- Jeśli tego nie zrobiła, to wyjdzie.

- Z nami jest trochę inaczej.

- Z jakimi „nami”?

- Z czarnymi.

- A. Scott jest wspaniałym prawnikiem. Wydostanie twoją mamę.

- Mam nadzieję. Bo mama nie będzie się dobrze czuła w więzieniu.

Boo wcierała krem, aż zniknął na ciemnej skórze Pajamae, po czym powiedziała:

- Dlaczego wy mówicie tak, jak mówicie?

- Co masz na myśli?

- No, zważywszy na to...

- Co zważywszy?

- Zważywszy na to.

- Zważy wszy?

- Nie, zważywszy. A. Scott zawsze mówi „zważywszy na t0 zważywszy na tamto”. Takie prawnicze gadanie. Prawnicy mają mnóstwo takich słów.

Pajamae uśmiechnęła się szeroko.

- Zważywszy. Podoba mi się. Zważy-wszy!

- Nie mówisz jak inni czarni w telewizorze, jak...

- To czarny angielski, jak mówi mama. Wszyscy na osiedlu tak mówią. Mówi, że mnie nie wolno tak mówić. Mówi, że powinnam mówić poprawnym angielskim.

Boo uniosła jeden z warkoczyków Pajamae i przesunęła go w palcach. Usiadła nagle czymś poruszona.

- Chodź, mam pewien pomysł!

***

Jadąc do domu, Scott zastanawiał się, dlaczego nie czuł się bardziej urażony arogancką sugestią Macka McCalla, że powinien dyktować A.. Scottowi Fenneyowi, jak ma reprezentować klientkę. Kodeks etyki zawodowej, któremu podlegają wszyscy prawnicy (przynajmniej do chwili otrzymania pozwolenia wykonywania zawodu), jasno mówi (w teorii), że prawnik nie może podlegać żadnym wpływom zainteresowanych, sumiennie reprezentując klienta. Oczywiście w praktyce kodeks etyczny jest postrzegany przez większość prawników tak, jak recydywiści postrzegają kodeks karny: bardziej jako zbiór wskazówek niż rzeczywiste zasady rządzące profesjonalnym postępowaniem.

Z drugiej strony, Scott zastanawiał się również, dlaczego ochoczo nie przystał na warunki Macka McCalla, czego żądał od niego jego starszy wspólnik. Scott nigdy nie sprzeciwił się życzeniom Dana Forda - byłoby to jak wystąpienie przeciwko własnemu ojcu. Parafował posłusznie wszystkie decyzje Dana związane z firmą, czy dotyczyło to wylania z

pracy jakiegoś wspólnika, czy też przeprowadzenia kampanii dla zaprzyjaźnionych sędziów, ponieważ Dan zawsze działał w najlepszym interesie firmy Ford Stevens i tym samym w interesie Scotta. Dlaczego tym razem się wahał? Po raz pierwszy?

A jeśli chodzi o tę pierwszą sprawę... Sam fakt, że senator Stanów Zjednoczonych Mack McCall tylko założył, że Scott Fenney mógłby zaniechać najlepszej obrony w sprawie o morderstwo jedynie dlatego, że tak mu każe McCall, powinien zagotować mu krew w żyłach. „Za kogo on się, do diabła, uważa?"

Jeszcze w college'u, gdyby ktoś ośmielił się zasugerować, że Scott Fenney, gwiazda boiska, mógłby celowo spalić mecz, to wkurzyłby się tak, że walnąłby tamtego w pysk! Za samo to, że ktoś mógłby w ogóle pomyśleć, że nie ma w sobie ani krzty ambicji i jest do tego zdolny! Dlaczego więc A. Scott Fenney nie był podobnie wkurzony, kiedy ktoś mu sugerował, że powinien sobie odpuścić z rozprawą? Dlaczego w ogóle rozmyślał na ten temat? Czy tak bardzo zaangażował się w agresywne i kreatywne przestrzeganie litery prawa, że nie rozróżniał już dobijania targu od narażania na szwank własnej prawości? Czy stał się na tyle dobrym prawnikiem, że nie została mu już ani odrobina prawości, którą można byłoby narażać na szwank?

Bił się z tymi myślami, mijając otoczone murem posiadłości przy Preston Road, która przechodziła w Turtle Creek. Wspaniałe rezydencje: rekina branży nieruchomości Trammella Crowa (szacowana na 13,3 miliona dolarów), właściciela Dallas Cowboys, Jerry'ego Jonesa (14,1 miliona dolarów), Toma Dibrella (18 milionów dolarów) i Macka McCalla (25 milionów dolarów), i zdał sobie sprawę, że nigdy dotąd nie zanotował, że McCall i jego najlepszy klient zajmują posiadłości sąsiadujące z jego domem.

Zwolnił, mijając wjazd do posiadłości McCalla, i wrócił myślami do krytycznej nocy, kiedy Clark i Shawanda wjeżdżali przez bramę, a tylko minuty dzieliły Clarka od kresu jego życia. Nagle zadzwonił jego telefon komórkowy. Odebrał.

- Scott Fenney.

- Panie Fenney, tu Louis.. «.

- Louis...

- Z osiedla.

- A... tak, jasne, Louis.

- Bo, panie Fenney, Pajamae nie wróciła jeszcze i trochę się martwię... Jest ciągle z panem?

- Och, Louis, przepraszam. Powinienem przekazać mojej sekretarce, żeby do pana zadzwoniła. Pajamae zostanie z nami aż do zakończenia procesu.

- „Z nami”?

- Ze mną. Z moją rodziną.

- Przygarnął pan Pajamae?

- Cóż... Tak, do czasu, aż to wszystko się skończy. Byliśmy rano w areszcie u Shawandy i mała nie chciała wracać... - Scott postanowił, że nie wspomni o tym, że to on nie chciał wracać do dzielnicy, w której mieszkał Louis. - Poza tym mam córkę w jej wieku oraz cztery puste sypialnie, pomyślałem więc sobie, że tak będzie lepiej. Shawanda też tak sądzi.

- A co z jej rzeczami. Ciuchami i w ogóle?

- Ach, może nosić ubrania mojej córki. Mają mniej więcej ten sam rozmiar, a moja córka nie nosi nawet połowy tego, co kupuje jej matka.

- Jak pan chce, to przywiozę jakieś jej rzeczy.

- Do Highland Park?

Telefon zamilkł. Scott znów pomyślał, że mógł rozzłościć Louisa. Ale się mylił.

- Louis?

- Osiedle to nie miejsce dla samotnej dziewczynki, panie Fenney. Proszę przekazać, że ją pozdrawiam. A jeśli by pan potrzebował, żebym co pomógł, to proszę tylko zadzwonić.

- Dobra, dzięki, Louis. - Aha, panie Fenney... - Tak?

- Chyba nie oczekiwałem czegoś takiego po białym. Jest pan dobrym człowiekiem, panie Fenney.

Scott się rozłączył i zastanawiał się przez chwilę, czy Louis ma rację.

Boo zbiegła po schodach do kuchni i ruszyła do stołu, tuż za nią pojawiła się Pajamae. Matka spojrzała tylko na Boo, wzięła się pod boki i rzekła:

- Młoda damo, co zrobiłaś ze swoimi włosami? Długie rude włosy Boo były uplecione tuż przy skórze w warkoczyki, których końcówki zwisały jej do ramion. - To warkoczyki. Pajamae mi zaplotła. Fajne, co? Matka zwróciła się do A. Scotta:

- Co ty na to, Scott? Wzruszył ramionami i powiedział:

- Wygląda jak Bo Derek.

- Bo Derek?

- Tak, ta aktorka. Matka załamała ręce.

- Barbaro Boo Fenney, debiutantki z Highland Park nie noszą warkoczyków!

- W takim razie nie ma sprawy, mamo, bo żadna ze mnie debiutantka.

Matka westchnęła ciężko, powstrzymując złość.

- Pajamae, mam nadzieję, że nie masz żadnych tatuaży. Pajamae zaśmiała się, ale nie była pewna, czy matka Boo nie żartuje. Consuela podniosła do góry pieprzniczkę i solniczkę i powiedziała znad kuchenki:

- Bliźniaczki, jak tutaj. - Wskazała na Boo. - Sól. - Potem na Pajamae. - I pieprz.

Consuela zachichotała i jej ciało zatrzęsło się jak galaretka.

- Sól i pieprz.

Matka kręciła głową, a jej usta zacisnęły się mocno, co zwykle nie wróżyło nic dobrego.

- Dokończ te enchiliadas, Consuelo.

- Spodziewacie się jakichś gości? - zapytała Pajamae.

Boo odwróciła się do Pajamae, która stała przy stole.

- Co?

- Bo tyle jedzenia. Będzie jakieś przyjęcie?

Na stole leżały tacos, enchiliadas, guacamola, prażona fasola, tortillas i pikantny sos. Wieczór kuchni meksykańskiej. - Nie.

- To wszystko tylko dla nas?

Boo wzruszyła ramionami.

- Tak.

Pajamae uśmiechnęła się i powiedziała:

- Zważy-wszy.

***

Butch i Barbara Fenneyowie zawsze omawiali sprawy rodzinne przy stole w obecności syna: mówili o rzeczach dobrych i złych, wzlotach i upadkach, możliwościach i problemach. Myśleli, że słuchając, będzie się uczył. Scott przypomniał sobie jedną z takich rozmów, która nastąpiła na krótko przed śmiercią ojca, kiedy Butch powiedział, że wykonawca chciał, żeby oszczędzał na materiałach, co miało zwiększyć zyski wykonawcy. Właściciel firmy nigdy się nie dowie. Butch stanął przed alternatywą wykonania polecenia szefa albo utratą pracy. Poprosił żonę o poradę. Matka Scotta powiedziała mu bez chwili zastanowienia:

- Odmów mu.

Kiedy więc wrócili do głównej sypialni i Rebecca stała naga przed lustrem w łazience, zmywając makijaż i sprawdzając, czy nie widać na jej ciele śladu upływających lat, Scott powiedział jej o wizycie Dana w jego biurze, o żądaniach McCalla i również poprosił żonę o radę. Ona też bez chwili zastanowienia odparła:

- Zrób to! Jak Dan mówi, że masz odpuścić, to odpuść. Czy masz zamiar poświęcić wszystko, do czego doszliśmy, dla jakiejś cholernej...

- Cholernej? No, Rebecco, dokończ: cholernej... co? Odwróciła się niezwykle piękna w swojej nagości i powiedziała:

- Cholernej czarnej kurwy, oto co!

A. Scott Fenney z zaangażowaniem bronił swoich bogatych klientów przed wszelkimi przeciwnościami losu - konkurencją w biznesie, władzami, znanymi prawnikami od odszkodowań i młodymi kobietami oskarżającymi ich o molestowanie seksualne. Ale nigdy przed własną żoną. Oczywiście nigdy jego klientką nie była czarna kurwa. Jednak naturalny instynkt prawniczy kazał mu bronić swojej klientki. Może dlatego, że wciąż słyszał żądania McCalla, albo dlatego, że nigdy się nie poddawał na boisku, a może dlatego, że bogate maminsynki, jak Clark McCall, zawsze działały mu na nerwy, albo dlatego, że wiedział, że Louis mylił się co do niego, czy też z powodu miłości, jaką Shawanda okazała swojej córce dziś rano, lub pod wpływem widoku dwóch dziewczynek w warkoczykach... A może po prostu dlatego, że piękna kobieta stojąca przed nim nago nie chciała się z nim kochać od ponad siedmiu miesięcy... Podniecenie, jakie czuł na jej widok, zmieniło się w złość - Scott Fenney wypalił do swojej żony, broniąc Shawandy Jones z pasją zwykle zarezerwowaną dla najbogatszych klientów:

- Co, zasłużyła na śmierć, bo jest czarna i jest prostytutką? A gdybyś ty się urodziła czarna, Rebecco? Czy też byłabyś miss SMU i zasiadałabyś w komitecie organizacyjnym Balu Baronów Bydła? A może też zostałabyś dziwką wystającą na Harry Hines Boulevard? - Wycelował palcem w sufit. - Ale wtedy, Rebecco, na miłość boską, to Boo byłaby tą małą, czarną dziewczynką!

Jego naga żona zaśmiała się bez uśmiechu.

- Nie bądź taki świętoszkowaty, Scott. Chciałeś mieć pieniądze i wszystko, co można za nie kupić. Ten dom, ferrari... Ile dałeś za ten garnitur? Wyszłam za ciebie, ponieważ byłeś ambitny i chciałeś być bogatym prawnikiem. Nie poszedłeś do biura obrońców z urzędu, żeby pomagać biednym czarnym z południowego Dallas. Poszedłeś do wielkiej firmy prawniczej, żeby zarabiać kupę forsy, pracując dla bogatych klientów mieszkających w Highland Park. I nagle sumienie się w tobie obudziło? Nie sądzę.

Wycelowała palec w Scotta.

- Teraz sam to robisz: rujnujesz moje życie dla kurwy, która jak sam wiesz, do cholery, jest winna jak diabli. I przysięgam na Boga, wtedy z nami koniec! - Wskazała na sufit. - A naszej małej dziewczynce będzie lepiej bez matki.

***

Na trzecim piętrze Boo i Pajamae przygotowywały się do snu. A. Scott poczytał im, co bardzo się Pajamae spodobało. Fajnie było mieć przyjaciółkę. Boo nalegała, żeby spały w jednym pokoju, bo mogły wtedy rozmawiać. Pajamae zgodziła się na to. Ale teraz Boo klęczała na łóżku, zastanawiając się, co Pajamae wyrabia, rozścielając koc na podłodze i kładąc na nim poduszkę.

- Co ty wyrabiasz, do jasnej anielki?

- Jakiej anielki?

- Tak się mówi.

- Ach. Ścielę sobie.

- Na podłodze?

Pajamae spojrzała na swoje legowisko, po czym na Boo w dużym łóżku.

- Ty śpisz na łóżku?

Boo wybuchnęła śmiechem.

- Oczywiście, że tak. A ty gdzie śpisz?

- Na podłodze.

- Och, nie masz prawdziwego łóżka?

- Nie, mam łóżko.

- Bolą cię plecy? Czasami A. Scott śpi na podłodze, kiedy bolą go plecy, bo kiedyś grał w piłkę.

- Nie. Nie bolą mnie plecy.

- To dlaczego?

- Bo tak jest bezpieczniej.

- Bezpieczniej? Przed czym?

- Przed ostrzałem.

Po krótkiej dyskusji Boo przekonała Pajamae, że w Highland Park można spokojnie spać w łóżku, i zasnęły obok siebie. Kiedy godzinę później Scott wszedł po schodach, jak robił to co noc przed pójściem spać, żeby zobaczyć, co u córki, i pocałować ją na dobranoc. Dwie dziewczynki leżały tak blisko siebie, że kiedy nachylił się, żeby pocałować Boo, wystarczyło wychylić się odrobinę dalej, by pocałować Pajamae w czoło. Kiedy to zrobił, przekręciła się na łóżku i wyszeptała przez sen:

- Tatuś?

Rozdział dwunasty

Co roku walka między firmami prawniczymi o utalentowanych absolwentów była bardzo zażarta. Kancelaria Ford Stevens oferowała takie samo jak inne korporacje wynagrodzenie, wymagające odpracowania jednakowej liczby godzin, i obiecywała równie fascynujące relacje między wspólnikami a pracownikami. Zagwarantowanie odpowiedniej liczby godzin i odpowiedniego wynagrodzenia było łatwiejsze niż wspomniane fascynujące relacje - wymagało to sporego kunsztu prawniczego wspólników, którzy musieli udawać, że bardziej im zależy na przyszłości i karierze absolwentów niż na własnej. Ale w końcu okłamywanie studentów prawa było elementem gry.

Dzisiejsze poważne rozgrywki odbywały się pod adresem 4000 Beverly Drive. Scott Fenney, jak co roku, wydawał w swoim domu w Highland Park przyjęcie z okazji czwartego lipca dla letnich praktykantów firmy Ford Stevens. Stał w patio pod markizą i kręcił głową: czterdziestu chuderlawych i bladych studentów prawa w strojach kąpielowych kręciło się wokół wspaniałego basenu i w specjalnie zaprojektowanym ogrodzie, ale nie był to porywający widok. Dzięki Bogu, mieli przynajmniej wystarczająco dużo rozumu i nie założyli obcisłych kąpielówek marki Speedo. Gdyby nie Missy i inne czirliderki w bikini, całość stanowiłaby prawdziwy obraz nędzy i rozpaczy.

- Mam dobre wieści, Scotty.

Nie zauważył wcześniej Bobbyego.

- O co chodzi?

- Rozmawiałem z Hannah Steele. Będzie zeznawać. Opowiedziała mi całą historię o Clarku. Do chwili, kiedy się nie naszprycował, był to najmilszy chłopak pod słońcem, potem wstępowało w niego zwierzę. Jego gra wstępna polegała na waleniu partnerki po twarzy. - Bobby łyknął piwa. - Shawanda wyświadczyła wszystkim przysługę, rozwalając mu łeb.

- Czy to jedyny nasz mocny świadek obrony?

- Tak. Ale chce, żeby do rozprawy jej nazwisko było utrzymywane w tajemnicy. Trzęsie tyłkiem ze strachu przed McCallem.

- Czy nie powinniśmy umieścić jej na naszej liście świadków?

Bobby wzruszył ramionami.

- Powinniśmy. Buford jednak nam trochę odpuści, bo jak widzę, nienawidzi kary śmierci, ale Burns się nie podda. Czy czytałeś mój raport o tym, dlaczego w tej sprawie, biorąc po uwagę okoliczności, nie powinno się zastosować kary śmierci?

Scott pokręcił głową.

- Czy czytałeś w ogóle jakieś moje notatki, szkice?

- Nie miałem czasu.

Bobby mruknął coś i poszedł szukać grilla, zostawiając Scotta zatopionego w myślach, w których wciąż pojawiało się wypowiedziane przez Dana Forda zdanie: „Scott, muszę dać McCallowi odpowiedź. I to szybko".

- Proszę, proszę... Czy to nie nasz Johnnie Cochran? Koło Scotta pojawił się Bernie Cohen z piwem w dłoni.

- Jaką masz linię obrony tej kurwy, Scott? - Kolejne jego słowa ułożyły się już w rytm rapowej rymowanki: - Wysoki sądzie, gumka zleciała, a więc niewinna jest moja mała?

Bernie uważał to za doskonały dowcip. Był wspólnikiem w firmie Ford Stevens, pracującym w dziale papierów wartościowych, i wyglądał, jakby miał pięćdziesiąt lat, choć był tylko rok starszy od Scotta. Na jego ciele nie było widać śladu ani jednego mięśnia. Bernard Cohen należał do typu nazywanego w ogólniaku „tłustą dupą". Wskazał teraz butelką piwa na Boo i Pajamae siedzące po drugiej stronie basenu, na cembrowinie.

- To jej córka? - Tak.

- Mieszka u ciebie? - Tak.

- Widziałem zdjęcie twojej klientki w gazecie. To całkiem niezła czarnulka. - Bernie szturchnął Scotta w ramię i wyszczerzył zęby. - Rozumiem, że odpowiednio ci płaci?

- Zamknij się, Bernie.

Bernie odpuścił, parsknął tylko i odszedł, a Scott zastanawiał się, jakim cudem kiedyś lubił tego tłustego kutafona. I dlaczego to przyjęcie nie sprawia mu takiej radości jak w zeszłym roku, kiedy z dumą pokazywał zauroczonym studentom swoją rezydencję: cztery tysiące metrów kwadratowych posiadłości w sercu Highland Park, garaż na cztery samochody, w którym stało jego ferrari, mercedes coupé żony i land-rover, którym rodzina jeździła na wspólne wypady w teren, poza tym jeszcze drogie patio z widokiem na basen i domek kąpielowy, za którym ciągnęły się połacie soczystej zieleni zraszane wodą z podziemnego systemu nawadniającego. Scott rozwiesił siatkę do gry w siatkówkę i teraz kilku studentów grało tam w piłkę. Potrząsnął głową - same cherlaki.

W tym roku nie potrafił się wczuć w atmosferę imprezy. Studenci byli szczęśliwi, czirliderki przymilne, piwo lało się strumieniami, a na grillu skwierczały różne przysmaki... Myśli Scotta krążyły jednak wokół Shawandy Jones i jej dziewczynki siedzącej na drugim końcu basenu, groźby jego żony i żądań Dana Forda. „Scott, muszę dać McCallowi odpowiedź. I to szybko". Rozprawa miała się zacząć już za tydzień i Scott muf siał podjąć bardzo trudną decyzję - decyzję, której nie chciał podejmować, decyzję, która wisiała nad nim

jak fatum. Zaczął się wręcz przyzwyczajać do uczucia stałej obecności czarnych chmur nad swoją głową.

***

Siedząca na brzegu basenu Pajamae powiedziała:

- Nie widziałam naraz tylu białych od zeszłego roku, kiedy mama zabrała mnie na State Fair. Tylko wtedy widzimy białych.

- Niewiele tracisz - odparła Boo. Pajamae wskazała gestem wszystkich wokół.

- Kim oni są?

- Kandydaci na prawników.

- Kandydaci?

- Studenci, których firma A. Scotta stara się pozyskać.

- To bardzo brzydcy biali chłopcy, ale dziewczyny są naprawdę piękne. Czy to ich kobiety?

- Czirliderki?

- To są czirliderki?

- Kiedyś były. A. Scott płaci im, żeby pojawiały się na imprezach i udawały, że są zainteresowane studentami, dzięki czemu łatwiej ich zatrudnić. Nazywa to przynętą i zmiękczaniem.

- Przynętą i jak?

- Przynętą i zmiękczaniem. Jak w gazecie, gdzie jest ogłoszenie, że sprzedają bardzo fajne rolki, ale kiedy się wchodzi do sklepu, to mówią, że wszystkie z promocji już zostały wyprzedane, i czekają, żeby klient zmiękł i kupił inną markę, która kosztuje więcej.

- O, to jak wtedy, kiedy leszcz stara się wymusić na mamie niższą cenę, kiedy już wsiadła do samochodu.

- Sprzedawca ryb wciąga twoją mamę do samochodu?

- Nie, leszcz... Frajer.

- Czekaj, taki, który ma niezły bajer?

- Nie, nie rozumiesz. To taki klient, który chce kupić mamę-

- Twoja mama jest na sprzedaż? Pajamae kiwnęła głową.

- Na godziny.

- A. Scott też jest na godziny. Mówi na to „godziny do taksacji" - On bierze trzysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę.

- Mama też tyle zarabia za godzinę, a żadnych szkół nie kończyła.

- Niesamowite. Nieważne, ci studenci myślą, że jak firma A. Scotta ich weźmie, to będą mogli umawiać się z takimi pięknymi dziewczynami, ale nie mają szans.

- Jak im dobrze zapłacą, to im się uda. Mama mówi, że wszystko to tylko kwestia ceny.

***

W obrzydliwie upalne dni, takie jak dzisiaj, Bobby bierze zazwyczaj piwo i wychodzi do ogródka swojego trzypokojowego domu z jedną łazienką z widokiem na wschodnie Dallas, a następnie siada w płytkim, dmuchanym brodziku - to jest jego wersja przyjęcia przy basenie. Ta impreza prezentowała się o wiele atrakcyjniej. Po pierwsze, basen był większy. Po drugie, nie musiał zamykać oczu, żeby marzyć o swoim podwórku pełnym pięknych dziewcząt w bikini. Miał oczy szeroko otwarte, a dziewczyny były prawdziwe. Naprawdę to bardzo miłe, że Scotty go zaprosił.

Bobby stał samotnie przy rogu basenu, z piwem w jednej dłoni i długim smażonym żeberkiem w drugiej. Sok z pieczonego mięsa kapał mu na brzuch, a on starał się niezbyt nachalnie obcinać dziewczyny wokół. Miał na sobie tylko spodenki do pływania. Jego blade ciało w niczym nie przypominało smukłego muskularnego posągu - jak u Scotta. W porównaniu ze studentami prawa czuł się jednak jak cholerny Adonis. Wtedy właśnie piękność w białym bikini przysunęła się do niego tak blisko, że aż poczuł ciepło jej ciała. Bobby odruchowo wciągnął brzuch. Odrobinę.

- Zauważyłam, że nie nosisz obrączki - powiedziała dziewczyna.

- To dlatego, że nie jestem żonaty.

- Co za zbieg okoliczności - stwierdziła, zwracając ku niemu olbrzymie błękitne oczy. - Ja też nie.

Bobby wchłonął już kilka piw, odwagi starczyło mu więc za dziesięciu.

- Cóż taka piękna, samotna dziewczyna jak ty robi na takiej imprezie?

- Szukam sobie bogatego prawnika, takiego jak ty. „Nie ma jak szczerość” - pomyślał Bobby, a dziewczyna przysunęła się do niego, wypinając kształtny biust tak, że miało się wrażenie, że za chwilę wystrzeli on ze skąpego skrawka materiału. Sam dotyk jej skóry wywołał niezłe zamieszanie w szortach Bobby’ego.

- Tak, musisz jednak wiedzieć, że nie mam takiego domu, nie jestem bogatym prawnikiem i wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że nigdy nim nie zostanę. Ale słuchaj: i tak możemy się jakoś stąd wymknąć, znaleźć ustronne miejsce i pieprzyć się jak króliki przez cały tydzień.

Odsunęła się gwałtownie, jakby nagle oblazły ją mrówki. Posłała mu blady uśmieszek i powiedziała:

- Nie wydaje mi się.

Po czym znikła tak nagle, jak się pojawiła. Bobby zamknął oczy i wdychał resztki zapachu, jaki pozostawiła. Ale zapach wkrótce rozwiał się w powietrzu, podobnie jak znikło wybrzuszenie w zakamarkach jego szortów. Podszedł do jedynych dwóch dziewczyn, które nie szukały bogatych prawników. Boo i Pajamae siedziały na obrzeżu basenu, poruszając stopami w wodzie.

- Cześć, Bobby - powiedziała Boo.

- Cześć, dziewczyny. Pajamae odezwała się:

- Witam, panie Herrin.

Scotty przedstawił go dziewczynkom już wcześniej. Bobby dołączyf do nich, wkładając nogi do chłodnej wody.

- Gdzie twoja mama? - zapytał Boo. - Widziałem ją tylko na samym początku.

- Siedzi w domu. - odparła Boo. - Nienawidzi takich imprez.

- A ty?

- Ach, ja je wprost uwielbiam. Staram się zgadnąć, jak będzie wyglądało życie tych chłopaków, jeśli nie dostaną pracy u A. Scotta.

Bobby się zaśmiał.

- Scotty mówi, że masz dziewięć lat, a zachowujesz się, jakbyś miała dwadzieścia dziewięć. - Wycelował żeberkiem w jednego ze studentów. - Dobra, opowiedz mi o tym. Co będzie robił w życiu ten chudy w czarnych okularach.

Boo wpatrywała się przez chwilę w studenta i powiedziała: - Jest niezwykle inteligentny. Poszedł na prawo tylko dlatego, że jego tato jest prawnikiem, ale chce pracować w branży komputerowej. Dostanie dyplom jako jeden z najlepszych na roku, zatrudni się w firmie A. Scotta i za rok będzie z nim spokój. Nigdy z nikim się nie umawiał, bo jest straszliwie nieśmiały, i teraz chciałby usiąść w domu przy komputerze, gdzie mu jest najlepiej. Zawsze będzie sam.

Bobby wpatrywał się ze zdumieniem w dziecko.

- Doskonale. Dobra, Pajamae, twoja kolej. Powiedz mi coś o tej blondynie, tej z tymi, ee...

- Z cyckami jak z supermarketu?

- Hm... tak, właśnie o niej. Co z nią będzie?

- Jest głupia jak but, ale nie wie o tym, bo i skąd. Wyjdzie za bogatego prawnika i będą żyć długo i szczęśliwie.

Bobby pokiwał głową, całkowicie zgadzając się z przepowiednią.

- Dobre jesteście, dziewczyny. W porządku, Boo, a ten Boo rozejrzała się wokół basenu, szukając kolejnej ofiary.

- Który facet?

Bobby wskazywał teraz żeberkiem na siebie.

- Ja.

Boo zastanowiła się przez chwilę, następnie wbiła wzrok w wodę i potrząsnęła głową.

- Ej, powiedz! - zachęcał ją Bobby.

Boo podniosła wzrok. Wyraźnie było widać smutek w jej oczach.

- Nie, Bobby.

Bobby zaśmiał się i powiedział:

- No co? Jestem dużym chłopcem, wytrzymam to.

Myślał, że powie coś w stylu, że jest żałosnym frajerem i zawsze nim zostanie. Do diabła, to nic nowego. Mówił to sobie co rano do odbicia w lustrze. Ale Boo milczała. Następnie, nie patrząc mu w oczy, powiedziała:

- Skrycie kochałeś się w mojej matce, ale ona wyszła za A. Scotta. Nigdy nie mogłeś się z tym pogodzić. Ciągle się zastanawiasz, jak wyglądałoby twoje życie, gdyby poślubiła ciebie, a nie jego.

Tego Bobby nie przewidział. Musiał odetchnąć głęboko. Cios był celny. Podniósł się, cały czas patrząc na nią.

- Skąd wiesz?

- Widziałam, jak jej szukałeś wzrokiem, kiedy przyszedłeś. Oczy biegały ci na prawo i lewo, aż ją zobaczyłeś. Później patrzyłeś na nią przez długą chwilę. Całą wieczność.

Bobby ruszył wprost do lodówki z piwem.

***

Z okna głównej sypialni Rebecca Fenney patrzyła na tłumek, w którym stało dwóch kochających ją mężczyzn. Widziała Scotta otoczonego grupką studentów prawa i czirliderek - jedna blondyna o obfitych kształtach w czarnym bikini dawała mu wyraźne sygnały - i samotnego Bobbyego przy lodówce z piwem. - Biedny Bobby. Wiedziała, że kochał się w niej od czasów, kiedy jeszcze byli ze Scottem na prawie, ale trzymał to w tajemnicy, nie ośmielając się wyciągnąć ręki po żadną z rzeczy Scotta. Nie, żeby miał jakieś szanse - wszyscy wiedzieli, że Bobby Herrin nie zajdzie daleko, w przeciwieństwie do Scotta Fenneya.

Dlatego właśnie Rebecca Garrett zapisała się na kurs życia ze Scottem Fenney. Była to niezła jazda: jedenaście lat temu mieszkała w żeńskim akademiku, jeździła używaną toyotą i dopingowała drużynę SMU Mustangs. Dzisiaj mieszkała w wielkiej posiadłości, jeździła mercedesem i miała zostać przyjęta do komitetu organizacyjnego Balu Baronów Bydła. Ale czuła niepokój, lęk i zastanawiała się: „Czy ten kurs właśnie się kończył?".

Rebecca Garrett dorastała na przedmieściach robotniczych Dallas. Nienawidziła tego życia - chciała więcej. Nie było więc innego wyjścia, musiała się dostać do Southern Methodist University. Dla biednej dziewczyny z Dallas uczelnia ta była przepustką do lepszego życia, w prostej linii prowadzącą do Highland Park.

Rebecca była zdolną uczennicą, w klasie i poza nią. Jeździła nawet swoim gruchotem po uliczkach Highland Park i wyobrażała sobie, że jest właścicielką jednej z tych wspaniałych posiadłości, chociaż była na tyle inteligentna, że zdała sobie sprawę z jednego: nigdy o własnych siłach, przy pomocy rozumu i pracy, nie będzie w stanie kupić sobie domu w Highland Park. Żadnej kobiety nie byłoby na to stać.

To jej wygląd mógł zapewnić jej odpowiednią przyszłość. Od czasu gdy skończyła dziesięć lat, matki innych dzieci zatrzymywały się przy niej ze słowami: „Boże, cóż za niezwykle piękne dziecko!". Kiedy stała się szesnastolatką i nabrała kobiecych kształtów, ojcowie jej koleżanek gapili się na nią bezustannie. Gdy zaś ukończyła dwadzieścia jeden lat jako najpiękniejsza dziewczyna na uniwersytecie i starała się o pracę, oczy mężczyzn rozświetlał na widok jej urody niezwykły blask - chcieli jej i byli gotowi zapłacić każdą cenę.

Nie zamierzała rozmieniać się na drobne, nawet za cenę pracy. Reb ecca Garrett zamierzała sprzedać swoją urodę za cenę nieruchomości i połowy majątku, który wypracuje jej mąż podczas małżeństwa. Tego właśnie dowiadują się teksaskie dziewczyny, kończąc ogólniak: w Teksasie dziewczyna nie musiała walczyć o alimenty, w Teksasie żonom należała się połowa wszystkiego - tak stanowiło prawo.

Potrzebowała więc męża. Ze swoją urodą miała trzy możliwości: mogła wyjść za starszego faceta, który już dorobił się fortuny (ale kogoś takiego zwykle dostaje się z dobrodziejstwem inwentarza, czyli z kilkoma byłymi żonami i gromadką dzieci z poprzednich małżeństw), mogła poślubić syna takiego starszego, bogatego mężczyzny (dziedziczony majątek to jednak nie to samo co własność wypracowana w trakcie trwania małżeństwa), mogła też wyjść za mężczyznę, którego ambicją było dorobienie się własnej fortuny. Scott Fenney - legenda futbolu Highland Park i uczelni - był właściwym kandydatem. Nie ma lepszego miejsca pod słońcem dla legend futbolu niż Dallas w stanie Teksas. To żelazna gwarancja sukcesu w życiu.

Rebecca Garrett postawiła więc swoją urodę na Scotta Fenneya.

Kochała go wtedy, ale nie wyszłaby za niego, gdyby chciał zostać trenerem w ogólniaku i mieszkać w małym domu na przedmieściach. Nie była w stanie oddzielić miłości od ambicji. Kochała go, bo chciał tego, czego ona chciała, ponieważ jej pragnienie posiadania dorównywało jego ambicjom. Dobrali się jak w korcu maku. Pobrali się więc i zamieszkali w domu w Highland Park, wartym pół miliona dolarów. Scott został prawnikiem Toma Dibrella, a ona została najpiękniejszą kobietą Highland Park.

Pierwsze lata kursu życia ze Scottem Fenney były takie, jak oczekiwała: kupowali, zyskiwali, wychodzili, pięli się w górę. Scott walczył w firmie Ford Stevens o rodzinny majątek, przyjmowano go w wyższych sferach i płacił koszty reprezentacyjne. Sukces gonił sukces i sukcesem poganiał. Jego i jej. Wkrótce zajęli pierwszą lokatę na liście par pnących się w hierarchii społecznej, młodych i pięknych, ludzi sukcesu - legenda Southern Jvlethodist University i miss Southern Methodist University. Wszyscy im zazdrościli: mężczyźni pragnęli jej, a kobiety jego. Nie rozmieniali się jednak na drobne i należeli tylko do siebie - sukces podniecał ją, a ona podniecała jego. Jej mąż zawsze pożądał jej z żarliwą namiętnością, kochał ją nad życie pragnieniem, które nie przygasa i nie ma końca. Sukces i seks: życie pani Fenney było doskonałe i stawało się z dnia na dzień piękniejsze.

Aż do dnia, kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży.

Było to całkowite zaskoczenie - macierzyństwo nigdy nie było w jej planach, a teraz, kiedy patrzyła, jak nieuchronnie staje się pulchna i zaczyna wyglądać jak wieloryb wyrzucony na plażę, wiedziała, że całe jej życie legło w gruzach. Zawsze lubiła patrzeć na swoje odbicie w lustrze, teraz odwracała od niego oczy ze wstrętem. Rebecca Fenney nie zmieni się w opasłą mamuśkę w minivanie! Była smukłą, białą kobietą jeżdżącą czarnym mercedesem coupé, którym wybrała się wtedy kilka razy na przejażdżkę, starając się zebrać na odwagę i wejść do jednej z klinik, aby usunąć ciążę. Oczywiście zrzuciłaby całą winę na komplikacje ciążowe i poronienie - w politycznie konserwatywnym Highland Park aborcje były nie do pomyślenia.

Jednak Scott chciał tego dziecka.

Oznajmił wszystkim, że na świat ma przyjść potomek Fenneyów. Mężczyźni prorokowali piętnaście lat w przód, kiedy to Scott Junior zadebiutuje na boisku w Highland Park, a kobiety zasypywały żonę Scotta prezentami dla dziecka, żeby zmniejszyć jej stres związany z nadchodzącym macierzyństwem. Skoro poświęcano jej ciąży tyle uwagi, samo słowo „poronienie" mogłoby się stać osobistą porażką pani Fenney, a porażki nie są społecznie akceptowalne w Highland Park. Poddała się więc ternu, co było nieuniknione, i

zmieniła się we wzorową przyszłą matkę. Jadła tylko zdrową żywność (żadnej kofeiny, żadnego alkoholu, codzienne ćwiczenia w basenie) i udawała taką szczęśliwą, że jest grubiutka.

Ale Scotty Junior okazał się dziewczynką o imieniu Boo. Po całym Highland Park rozległ się jęk zawodu - z ust wszystkich oprócz Scotta. Jemu było wszystko jedno. Kiedy spojrzał na nowo narodzoną córeczkę w szpitalu, była to miłość od pierwszego wejrzenia. Rebecca spostrzegła wtedy, że skradziono jej miejsce w jego sercu.

Seks już nie był taki jak dawniej.

Rebecca Fenney potrzebowała mężczyzny, który pragnął jej ponad życie, a Scott Fenney już taki nie był. Potrzebowała jednak również mężczyzny, który dawał jej to, co było jej niezbędne do życia, a Scott Fenney pod tym względem jeszcze idealnie nadawał się na męża. Dał jej posiadłość w Highland Park, dom, o którym marzyła od czasów, gdy była dziewczynką, dom, który aż krzyczał, że Rebecca Fenney należy do Highland Park. Kobieta mieszkająca w domu za pół miliona dolarów jest przyjmowana do klubów towarzyskich, kobieta mieszkająca w posiadłości za trzy i pół miliona może zasiadać w komitetach organizacyjnych. To ten dom wyznaczał rytm życia pani Fenney. Wiodła idealne życie i nie mogło być lepiej.

Mogło być tylko gorzej.

To właśnie stanowiło powód jej zmartwień w ciągu ostatnich tygodni: Czy koleje jej życia zmienią się na gorsze? Czy jazda ze Scottem Fenney zwalniała bieg... Czy po prostu się kończyła? Myślała o tym, miała nadzieję i modliła się, żeby trwało to całe życie. Ale z mężczyznami nigdy nie wiadomo. Mężczyźni zawsze potrafią spierdolić to, co dobre.

Czy Scott Fenney też?

Oczywiście wielu mężczyzn z Highland Park porzucało swoje żony, kobiety starsze od pani Fenney, dla młodszych kobiet. Ale porzucane żony miały po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat, fortuny rodzinne były już zdobyte i ich połowa należała do nich. Rebecca miała trzydzieści trzy lata, a rodowa fortuna wciąż jeszcze powstawała, nadal byli zadłużeni w banku, który ustalił hipotekę na jej dom i na jej życie. Gdyby Scott ją teraz zostawił, zostałaby z niczym, tak jak została z niczym jej matka, kiedy opuścił ich ojciec. Dlatego więc jazda ze Scottem Fenney musi trwać przynajmniej do spłaty hipoteki!

Postawiła swoją urodę na Scotta Fenney. Co będzie, jeśli przegra tę stawkę?

Kiedy została panią Fenney, zaczęła odwiedzać domy żon starszych prawników, podziwiała ich majątek i chciała mieć to, co miały one - wszystko, co można kupić za pieniądze. Dopiero niedawno zdała sobie sprawę, że kiedy podziwiała to, co miały, one

pragnęły mieć to, co było jej własnością: piękno, młodość, coś, co mogło być kartą przetargową w starciu z ich mężami prawnikami. Za pieniądze nie można jednak kupić urody ani młodości, chociaż można próbować robić sobie liposukcję, zlikwidować rozstępy na brzuchu, wszczepić implanty piersi i zrobić lifting twarzy. Zawsze znajdzie się dobry chirurg, ale i tak nie zrobi dwudziestopięciolatki z pięćdziesięciolatki. Dlatego więc ich mężowie odchodzili do młodszych.

Teraz zaś trzydziestotrzyletnia Rebecca, czyli już w nie młódka według standardów obowiązujących w Highland Park, zrozumiała ich lęk, obserwując poczynania blondynki przy basenie. „Ile ona ma lat? Dwadzieścia dwa? Dwadzieścia trzy?". Rzuca jej mężowi zalotne spojrzenia, stara się o jej prawnika, gotowa ochoczo wykorzystać swoją urodę, żeby sięgnąć po to, co należy do niej. Zawsze znajdzie się młodsza, ładniejsza, szczuplejsza kobieta, chętna zająć jej miejsce pani domu. Rebecca Fenney była wciąż zniewalająco piękna, ciągle była najładniejszą kobietą w Highland Park i z powodzeniem mogła stawać w szranki o swojego prawnika z dwudziestolatką. Nadejdzie jednak taki moment - wiedziała o tym dobrze - kiedy przegra. Z każdym dniem swojego życia Rebecca Fenney była o dzień starsza i o dzień brzydsza.

Gdyby dziewczyna przy basenie odbiła jej Scotta - a każdego czwartego lipca jakaś konkurentka kręciła się przy basenie - zanim ich rodzinna fortuna się ugruntuje, zapewniając jej godne życie, pani Fenney pozostawałoby jedno wyjście matrymonialne: musiałaby wyjść za pięćdziesięciolatka, pięćdziesięciopięciolatka, może nawet sześćdziesięciolatka. Sama myśl o sześćdziesięciolatku wdrapującym się na nią napawała ją obrzydzeniem. Mając wystarczająco dużo pieniędzy, mężczyzna zawsze mógł się ożenić z kobietą młodszą o dwie, nawet o trzy dekady. Ale kobieta? Nie miałaby szans u mężczyzny w swoim wieku. Trzydziesto- i czterdziestolatkowie wybierają sobie dwudziestolatki, takie jak ta blondynka.

Tak, w życiu każdej kobiety zawsze jest ta druga. Ale w wypadku pani Fenney było inaczej: ta druga w jej życiu, kobieta, która walczyła z nią o jej męża, przez którą mogła stracić wszystko, co osiągnęła - dom, pozycję, wszystko, co posiadała - nie była dwudziestodwuletnią blondynką z wielkimi cyckami i szczupłym tyłkiem, tylko czarną prostytutką oskarżoną o zamordowanie syna senatora.

***

- Jak dorosnę, będę prostytutką.

W kuchni Consuela aż pisnęła, Scott mało nie zadławił się mostkiem z grilla, który został po przyjęciu, a Rebecca spojrzała na niego znacząco znad stołu. Odwróciła się do Boo, która właśnie wyjawiła swoje plany zawodowe przy rodzinnej kolacji.

- Słucham?

- No tak - powiedziała dziewczynka, wgryzając się w żeberko. - Faceci płacą mamie Pajamae dwieście dolarów za godzinę, żeby z nią być, a jak leszcz chce ją na całą noc, to daje tysiąc dolarów.

Scott spojrzał na Pajamae, która przytakiwała z poważną miną.

- Cóż, Scott - stwierdziła Rebecca. - Twój mały eksperyment społeczny właśnie zmienia naszą córkę w kobietę bardziej światową...

- Rebecco, ona nie rozumie, o czym mówi. Co mama Pajamae robi z tymi leszczami? - zwrócił się do Boo.

Boo wpakowała łyżkę sałatki ziemniaczanej do buzi i powiedziała:

- No, głównie to oglądają telewizję, jedzą popcorn, ale czasami leszcz chce pocudzołożyć.

Rebecca upuściła srebrny widelec.

- Och. Po prostu wspaniale! - I dodała spokojnie: - Co wtedy?

- Wtedy, jak się ma gumowce, to w porządku, nawet jeśli nie pada. Ale nie wiem, po co są te gumowce? - powiedziała Boo. Spojrzała na Pajamae, oczekując odpowiedzi, ale dziewczynka tylko wzruszyła ramionami i wgryzła się w żeberko.

- Aha, to ci mówiła twoja mama, Pajamae, co? Pajamae, mimo że zajęta jedzeniem, odpowiedziała: - Tak, tak mówiła. Powiedziała też, że jak prezydent może zarobić dziesięć milionów dolarów za napisanie książki o ciągnięciu druta w Białym Domu, to ona może za samą czynność zarobić stówę na Harry Hines Boulevard. - Spojrzała znad talerza. - Mama dużo mówi, kiedy jest chora i bierze lekarstwo... Potem zasypia.

Boo zwróciła się do Pajamae:

- Co to znaczy „ciągnąć druta”?

***

Shawanda wyssała szpik z kości i oblizała się ze smakiem. Zwróciła swoje wielkie brązowe oczy na Bobby’ego, uśmiechnęła się i powiedziała:

- To ci dopiero wyżerka.

Bobby podsunął jej kolejne żeberko z przyjęcia u Scotta. Wyniósł stamtąd chyba z tuzin, dwa pojemniki sałatki, pudełko z prażoną fasolą i dwa chłodne piwa. Wiedział, że nie wolno mu wnosić piwa do aresztu federalnego, wypił je więc po drodze. Zanim Shawanda przełknęła cokolwiek, musiał jej oczywiście ze szczegółami opowiedzieć o przyjęciu i o tym, jak pięknie wyglądała jej córka.

- Panie Herrin, przez miesiąc przynosił mi pan jedzenie. Ile to, pięć, sześć razy? - powiedziała.

- Siedem, ale kto by to liczył. Tylko nie mów Scottowi, dobra?

- Czemu pan przychodzi? Czuje pan miętę do Shawandy?

Bobby wzruszył ramionami.

- Jesteś moją klientką... Tak jakby.

Spojrzała na niego jak wróżka, która stara się wyczytać przyszłość z twarzy klienta, po czym pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Nie ma pan z kim jeść, co, biedaku?

Bobby wpatrywał się intensywnie w papierowy talerzyk.

- Nie mam.

- No, jest pan dla mnie bardzo miły, przynosi mi dobre jedzenie... Ale ta pizza z tymi małymi rybkami...

- Z anchois.

- Właśnie z tymi... - Przełknęła sałatkę i powiedziała: - Panie Herrin, naprawdę mi przykro.

- Dlaczego?

- No, że pomyślałam, że jest pan tylko beznadziejnym... adwokaciną.

- Nic nie szkodzi. Sam tak o sobie myślę właściwie cały czas. - Bobby się zaśmiał.

- Biedny pan jesteś, bo się spinasz. Masz pan słabość do takich biedaków jak ja, tyrasz pan za psie pieniądze, dlatego jesteś pan biednym prawnikiem. Nie można zarobić szmalu, jak się daje za darmo. Gdzie bym skończyła, gdybym tak robiła? Nie, panie Herrin, to żaden biznes. Pan Fenney jest dziany, bo on wie, że trzeba obsługiwać tylko bogatych klientów.

- Kiedyś był inny.

- Nie masz pan więc do mnie zadry, że powiedziałam sędziemu, że chcę pana Fenney na obrońcę?

- Nie. Potrzebujesz go, Shawando. Jest zdecydowanie lepszym prawnikiem ode mnie.

- Może znów będzie taki, jak kiedyś... Będzie mu zależeć, może na mnie?

Spojrzeli sobie w oczy i Bobby dostrzegł w nich nadzieję.

- Może.

***

Siedziba klubu w Highland Park nie była najdroższym budynkiem w Highland Park ani nawet w Dallas, ale było się tutaj najtrudniej dostać. Gdyby powiedzieć, że był to najbardziej niedostępny klub dla postronnych, to tak jakby stwierdzić, że Michael Jordan

całkiem nieźle radzi sobie z grą w kosza. Nie można się było do niego wkupić, można się było wrodzić, wżenić albo też całować tyle tyłków na wysokich stołkach, że Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne w końcu przyznawało nowemu członkowi klubu doktorat honoris causa z proktologii. Scott Fenney przeszedł tę ostatnią drogę, żeby uzyskać swoje członkostwo, a przywilej ten otrzymał tylko dlatego, że był legendą futbolu i prawnikiem Toma Dibrella.

Scott zaparkował rangę rovera pod markizą przy wejściu. Zanim zdołał wyłączyć silnik, już parkingowy otwierał mu drzwi. Dał mu dwadzieścia dolarów i wszedł z rodziną do środka. Boo i Pajamae pognały przodem, chichocząc jak dziewczynki w tym wieku. Widząc to, Scott się uśmiechnął. Rebecca nie.

Nawet kiedy nie była, oględnie mówiąc, w najlepszym nastroju, jak teraz, i tak była najpiękniejszą kobietą w Highland Park. Scott z dumą wprowadzał więc swoją żonę do klubu - wysoki, przystojny gwiazdor futbolu, który został znanym prawnikiem, idący pod rękę z olśniewającą pięknością w jasnozielonej sukni uwydatniającej jej boską figurę - wyłapywała dyskretne spojrzenia mężczyzn, którzy żałowali, że nie wrócą do domu z nią, ale ze swoimi pomarszczonymi dinozaurzycami. Rebecca stanowiła część składową idealnego życia Scotta Fenneya, chociaż dziś wieczorem była to szczególnie wkurzająca część.

- To, kurwa mać, bardzo wielki błąd - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Och, za bardzo się przejmujesz. Przyszliśmy na pokaz ogni sztucznych. Nikt nie zwróci uwagi na małą czarną dziewczynkę.

- Tak, jasne. Tutejsze kobiety wpatrują się we wszystko jak harpie i zauważają najdrobniejszą zmianę wielkości biustu czy najmniejszą różnicę na pośladkach. Jak mam im to wyjaśnić? Przecież od razu widać, że nie jest dzieckiem jednego z członków klubu!

Country Club otwierał swoje podwoje dla dzieci swoich członków dwa razy do roku: na przyjęcie bożonarodzeniowe z udziałem Świętego Mikołaja i na pokaz ogni sztucznych czwartego lipca. W pozostałe dni nie wolno było przyprowadzać tu dzieci. One zresztą niechętnie garnęły się do tego miejsca Śred nia wieku członków wynosiła siedemdziesiąt cztery lata, Scott i Rebecca należeli do najmłodszych, co znaczy: poniżej sześćdziesiątki. Wystrój był współczesny - z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. Członkowie nie widzieli potrzeby zmiany wystroju, jedynym nowym elementem był olbrzymi ekran telewizyjny w sali dla panów. Przekonywanie siedemdziesięciolatków, że zmiany wyjdą na dobre, nie miało po prostu sensu - jedyna zmiana, jaka mogła zajść w takim mężczyźnie, prowadziła w prostej linii do kroplówki przy łóżku. Nic już nie było w stanie go odmłodzić.

Dlatego poza tymi dwoma dniami w roku dzieci miały wzbroniony wstęp do klubu. Nie wpuszczano też czarnych, chyba że nosili kije golfowe albo pomagali w kuchni. Nie wpuszczano również Latynosów ani nikogo, kto mógłby zburzyć sielski spokój członków klubu. Ani Żydów. Mimo że bogobojni baptyści leczyli się w szpitalu Zale Lipshy, a ich żony robiły zakupy u Neimana Marcusa, nie pozwalano, aby członkiem klubu został Żyd. To przecież nie do pomyślenia! Nie było oczywiście tego w żadnych spisanych zasadach czy regulaminach - nie pisze się takich rzeczy. Po prostu się wie, tak samo jak się wie, że policjantowi nie można pokazać nieprzystojnego gestu palcem (choć prawo tego nie zakazuje), bo można w ten sposób dostać mandat za nieostrożną jazdę.

Rebecca i Scott szli przez klub wzdłuż głównego korytarza, otaczani co jakiś czas przez pomarszczone dinozaurzyce, które już gratulowały pani Fenney nominacji na przyszłą szefową komitetu organizacyjnego Balu Baronów Bydła. „Ona jest i programu dla ubogich dzieci" - wybełkotała Rebecca, kiedy kobiety zauważyły Pajamae. Po czym wyszli tylnymi drzwiami na wznoszący się do góry trawnik za ogrodem, gdzie wystawiono ławki i skąd członkowie klubu mogli podziwiać pokaz ogni sztucznych.

Znaleźli wolne siedzenia obok pary wsparcia geriatrycznego, która razem była warta około miliarda dolarów ulokowanych w sieci sklepów. Nawet nie mrugnęli okiem na widok Pajamae, ale prawdopodobnie nie widzieli już po ciemku. Dziewczynki usiadły z przodu, a Scott i Rebecca za nimi. Scott nachylił się do żony.

- Widzisz, nikt nie zwraca na nią uwagi.

Siedzieli w milczeniu, rozkoszując się letnim wieczorem i olśniewającą panoramą świateł centrum Dallas. Dziewczynki siedziały przytulone i szeptały coś do siebie, kiedy nagle wystrzeliła pierwsza raca, olbrzymi ogień rzymski. B-u-u-u-m!

- a Pajamae padła na ziemię jak wyszkolony komandos piechoty morskiej. Scott rzucił się w jej kierunku.

- Pajamae, co się stało?

- Niech pan pada, panie Fenney! Na ziemię! To napad!

Kilkoro siedzących w pobliżu dzieci wybuchnęło śmiechem, co przywołało u Scotta niemiłe wspomnienia z dzieciństwa, wspomnienia ubogiego krewnego w bogatym towarzystwie... „Scotty, gdzie ci mama kupuje ciuchy, u Searsa?"

- i tętno skoczyło mu od razu. Dzieci z Highland Park lubiły dręczyć swoich biedniejszych kolegów, ostatnią zapamiętaną przez niego okazją były rozgrywki play-off na Texas Stadium, gdzie jedną z drużyn stanowili zawodnicy z biednych przedmieść. Młodzież z Highland Park skandowała: „Gruba kasa skosi stado biednych łosi!". Rzucali w kibiców z

przedmieść jednodolarówkami z wyżyn lóż wykupionych przez bogatych rodziców. Scott spoglądał na tych bezczelnych gnojków i walczył z sobą, żeby nie nakopać im do dupy tak, by zdechli w powietrzu. Przywalenie bachorom najbogatszych ludzi w Dallas nie leżało przecież jednak w jego interesie, pomógł więc tylk0 wstać Pajamae.

- Kochanie, już dobrze. W Highland Park nie ma napadów z bronią. To tylko pokaz sztucznych ogni.

Pajamae wstała, rozejrzała się wokół i powiedziała: - Aha.

Scott pomógł jej siąść i sam usiadł za nią. Geriatryczna para wpatrywała się teraz intensywnie w Pajamae. Rebecca westchnęła i stwierdziła:

- Teraz już na pewno znajdziemy się w kronice towarzyskiej.

Rozdział trzynasty

Carlos Hernandez, ulubiony kelner Bobby'ego z Downtown Club, trafił za kratki czwartego lipca. Poszedł na imprezę we wschodnim Dallas, chcąc odpalić kilka rac. Prawo nie zezwala na posiadanie ogni sztucznych w mieście Dallas, ale ponieważ Carlos miał przy sobie również kokainę i marihuanę, nie przejął się zbytnio ogniami sztucznymi - właściwie niczym się nie przejmował, stojąc pijany i upalony do nieprzytomności pośrodku Grand Avenue i odpalając ognie sztuczne w przejeżdżające samochody. Kiedy pojawił się radiowóz, Carlos przystawił rakietę dokładnie do szyby kierowcy. Zgarnęli go za posiadanie ponad dwudziestu rac, pięciu pasów petard, pięćdziesięciu rzymskich ogni, dziesięciu gramów kokainy i dwóch działek marihuany. Ponieważ miał już do czynienia z federalnym systemem prawnym, został przekazany FBI. Oskarżono go o posiadanie niedozwolonych substancji z zamiarem dystrybucji - chodziło oczywiście o prochy, nie petardy. Po pięciu poprzednich aresztowaniach czekało go od dziesięciu lat do dożywocia w więzieniu federalnym.

Z tego właśnie powodu cztery dni później na miejscu pojawił się Bobby. Matka Carlosa wynajęła go, żeby reprezentował jej syna za pięćset dolarów - sto z góry i sto co miesiąc, aż do wypłacenia całości honorarium. Bobby zaparkował sześć przecznic od budynku federalnego, żeby uniknąć opłaty parkingowej i zapalić papierosa. Kiedy pojawił się w biurze prokuratora okręgowego na trzecim piętrze, cuchnął potem i dymem papierosowym. Po przedstawieniu się i wyjawieniu celu wizyty recepcjoniście, Bobby usiadł w poczekalni. Miał już gotowy plan negocjacji z zastępcą prokuratora Stanów Zjednoczonych na temat oskarżenia Carlosa. Starał się ukryć zaskoczenie, kiedy zobaczył wchodzącego Raya Burnsa.

- Bobby! - Na ustach Burnsa pojawił się szeroki uśmiech, jakby widok Bobby'ego Herrina o poranku był największą rozkoszą pod słońcem. - Dobrze cię widzieć, stary!

- Ray.

Ray pociągnął nosem i spojrzał złośliwie na Bobby'ego.

- Skunksa przejechałeś?

- Jesteś oskarżycielem w sprawie Carlosa?

- Tak. Wypadki chodzą po ludziach, nie? - Klepnął swojego nowego przyjaciela po ramieniu. - Chodź, pogadamy o twoim ważniaku Carlosie.

Doskonały nastrój Raya nie wróżył niczego dobrego dla Bobby'ego. Pomyślał, że to naprawdę musiał być cholerny zbieg okoliczności, że również w tej sprawie Ray był oskarżycielem. Poszedł za Rayem korytarzem do jego biura. W pomieszczeniu znajdowało się standardowe wyposażenie, ale w porównaniu z kancelarią Bobby'ego panował tu przepych: skórzany fotel, drewniane biurko, dwa krzesła dla petentów i grube ściany z cegły, przez które nie słyszało się, jak Jin-Jin klął na czym świat stoi na Joo-Chana za to, że przypalił całą partię koreańskich pączków. Na ścianach wisiały dyplomy i certyfikaty Raya oraz zdjęcia ze znanymi politykami. Ray wskazał Bobby'emu krzesło, po czym zasiadł za biurkiem, oparł się wygodnie i zapytał:

- Co byś powiedział na dwa lata dla Carlosa?

- Dwa lata? Zmieniasz zarzuty do zwykłego posiadania? Bez dystrybucji?

Wzruszenie ramion.

- Jasne, czemu nie?

- Dlaczego?

Dwaj prawnicy wpatrywali się w siebie nad drewnianym blatem biurka. Na ustach Raya pojawił się nikły uśmieszek. Bobby już wiedział, jakie były jego intencje.

- Czego ty chcesz, Ray? Nie ma nic darmo.

- Chcę, żeby ta wywłoka się przyznała. Dostaniesz morderstwo w afekcie i cztery dychy odsiadki.

- Czterdzieści lat? Kiedy wyjdzie, nie będzie się nadawała nawet na przeszczep organów.

- Trzydzieści. Tylko tyle mogę zejść. Bobby wpatrywał się w twarz Raya Burnsa.

- Skąd ta nagła zmiana, Ray? Aż zacierałeś łapki, żeby ją posłać do celi śmierci.

- Nie zmieniłem też zdania, bo kolejny wyrok skazujący na śmierć świetnie wyglądałby w moich papierach. Jesteśmy jednak umocowani politycznie, przynajmniej mój szef, a on nie zamierza spędzić reszty życia na tym zadupiu, gdzie jest pięćdziesiąt stopni w

cieniu. Myśli o przeniesieniu się, może do Kalifornii... Ta sprawa może mu ułatwić podróż na zachód.

Bobby Herrin nie był mecenasem, którego klienci korzystali z władzy politycznej, dlatego też zrozumiał przyczyny szczodrości Raya dopiero po chwili.

- Znasz przeszłość Clarka? - zapytał. - Tak.

- Senator McCall chce to wyciszyć?

- Znowu trafiłeś.

- Dzwoni więc sobie do prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych i prosi o drobną przysługę. Prokurator generalny dzwoni zaś do prokuratora okręgowego w Dallas i prosi go o drobną przysługę, którą to przysługę prokurator spełni, oczekując na rewanż. W ten prosty sposób życie jednej osoby ulega gwałtownej zmianie.

Ray uśmiechnął się i rozłożył ręce.

- Jeszcze narzekasz? Ułatwiam życie twoim dwóm klientom tylko dlatego, że McCall ma władzę.

- Dziesięć lat, Ray. Dziesięć dla Shawandy albo możesz przekazać swojemu szanownemu senatorowi, że nici z Białego Domu, a twojemu szefowi, żeby sobie kupił album o Kalifornii, bo na żywo jej nie zobaczy. Chcę też, żeby wypuszczono Carlosa.

Ray uśmiechnął się drapieżnie. Był wrednym gnojkiem, podobała mu się więc gra, którą prowadził - negocjacje dwóch prawników decydujące o losie dwóch osób. Upodobanie do tego typu gry jest irytujące u prawnika, a upodobanie władzy jest niebezpieczne.

- Dwadzieścia i już, Bobby. I wiesz, że to wszystko. Ale jeśli odrzuci propozycję, nie wycofam się z żądania dla niej kary śmierci, zrozumiano? Jeśli zaś informacje na temat przeszłości Clarka wydostaną się na światło dzienne, to oferta również jest nieaktualna. Niech więc ta suka szybko się decyduje.

Bobby wstał i podszedł do drzwi, po czym się odwrócił.

- Ray, jeszcze jedno: jeśli znów nazwiesz moją klientkę jakimś obraźliwym słowem, to przysięgam na Boga, przypierdolę ci w ten ohydny ryj!

***

„Scott, muszę dać McCallowi odpowiedź. I to szybko”.

- Dzwoniłeś do mnie, Scott?

Karen Douglas stała przed jego biurkiem.

- Co? A tak, siadaj, Karen.

Scott zagłuszył słowa Dana w głowie. Karen usiadła na jednym z foteli po drugiej stronie biurka i wsunęła nogi pod blat, żeby nie było widać jej ud. Miała dwadzieścia sześć

lat, nie można jej było nie zauważyć w tłumie i była najmłodszą pracownicą Scotta. Zdobyła dyplom Rice University z jedną z pierwszych lokat na wydziale literatury oraz z pierwszą lokatą na wydziale prawa teksaskiego uniwersytetu stanowego. Była mądra jak diabli, ale miała trudności z przystosowaniem się do zawodu prawnika. Jako jej przełożony Scott czuł się w obowiązku nauczyć nową pracownicę umiejętności zawodowych, jakich nie można zdobyć na wydziale prawa. Gdyby Dan Ford nie przekazał mu tej samej wiedzy, nie byłby dziś prawnikiem.

- Karen, wiem, że pracujesz u nas zaledwie kilka miesięcy, ale wygląda na to, że nie potrafisz się odnaleźć. Mam rację?

Pokiwała głową i Scott zaczął się martwić, że mu się tu rozpłacze.

- Dobra, spróbuję wyjaśnić ci kilka spraw. Po pierwsze, twoje godziny pracy. Ani razu nie wyrobiłaś miesięcznej normy. Karen, moi pracownicy przekraczają te normy.

- Tak, Scott, ale dwieście godzin na miesiąc? Dziesięć godzin pracy dziennie? Jeśli mam być szczera, to fizycznie niemożliwe.

- Karen, to jest firma prawnicza, a nie seminarium. Uśmiechnęła się, on nie.

- Posłuchaj, powiem ci, jak to działa. Po pierwsze, zawsze zaokrąglasz. Z dwudziestu minut robi się pół godziny, z czterdziestu - godzina, półtorej zmienia się w dwie godziny. Po drugie, każdy wykonany telefon i przeczytane pismo to minimum kwadrans. Czytasz dziesięć pism, każde po piętnaście minut, to daje dwie i pół godziny płatne. Do diaska, ja dopisuję cztery, pięć godzin, tylko czytając poranną pocztę. Do tego podróże. Czy nie leciałaś z Sidem do San Francisco w zeszłym miesiącu?

Pokiwała głową.

- Czy doliczyłaś czas przelotu?

- Dwie godziny. Zajmowałam się czymś innym.

- Ile trwał lot?

- Cztery godziny.

- To powinnaś doliczyć łącznie osiem godzin, cztery na konto klienta, do którego leciałaś do San Francisco, a kolejne cztery na rzecz klienta, którego sprawą zajmowałaś się podczas lotu. Rozumiesz? To daje sześć godzin, których nie doliczyłaś w zeszłym miesiącu. Gdyby każdy prawnik opuszczał sześć godzin w miesiącu, Karen, to dawałoby tysiąc dwieście godzin pustego przebiegu dla firmy. To trzysta tysięcy, których firma nie skasowała. Co miesiąc. W rok daje to trzy miliony sześćset tysięcy. Widzisz, jak to się sumuje? Rozumiesz teraz, dlaczego każda godzina się liczy? Płatne godziny pracy są majątkiem firmy

prawniczej, Karen, jeśli więc nie wyrabiasz normy, to tak, jak byś pracowała w McDonaldzie i rozdawała hamburgery.

Karen patrzyła na Scotta jak studentka pierwszego roku oglądająca siebie w filmie porno nakręconym na imprezie w męskim akademiku.

- Scott, mówisz, że powinnam naciągać godziny pracy. Czy to nie jest oszustwo?

- Wszędzie poza kancelarią prawną.

***

Bobby pojawił się w holu firmy Ford Stevens i recepcjonistka z uśmiechem wskazała mu drogę. Za każdym razem, kiedy wchodził do biur tej kancelarii adwokackiej, czuł coś w powietrzu. Zupełnie jak w domu pogrzebowym, w firmie prawniczej też unosiła się ta specyficzna woń, chociaż zamiast formaldehydu czuć tu było tylko zapach pieniędzy.

Bobby przeszedł przez wyścielany dywanem korytarz do biura Scotta, które znajdowało się w narożniku budynku. Scott siedział za biurkiem i mówił coś do młodej kobiety. Zauważył Bobby'ego i zaprosił go gestem do środka.

Bobby wszedł do biura. Młoda kobieta stała i kiedy zwróciła swoją twarz w stronę Bobby'ego, zamurowało go: była bardzo piękna i miała na sobie eleganckijśakiet - a więc prawniczka.

- Bobby, to jest Karen Douglas. Karen, to Bobby Herrin. Otworzyła szeroko oczy.

- Pracuje pan nad sprawą Shawandy Jones ze Scottem. To dopiero musi być wspaniałe zadanie! Kiedy byłam na studiach, zawsze chciałam pracować w kancelarii obrońców z urzędu.

- My jednak lepiej płacimy - stwierdził Scott. Wskazał dłonią sofę. - Siadaj Bobby, zaraz pogadamy. - Podniósł plik dokumentów i podał je Karen. - Czy teraz już rozumiesz, jak liczyć godziny pracy?

Karen westchnęła ciężko i pokiwała głową.

- Chyba tak.

- Dobra, druga sprawa, o której chciałem z tobą pogadać, to twój raport. Czytałem i jest świetny. Doskonale zbadałaś przepisy, powiązałaś fakty, wszystko na medal... Tylko...

- Tylko co, Scott?

- Tylko nie odpowiedziałaś na pytanie, które zadałem.

- Ale pytałeś, czy Dibrell może pozwać to miasteczko za odrzucenie jego prośby o zmianę strefy miejskiej pod zabudowę. Odpowiedź brzmi: nie.

Scott pokręcił głową.

- Karen, pytanie nie brzmiało: Czy Dibrell może ich pozwać?, tylko: Jak może ich pozwać? Będziemy ich pozywać, to już postanowione. Część naszej strategii polega na tym, że miasteczko musi nam dać tę strefę. Uwierz mi, po tym, kiedy ich prawnik powie im, ile ich będzie kosztował proces, nawet jeśli wygrają w sądzie, poddadzą się. Chciałem dostać od ciebie oceny stanu prawnego, żebyśmy mogli jakoś uzasadnić pozew. Ty odpowiedziałaś na pytanie: „Czy?". Ja pytałem: „Jak?".

Na twarzy Karen pojawił się - niezwykły jak na młodą prawniczkę, która chce poznać wszystkie dostępne kruczki prawne - wyraz lekkiej odrazy.

- Ja... Nie zrozumiałam, Scott. Spróbuję jeszcze raz.

- Grzeczna dziewczynka. Karen wyszła, a Scott rzekł:

- Ładne ciałko, ale nigdy nie będzie rasowym prawnikiem. O co chodzi?

Dziesięć minut później jechali już do budynku federalnego.

- Scotty... - Odezwał się Bobby. - Dwadzieścia lat to dobry układ. Broniłem już zwykłych dilerów, którzy dostawali dożywocie.

Scott nie zastanawiał się jednak nad tym, co jest dobre dla jego klientki, rozmyślał, co będzie dobre dla niego. Najważniejsze było przyznanie się Shawandy do winy, a czy dostanie za to dwadzieścia, trzydzieści czy czterdzieści lat, to naprawdę już go w ogóle nie obchodziło. Jeśli się przyzna, on nie będzie musiał podejmować trudnej decyzji. „Scott, muszę dać McCallowi odpowiedź. I to szybko".

***

- Dwadzieścia lat? Panie Fenney, Pajamae będzie miała wtedy dwadzieścia dziewięć i nawet jej nie poznam. Jest moim skarbem.

Shawanda krążyła po niewielkim pomieszczeniu jak lwica, ciągle obchodząc Scotta i Fenneya siedzących na krzesłach.

- Rozumiem, Shawando, ale jeśli utrzymają oskarżenie o zabójstwo z premedytacją, to możesz dostać karę śmierci.

- Dwadzieścia lat w ciupie, i tak tego nie wytrzymam! Panie Fenney, czemu mi pan nie wierzy? Nie zrobiłam tego! Nikogo nie zaciukałam!

W rozprawie cywilnej sędzia rutynowo nakazuje stronom mediacje, zanim dojdzie do procesu. Mediacje pozwalają adwokatom skłonić swoich klientów do zawarcia ugody, której nie chcą, zmusić do zapłacenia kwot, których płacić nie mają zamiaru, albo też do wycofania pozwów, które chcą drążyć do ostatniej kropli krwi. W sprawach kryminalnych nie ma jednak zalecenia sądu do prowadzenia mediacji. Żeby przekonać klientkę, Scott mógł więc jedynie wstać i krzyknąć:

- Shawando, proszę cię, przemyśl to! Zatrzymała się w miejscu.

- Ja już się nad tym nie będę zastanawiać, panie Fenney Jak już panu mówiłam, nie będę się oddawać sądowi!

Ray Burns nie był zadowolony, kiedy Scott i Bobby powiedzieli mu o decyzji klientki, która nie chciała się przyznać do winy.

- Ta szma... - Bobby spojrzał Rayowi głęboko w oczy. - Ta kobieta robi poważny błąd, a jej adwokaci robią jeszcze większy, chcąc ujawnić przeszłość Clarka.

- Może więc dziesięć lat? - zapytał Scott.

- Nic z tego. Nie wlepiamy dychy ludziom, którzy przystawiają ofiarom spluwę do czoła i wpierdalają im w mózg kawałek ołowiu!

***

Scott wrócił do biura, usiadł za biurkiem, podparł się łokciami o blat, objął głowę rękami, zamknął oczy, a przed oczyma zaczął mu się przesuwać kalejdoskop różnych obrazów: Scott Fenney z numerem 22 biegnie przez boisko, zdobywając punkt, bohater kampusu... Dwie dziewczynki, jedna czarna, druga biała, śpią obok siebie w łóżku, mają gładkie buźki i włosy zaplecione w warkoczyki... Rebecca piękna, naga i wściekła... Shawanda sama w celi płacze z powodu braku córki i heroiny... I Dan Ford, który zastąpił mu zmarłego w dzieciństwie ojca. Czy syn nie powinien słuchać ojca? „Scott, muszę dać McCallowi odpowiedź. I to szybko". Ale ten chłopiec miał też matkę i kiedy tylko w głowie Scotta pojawił się obraz czytającej mu do snu mamy, stanął przed nim Dan Ford we własnej osobie. Dobrze wiedział, po co przyszedł tu jego starszy wspólnik.

- Odrzuciła ugodę? Scott oparł się na fotelu.

- Wieści szybko się rozchodzą.

- Prokurator zadzwonił do Macka, a Mack zadzwonił do mnie.

- Ty zaś przychodzisz do mnie? Jak to mówią, gówno zawsze spada w dół?

- Coś w ten deseń.

Dan krążył po biurze Scotta i zatrzymał się przed wielką, oprawioną w ramy fotografią z Scottem Fenneyem, zawodnikiem numer 22 w barwach SMU Mustangs, który zdobywa punkt.

- Sto siedemdziesiąt sześć metrów... Niewiarygodne - powiedział. Po chwili oderwał wzrok od zdjęcia i usiadł na sofie. W końcu zwrócił się do Scotta:

- Scott, muszę dać McCallowi odpowiedź. Teraz.

- Nie wiem, Dan. Nic już nie wiem.

- Co tu wiedzieć? Wiemy, czego chce Mack.

- Ja zaś wiem, czego chce moja klientka. Dan aż się zakrztusił.

- Twoja klientka? Klienci płacą nam honoraria, Scott. Pani Jones nic nam nie płaci. Tylko nas wpędza w koszta. Jest tylko zmorą naszej firmy! Wcale jej nie potrzebujemy.

- Dan, jestem jej adwokatem! Dan wstał.

- Scott, naprawdę wierzysz, że jest niewinna? Naprawdę wierzysz, że twoja klientka nie zabiła Clarka?

Scott potrząsnął głową.

- Nie.

- To w czym problem?

- Problem polega na tym, Dan, że jeśli nie przedstawię dowodów z przeszłości Clarka, to dziewczynę zabiją!

Na twarzy Dana pojawił się wyraz krańcowego zaskoczenia.

- A jak to wpłynie na twoje życie? - zapytał.

***

Była to zasada, którą kierował się A. Scott Fenney, od kiedy zaczął pracować dla firmy Ford Stevens. Jak to wpłynie na jego życie? A może raczej: jak to wpłynie na jego zarobki. Jakiekolwiek wydarzenie - wylany prawnik, olana klientka, sprawa wygrana lub przegrana, uchylony albo wprowadzony przepis, klęska żywiołowa, zapaść na giełdzie papierów wartościowych, wojna, wybory prezydenckie - wszystko miało wpływ na jego życie i na jego zarobki, było więc z definicji ważne. Każde wydarzenie niemające wpływu na jego życie czy zarobki było nieistotne, nieważne jak kolejne morderstwo popełnione przez gang w południowym Dallas. Teraz, jadąc do swojego wartego trzy i pół miliona dolarów domu swoim samochodem za dwieście tysięcy, Scott zaczął się zastanawiać: W jaki sposób skazanie Shawandy Jones na śmierć wpłynie na jego życie i zarobki?

Odpowiedź była aż nadto jasna - w żaden. Następnego dnia po ogłoszeniu wyroku siądzie za biurkiem i wróci do pracy dla bogatych klientów, dającej mu siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznego dochodu. Tak samo jak w dzień jej egzekucji. Stanie się częścią jego przeszłości. Po roku nawet zapomni, jak się nazywała.

Scott zawsze słuchał rad Dana i wiedział, że powinien posłuchać ich również teraz. Powinien przekreślić życie tej nic nieznaczącej narkomanki, Shawandy Jones, jako nic nieznaczące w jego życiu. Powinien przegrać tę sprawę i żyć dalej, otrząsnąć się tak samo, jak to robił po sprawach innych klientów, które przegrał. Nawet Scott Fenney nie był wstanie wygrać każdej sprawy. Te kilka razy, kiedy przegrał, wyrzucił z pamięci, klnąc na sędziego i

ławę przysięgłych przez kilka dni, ale kiedy klient zapłacił końcowy rachunek i mógł skasować czek, zapominał o wszystkim.

Ale teraz było inaczej.

Scott Fenney nigdy nie poddał się w sądzie. Ani w życiu. Ani na boisku. Zawsze grał tak, żeby wygrać. W każdą grę, w którą grał - w piłkę, w golfa, w prawo - zawsze było to wyzwanie dla jego męskości, grał więc tak, żeby wygrać. Z całym zaangażowaniem, na całego, za wszelką cenę - dlatego był zwycięzcą. Każda cząstka jego ciała była przepełniona żądzą wygranej, żądzą zwycięstwa, która z ubogiego chłopca uczyniła go właścicielem posiadłości przy Beverly Drive w sercu Highland Park. Ale teraz Dan Ford mówił mu, że ma się podłożyć. Czy Scott Fenney może się podkładać i pozostać zwycięzcą?

Ta myśl nie dawała mu spokoju podczas całej drogi do domu. Kiedy jednak zaparkował na parkingu za domem, nowa niepokojąca myśl pojawiła się w jego głowie: Jak śmierć Shawandy wpłynie na życie Pajamae?

***

Scott pomodlił się z dziewczynkami, objął je czule i już miał wychodzić, ale musiał zadać Pajamae jedno pytanie.

- Pajamae, jak sądzisz, czy twoja mamusia mogłaby kogokolwiek skrzywdzić?

- Nie, proszę pana, panie Fenney. Mama ma dobre serce. Troszczy się o ludzi. Jej problem polega na tym, że nie troszczy się zbytnio o siebie. Zawsze powtarza mi, że mam się kochać, ale ona sama siebie nie kocha. To przez mojego tatusia, bo ją bił i przez niego chorowała. Niech pan nie ma jej więc za złe, bo to nie jej wina.

Następnie zwróciła swoje wielkie brązowe oczy na Scotta i zadała mu pytanie.

- Panie Fenney, czy policja zabije też moją mamę?

Rozdział czternasty

Egzekucja oskarżonej narazi na szwank jej konstytucyjne prawa przyznane w Ósmej Poprawce do Konstytucji Stanów Zjednoczonych...

Oskarżona. Jej matka. Egzekucja. „Jasna cholera!”

Pajamae bawiła się z Boo w basenie - stały na dwóch przeciwległych, płytkich krańcach basenu i rzucały do siebie plastikowym dyskiem nad głęboką częścią pośrodku. Scott siedział w patio, czytając sprawozdanie Bobbyego, w którym jego przyjaciel dowodził, że matka Pajamae nie powinna być skazana na śmierć za zabicie Clarka McCalla.

W Highland Park nastało kolejne upalne popołudnie. Dziewczynki chłodziły się w basenie. Scott pocił się pod zadaszonym patio. Rebecca wspinała się donikąd na specjalnym przyrządzie do ćwiczeń w sali na piętrze, korzystając z dobrodziejstw klimatyzacji. Consuela pojechała do Małego Meksyku, gdzie zalecał się do niej Esteban Garcia. Scott podwiózł ją tam dziś rano, pod kościół katolicki Santuario de Guadalupe, umiejscowiony na północnych krańcach śródmieścia Dallas, które jednocześnie było południową granicą Małego Meksyku.

Esteban stał przy krawężniku wystrojony w czarne buty, czarne spodnie i śnieżnobiałą, wykrochmaloną koszulę z długim rękawem. Ogolił się starannie i zaczesał włosy do tyłu. Wyglądał jak meksykański matador. Powitał Consuelę de la Rosa jak księżniczkę, podając jej ramię, gdy wysiadała z nisko zawieszonego ferrari. Odwróciła się i pomachała na pożegnanie Scottowi, a następnie w pląsach wbiegła do kościoła jak zakochana pensjonarka. Cała jej brązowa postać emanowała szczęściem.

Scott był dalej biały i zmartwiony.

„Scott, muszę dać McCallowi odpowiedź. Teraz".

Co będzie, jeśli odmówi McCallowi? Co mógłby zrobić Mack McCall Scottowi Fenneyowi, prawnikowi Toma Dibrella? Być może McCall jest znanym senatorem stanu Teksas i byłym kolegą z bractwa Dana Forda, ale nie przynosi firmie Ford Stevens żadnych dochodów. Tym samym odmowa McCallowi nie przyniesie kancelarii żadnych strat, oczywiście również nie przysporzy jej zysków. Niemniej jednak żadnych strat, żadnych minusów. Jasne, McCall mógł zablokować ewentualny awans A. Scotta Fenneya na stanowisko sędziego federalnego, ale Scott się tym nie przejmował - nie zamierzał ograniczać swoich zarobków do stu sześćdziesięciu dwóch tysięcy dolarów rocznie. Odmowa McCallowi może jedynie wkurzyć jednego amerykańskiego senatora, Scott jakoś to przeżyje.

Czy jest jednak w stanie przeżyć to, że wkurzy się jego starszy wspólnik?

Jak Dan przyjmie jego odmowę? Sprzeciwienie się Danowi sprawi, że ich znajomość zyska nowy wymiar - Scott nigdy mu nie odmówił, nawet mu to przez myśl nie przeszło. Teraz Dan chciał zostać adwokatem prezydenta, co wymagało wybrania McCalla na urząd, a tym samym wymagało ukrycia przez Scotta Fenneya przeszłości Clarka McCalla, jeśli oczywiście Scott na to pójdzie.

Dan nie będzie zachwycony, kiedy Scott mu odmówi.

Ale Scott przynosił firmie ponad trzy miliony dolarów co roku i to zawsze wprawiało Dana w dobry nastrój. Jeśli zaś Scott obieca zwiększyć wpływy od Dibrella do czterech milionów w tym roku - co będzie wymagało bardzo kreatywnych działań księgowych - z

pewnością Dan wybaczy Scottowi (który był dla njego jak syn) ten buntowniczy akt. Z całą pewnością.

Scott Fenney nigdy jednak nie odmówił trenerowi, klientowi czy swojemu starszemu wspólnikowi. Gdy trener kazał mu puścić się sprintem na dwadzieścia okrążeń, to Scott biegł. Jeśli klient chciał zawrzeć korzystną ugodę za molestowanie seksualne pracownicy pod groźbą ujawnienia jej byłych kochanków, to on egzekwował to z całą surowością. Kiedy starszy wspólnik chciał, by parafował wymówienie pracy koledze z firmy, to też to robił. Ale teraz amerykański senator i straszy wspólnik chciał, żeby ukrył ważne dowody i patrzył, jak jego klientka idzie na szafot. Czy mógł to zrobić?

Jeśliby to zrobił? Co by było, gdyby Scott Fenney zgodził się na propozycję Macka McCalla i Dana Forda? Obaj byliby zadowoleni. McCall zostałby kolejnym prezydentem, firma Ford Stevens stałaby się kancelarią obsługującą prezydenta Stanów Zjednoczonych, a Dan zostałby jego osobistym adwokatem. Otworzyliby biuro w Waszyngtonie, nowi klienci płaciliby grube miliony honorariów, a wspólnicy podwoiliby swoje dochody. Scott Fenney stałby się obrzydliwie bogaty. Wszystko to brzmiało wspaniale do chwili, kiedy usłyszał cienki głos Pajamae:

- Łap, Boo!

„Panie Fenney, czy policja zabije też moją mamę?".

Scott usłyszał, jak za plecami otwierają się drzwi balkonowe i poczuł powiew chłodnego powietrza na karku. Rebecca stanęła za nim i poczuł zapach jej potu. Miała na sobie obcisłą bluzkę i spodenki do biegania, które przylegały do każdego centymetra jej smukłego ciała. Scott miał ochotę posadzić sobie żonę na kolanach i przytulić się do niej, ale podobnie jak pies, który sto razy dostał klapsa, kiedy próbował zwędzić jakiś smakołyk, Scott nawet się nie poruszył. Patrzył, jak dziewczynki się bawią.

- To dobrze, że ma przyjaciółkę - powiedział.

- Ona ma przyjaciółki - odparła Rebecca. - Dziewczynki z najlepszych domów w Highland Park. Po prostu nie chce się z nimi bawić.

- To nie są jej przyjaciółki, kochanie.

Patrzyli na nie w milczeniu. Po chwili Rebecca powiedziała:

- Przyjaźni się z Murzynką. To doskonale wpłynie na jej pozycję debiutantki w dzielnicy.

Obróciła się na pięcie i weszła z powrotem do domu. Scott potrząsnął głową. „Pozycję debiutantki". Barbara Boo Fenney nigdy nie zostanie debiutantką w Highland Park, bo nie była typem próżnej dziewuchy rozchwytywanej na balach i potańcówkach. Nie zostanie nią

również Pajamae Jones, bo miała niewłaściwy kolor skóry. Urodziła się po złej stronie miasta, tak jak Scott, ale ona nie będzie biegła z piłką na drugą jego stronę, co on sam zrobił przed laty. Może dlatego Scott czuł jakąś więź z tą dziewczynką, ponieważ oboje pochodzili z biednych dzielnic, a może dlatego, że Scott zawsze bronił słabszych i przyciągał ich, tak jak Bobby'ego. W ogólniaku Bobby codziennie dostawałby lanie, gdyby nie znajdował się pod ochroną Scotta.

Teraz Pajamae Jones znajdowała się pod ochroną Scotta.

Rzuciła kółko nad głową Boo. Boo odrzuciła je i cisnęła z powrotem do niej, ale straciło impet. Wylądowało na środku basenu, na głębokiej wodzie. Pajamae wyszła z basenu i obeszła go, stając nad unoszącą się na wodzie zabawką. Klęknęła i sięgnęła po nią, bo była tuż w zasięgu jej ręki. Nachyliła się jeszcze niżej nad taflą wody, zanim jednak zdążyła na dobre wpaść do wody i skryć się w niebieskiej toni, Scott już rzucił papiery i biegiem pognał do basenu.

Boo krzyknęła:

- Ona nie umie pływać!

- Zostań na miejscu, Boo!

Scott dał nura do basenu, nawet nie myśląc o tym, że ma na sobie buty i szorty. Zanurkował na samo dno i chwycił Pajamae w talii. Odbił się mocno nogami od dna i wyłonili się na powierzchnię z głośnym pluskiem. Pajamae krztusiła się wodą. Scott podniósł ją i położył na brzegu, następnie podciągnął się na rękach i przyklęknął koło niej. Przewróciła się na bok i wypluła wodę. Wolno usiadła.

- Nic ci nie jest, maleńka? Pajamae spojrzała na Scotta.

- Myślałam, że umieram, panie Fenney.

- Nie na mojej wachcie.

Wytarła nos i przylgnęła do Scotta. Ukryła buźkę w jego koszuli i objęła go rękami za szyję. Poklepał ją po plecach.

- Dziewczyno, musisz nauczyć się pływać.

Rozdział piętnasty

Scott Fenney prowadził podwójne życie: w kancelarii był znanym prawnikiem, który grał w prawnicze gierki tak jak kiedyś na boisku - zwyciężyć za wszelką cenę, naginać przepisy, kluczyć i kręcić, stosować agresywnie i kreatywnie literę prawa, żeby zarabiać mnóstwo pieniędzy. W domu był dobrym człowiekiem, wiernym mężem i kochającym ojcem

Boo, za każdym razem przez zaśnięciem starał się też utwierdzić w zaletach, jakie niosło ze sobą godne i uczciwe życie. Rebecca nie chciała wiedzieć, co robi codziennie w kancelarii, a Boo nie musiała wiedzieć. Jedynie pieniądze, które zarabiał, były częścią jego prawniczego życia.

Wszyscy prawnicy wiodą życie doktora Jekylla i pana Hyde'a, starannie oddzielając oba stany świadomości i ukrywając swoją osobowość prawnika z taką samą skrupulatnością, jak narkoman ukrywa swój nałóg. Scott mówił wszystkim, że jest prawnikiem, ale nikomu nawet nie wspomniał, co robi jako prawnik. Każda osoba pracująca w tym zawodzie dochodzi w pewnym momencie do przekonania, że te sprawy lepiej zostawiać w pracy. Codziennie wchodzi się do kancelarii jako słynny adwokat, a w domu zmienia się w dobrego człowieka. Z wieczoru na wieczór ta transformacja - z Hyde'a w Jekylla - jest jednak coraz boleśniejsza. Kryjący się gdzieś tam w środku prawnik nie zamierza się poddawać tak łatwo. Mimo to tłamsi się go siłą woli, ponieważ mógłby zerwać delikatną granicę między dwoma wymiarami. Scott Fenney nigdy nie przenosił swojego prawniczego życia na grunt domowy - nigdy! - aż do dnia, kiedy przyprowadził do domu małą, czarną, dziewięcioletnią dziewczynkę.

Pajamae Jones stała się teraz częścią jego życia - obu jego wymiarów. Była częścią życia domowego, a jej matka częścią rzeczywistości prawniczej. Kochała matkę, a on był jej adwokatem. Jego decyzje podejmowane przez prawnika jej matki będą miały wpływ na to, czy w ogóle jeszcze będzie miała matkę. Jeśli powie „tak" Danowi Fordowi, to wyśle jej matkę do celi śmierci. Granica między dwiema rzeczywistościami została naruszona i teraz, jak pod koniec wyczerpującego sezonu, stanęły naprzeciw siebie dwie drużyny, dwa istnienia - Dan Ford i Pajamae Jones - zwarte w walce na śmierć i życie w duszy Scotta Fenneya.

„Scott, muszę dać McCallowi odpowiedź. Teraz".

„Panie Fenney, czy policja zabije też moją mamę?".

Czy będzie takim prawnikiem, jakim Dan Ford chciał go widzieć? Czy też człowiekiem, jakiego potrzebowała Pajamae? Nie mógł już dłużej grać na dwa fronty. Musiał wybrać swoje życie. Wybór musi być dokonany nieodwołalnie, tak samo jak niewzruszona była decyzja przebicia się przez pięciu obrońców, którą podjął kiedyś zawodnik z numerem 22. Tak samo jak wtedy, teraz też musiał wybrać: zejść im z drogi i uniknąć czołowego zderzenia albo zebrać po głowie i popędzić na oślep do linii końcowej. Trenerzy futbolu określają to mianem „sprawdzianu ikry", ponieważ w takich chwilach jasne się staje, z jakiego materiału jest zrobiony zawodnik.

Scotta czekał najtrudniejszy w życiu sprawdzian ikry.

Termin rozprawy zbliżał się nieubłaganie i Scott siedzia przy stoliku w niewielkim pomieszczeniu aresztu federalneg0 obok Bobby'ego, a przed nim siedziała Shawanda. Była szczęśliwa, rozradowana i pełna energii. Bobby pokazywał jej zdjęcia Carla z dawnych czasów.

- To Clark sprzed kilku lat. Czy kiedykolwiek starał się wtedy cię poderwać?

Pokręciła głową.

- Nie, proszę pana. Zalane białe chłopaki zawsze szukają wrażeń w sobotnią noc.

Bobby pokazał jej inne zdjęcie.

- To zaś czcigodny senator.

Shawanda wpatrywała się przez chwilę w fotografię i powiedziała:

- Aż ciarki chodzą po plecach.

- Tak - Bobby wskazał wielkiego, łysego faceta stojącego nieco z tyłu. - A tego kiedyś widziałaś?

- Nie, proszę pana... Nie zapomniałabym tej facjaty.

- Kto to jest? - zapytał Scott.

- Delroy Lund, ochroniarz McCalla. Jego zbir, według Carla. Były agent DEA, Rządowej Agencji do walki z Narkotykami. Carl mówi, że na milę jedzie od niego sprzedajnym gliną.

- Co on ma wspólnego z naszą sprawą? Bobby pokręcił głową.

- Nic.

- Carl niczego się więc nie dowiedział?

- Nie, ale nigdy nie daje za wygraną.

Słysząc to, Scott postanowił ostatni raz skłonić swoją klientkę do zmiany zeznań.

- Shawando, mamy tylko tę Hannah Steele. Dziewczynę, którą Clark zgwałcił rok temu. - Scott zwrócił się do Bobby'ego - Czy Carl zrobił zdjęcie Hannah?

- Nie, jest bardzo płochliwa. Nie pozwoliła mu. Carl mówi, że jest jak filiżanka z chińskiej porcelany, naprawdę delikatna dziewczyna. Mówi, że jak ją przycisną, to nie dałby złamanego grosza za jej zeznania w sądzie. Ray Burns będzie zaś grał ostro, będzie starał się z niej zrobić, no wiesz... - Spojrzenie Bobby'ego powędrowało w kierunku Shawandy. - Wyciągnie na wierzch jej życie prywatne.

- Jasne. - Scott odwrócił się z powrotem do klientki. - Shawando, jeśli zawrzesz ugodę, to przynajmniej masz z głowy karę śmierci.

- Panie Fenney, jeśli nie będę mogła być przy Pajamae, to i tak wkrótce kopnę w kalendarz - odparła.

Scott westchnął i dał znak Bobbyemu.

- Dobra, Shawando - odezwał się Bobby. - Będziemy walczyć w sądzie. Ale musisz zrozumieć, że dowody przeciwko tobie są bardzo mocne, wystarczą, żebyś trafiła do celi śmierci. Hannah jest naszą jedyną nadzieją. Najpierw będziesz mówić ty, potem ona. Uwiarygodni... Potwierdzi twoje zeznania, dzięki czemu przysięgli mogą ci uwierzyć.

- Może mogłabym się podpiąć do takiego wykrywacza kłamstw, jak pokazują w telewizorze? Kiedy chcą, żeby chłopak się oświadczył dziewczynie, to podpinają go pod to i on mówi, czy zdradzał ją czy nie - zaśmiała się. - Białe chłopaki łżą jak z nut.

Bobby pokręcił przecząco głową.

- To nie jest najlepszy pomysł, Shawando. - Zwrócił się do Scotta. - Scott, tak sobie myślałem o tych dziennikarzach, którzy do ciebie wydzwaniali i pytali o Shawandę. Może tam powinniśmy uderzyć? Niech powie wszystkim, co się stało. To usposobi jakoś przysięgłych. Po tym, jak powie, co ją spotkało, można by było ogłosić apel. Niech się zgłaszają wszystkie dziewczyny pobite i zgwałcone przez Clarka McCalla, żeby Shawanda mogła wyjść z więzienia, bo nie popełniła zbrodni, którą jej zarzucają.

- To dobrze brzmi, panie Fenney - powiedziała Shawanda. Scott spuścił wzrok i odparł:

- Nie wiem, Shawando, to może być nie najlepsza linia obrony.

Scott wciąż patrzył w stół, kiedy odezwał się Bobby.

- Shawando, Scott i ja musimy pogadać na osobności. Bobby wstał i zapukał do drzwi. Strażnik otworzył, Scott podniósł się z krzesła i wyszedł na korytarz za Bobbym. Przeszli mniej więcej dziesięć kroków, kiedy Bobby się zatrzymał i oparł o ścianę.

- Wygląda o wiele lepiej - powiedział Scott.

- Bo jest naćpana.

- Co takiego?

- Jest na haju.

- Masz na myśli heroinę? Bobby pokiwał głową.

- Skąd wiesz?

- Scott, moi najlepsi klienci to ćpuny. Kiedy są na prochach, widzę to po ich oczach, zachowaniu i sposobie mówienia. Zachowują się, jakby cały świat do nich należał.

- Skąd ona to wzięła? Bobby wzruszył ramionami.

- Podał jej strażnik albo sprzątający, kto to wie.

- Ostatnio też wyglądała dobrze, myślałem, że ma to za sobą.

Bobby potrząsnął głową.

- Ćpun nigdy nie odstawi heroiny. Zawsze już będzie mu towarzyszyć jej głód. Dostaję dla nich warunkowe tylko wtedy, gdy pójdą na leczenie lub biorą metadon przez kilka tygodni. Trzymają się czasem nawet kilka miesięcy, a potem wracają do tego jak do starej kochanki.

- Jej życie wisi na włosku, a ona nie może przestać ćpać? Moja żona jest na mnie wkurwiona, Dan jest na mnie wkurwiony i zbieram to wszystko, żeby ona mogła się szprycować? To wszystko dla jakiejś cholernej ćpunki?

- Scott, gdybyś żył tak jak ona, też byś pewnie sobie dawał w kanał. Ty masz luzy, on ma przesrane. Wciąż jednak potrafi odczuwać szczęście, kiedy jest na haju. Teraz towar na ulicach jest tak tani, że może chodzić nawalona cały dzień, dopóki nie umrze. - Bobby westchnął. - Pewnego dnia właśnie to ją wykończy.

- Staramy się ją uchronić przez śmiercią, żeby mogła się zaćpać?

- Tak, to właśnie staramy się zrobić. Widzę to po oczach, Scotty, to nieuleczalny przypadek. Długo nie pociągnie. - Wpatrywał się przez dłuższą chwilę w czubki swoich butów, po czym się wyprostował. - Nie zdecyduje o tym jednak Ray Burns. Mówisz więc, że masz niezłe kłopoty?

Scott pokiwał głową.

- Jak cholera. Czemu nie skorzystać z wariografu?

- Moi klienci, ćpuny, zawsze myślą, że uda się im wygrać z maszyną. Oczywiście, kiedy są na haju, wydaje się im, że wszystkie rozumy pozjadali, taka ich mać. Ale zawsze oblewają test. Jak ją dopuścimy do wariografu, to po niej.

- Dowody uzyskane na wykrywaczu kłamstw nie mogą być dowodami w sądzie. Burns nie może tego wykorzystać przeciwko niej.

- Nie w sądzie. Ale Ray puści informację do prasy, będzie na pierwszej stronie, uwierz mi. Każdy przysięgły będzie wiedział, że kłamała.

- Może wtedy zmieni zeznania.

- Słuchaj, Scotty. Wiem, że to dla ciebie cholernie trudna decyzja, i wiem, że się przed nią wzbraniasz, ale słuchaj, stary, dlatego właśnie zarabiasz kupę forsy. Co chcesz w ogóle zrobić?

- McCall naciska na Dana Forda, żebym odpuścił i nie mieszał jego zmarłego syna z błotem.

- Clark taplał się w błocie, Scott. To był zły chłopak. - Bobby znów spojrzał na swoje buty. - Dan powiedział ci więc, żebyś odpuścił?

- Poradził mi. Chce zostać adwokatem prezydenta. To dobrze wpłynie na interesy firmy.

- Ale jest do dupy dla Shawandy. Czy mogą cię wylać?

- Wylać? Nie! Dan by mnie nie wyrzucił. Traktuje mnie jak rodzonego syna.

Bobby pokiwał głową.

- Trzy, cztery lata temu reprezentowałem pewnego ojca, który zabił syna, bo pokłócili się podczas oglądania meczu w telewizji - zaśmiał się cicho. - Słuchaj, Scott, nie jestem fiszą w palestrze, tak jak ty, nie reprezentuję ważnych ludzi, nie zarabiam zbyt dużo... Nigdy jednak nie wyruchałem swojego klienta. Zawsze robię, co w mojej mocy, żeby mu pomóc, nawet jeśli moja moc nie wystarcza. Clark pobił ją, zgwałcił Hannah Steele, może jeszcze inne dziewczyny. Scott, te dowody mogą wpłynąć na jej życie lub śmierć.

Bobby przejechał ręką po rzadkich włosach.

- Moi wszyscy klienci są jak ona, biedni, czarni albo brązowi, mieszkają w dziwnym świecie, gdzie tatusiowie rozprowadzają prochy, a mamusie się kurwią. Różnica polega na tym, że wszyscy moi klienci są winni jak diabli, nie ma co do tego wątpliwości. Ale ona naprawdę może być niewinna, przynajmniej działała w obronie własnej. Jeśli przemilczymy przeszłość Clarka, to skażemy ją na śmierć przez wstrzyknięcie trucizny. Ty i ja, Scott, nie przysięgli. To my będziemy za to odpowiedzialni, tak jak byśmy sami zrobili jej ten zastrzyk - potrząsnął głową. - Scott, bardzo potrzebuję tych pieniędzy, które dostaję od ciebie za zajmowanie się tą sprawą, ale nie mogę z tym żyć.

- Co masz na myśli?

- Mówię, że jak pominiesz te dowody, to ja rezygnuję.

- Bobby...

- Scott, szedłem za tobą krok w krok: w ogólniaku, w college'u na studiach. Wtedy poszedłbym za tobą wszędzie. Byłem słaby, a ty byłeś silny i mnie broniłeś. Ale już nie jesteś Batmanem ani ja nie jestem Robinem. Nie mogę przyłożyć do tego ręki. Tak się nie robi. Może i nie jest to biała dziewuszka z socjety... Jest narkomańską dziwką mieszkającą w zasranej dzielnicy, ale jej życie też coś znaczy. Może nie dla ciebie, może nawet nie dla niej... Ale dla mnie. I dla jej córeczki. Potrzebuje siłacza, który by ją wsparł... Kogoś takiego, kim kiedyś byłeś. - Zamilkł na chwilę. - Kiedy tamtego dnia zadzwoniła do mnie twoja sekretarka i powiedziała, że chcesz się ze mną spotkać na lunchu, stary, myślałem, że się rozryczę! Bardzo mi ciebie brakowało przez te wszystkie lata. - Łzy napłynęły mu do oczu. - Wspaniale było się znów z tobą spotkać... Choćby p0 to, żeby odetchnąć tym samym powietrzem co ty. -

Wziął głęboki wdech. - Ale jeśli zrobisz to tej dziewczynie, to nie chcę cię więcej w życiu oglądać.

- Daj spokój, Bobby.

- Scott, sąd wyznaczył cię na jej obrońcę. Jesteś jej pełnoprawnym adwokatem. Zrobisz to, co będziesz uważał za słuszne.

Scott odwrócił się, chcąc, żeby ten sprawdzian ikry zmienił się w starcie z pięcioma toczącymi pianę z pyska, naładowanymi testosteronem obrońcami.

***

Scott wsiadł do ferrari, ale nie miał siły na powrót do kancelarii. Nagle w śródmieściu zrobiło się dla niego za ciasno. Pojechał więc North Tollway, mocno naciskając pedał gazu. Zmieniając biegi, czuł moc maszyny pod palcami. Modena 260 mogła osiągnąć prędkość ponad trzystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale Scott utrzymywał dozwolone na autostradzie w Teksasie sto trzydzieści na godzinę. Nikt nie przekraczał prędkości w Teksasie, a kobiety nie szminkowały się za kierownicą. O tej godzinie rano ruch na północ nie był duży, jechał więc bez przeszkód lewym pasem. Często potrafił przejechać nawet kilka tysięcy kilometrów po drogach w Dallas, kiedy chciał sobie coś przemyśleć. Z niewiadomych względów najlepiej mu się myślało w ferrari.

Nie zastanawiając się nawet, nagle przeciął trzy pasy i wjechał na Mockingbird Lane, przemknął przez Hillcrest i pojechał na północ. Skręcił w lewo i zatrzymał się przy trzecim domu po prawej, po czym zaczął wpatrywać się w nowomodny budynek, dwupiętrowego potworka z kolumnadą przy wejściu i mansardowymi oknami w kopulastym dachu. Ale zamiast tego straszydła zobaczył niewielki, jednopiętrowy dom, który kiedyś stał na tej parceli; dom, który wraz z matką wynajęli od dobrego pana doktora. Salon, kuchnia, dwie sypialnie, dwie łazienki, mniej niż sto metrów kwadratowych łącznie z werandą, na której często siadali po kolacji, serdecznym machaniem witając sąsiadów na wieczornych spacerach. Pamiętał, jak wdrapywał się na łóżko, kładł na poduszce i czekał, aż przyjdzie do niego mama, otworzy książkę i przeczyta kolejny rozdział książki. Kiedy zaś skończy, zamknie książkę ze słowami:

- Scott, bądź taki jak Atticus. Bądź prawnikiem. Czyń dobro.

***

Trudno jest czynić dobro przy złych klientach.

Prawnicy nie wierzą klientom, ponieważ klient z reguły kłamie. Kłamie skarbówce, kłamie FBI. Kłamie na temat swoich podatków, kłamie na temat zobowiązań finansowych i kłamie na temat kłamstw. Zazwyczaj uchodzi mu to na sucho. Kiedy zaś zostanie nakryty,

zwykle łże na temat swoich kłamstw FBI - co jest przestępstwem polegającym na utrudnianiu pracy wymiarowi sprawiedliwości. Ich adwokaci stoją przed salami rozpraw i zapewniają o niewinności swoich klientów do chwili, kiedy ci idą na układ, płacą grzywnę i znów ruszają w świat, żeby kłamać dalej.

Prawnik zawsze więc zakłada, że jego klient kłamie.

Dlatego oczywiste było założenie Scotta, że uzależniona od heroiny prostytutka kłamie. Może jednak uwierzy miłej, białej dziewczynie z dobrej szkoły. Zastrzeżony numer Hannah Steele W Galveston dostał od Bobby'ego. Siedział teraz w swoim ferjan, wsłuchując się w dźwięk telefonu czekającego połączenie. Odezwał się miękki głos.

- Halo.

- Hannah Steele?

- A kto mówi?

- Scott Fenney. Jestem obrońcą Shawandy Jones. Mój współpracownik, Bobby Herrin, rozmawiał już z panią?

- Tak, panie Fenney.

- Hannah, muszę wysłuchać twojej wersji wydarzeń. Muszę osobiście usłyszeć, co zrobił ci Clark McCall.

Rozległo się przeciągłe westchnienie.

- Mówiłam i Carlowi, i Bobbyemu, że ja nie...

- Wiem, że to nie jest łatwe i przyjemne, Hannah, ale senator McCall naciska na mnie, żebym nie wywlekał przeszłości Clarka na wokandzie i żebym nie powoływał cię na świadka. Żeby podjąć decyzję, muszę na własne uszy usłyszeć, co się stało.

- Dobrze.

Hannah Steele opowiedziała Scottowi o swoim spotkaniu z Clarkiem McCallem. Poznała go po meczu w kampusie Southern Methodist University. Zaprosił ją na randkę następnego wieczoru. Podjechał po nią pod akademik. Zjedli kolację w meksykańskiej restauracji w eleganckiej dzielnicy Dallas, tętniącej nocnym życiem tuż obok Highland Park. Wypili kilka drinków i pojechali do posiadłości McCallów, gdzie Clark zaatakował ją, pobił i zgwałcił. Później zachowywał się, jakby nic niezwykłego się nie wydarzyło. Odwiózł ją pod akademik i nawet uśmiechał się promiennie, kiedy wysiadała z jego samochodu. Dziewczyna siadła za kierownicą swojego wozu i pojechała prosto na komisariat policji, żeby złożyć doniesienie o napaści. Zabrano ją do Parkland Hospital, gdzie zajęli się nią specjaliści udzielający pomocy ofiarom gwałtów, a później odwieziono do akademika. Następnego dnia rano pojawił się jakiś prawnik, mówiąc, że reprezentuje senatora McCalla. Podał jej jakiś

dokument i pióro, mówiąc, że jest to umowa o poufności, po czym dał jej czek kasjerski na pięćset tysięcy dolarów na pokrycie szkód i kosztów relokacji.

- Kosztów relokacji?

- Powiedział, że muszę wyjechać z miasta. Mówił, że tak będzie dla mnie lepiej. Powiedział, że tak naprawdę to nie mam wyboru, że jeśli wniosę oskarżenie przeciwko Clarkowi, to jego ojciec mnie zniszczy. Mówił, że w sądzie wywloką moje sprawy osobiste i zrobią ze mnie kurwę.

- Jak się nazywał ten prawnik?

- Chyba się nie przedstawił.

- Jak wyglądał?

- Jak prawnik. Stary. Łysy. Straszny. Jak on na mnie patrzył, jak ze mną rozmawiał! O Boże, przecież zostałam zgwałcona, a on zachowywał się tak, jakby to był najzwyklejszy biznes!

Scott zakończył rozmowę i już wiedział. Znał mnóstwo starych, łysych prawników, którzy mieli w sobie coś upiornego, ale tylko jeden mógł traktować proponowanie pieniędzy ofierze gwałtu tak, jakby to był najzwyklejszy biznes.

- Wiedziałeś o Hannah Steele?

- Oczywiście.

Scott pojechał prosto do biura, zaparkował samochód w podziemnym garażu, wsiadł do windy, pojechał od razu na sześćdziesiąte trzecie piętro i wpadł jak burza do biura Dana Forda. Patrzył teraz z niedowierzaniem na swojego starszego wspólnika, który spoglądał na niego speszony.

- Czy myślisz, że to się zdarzyło po raz pierwszy: dziewczyna z college'u i bogaty chłopak, który ją zgwałcił? Może i zgwałcił, może nie, ale chciała forsy, dostała ją i wszyscy byli zadowoleni.

- Nie wyglądała na zachwyconą, kiedy z nią rozmawiałem.

Dan wzruszył ramionami.

- Wyrzuty sumienia, bardzo poniewczasie.

- Tak po prostu przekupiłeś ją, żeby wycofała skargę? Groziłeś, że ją zniszczysz, wyciągając na wierzch jakieś jej zaszłe sprawy na procesie?

- Przekupiłem? Groziłem? - Dan się zaśmiał. - Ile opłaciłeś dziewczyn, broniąc Toma Dibrella? Ile razy groziłeś im że wyciągniesz ich łóżkowe historie podczas procesu, jeśli nie pójdą na ugodę? Wciąż używasz mojej frazy o „ustawionych w rzędzie fajfusach"?

Kiedy Dan po raz pierwszy zdradził mu tę taktykę, wydawała się taka sprytna, taka cholernie sprytna! Tak samo jak wtedy, kiedy Scott wykorzystał podczas rozmowy z Franklinem Turnerem, znanym powszechnie rekinem sal sądowych, negocjując ugodę z ostatnią panienką Toma. Jak jej było? Nadine? Teraz, po rozmowie z Hannah Steele, zwrot ten nie wydawał się już tak doskonały.

Scott usiadł na sofie i powiedział słabym głosem:

- Dziewczyny Toma nie składały doniesienia o gwałcie. Twierdziły, że było to molestowanie seksualne.

Dan skomentował to jedynie lekceważącym machnięciem ręki.

- Semantyka. Molestowanie seksualne, gwałt... I tu, i tu ktoś został wydymany. Scott, chłopcze, zrobiłeś to, co powinien zrobić prawnik. Dokładnie to, czego cię nauczyłem: doprowadziłeś do ugody w imieniu swojego klienta. Tak jak ja to zrobiłem.

Scott odezwał się jeszcze słabszym głosem:

- Ale to nie w porządku.

Dan ponownie wybuchnął śmiechem.

- W porządku? Bycie w porządku nie ma nic wspólnego z prawem, synku. Porządek to masz w komórce na narzędzia na działce.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o Hannah?

- Nie musiałeś o tym wiedzieć, Scott. Dlaczego nie powiedziałeś mi, że wynająłeś prywatnego detektywa, żeby gmerał w przeszłości Clarka?

- Dan, ja naprawdę uważam, że Clark pobił i zgwałcił Hannah.

- Cóż, jeśli ma ci to poprawić humor, to ja też w to wierzę - Oczywiście, tak samo jak zgwałcił pozostałe.

- Pozostałe? Było ich więcej?

- Siedem, wliczając Hannah. - Dan pokręcił głową. - Ten mały pojeb kosztował ojca prawie trzy miliony na odprawy dla tych dziewczyn. Plus moje honorarium, dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

- Dostałeś dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, żeby zamknąć usta ofiarom gwałtu?

Jego starszy wspólnik znów posłał mu to znaczące spojrzenie.

- Jeśli sobie dobrze przypominam, to skasowałeś Dibrella na pięćdziesiąt za tę ostatnią.

Scott poczuł pieczenie na policzkach.

- Myślałem, że to tylko biznes.

- Bo tak jest, Scott. To tylko biznes. Dziewczyny Clarka to biznes, dziewczyny Dibrella to biznes i tylko biznes.

- Nie w sprawie Shawandy. Tutaj chodzi o jej życie. - Scott spojrzał Danowi prosto w oczy. - Nie mogę tego odpuścić, Dan.

- Jasne, że możesz... Ponieważ cię o to proszę. Scotty, masz zamiar powiedzieć „nie" McCallowi, powiedzieć to mnie, z powodu jakieś cholernej ćpunki? Prostytutki?

- Nie... Z powodu jej córki. - Jej córki?

- Tak. Ona potrzebuje matki, a jej matka potrzebuje mnie. Być może uratuję jej więc życie.

- Tylko nie zacznij wierzyć w ten własny bajer, Scott.

- O czym ty mówisz?

- O twojej mowie na tamtym lunchu. Nie jesteś Atticusem Finchem. Nikt nie jest. Do diabła, na kim ty się wzorujesz? Mieszkał w domku dla ludzi z klasy średniej, jeździł samochodem dla roboli, co to było, buick?

- Chevrolet.

- Właśnie, a ty jeździsz ferrari. - To rozbawiło Dana. - Scotty, ten film zrobił więcej szkód palestrze niż afera Watergate. Prawnicy z mojego pokolenia szli na studia, żeby uniknąć poboru. Ale pokolenia, które przyszły po nas, nie musiały się przejmować żadną wojną, musieli więc trafić na prawo, żeby sobie zostać bohaterami sali sądowej. Prawda jest jednak taka, że ani im w głowie żeby wzorować się na Atticusie Finchu, tak jak ja mam to gdzieś i tak jak, uwierz mi, ty też masz to gdzieś. On był golcem. Ale my, ty i ja, chcemy mieć to wszystko: pieniądze, domy, samochody i wszystkie inne rzeczy, które może mieć w dzisiejszych czasach znany prawnik. W jaki sposób prawnik osiąga sukces? Wykonując swoją pracę, czyli pomagając bogatym się bogacić. Naprawdę doskonale nam za to płacą, nie kurczakami i orzechami jak Atticusowi. Nasi klienci płacą nam gotówką, i to doskonale, Scotty, bo za kurczaki i orzechy nie kupiłbyś sobie ferrari.

Dan podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

- Kiedy otrzymałem dyplom prawnika, Scott, pewien mądry, starszy ode mnie prawnik dał mi dobrą radę. Powiedział: każdy początkujący prawnik musi podjąć fundamentalną decyzję, od której będą zależeć wszystkie jego późniejsze poczynania. Jest to prosty wybór: czy chcesz czynić dobro, czy dobrze żyć? Czy chcesz jeździć cadillakiem, czy chevroletem? Czy chcesz posłać dzieci do prywatnych szkół, czy do szkół publicznych? Czy chcesz być bogatym prawnikiem, czy biednym prawnikiem? Powiedział mi: Dan, jeśli chcesz czynić dobro, zgłoś się do pracy w opiece społecznej i walcz za swoich klientów z

właścicielami domów, z firmami oczyszczania miasta i z krawężnikami, jak ci to ma poprawić humor. Ale nie narzekaj dwadzieścia lat później, kiedy twoi koledzy z roku kupią już duże domy, będą jeździć nowymi wozami, a wakacje spędzać w Europie. Wtedy będziesz musiał powiedzieć swoim dzieciom, że nie możesz ich posłać na studia na renomowanej uczelni, bo miałeś taką fantazję, żeby czynić dobro.

Dan odwrócił się plecami do okna.

- Mój syn poszedł do Princeton, a córka do Smitha.

Dan usiadł na rogu biurka i założył ręce.

- To jest wybór, którego dokonuje każdy prawnik, Scott, a ty dokonałeś tego wyboru jedenaście lat temu, kiedy cię zatrudniliśmy. Wybrałeś dobre życie. Stałeś tu, w tym miejscu, i mówiłeś, że znudziła ci się rola ubogiego krewnego i że chcesz zostać bogatym adwokatem. Teraz zaś znowu chcesz być dobry? Nie wydaje mi się. Scotty, ta firma istnieje z jednego, ale to wyłącznie z jednego powodu: żeby zarobić tyle forsy dla wszystkich wspólników, ile to jest możliwe. W jaki sposób firma to robi? Reprezentując klientów, których stać na trzysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę naszych usług. Dogadzając naszym klientom pod każdym względem i w każdej materii. Nigdy nie odmawiając naszym klientom. Bo wiemy, że mogą zabrać na te honoraria i dać je firmie z drugiej strony ulicy, z innego stanu, czy z drugiego końca kraju. Ponieważ zawsze istnieje jakaś firma gotowa w biegu zająć twoje miejsce.

- Dan, ona ma małą córeczkę. Dla niej muszę to zrobić. - Ty też masz małą córeczkę. Co musisz zrobić dla niej? Wstał, podszedł do Scotta i złapał go za ramiona. Przemawiał teraz jak troskliwy ojciec.

- Scott, zawsze słuchałeś moich rad i dobrze na tym wychodziłeś, prawda?

Scott przytaknął. - Jasne, Dan, ale...

- To teraz też mnie posłuchaj. Daj spokój, synku, nie rób tego. Nie rób tego sobie, nie rób tego firmie... Nie rób tego mnie. Muszę dostać odpowiedź dla McCalla, Scott. Teraz.

Scott skrył twarz w dłoniach, walcząc ze sobą zażarcie - Dan Ford walczył z Pajamae Jones o jego duszę.

„Scott, muszę dać McCallowi odpowiedź. Teraz".

„Panie Fenney, czy policja zabije też moją mamę?".

Słyszał też głos Bobbyego: „Potrzebuje siłacza, który by ją wsparł... Kogoś takiego, kim kiedyś byłeś". Nadszedł czas na sprawdzenie ikry Scotta Fenneya.

- Nie, maleńka, nie zabiją twojej mamy. Nie pozwolę im na to.

- Co?

Scott oderwał dłonie od twarzy i zwrócił się w stronę Dana, który patrzył na niego z dziwnym wyrazem twarzy. Scott zorientował się, że ostatnie zdanie wypowiedział głośno. Rzekł więc:

- Moja odpowiedź dla McCalla brzmi: „nie". Dan zdjął rękę z pleców Scotta.

- To nie jest właściwa odpowiedź. Spróbuj jeszcze raz.

- Moja odpowiedź brzmi: „nie".

Dan wstał, przeszedł przez pomieszczenie i usiadł za biurkiem. Położył dłonie na mahoniowym blacie.

- Scotty, Mack McCall jest teraz amerykańskim senatorem. Ubiera się elegancko i ładnie wysławia podczas swoich niedzielnych politycznych wystąpień... Pod maską polityka wciąż jest jednak teksaskim zbirem. Dorastał w biedzie na polach naftowych w zachodnim Teksasie i zaczął pracę na platformach w wieku piętnastu lat. Jak ktoś wiedzie ciężkie życie, to twardnieje, robi się z niego czasem prawdziwy podlec. Mack wyrósł na jednego z takich.

Dan podniósł pióro i przyglądał mu się przez chwilę, po czym powiedział:

- Jeszcze w college'u poszliśmy na przyjęcie do akademika Marthy. Była już narzeczoną Macka, piękną, bogatą dziewczyną. Była jego biletem do bogactwa i nie zamierzał dopuścić, żeby ktoś inny go skasował. Cóż, pewien futbolista upił się i zrobił wielki błąd, przystawiając się do niej. Mack poradził mu, żeby sobie poszedł, ale ten go zlekceważył. Mack wyciągnął go więc na zewnątrz. Tamten chłopak był cięższy do niego chyba ze trzydzieści kilogramów, ale i tak nie miał żadnych szans. Mack pobił go kastetem tak, że prawie by go zabił, gdybym go nie odciągnął. Spytałem wtedy: „Mack, dlaczego, do ciężkiej cholery, to zrobiłeś?". On zaś na to: „Nikt nie będzie wyciągał łap po coś, co należy do mnie".

Dan pokręcił głową, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w wydarzenie, którego był świadkiem.

- Scott, tej nocy dowiedziałem się trzech rzeczy o Maćku McCallu: nie przyjmuje odpowiedzi odmownych, nie walczy uczciwie i jest najwredniejszym skurwysynem, jakiego widziałem w życiu.

Scott zaśmiał się nerwowo.

- To co zrobi, pobije mnie? Dan westchnął.

- Nie wiem, co zrobi, Scott. Od czterdziestu dwóch lat nie powiedziałem mu: „nie". - Zamilkł na chwilę i dodał. - Ale wiem jedno: Mack McCall uważa, że Biały Dom należy już do niego.

Rozdział szesnasty

- *Usted me lo prometió, señor Fenney! Usted me lo prometió!*

Śniada twarz Consueli była mokra od łez. Krzyczała bez przerwy.

- Obiecał pan, *señor* Fenney! Obiecał pan!

Jej oczy patrzyły na niego błagalnie, pulchne ciało całe dygotało, a ręce miała założone z tyłu meksykańskiej ludowej sukienki i spięte kajdankami. Zasady Służb Imigracji i Naturalizacji, jak powiedzieli agenci.

Dwóch agentów przybyło do rezydencji Fenneyów dokładnie o szóstej trzydzieści w poniedziałkowy poranek. Consuela osunęła się Scottowi na rękach, kiedy machnęli odznakami. Koszmar, który prześladował ją od zawsze, teraz w końcu się ziścił. Zawiodły wszystkie jej środki zaradcze: krucyfiksy, modlitwy, zapalone świece, Highland Park... I *señor* Fenney.

Dziesięć minut później agenci zabierali już Consuele de la Rosa do aresztu federalnego. Scott stał bezradny, a agenci prowadzili ją do samochodu.

- Służby Imigracji i Naturalizacji nie przyjeżdżają do Highland Park, taki jest układ! Wszyscy pójdziecie na zasiłek! - krzyknął.

Jeden z agentów uśmiechnął się tylko i powiedział:

- Nie sądzę, sir.

- Połowa domów w Highland Park zatrudnia meksykańskie pokojówki! Czemu przyjechaliście akurat do mnie?

- Anonimowy cynk, proszę pana - rzucił ten sam agent przez ramię.

Scott posłał agentowi najgroźniejsze spojrzenie, na jakie go było stać rano w samych bokserkach.

- Anonimowy cynk, gadanie!

Boo przepchnęła się przez Scotta, boso i w koszuli nocnej pobiegła do samochodu, krzycząc:

- Consuela, Consuela!

Consuela się odwróciła, a Boo objęła ją rękami i przywarła do szerokiej talii. Consuela pochyliła się i wyszeptała:

- Och, *niña*.

Boo sięgnęła do jej twarzy i otarła z niej łzy. Po chwili jeden z agentów pociągnął Consuele za ramię, ta pocałowała więc Boo i wskazała jej skinieniem, że powinna wrócić do domu. Boo wpadła wprost w ramiona Scotta, była na skraju histerii.

- Obiecałeś, że nie przyjdą do nas do domu! Obiecałeś! Dokąd ją zabierają? Co z nią będzie?

W końcu pojawiła się Rebecca. Wzięła się pod boki i westchnęła.

- No, wspaniale. Kto niby teraz ma gotować? Ja? Jeden z agentów wepchnął Consuele na tylne siedzenie czarnego sedana, obserwowany przez dwóch porannych biegaczy, którzy zatrzymali się i gapili na całe zajście. Na końcu ulicy, ciszej niż poranna bryza, pojawił się wóz pełen pracowników o ciemnej skórze, młodych, w średnim wieku i starych, którzy jak co rano przyjeżdżali do Highland Park, żeby w zaciszu wielkich rezydencji ciężko pracować. Meksykanie, którzy dopiero co przyjechali z Matamoros, Nuevo Laredo czy Juárez, by harować od świtu w palącym słońcu i zdobyć szansę na lepsze życie.

Drugi agent stał przy otwartych drzwiach samochodu, ale odwrócił się, kiedy Scott krzyknął w jego stronę:

- Chcecie zgarnąć nielegalnych? - Pokazał palcem wysiadających z samochodu ludzi. - To aresztujcie tamtych! Możecie przejechać się po całym Highland Park i aresztować tysiąc Meksykanów! Ale oni koszą trawniki najbogatszych w Dallas, w tych domach się więc nie pojawicie, mam rację?! Wiem, czemu przyszliście do mojego domu! Znam tego gnoja, który wydaje wam rozkazy!

***

- ToMcCall.

Godzinę później Scott stał przed biurkiem Dana Forda, a adrenalina buzowała w jego organizmie. Dan westchnął i powiedział:

- Być może. Może powinieneś jeszcze przemyśleć swoją decyzję.

- Co, to niby ma być ostrzeżenie od McCalla, że może mnie dopaść? Nie zrobił mi krzywdy, skrzywdził tylko Bogu ducha winną biedną Meksykankę! Nic mu nie zrobiła!

Scott skierował się do drzwi, ale zatrzymał się w pół drogi i odwrócił do starszego wspólnika.

- Aha, Dan, kiedy będziesz dzwonił do swojego ulubionego senatora, to możesz mu ode mnie powiedzieć, żeby się pierdolił.

***

Scott wpadł do biura, niemal potrącając Sue. Zastał tam Bobbyego siedzącego wygodnie na sofie.

- Panie Fenney? - Sue stanęła w drzwiach, trzymając różowe karteczki z zapisanymi wiadomościami telefonicznymi. Dziennikarze dzwonili. Dzwonią cały czas.

- Żadnych dziennikarzy.

Sue zniknęła. Scott wytarł pot z czoła, spojrzał na Bobbyego i powiedział:

- Zabrali Consuelę. Bobby podniósł się na sofie.

- Co takiego?

- Służby Imigracji i Naturalizacji. Agenci pojawili się dziś rano, dostali anonimowy cynk, jak powiedzieli.

- Od McCalla.

Scott przygiął się wyczerpany.

- Jezu, Bobby, żebyś widział jej twarz. Była taka przerażona.

Znów targnął nim gniew, a ponieważ musiał koniecznie wyładować na czymś złość, kopnął kosz na śmieci tak, że przeleciał przez cały gabinet.

- Ten skurwysyn nie wie, z kim zadziera! - Wycelował palcem w swoje zdjęcie na ścianie. - Przebiegłem sto siedemdziesiąt sześć metrów w meczu z Teksasem!

- W futbolu są jakieś zasady, Scotty. W grze McCalla żadnych zasad nie ma.

- To się jeszcze zobaczy.

Bobby wstał niezdarnie z sofy i stwierdził:

- Jeśli będziesz mnie potrzebował, będę w bibliotece. Muszę poślęczeć trochę nad sprawą Shawandy. Lunch?

Scott skinął głową. Bobby odwrócił się i już miał wyjść, stanął jednak jak wryty, kiedy w drzwiach pojawiła się Karen Douglas. Spojrzeli na siebie jak dwoje uczniaków, ale ona spuściła wzrok i weszła do gabinetu. Bobby wyszedł, a Karen powiedziała do Scotta:

- Słodki jest.

- Tak, zawsze mu to powtarzałem.

Scott usiadł z rozmachem na fotelu i starał się zapanować nad oddechem.

- Nic ci nie jest? - zapytała Karen.

- Nic. - A po kilku głębszych wdechach: - O co chodzi?

- Jesteśmy gotowi złożyć ten pozew Dibrella. - Do gabinetu wszedł Sid, a Karen mówiła dalej: - Richard z sądu mówi jednak, że sąd stanowy w Dallas nie jest najlepszym miejscem na podejmowanie takich działań. Mówi, że wszyscy sędziowie są republikanami i nie są skłonni do odwoływania decyzji miasta w sprawie gruntów.

Sid mrugnął do Scotta i powiedział:

- Karen, co musi wiedzieć prawnik? Co jest najważniejsze, zanim pójdzie do sądu, jaka rzecz zadecyduje o tym, czy wygra czy przegra?

Karen nie wiedziała. W końcu wzruszyła ramionami i odparła:

- Która ze stron zawiniła, a która nie? Sid parsknął śmiechem.

- Niezupełnie. Tego nie było na egzaminie, Karen, ale najważniejsza rzecz to ta, czy kancelaria strony przeciwnej wsparła ostatnią kampanię większą niż my, czy nie. Prawda, Scott?

Scott przytaknął, wciąż jednak myślał o Consueli... O tym jej spojrzeniu... Jakby seńor Fenney ją zdradził.

- Jedyny problem, Scott, polega na tym, że sprawy są przydzielane rotacyjnie. Skąd mamy mieć pewność, że będzie orzekał akurat „nasz" sędzia? - dodał Sid.

Umysł Scotta, mimo że zaprzątnięty Consuelą, pozostał agresywny i kreatywny.

- Karen, powiedz Richardowi, żeby złożył sześć identycznych pozwów. Sześć pozwów dostanie sześciu sędziów. Wybierzemy tego, któremu daliśmy najwięcej pieniędzy, i tam będziemy działać, a wycofamy pięć pozostałych.

Sid był pod wrażeniem. Na twarzy Karen znów pojawił się ten sam wyraz odrazy studentki pierwszego roku na imprezie w akademiku, która widzi siebie w nakręconym ukradkiem filmie porno. Scott myślał o swojej pomocy domowej... Zdradził ją. Krzyknął do swojej sekretarki:

- Sue, daj mi numer Rudy'ego Gutierreza! To prawnik zajmujący się emigrantami!

- Scott, ale czy to etyczne? Składać sześć takich samych pozwów? - zapytała Karen.

- To kodeks etyki prawniczej, Karen, a nie Biblia.

***

- Gdzie jest ta cholerna kawa?

W nowocześnie urządzonej kuchni przy Beverly Drive numer 4000 w Highland Park Rebecca Fenney otwierała z rozmachem i zatrzaskiwała drzwiczki szafek, starając się odnaleźć kawę ziarnistą i młynek, żeby po raz pierwszy od trzech lat zrobić sobie samodzielnie kawę. Była wściekła i zdenerwowana, ponieważ w jej życiu pojawił się strach i niepokój. Czy jej mąż coś na serio spierdolił? Czy zabranie Consueli to był tylko początek

- początek końca? Aresztowanie pokojówki Fenneyów będzie głównym tematem omawianym przy lunchu przez damy z Highland Park. Co one sobie teraz pomyślą o pani Fenney? Jak to wpłynie na jej szansę udziału w komitecie organizacyjnym Balu Baronów Bydła?

- Co będzie z Consuelą, mamo?

Przy stole siedziały dwie małe dziewczynki.

- Nie wiem, Boo. Zjedz śniadanie. Pajamae aż podskoczyła.

- Ja mogę gotować, pani Fenney. Gotuję dla mamy cały czas. Jajka, bekon, ciastka, płatki...

- Płatki to sobie możemy darować. - Rebecca szukała w kolej nej szafce. - Gdzie jest ta kawa?

Pajamae już wyciągała patelnie, sztućce i przyciągała krzesło do blatu. Wspięła się na nie.

- Cóż. To jest fajna kuchenka. Rebecca się poddała.

- Będę ćwiczyć na dole. Starajcie się nie zaprószyć ognia. Znajdziemy nową pomoc. Bardzo szybko.

***

- Agenci Służb Imigracji i Nauralizacji przyjechali do twojego domu w Highland Park? Jezu, Scott, kogoś ty wkurzył?

Scott zadzwonił do Rudy'ego Gutierreza, prawnika od spraw emigrantów.

- Nazywa się Consuela de la Rosa. Wyciągnij ją dzisiaj.

- Nic z tego, Scott. Służby jej nie puszczą.

- Czemu nie? To tylko pomoc domowa.

- Scott, po jedenastym września każdy nielegalny meksykański emigrant jest traktowany przez nich jako potencjalny terrorysta. Ostro grają. Wcześniej byli kutasami, teraz są złamanymi kutasami.

- Zapłacę, ile trzeba, Rudy. Po prostu ją wydostań.

- Scott, taniej będzie nie walczyć z deportacją. Niech Służby Imigracji i Naturalizacji odwiozą ją do granicy, a ona wróci i dostanie się tutaj.

- Consuela tego nie wytrzyma.

- Dobra, ale tanie to nie będzie.

- Ile?

- Dwadzieścia pięć... Tysięcy.

- Wyślę ci czek jeszcze dzisiaj. Znajdź ją, Rudy, powiedz, że wszystko będzie dobrze, że jesteśmy jej rodziną i że wróci do nas... Rudy, przeproś ją ode mnie.

***

Bobby wrócił z biblioteki krótko przed południem. Jechali teraz windą do Downtown Club. Scott ciągle jeszcze miał wielką ochotę w coś walnąć. Albo w kogoś. Poprawił krawat, patrząc w swoje odbicie na pokrytej lustrami ścianie, i powiedział:

- Bobby, pokażemy światu, jakim naprawdę chłopcem był Clark McCall.

- Robisz to dla Shawandy, czy też dlatego, że ci aresztowali pomoc domową?

Scott wpatrywał się przez chwilę w swoje odbicie w lustrze.

- Nie wiem.

- To daj znać, jak się dowiesz.

Drzwi windy otworzyły się i Scott poszedł przodem korytarzem w stronę kierownika sali.

- Dwie osoby, Roberto.

Roberto stał jak zamurowany i otworzył szeroko brązowe °czy, jakby zjawiła się przed nim sama Maryja Dziewica. Scott pomyślał, że za chwilę się przeżegna.

- Roberto?

- Ee... Hm... panie Fenney, ja... Ee... Ja... - Co jest, Roberto? Chcemy zjeść lunch.

- Panie Fenney, nie da rady.

Nagle Roberto zmienił się z wytwornego kierownika sali w Downtown Club w emigranta przywiezionego prosto spod granicy, który powtarza: No habla ingles.

- Co nie da rady?

- Dać stolik.

- Czemu nie?

Czoło Roberta pokryła warstwa potu.

- Pan nie członek.

- Co to do diabła ma znaczyć, że nie jestem członkiem?

- Panie Fenney, już nie.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie jestem już członkiem klubu? Roberto przytaknął.

- *Si*.

- Dawaj tu Stewarta.

Roberto umknął w poszukiwaniu menedżera klubu. Scott odwrócił się i skinął głową trzem mężczyznom czekającym za nim na zaprowadzenie do stolika. Mniej więcej po minucie pojawił się Stewart, a za nim Roberto - a jeszcze dalej ochroniarz klubu.

- Co tu się do diabła dzieje, Stewart?

Stewart spojrzał na Scotta z taką samą odrazą, jak by zobaczył bezdomnego, który prosi o jałmużnę w Downtown Club.

- Panie Fenney, decyzją zarządu pańskie członkostwo zostało cofnięte ze skutkiem natychmiastowym. Muszę pana prosić o opuszczenie lokalu. - Wskazał na mężczyzn stojących za Scottem. - Roberto, pokaż panom stolik.

Trzej mężczyźni poszli za Robertem do sali jadalnej, ale najpierw obrzucili Scotta badawczymi spojrzeniami, szepcąc między sobą: „To Scott Fenney, prawnik Toma Dibrella".

- Żartuje pan?

- Nie, panie Fenney.

Stewart wyciągnął kopertę i podał ją Scottowi. Scott wyrwał mu ją z ręki, otworzył i wyjął list od zarządu Downtown Club, informujący A. Scotta Fenneya, że jego członkostwo zostało anulowane. Scottowi skoczyło momentalnie ciśnienie, aż żyły nabrzmiały mu na czole, jakby miały pęknąć.

- Proszę już iść, panie Fenney. Albo Darrell pana wyprowadzi.

Ochroniarz Darrell zrobił krok w kierunku Scotta - był młody, miał może nieco ponad dwadzieścia lat, ważył dziewięćdziesiąt kilo, nosił krawat przypięty pod kołnierzykiem i brązową sportową marynarkę, a pod jej rękawami rysowały się wyraźnie jego bicepsy. Miał kwadratową szczękę i wystającą neandertalską brew, typową dla kulturystów na sterydach. Scott grał w futbol, korzystając z tego, co dostał od Boga. Nigdy nie kupował koksu w supermarkecie. Ale grał przeciwko wielu podobnym mutantom. Problem z muskularni z supermarketu polegał jednak na tym, że nie były prawdziwe, nie dawały siły, nie były wytrzymałe. Tylko dobrze wyglądały. Przynajmniej taką miał teorię. Scott Fenney wciąż miał ponad osiemdziesiąt kilo samych mięśni i mógł z łatwością wykopać Darrela z siedemdziesiątego piętra wieżowca. Zrobił krok w kierunku Darrella tak, że poczuł jego nieświeży oddech. Powiedział do niego przez zaciśnięte zęby:

- Na twoim miejscu odradzałbym wszelkie próby...

Pomachał następnie Stewartowi listem przed nosem i cisnął mu go w twarz, następnie odwrócił się i wyszedł. Uszli już kawałek korytarzem, kiedy usłyszał głos Bobby'ego:

- Scott!

Zatrzymał się i odwrócił. Bobby wskazywał jeden z portretów na ścianie, przedstawiających członków założycieli klubu - to był Mack McCall.

***

Gdyby Mack McCall stanął teraz przed nim, Scott Fenney mógłby obudzić się po jakimś czasie w celi jak Shawanda Jones. Nigdy w życiu nie był tak wściekły na drugiego człowieka, nawet na boisku. Wiedział, że nie może wrócić w tym stanie do biura, poszli Wlec z Bobbym oszklonym pasażem do klubu sportowego.

- Mają tam bar z sokami - powiedział Scott.

Przy recepcji nie stała tym razem niewysoka blondynka która zawsze tu była, ale Han, potężny kulturysta, przy którym Darrell wyglądał jak szczurek. Przywitał Scotta tak, jakby g0 w życiu nie widział.

- Proszę tu zaczekać, panie Fenney.

- O kurwa - zaklął Bobby. - Jakbym to już gdzieś widział. Han wrócił, niosąc tani worek gimnastyczny, jaki w klubie dostawali goście. Wyciągnął go w stronę Scotta.

- Co to jest?

- Zawartość pana szafki.

- Ale dlaczego?

- Pańskie członkostwo zostało anulowane.

- Od kiedy?

- Od rana.

- Dlaczego?

- Z polecenia.

- Czyjego?

- Menedżera klubu.

- Kto jemu wydaje polecenia?

- Ja tam nie wiem.

Han skrzyżował ramiona, prężąc potężne mięśnie bicepsów, tricepsów i piersi. Scott nie był przekonany, czy chciał na Hanie sprawdzać swoją teorię o mięśniach karmionych sterydami. Brał udział w wielu burdach w barach, kiedy był w college'u, ale nigdy to nie był bar z sokami, nigdy nie był wtedy trzeźwy i nigdy nie bił się z kimś tak wielkim jak Han. Zawsze miał zaś za plecami dwóch wrogo nastawionych skrzydłowych, którzy mieli na tyle poprzestawiane w głowie, że mogliby się naparzać z niedźwiedziem grizzli. Kiedy więc Bobby złapał go za ramię i powiedział: „Chodźmy stąd", nie zaoponował.

***

Po raz pierwszy, od kiedy został wspólnikiem w firmie Ford Stevens, A. Scott Fenney zjadł na lunch hot doga kupionego u ulicznego sprzedawcy i w towarzystwie ludzi, których wspólny majątek był mniejszy od ceny jego garnituru.

Po wchłonięciu dwóch hot dogów, czego zaraz zaczął żałować, poszli z Bobbym wzdłuż Main Street, zrobili więc coś, czego Scott nie robił od lat. Albo też nigdy - i miał ku temu powód.

Po pięciu minutach w lipcowym słońcu Scott był przemoknięty potem od stóp do głów. Miał mokrą twarz, mokre włosy, a wykrochmalona biała koszula przylgnęła do niego jak druga skóra. Pot z piersi i pleców ściekał w dół i zbierał się na bieliźnie, pot z nóg zbierał się w skarpetkach. Mając nadzieję, że przynajmniej ocali marynarkę za dwa tysiące dolarów, Scott zdjął ją i zarzucił sobie na ramię. Bobby coś mówił, ale Scott słyszał to tylko jako element ulicznego hałasu. Myśli Scotta krążyły wokół Macka McCalla.

Bobby mówił:

- Widziałeś tych działaczy sportowych? Naprawdę myślą, że ktoś przyjedzie na letnią olimpiadę do Dallas? Połowa zawodników upiekłaby się żywcem, zanim zaczęliby w ogóle trenować.

Ulicę dalej Bobby powiedział:

- Kiedyś stały tu burdele i saloony na całej długości Main Street. Doc Holliday miał tu gabinet dentystyczny i tutaj zabił pierwszego faceta.

Nieco później dodał:

- Wiesz, że tu dorastali Bonny i Clyde? Oboje są pochowani w mieście. Grób Clyde'a znajduje się w zachodnim Dallas. Nie wiem, gdzie pochowano Bonny.

Tak sobie spacerowali, a Bobby robił Scottowi krótki wykład na temat Dallas, na co ten odpowiadał tylko skinieniem głowy i mruknięciami, tak samo jak wtedy, kiedy słuchał żony, która opowiadała mu o swoim fascynującym dniu. Dotarli do Dealey Plaża na zachodnim krańcu śródmieścia - niewielki trójkąt zieleni wciśnięty między ulice Houston, Commerce i Elm - do Triple Underpass jeszcze dalej na zachód i do School Book Depository oraz do trawiastego pagórka na północ. Miejsce to wyglądało tak samo jak dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. Bobby powiedział:

- Byłeś kiedy na szóstym piętrze i wyglądałeś przez okno? Scott pokręcił przecząco głową.

- Nie ma mowy, żeby Oswald zrobił to sam - stwierdził Bobby. - Musiał być strzelec na pagórku. Chcesz tam podejść?

Scott ponownie potrząsnął głową.

Bobby wskazał na jakiś budynek na tej samej ulicy.

- O, a tam, właśnie tam Ruby zastrzelił Oswalda, w podziemiach starego więzienia.

Scott chrząknął. Oswald zastrzelił Kennedy'ego, Ruby zastrzelił Oswalda, Shawanda zastrzeliła Clarka, Scott zastrzelił Macka. To była jakaś myśl.

Bobby ciągnął dalej:

- O, tutaj właśnie zaczęło się Dallas, dokładnie w miejscu, gdzie zastrzelono Kennedy'ego. Sto sześćdziesiąt lat temu. Trochę to przerażające, co? Nieważne, facet o nazwisku John Neely Bryan postawił swoją faktorię na brzegach Trinity River. Wiesz, że kiedyś tędy płynęła? Każdej wiosny zalewała śródmieście, dlatego osiemdziesiąt lat temu władze miejskie przesunęły całą cholerną rzekę o dwa kilometry na zachód i wybudowały wielkie falochrony, żeby nie wpływała tutaj. Oczywiście teraz zalewa czarne dzielnice w południowym Dallas. Tam nie wybudowali wałów przeciwpowodziowych.

Ruszyli ponownie w stronę Dibrell Tower. Bobby powiedział:

- Ludzie, którzy założyli miasteczko Dallas, uciekali przed swoimi wierzycielami ze wschodu. „Jadę do Teksasu” - mówili, co wtedy znaczyło: „Ogłaszam bankructwo”. Wiedzieli, że wierzyciele mogą mieć w sobie tyle ikry, żeby gonić ich po terytoriach indiańskich, ale przecież nie byli na tyle głupi, żeby jechać za nimi do tego piekła.

Kiedy doszli do sześciopiętrowego sklepu, dumy firmy Nejman Marcus, na skrzyżowaniu Main i Ervay, Scott zatrzymał się patrzył, jak stara żebraczka pcha swój wózek z supermarketu wypełniony po brzegi różnymi śmieciami i z podziwem ogląda wystawy, na których na chudych manekinach wisiały markowe ciuchy, a w środku modne damy z Highland Park brały udział w „Tygodniu Estee Lauder”, tak przynajmniej mówiło ogłoszenie wywieszone na szybie. Staruszka spojrzała na Scotta i uśmiechnęła się szeroko, ukazując bezzębne dziąsła.

Poszli dalej, a Scott zaczął zauważać inne dziwne postaci zaludniające ulice śródmieścia - ludzi, którzy krążyli po ulicach w skwarze i dokuczliwym hałasie wydobywającym się z rur wydechowych samochodów i autobusów, wyrzucających z siebie tyle spalin, że w powietrzu było aż od nich gęsto; włóczęgów i ulicznych handlarzy, bezzębne stare kobiety i brodatych staruszków, latynoskie dziewczyny ciągnące za sobą dzieci, czarnych młodych twardzieli, i policjantów patrolujących swój rewir. Na ulicach był całkiem inny świat. Jadąc swoim ferrari, Scott widział tych ludzi jedynie przez sekundę, tak jak inne elementy krajobrazu śródmieścia - latarnie, parkomaty, kosze na śmieci. Jego życie zaczynało się kilka kilometrów dalej w klimatyzowanym raju. Scott bardzo źle się tutaj czuł, na ulicy. Bobby za to rozdawał wizytówki.

- Co ty do diabła robisz, Bobby?

- Łapię nowych klientów, Scotty. Jestem prawnikiem pracującym dla ulicy, a to jest ulica. Patrzysz na nich i widzisz bezdomnych, włóczęgów, graczy w oko, podłe formy życia, a ja widzę klientów! To jest mój Downtown Club!

Bobby szybko się zorientował, że popełnił błąd.

- Kurde, przez godzinę robiłem, co mogłem, żeby cię zagadać, żebyś o tym zapomniał, a teraz sam ci to przypomniałem, Scott.

Myśli Scotta wróciły już jednak do idealnego życia, które jeżyło się sześćdziesiąt dwa piętra wyżej. Teraz był już pewny, że Mack McCall nie pobije Scotta Fenneya do nieprzytomności kastetem. Miał zamiar zrobić coś znacznie gorszego. Chciał odebrać Scottowi idealne życie.

Poczucie nadchodzącej klęski znów opanowało Scotta Fenneya.

***

Jeśli uda jej się trafić, Rebecca Fenney zakończy tę rozgrywkę z siedemdziesięcioma czterema punktami, co będzie jej najgorszym wynikiem. Stanęła przy piłeczce i wzięła dwa zamachy na próbę, następnie podeszła bliżej i sprawdziła swoją postawę, przesuwając ostrożnie kij w pobliże piłki i upewniając się, czy utrzymuje równowagę. Wiedziała, że Trey - młody zawodowy golfista, któremu płaciła pięćset dolarów za lekcję - obserwował ją bacznie, ale nie patrzył na jej uderzenie. Gapił się na jej tyłek. Zawsze udawało mu się stanąć za jej plecami, kiedy miała wykonać uderzenie.

Trey zakończył już z wynikiem 62. Miał dwadzieścia sześć lat, był diablo przystojny i szczycił się tytułem mistrza kraju. Właśnie dostał wiadomość od Professional Golfers Association, że spełnia niezbędne warunki, żeby zagrać w pozostałych turniejach w tym roku. To był jego ostatni tydzień spędzany w klubie.

Wykonała łagodne uderzenie, posyłając piłeczkę w prostej linii na obrzeża dołka i patrzyła, jak skręca w lewo i wpada okrężnym ruchem do środka.

- Tak!

Trey podszedł do niej. Przybili sobie „piątkę” na polu golfowym Country Club. Spojrzał na nią tak jak zwykle i zobaczyła w jego oczach znaną potrzebę: potrzebował jej bardziej niz powietrza. Od siedmiu miesięcy byli kochankami.

Zawrócili w stronę wózka ustawionego na porośniętym trawą pagórku, wsiedli do niego i skierowali się w stronę klubu. Zaparkowali wózek. Obok pojawił się czarny pomocnik.

- Pani wózek to ten czarny merol, pani Fenney? - Co?

- Pani wózek, czarny coupé?

- Tak. I co z tego?

- Muszę włożyć kije do samochodu. Tego, co trzeba.

- Nie zanoś moich kijów do samochodu. Zanieś je do klubu, jak zwykle.

- Pan Porter, on mówi, żeby do samochodu.

- Dlaczego? Wzruszył ramionami.

- Ja tam nie wiem, proszę pani.

Rebecca odwróciła się do Treya. On też wzruszył ramionami. Weszła do budynku, przeszła przez sklepik ze sprzętem i skierowała się wprost do biura kierownika, gdzie siedział Ernie Porter. Erniemu nie powiodło się w turniejach zawodowców, od dwudziestu lat siedział więc w klubie, dając lekcje golfa, prowadząc zawody i zgarniając procent od każdego kija, piłeczki i pary butów ze sklepiku.

- Ernie? Podniósł wzrok.

- Tak, pani Fenney?

- Ten chłopak powiedział mi, że kazałeś mu zanieść moje kije do samochodu.

- Tak, proszę pani.

- Dlaczego?

- Jeśli pani to nie odpowiada, to każę je zawieźć do domu.

- Nie chcę trzymać kijów w domu. Gram tu codziennie. Ernie nagle się skrzywił.

- Pani Fenney, to pani nie wie?

- O czym nie wiem?

Ernie grzebał przez chwilę w papierach, kurcząc się cały w fotelu, po czym powiedział:

- Pani mąż, pan Fenney... No, on... Ee... hm... Nie jest Już naszym członkiem.

- Co takiego? Jesteśmy tu od czterech lat. - Cóż, teoretycznie, kiedy pani mąż był członkiem, pani Fenney, to jako małżonka miała pani te same przywileje. Ale ponieważ on już nie jest, więc przywileje cofnięto. Trzeba się z tym pogodzić.

- Kiedy Scott stracił członkostwo?

- Dzisiaj.

***

Zastała męża siedzącego w kuchni z córką płaczącą mu na kolanach. Gładził ją po warkoczykach. Pajamae siedziała po drugiej stronie stołu z posępną miną, opierając dłonie na blacie.

- Mamo, zabrali Consuelę i już nie wróci!

Rebecca podparła się pod boki i starała się nie krzyczeć.

- Czy Sue zapłaciła składkę klubową w tym miesiącu? Scott podniósł na nią wzrok. Pokiwał smętnie głową.

- Ernie powiedział, że już nie jesteś członkiem.

Wolno podniósł dłoń i rzucił jakąś kartkę na stół. Rozpoznała papier firmowy z klubu. Popchnął list w jej stronę. Podniosła go i przeczytała:

Szanowny panie Fenney, Rada Klubu uważa, że Pana dalsza obecność w naszym klubie kłóci się ze standardami przyjętymi przez jego członków. Tym samym od dziś Pańskie członkostwo zostaje cofnięte. Proszę nie pojawiać się na terenie klubu. Pana rzeczy osobiste zostaną dostarczone do miejsca Pana zamieszkania wraz z końcowym rachunkiem.

- To McCall - powiedział. - Wykopał mnie z Downtown Club i z siłowni. Wywiera na mnie presję, żebym zaniechał obrony.

- Niech cię szlag trafi, mówiłam ci!

Opuściła dłoń i list spadł na podłogę. Jazda ze Scottem Fenneyem kończyła się definitywnie. Jedyne, co pozostawało niewyjaśnione, to fakt, czy będzie to miękkie lądowanie czy zderzenie czołowe.

Dziewczynki siedziały na łóżku Boo, a Scott wziął książkę i usiadł na krześle obok łóżka. Wszystkie siły opuściły jego ciało. W jeden dzień stracił gosposię i członkostwa we wszystkich klubach. Sama myśl, że Mack McCall ma taką władzę, że może z Waszyngtonu pociągać za sznurki w Dallas, wykonać kilka telefonów i zburzyć idealne życie Scotta, uświadomiła mu, jaką on sam jest nieistotną jednostką. Może sto siedemdziesiąt sześć metrów w meczu przeciwko Teksasowi to nie było nic wielkiego?

- Złamałeś obietnicę - powiedziała Boo srogim głosem. - Zabrali Consuelę.

Scott doświadczył w życiu wszelkich rodzajów bólu, ale to było nic w porównaniu z bólem, jaki wywołał zawód córki. Scott zdjął okulary.

- Przepraszam cię, Boo.

- Sprowadź ją z powrotem.

- Staram się - Scott nałożył ponownie okulary i otworzył książkę.

- Gdzie skończyliśmy, przy Trzynastej Poprawce? Boo powiedziała:

- Chcemy porozmawiać na inny temat. Scott zamknął książkę.

- Dobra, na jaki?

- Co to jest testament?

- Testament to dokument prawny, w którym określa się swoich spadkobierców po śmierci.

Boo spojrzała na niego wyczekująco.

- Po angielsku, proszę. Pajamae tylko pokręciła głową.

- Testament mówi, kto dostanie twoje rzeczy, kiedy umrzesz.

Dziewczynki spojrzały na siebie i pokiwały głowami. Boo spytała:

- Kto więc dostanie twoje rzeczy, jeśli umrzesz?

- Twoja matka.

- Kto dostanie jej rzeczy, kiedy umrze?

- Ja.

- Kto dostanie rzeczy matki, kiedy oboje umrzecie?

- Ty.

- Kto dostanie mnie?

- Hę?

- Dziadkowie nie żyją, nie mam żadnych wujków ani cioć starszego brata ani siostry... Teraz to nawet nie mam Consueli.

- Cóż, przede wszystkim, Boo, twoja matka ani ja nie planujemy wybierać się na tamten świat w najbliższym czasie, rozważania te są więc czysto teoretyczne.

- Czysto jakie?

- Teoretyczne. Wiesz, na zasadzie: co by było, gdyby. Ale nie martw się, twoja matka i ja będziemy przy tobie i będziemy się tobą opiekować.

Pajamae powiedziała:

- Mama mówi, że moi wszyscy krewni albo siedzą, albo gryzą ziemię.

- Co więc, jeśli? - zapytała Boo.

- Co „jeśli co”?

- Co, jeśli moja mama umrze?

- Nie wiem, Boo. Chyba nie myślałem o tym. Boo wyciągnęła garść jednodolarówek i monet.

- Chcemy wynająć cię jako prawnika, ale mamy razem tylko trzynaście dolarów, będziesz więc musiał pracować bardzo szybko.

- Co mam zrobić?

- Napisz nam testament, w którym będzie, że jak umrze mama Pajamae, to my ją weźmiemy, a jak ty i mama umrzecie, to ona weźmie mnie i będę z nimi mieszkała.

- W osiedlu? - Scott wypalił, zanim zdołał się powstrzymać.

- Nie. Ja dostanę dom, zamieszkamy więc tutaj.

Obie dziewczynki znów pokiwały głowami, a Scott po raz pierwszy tego dnia się uśmiechnął, bo wyobraził sobie, jak Shawanda Jones wprowadza się na Beverly Drive 4000, do serca Highland Park.

Rozdział siedemnasty

- McCall to kawał gnoja.

- Powiedz mi coś, o czym nie wiem.

Była godzina dziewiąta rano i Scott opadł na sofę w gabinecie Dana Forda. Jego starszy wspólnik siedział za biurkiem z założonymi rękami, jak ksiądz przyjmujący spowiedź.

- Jest bogaty i wszechwładny, Scott, czyli jest bardzo niebezpiecznym gnojem.

- Jest twoim przyjacielem.

- Nie powiedziałem, że jest moim przyjacielem. Tak naprawdę nie odwróciłbym się do łajdaka plecami. Będzie jednak kolejnym prezydentem, chcielibyśmy więc w nim widzieć przyjaciela firmy.

- Dan, powiedz mu, że nie muszę chodzić na obiadki do Downtown Club, na siłownię i do Country Clubu, niech sobie wsadzą te karty członkowskie... Dobra, w porządku, tak się gra ostro. Ale zabranie Consueli, Meksykanki, która w życiu me skrzywdziła muchy... To już nie jest ostra gra. Dan, to po Prostu zwykłe kurewstwo. Powiedz mu, że tylko zimnokrwistego skurwysyna stać było na coś takiego. - Scott obudził się dziś rano w nastroju zaczepnym. - Może po prostu daj mi jego numer, sam mu powiem.

Dan uśmiechnął się.

- Raczej nie, Scotty.

- Wiesz co, Dan? Nigdy mnie nie znieśli z boiska. Dostawałem z całej siły, brałem tyle, na ile ich było stać, i zawsze wstawałem.

Dan pokiwał głową.

- Był z ciebie twardziel.

- Wciąż jest. - Scott popukał się w głowę. - O, tutaj. Tu tkwi prawdziwa siła, w głowie. Każdego można zranić, ale faceci, którzy mają silną psychikę, wstają i grają dalej. McCall walnął mi z grubej rury, a ja wstałem. Powiedz mu to. Wciąż jestem w grze i teraz będę grał ostrzej. To mu też powiedz.

Scott wstał i poszedł do drzwi, ale Dan zatrzymał go w pół drogi.

- Scott?

- Tak?

- Skąd wiesz, czy nie może uderzyć mocniej?

***

Pięć minut później McCall mówił do Dana:

- Chłopak nie łamie się tak łatwo.

- Nie - odparł Dan.

- Ale się złamie... Albo wszyscy w Dallas się dowiedzą, że żona mu się puszcza z instruktorem golfa w klubie.

- Z Treyem? Jezu, ten chłopak kosi baby całymi łanami. Powinien nam za to płacić. Skąd się dowiedziałeś?

- Delroy trochę powęszył.

- Niech to, Mack, nie rób tego jeszcze, może Scott się podda. Żona go zdradza... To będzie dla niego ciężki cios.

- Mówisz, jakby ci zależało na Fenneyu.

- Jest najlepszym młodym prawnikiem, jakiego spotkałem... Jest dla mnie jak syn.

- Dan, syn może być prawdziwym utrapieniem.

Kiedy Scott wrócił do biura, czekała już tam na niego poranna poczta. Nie zdołał jednak wpisać tysiąca dolarów za jej przeczytanie i dołączyć do kosztów, ponieważ ta lektura miała go kosztować dużo więcej - Urząd Skarbowy domagał się od niego siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów zaległych podatków, kary i procentów za Consuelę de la Rosa. Scott już wiedział, że słowa Dana były ostrzeżeniem: Mack McCall nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

Scott usiadł za biurkiem i ocenił stan swoich finansów. Miał sto tysięcy w gotówce, mniej więcej - właściwie mniej o dwadzieścia pięć tysięcy, które wysłał Rudyemu Gutierrezowi - na koncie depozytowym, które nie generowało prawie żadnych procentów. Kolejne dwieście tysięcy było utopione - dosłownie - w akcje, które były warte połowę tego, ile za nie zapłacił.

Był winien dwa miliony osiemset tysięcy za dom, sto siedemdziesiąt pięć tysięcy za ferrari i kolejne sto pięćdziesiąt za mercedesa i rangę rovera, a także dwadzieścia pięć tysięcy na kartach kredytowych do spłaty. Zadłużenie na trzy miliony sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Samochody były prawdopodobnie warte tyle, ile wynosiło zadłużenie za nie, a dom mógł być wart może milion więcej niż ciążący na nim dług, mimo że ruch na rynku dużych posiadłości w Dallas był ostatnio nieco mniejszy.

Jego jedynymi wpływami była miesięczna wypłata z firmy, czyli sześćdziesiąt dwa tysiące pięćset dolarów brutto, ale dawało to jedynie czterdzieści dwa tysiące netto, które znikały szybciej niż kropla lipcowego deszczu na chodniku: cztery tysiące opłat miesięcznych za ferrari, trzy tysiące za mercedesa żony i rovera, szesnaście tysięcy miesięcznych procentów za dom, dziesięć tysięcy na miesiąc podatku od nieruchomości i ubezpieczenia, cztery tysiące za miesiąc usług komunalnych i utrzymania domu. Zostawało mu więc tylko pięć tysięcy na miesiąc na zakupy, ubrania, jadanie na mieście, rozrywkę i opłaty klubowe, przynajmniej nie będzie musiał płacić teraz opłat klubowych. Nigdy nie oszczędzał, ponieważ ten dom był jego rachunkiem Oszczędnościowym, funduszem emerytalnym i zaskórniakiem na czarną godzinę. Oczywiście mógł dobrać się do tych funduszy, jedynie sprzedając dom lub przewaloryzowując hipotekę, co nie było raczej możliwe, ponieważ Dan Ford już wcześniej prosił dyrektora banku o przysługę udzielenia mu pożyczki na dwa miliony osiemset tysięcy.

Scott wypisał więc czek z rachunku oszczędnościowego na siedemdziesiąt pięć tysięcy sto dolarów na „Jebany Urząd Skarbowy". Po czym rozparł się w fotelu, zastanawiając się, co dalej zrobi Mack McCall.

***

Siedzący w biurze Scotta Bobby aż wykrzyknął:

- Siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów? Kurde, gdybym sprzedał wszystko i próbował spłacić taki dług, zostałoby mi jeszcze siedemdziesiąt cztery tysiące do spłaty. I wypisałeś im ten czek?

Bobby przyszedł do gabinetu Scotta, który opowiedział mu o najświeższych rewelacjach.

- Tak. Ale cała gotówka poszła.

- Wiesz, Scotty, McCall posunął się dalej, niż się spodziewałem. Bo być wkurzonym to jedno, ale próbować zniszczyć komuś życie to już inna para kaloszy. Zaczyna wkraczać na obszary Stephena Kinga.

- Nie może mi zniszczyć życia, Bobby. Może mi odebrać gosposię, moje karty klubowe i moją gotówkę, ale nie może mnie zniszczyć. Wciąż mam klientów, którzy płacą mi trzy bańki rocznie.

- Panie Fenney?

W drzwiach stanęła Sue. - Tak?

- Dzwonił pan Dibrell i prosił jak najszybciej o spotkanie.

***

Piękna blond recepcjonistka w Dibrell Property Company nie pytała już dzisiaj Scotta o stan cywilny i Marlenę też się do niego nie uśmiechnęła. Odwróciła tylko wzrok, kiedy ją minął i wszedł do samotni Toma Dibrella. Z miny Toma wynikało, że będzie musiał negocjować ugodę za seksualne molestowanie z dwiema recepcjonistkami naraz. Zastanawiał się, czy byłoby to możliwe.

- Co się dzieje, Tom? Tom wskazał mu ręką sofę.

- Usiądź, Scott.

Scott obszedł stolik kawowy, którego szklany blat opierał się na leżących na płask zespojonych końskich podkowach. Opadł na sofę i rozłożył ramiona na oparciu na całą szerokość. Adwokat i klient patrzyli na siebie z odległości pięciu metrów drogiego pomieszczenia.

- Jesteśmy ze sobą od dawna, Scott.

- Od jedenastu lat, Tom. Tak długo, jak długo jestem prawnikiem.

- Jesteś najlepszym prawnikiem, jakiego kiedykolwiek miałem, Scott, a wierz mi, miałem kilku.

- Dobra, dzięki. - Chrząknął i się uśmiechnął. - Wiesz, Tom, kiedy w college'u zrywałem z dziewczyną, to najpierw mówiłem jej, jaka jest piękna.

Tom pokiwał głową i wypuścił powietrze. Już się jednak nie uśmiechał.

- Rozstajemy się, Scott. - Co?

- Już nie jesteś moim prawnikiem.

Strach zmusił Scotta do poderwania się z sofy i pokonania przestrzeni do biurka Toma w rekordowym czasie. Patrzył teraz z góry na swojego bogatego klienta, który płacił firmie trzymilionowe honoraria, a tętno przyspieszało mu z każdą sekundą, ponieważ z szybkością rozpędzonej lokomotywy przebiegały mu przez głowę wszystkie konsekwencje utraty Toma Dibrella.

- Tom... Dlaczego?

- Lepiej w to nie wchodzić, Scott. Już się stało.

- Ale...

- Nie, Scott.

Scott poczuł się osłabiony i zdezorientowany, jakby dostał cios w głowę. Odwrócił się od Toma, zrobił kilka kroków w kierunku drzwi i zobaczył coś, czego wcześniej nie widział ani też nawet nie starał się zobaczyć. Zamrugał oczami, a jego umysł i wzrok skupiły się w jednym punkcie. Na ścianie wisiała oprawiona fotografia Toma Dibrella i senatora Macka McCalla na turnieju golfowym. Odwrócił się do Toma i wskazał zdjęcie.

- To on, prawda? McCall. On cię do tego zmusił.

Na chwilę ich oczy się spotkały i wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę, po czym twarz mu oklapła i pokiwał głową, jakby go coś rozbolało.

- Scott, chcesz poznać pewną tajemnicę?

- Jaką tajemnicę?

- Czy Oswald działał sam...? O jakiej, do diabła, tajemnicy mówię, jak ci się zdaje? Jak Tom Dibrell przetrwał krach na rynku nieruchomości i dalej budował, kiedy wszyscy inni popadali i stali się bankrutami?

Scott pokiwał głową.

- To McCall. On mnie ocalił. Fundusz emerytalny z Nowego Jorku, gnoje, którzy trzymali mnie za mordę, czy też raczej za hipotekę, którą starali się zająć, chcieli, żeby w Kongresie przeszła pewna ustawa, jakaś tam specjalna ulga dla ich inwestycji. Mack powiedział im, że jak mi zajmą budynek, to mogą sobie w dupę wsadzić tę ulgę. Cofnęli

zajęcie. Mack załatwił mi też kontrakty na nowy gmach poczty i budynki administracji, dał mi trochę gotówki, żebym miał płynność. Ocalił mnie, Scott, tylko dlatego, że byliśmy sąsiadami i posyłałem mojego ogrodnika, żeby kosił mu trawę. Nigdy nie prosił mnie o najmniejszą rzecz... Aż do teraz. On jest jak ojciec chrzestny, Scott, kiedy w końcu prosi o drobną przysługę, nie można mu odmówić Jestem mu to winien.

- Co w takim razie ze mną? Zacząłem dla ciebie pracować, kiedy inni prawnicy odrzucali cię jak zgniłe jajo. Byłem lojalny wobec ciebie przez jedenaście lat. Czy nie jesteś mi przypadkiem niczego winien?

Tom skręcił się w fotelu, a jego mina ze zbolałej stała się zdeprymowana.

- Płaciłem ci honoraria, Scott. W całości, co miesiąc. Tak poza tym, to więcej niż w całości. Od lat zawyżałeś swoje stawki. Myślisz, że tego nie wiem? Robiłeś to, żeby firma mogła sobie zatrudniać nowych studentów, szkolić nowych prawników na mój koszt. Zawyżałeś koszty telefonów, faksów i pism, włączając do płatnych godzin lunche, które jedliśmy razem. Dlaczego, jak myślisz, zatrudniam tych wszystkich pracowników po MBA na Harvardzie? Żebym wiedział, gdzie idzie każdy grosz z moich pieniędzy! Jak sądzę, przez te lata naciąłeś mnie na dwa, trzy miliony więcej, niż ci się należało. Ale tego ode mnie chciałeś: moich honorariów, nie mojej przyjaźni. Tak ci więc odpłacałem, Scott, w gotówce. Nie lojalnością. Jestem lojalny wobec przyjaciół, cholernie lojalny. Ty nie byłeś moim przyjacielem, byłeś moim prawnikiem.

- Jasne, Tom, i jako prawnik naginałem dla ciebie prawo. Etykę i uczciwość zostawiałem za drzwiami, żebyś tylko był zadowolony!

Tom uniósł dłonie w obronnym geście.

- Zaraz, zaraz, ja o tym nic nie wiem, Scott. Jestem tylko prostym człowiekiem, który robi w budowlance. Wszystkie kwestie prawne powierzam mojemu mądremu prawnikowi.

Scott się uśmiechnął.

- Niecały miesiąc temu, Tom, stałem tu przed tobą i błagałeś mnie, żebym uratował ci tyłek... Jak jej było, Nadine? Zrobiłem to. Powiedziałeś, że nigdy tego nie zapomnisz.

- I nie zapomnę. Nigdy ci tego nie zapomnę, Scott. Ale to tylko interes.

„Ten jest prawnikiem Rossa Perota. Ten jest prawnikiem Jerry'ego Jonesa. Ten jest prawnikiem Marka Cubana.

A ten był prawnikiem Toma Dibrella".

Prawnik wolałby, żeby jego żona uciekła z innym mężczyzną, niż żeby jego klient uciekł z innym prawnikiem. Zdrada żony sprawia, że zaczyna w nią wątpić, zdrada klienta sprawia jednak, że prawnik zaczyna wątpić w siebie. Tak naprawdę zdrada klienta jest jedyną

okolicznością, w której prawnik zaczyna kwestionować samego siebie, to czym i kim jest. Ponieważ prawnik bez żony jest wciąż prawnikiem, ale prawnik bez klienta jest zwykłym człowiekiem.

Tożsamość prawnika określają reprezentowani przez niego klienci. Siła, wpływy, prestiż, reputacja i pozycja w społeczeństwie - to, kim i czym jest - również są określane przez klienta, którego reprezentuje. Jakość prawnika jest wprost proporcjonalna do bogactwa reprezentowanych przez niego osób.

Scott wjeżdżał na górę windą, będąc ważnym adwokatem w Dallas, prawnikiem bogatego klienta. To był Scott Fenney, prawnik Toma Dibrella. Kiedy zjeżdżał windą w dół, był... No właśnie, kim? Nie rozpoznał siebie w odbiciu kryształowego lustra windy.

Jego pierwsza tożsamość: był synem Butcha. Następnie, kiedy ujawniły się jego zdolności sportowe, stał się graczem futbolowym. Później przez jedenaście lat był prawnikiem Toma Dibrella. Zawsze miał jakąś tożsamość. Kim był więc teraz Scott Fenney? Kolejnym mecenasem bez bogatego klienta, nie lepszym niż Bobby, którego najlepszym klientem był latynoski kelner?

Po raz pierwszy w życiu nie wiedział, kim jest.

***

Scott wciąż był w szoku, kiedy wrócił do biura, gdzie zastał Bobbyego na sofie i list polecony na biurku. Ledwie odnotował nagłówek na kopercie: FIRST DALLAS BANK. Nożem do kopert rozdarł papier, traktując przesyłkę jak kolejną bzdurną promocję. Wyjął z koperty pismo, które składało się z czterech kartek dobrego papieru, rozłożył je i rozprostował na blacie.

I przeczytał. Kiedy jego wzrok śledził rząd wydrukowanych liter, czuł się, jakby czytał własny nekrolog.

Bank wzywał do spłaty pełnej kwoty za dom i samochody. Miał dziesięć dni na spłatę trzystu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów za trzy pojazdy i trzydzieści dni na spłatę dwóch milionów ośmiuset tysięcy za dom. W razie braku wyżej wymienionych wpłat po ustalonym terminie nastąpi zajęcie samochodów i domu. Scott Fenney straci posiadłość i ferrari.

Jego idealne życie zniknie bez śladu.

Poczucie przegranej starało się przedostać do zakamarków jego głowy, ale Scott Fenney nigdy nie został pokonany, nawet wtedy, kiedy przegrywał. Bo gdy przegrywał, nie poddawał się temu. Tylko wpadał w złość. Tak jak teraz. Oddech mu przyspieszył, szczęki się zacisnęły, a gniew dodał energii ciału i umysłowi. Podniósł słuchawkę i nacisnął jeden

przycisk, łącząc się bezpośrednio z Tedem Sidwellem, prezesem banku. Ted odebrał po pierwszym dzwonku.

- Ted, tu Scott Fenney. Co się, do diabła, dzieje?

- Noty wezwania do zapłaty, Scott. Domagamy się pełnej kwoty.

- Dlaczego?

- Te pożyczki zostały ci udzielone na zasadzie przysługi. Żeby otrzymywać przysługi, trzeba je też wykonywać. Na tym polega ta zabawa.

- Rozumiem. McCall. Świetnie, przerewaloryzuję kredyt w innym banku.

Ted się zaśmiał.

- W dzisiejszych czasach? I bez Toma Dibrella? Nie sądzę.

- Wieści szybko się rozchodzą.

- Wiedziałem wcześniej od ciebie.

- Sprzedam to w cholerę, posiadłość jest warta milion więcej niż dług.

- Wyprzedaż na łapu-capu? Będziesz miał szczęście, gdy odzyskasz to, co jesteś winien.

- Ogłoszę bankructwo, przetrzymam was pół roku, może rok.

- To również raczej nie wchodzi w grę. Bank wstrzymał żądanie zapłaty sędziemu Schneiderowi z Highland Park. To sędzia od spraw upadłościowych. Do tego on rozumie, co to jest przysługa.

Scottowi skończyły się prawnicze odzywki, opadając więc ciężko na fotel, uciekł się do odzywki z boiska:

- A pierdol się, Ted.

I rzucił słuchawkę z trzaskiem na widełki. Bobby podniósł się na sofie.

- O co chodzi?

Scott zdał sobie sprawę, że twarz ma mokrą od potu.

- Bank przysłał żądanie spłaty za samochody i dom.

- Jak mogą żądać jednorazowej spłaty hipoteki?

- To nie jest taka hipoteka, jak myślisz. Nie dostaje się trzydziestopięcioprocentowej pożyczki na hipotekę za dwa i osiem dziesiątych miliona, jak na dwa pokoje z kuchnią, Bobby. Dostałem żądanie zapłaty w ciągu trzydziestu dni.

- Jezu. Możesz zwrócić się do innego banku?

- Nie bardzo. Dostałem ten kredyt tylko dlatego, że Dan użył swoich wpływów u tego gnoja prezesa.

- Domyślam się, kto teraz użył swoich wpływów i przycisnął prezesa.

Scott pokiwał głową.

- Możesz to wszystko sprzedać.

- Rebecca tego nie przeżyje. Ten dom znaczy dla niej wszystko.

- Kurde, Scotty, dajesz do firmy trzy miliony w honorariach. Możesz coś wykombinować.

Scott nie miał siły mówić.

- Dibrell właśnie mnie wylał.

***

- Jeśli ty już nie jesteś prawnikiem Toma Dibrella, to kim ja jestem? - zapytała Rebecca.

Przez całą drogę do domu Scott przygotowywał się na tę chwilę, miał nadzieję, że przedstawienie na użytek żony wypadnie dobrze.

- Nie potrzebuję go.

- Nie, ale potrzebujesz trzech milionów honorarium. Słuchaj, Scott, większość żon prawników nie ma pojęcia, co ich mężowie robią w kancelariach. Ja mam. Bóg jeden wie, ile powiedziałeś mi na ten temat przez ostatnie jedenaście lat. Ja wiem, jak działają firmy prawnicze. Wiem też, że wspólnik, który stracił klienta za trzy miliony, długo nie będzie wspólnikiem. Co wtedy zrobimy, Scott? Jak utrzymamy dom?

Scott podszedł do okna w dużym pokoju. Nie mógłby znieść spojrzenia żony, mówiąc to, co miał powiedzieć.

- Cóż, to kolejny problem. Dom. Bank przysłał wezwanie. Muszę spłacić dwa miliony osiemset tysięcy w trzydzieści dni albo stracimy dom. Chyba że go wcześniej sprzedamy.

Odwrócił się i zobaczył, jak wszystkie kolory odpływają z twarzy żony i jak Rebeca chwieje się na nogach. Usiadła gwałtownie na łóżku i zaczęła wpatrywać się w ścianę przed sobą. Po chwili odezwała się, jakby do siebie:

- Bez domu nie zostanę przewodniczącą komitetu organizacyjnego Balu Baronów Bydła. - Zwróciła na Scotta oczy puste i bez wyrazu. - Jak ja się będę mogła ludziom na oczy pokazać?

Scott Fenney poczuł ukłucie w sercu, widząc głęboki zawód żony. Zawiódł ją, zdradził i oszukał. Obiecał jej życie w tym domu, w otoczeniu tych wszystkich przedmiotów, dobre samochody. Znów złamał obietnicę. Po raz pierwszy w życiu poczuł ból porażki. Poza bólem poczuł coś jeszcze - narastający w środku gniew, nie gniew prawnika, któremu klient nie zapłacił, nie gniew na stronniczego sędziego, ale taki, jaki kiedyś czuł na boisku. Pierwotną wściekłość znaną ludzkości od czasów Adama i Ewy, gniew, który przesłaniał

wszystko czerwoną mgłą, sprawiał, że w ciało wstępowała nadludzka siła; furię, dzięki której mógł powiedzieć rzeczy, jakie normalnie nie przeszłyby mu przez usta, i zrobić coś, czego zwykle nie robił. P0 wybuchu takiej wściekłości Scott był zazwyczaj usuwany z boiska za niesportowe zachowanie. Zatracenie tak wielkie, że było wiadomo: za chwilę jakiś skurwysyn dostanie to, czego się tak usilnie dopraszał.

Rozdział osiemnasty

Podczas czterech sezonów Grupy I-A, grając z takimi drużynami, jak Texas, Texas A&M, Nebraska i Oklahoma, których zawodnicy byli więksi od tych ze SMU mniej więcej o dwadzieścia kilogramów każdy, Scott Fenney, zawodnik numer 22, zbierał cięgi. Przy wadze dziewięćdziesięciu kilogramów był bardzo silny, szybki i twardy, ale kiedy studwudziestokilogramowy obrońca przycisnął go brutalnie do murawy, to bolało. Miał dwie operacje kolana, zwichnięty bark, pięć złamanych żeber, cztery złamane palce (jeden dwukrotnie), dwa razy złamany nos, wstrząs mózgu, rozliczne otarcia i siniaki oraz łącznie sto siedemnaście szwów. Nigdy jednak nie opuścił żadnego meczu.

Scott Fenney wstawał za każdym razem, kiedy go powalali. Kiedy zaś już stał, zawsze odpłacał im z nawiązką, zrywając się do biegu, wykopując daleko piłkę lub robiąc przyłożenie. Taka zemsta powodowała, że ból mijał.

Senator Mack McCall pokazał Scottowi prawdziwe znaczenie słowa „ból". Walnął go z taką siłą, jak nigdy żaden obrońca. Teraz nadszedł czas, żeby wyrównać rachunki.

Scott sprawdził godzinę i wstał. Spojrzał na wieczorne światła śródmieścia. Następnego dnia wieczorem Scott był jeszcze w biurze przed dziewiątą.

- Scott... Wiem, że to był mój pomysł, ale może nie jest on tak do końca najlepszy - powiedział Bobby z sofy.

- Idziesz czy nie? Bobby wstał.

- Jasne, idę. Oczywiście, że idę, chociaż czuję się, jakbym wchodził na pokład „Titanica".

***

Spojrzenie Macka McCalla powędrowało po nagim ciele Jean McCall i przypomniał sobie, kiedy pierwszy raz wylądowali w łóżku. Piętnaście lat temu. Nie minął jeszcze miesiąc od uzyskania przez nią dyplomu wydziału prawa, a już dołączyła do jego senackiej ekipy. Była młoda, smukła i seksowna, a ponadto nie była jego żoną. Jego żona nie była sexy, nawet kiedy była młoda i smukła. Akiedy miała już czterdzieści pięć lat (tyle samo, co on), senator

nie czuł się tak stary, jak ona wyglądała. Martha przypominała swoją matkę, która nie była kobietą szczególnie ponętną.

W wieku czterdziestu pięciu lat Mack McCall wciąż czuł się młody i jurny, dlatego potrzebował młodej, jurnej kobiety, takiej jak Jean. Kochali się prawie codziennie, gdziekolwiek, jakkolwiek - w łazience, na tylnym siedzeniu limuzyny, w szatni Senatu. Miała niesamowite ciało, przy którym czuł się, jakby znów miał dwadzieścia pięć lat i testosteron buzował mu w żyłach. Jej głód seksu potrafił na stałe przykuć do wózka inwalidzkiego mężczyznę mającego połowę jego lat.

Doskonale prezentowała się również przed kamerami - piękna, elokwentna, czarująca i inteligentna. Kiedy Mack zaczął marzyć o Białym Domu, musiał podjąć decyzję: czy jego pierwsza dama ma wyglądać jak babcia, czy jak modelka? Podjęcie decyzji zajęło mu mniej niż minutę. Rozwiódł się z Martha.

Wynajęła jednego takiego adwokata - bandziora - i zagroziła mu, że potwierdzi to, co sugerowały brukowce, że senator Mack McCall miał romans ze swoją pracownicą. Nie było to nic nowego na Capitol Hill, że członek Kongresu opuszcza żonę. Kiedy jednak taki senator startował z hasłami popierającymi konserwatywne wartości, rodzinę, a miał widoki na Biały Dom, wtedy sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Senator McCall potrafił oczywiście znaleźć odpowiednie wyjście z sytuacji, jeśli wymagały tego okoliczności. Za sto milionów dolarów zamknął usta pierwszej żonie, która wróciła do swojego domu w Teksasie.

Jean była warta każdego grosza, który go kosztowała.

Ale lata zrobiły swoje z senatorem McCallem. Miał teraz sześćdziesiątkę i już nie czuł się jak dwudziestopięciolatek. Nie czuł się też jak czterdziestopięciolatek, nawet nie na pięćdziesiąt pięć lat - nie był już młody i jurny, nie tryskał też testosteronem. Zrobił więc to, co zrobiłby każdy bogaty szanowany sześćdziesięciolatek mający żonę młodszą o dwadzieścia lat - poszedł do lekarza. Teraz co rano senator Mack McCall brał prysznic, golił się, wklepywał wodę po goleniu i przyklejał plaster z testosteronem, a co wieczór łykał viagrę: wszystko po to, żeby zaspokoić popęd seksualny i fantazje Jean.

Tego wieczoru rozciągnęła się nago na ich wspólnym łóżku. Jej ciało było wciąż niezwykle kształtne i ponętne. Czarne włosy wiły się wokół szyi i opadały na krągły biust. Płaski brzuch nie nosił śladów rozstępów po ciąży, smukłych nóg nie znaczyły żadne niepożądane ślady. Miała na nosie okulary w stylu Clarka Kenta* i pisała coś na laptopie. Telewizor był włączony, chociaż ściszono maksymalnie dźwięk. Nie miał zamiaru dać za wygraną dziś wieczór - przed chwilą wymienił plaster z testosteronem na nowy i wziął pastylkę viagry. Plaster sączył eliksir młodości do krwiobiegu, a niewielka niebieska pastylka

rozszerzała naczynia krwionośne - co również pod względem psychologicznym pomogło mu uzyskać imponującą erekcję. Czując się dumny jak paw, młody i w pełni sił (chociaż dzięki wsparciu farmakologicznemu), Mack podszedł do Jean i stał przy łóżku, aż podniosła wzrok znad laptopa. Uniosła brwi i uśmiechnęła się.

- Nie będziemy więc oglądać dzisiaj wieczornych wiadomości?

Mack nie mógł wiedzieć, że jednocześnie pomyślała: „Albo przynajmniej pierwszych pięciu minut wiadomości". Zdjęła okulary, odłożyła laptop na nocny stolik, ułożyła się wygodnie na łóżku i rozłożyła nogi. Gra wstępna w wykonaniu Macka McCalla zawsze poległa na sprawdzeniu stanu pompy olejowej, wdrapał się więc na Jean i wszedł w nią bez zbędnych zabiegów. Poczuła się doskonale, uniosła nogi i objęła go nimi w pasie, wbiła paznokcie w jego pośladki, przydusiła go obfitym biustem, a on poruszał się w przód i w tył, w przód i w tył regularnym rytmem pompy na platformie, zastanawiając się, jakie mogą dziś być ceny baryłki, kiedy nagle...

- Mack! Mack, przestań!

Jean sięgnęła po okulary i pilota. Założyła je lewą ręką, a prawą wycelowała pilotem w telewizor. Mack wyszedł z niej, dysząc ciężko.

- Co jest?

Jean wskazała na ekran.

- Patrz!

Mack obrócił się w kierunku telewizora i zobaczył twarz swojego zmarłego syna.

- *Dzisiaj z budynku sądu federalnego w centrum Dallas przeprowadzimy na żywo wywiad na wyłączność z Shawandą Jones, kobietą oskarżoną o zamordowanie Clarka McCalla, syna senatora Macka McCalla, głównego kandydata do fotela prezydenckiego w Białym Domu*.

Na ekranie Mack zobaczył czarną twarz Shawandy Jones, prostytutki, narkomanki i morderczyni. Obok niej siedział A. Scott Fenney.

- Niezły przystojniak z niego - powiedziała Jean, co wzbudziło wściekły gniew Macka.

***

Z telewizora dobiegał głos spikera:

- *Wraz z panią Jones przed kamerami jest też jej wyznaczony przez sąd adwokat, pan Scott Fenney. Panie Fenney, wszystkie stacje telewizyjne w kraju starały się uzyskać pozwolenie na przeprowadzenie wywiadu z pana klientką od dnia, kiedy została aresztowana. Dlaczego właśnie dzisiaj?*

- Ponieważ otrzymaliśmy pewne informacje, jakie powinny być przekazane opinii publicznej. A także dlatego, że senator McCall podjął działania, które można traktować jako próbę utrudnienia pracy wymiarowi sprawiedliwości.

- To poważne oskarżenie, panie Fenney. Ale na początek wróćmy do krytycznej sobotniej nocy, piątego czerwca. Co się wtedy wydarzyło?

Ciśnienie Macka McCalla rosło z każdą sekundą, kiedy ta czarna ździra przedstawiała swoją wersję wydarzeń: Clark bierze ją z ulicy, oferuje tysiąc dolarów za całą noc, zabiera ją do rezydencji McCallów w Highland Park, uprawia z nią seks, a potem bije ją i wyzywa od czarnuchów. Ona z nim walczy, kopie go w krocze i wybiega, zabierając pieniądze, które jej obiecał, i kluczyki do samochodu. Widzi Clarka po raz ostatni żywego. Clark zwija się z bólu na podłodze i klnie. Narzędzie zbrodni należy do niej, ale nie przystawiła mu tego pistoletu do głowy i nie pociągnęła za spust, strzelając mu prosto w mózg. Kiedy w końcu przestaje mówić, w programie pojawiają się reklamy.

Podczas przerwy reklamowej McCall miota się po pokoju jak lew w klatce - nagi i wściekły. Kiedy zaś McCall jest wściekły, kogoś na pewno spotka coś złego. I tym kimś z pewnością będzie A. Scott Fenney. Pozostaje jeszcze otwarta kwestia, w jaki sposób McCall tym razem go skrzywdzi. Właśnie miał podjąć decyzję, kiedy program powrócił na antenę i dziennikarz zwrócił się teraz do Fenneya.

- Panie Fenney, pana klientka utrzymuje, że Clark McCall był rasistą i brutalnym gwałcicielem. On nie może się jednak bronić. Jak zamierza pan przekonać ławę przysięgłych, by uwierzyła w słowa narkomanki i prostytutki?

- Nie była to pierwsza kobieta pobita i zgwałcona przez Clarka McCalla.

Cała złość, jaką odczuwał Mack McCall podczas sześćdziesięciu lat swojego życia, była niczym w porównaniu z tym, co targało nim teraz. Gniew, jaki czuł w stosunku do politycznych oponentów, konkurentów w biznesie, swojej byłej żony - to wszystko pestka. Za wszelką cenę musiał zabić tego Scotta Fenneya!

- Clark McCall pobił i zgwałcił jeszcze jedną kobietę rok temu. Złożyła doniesienie o przestępstwie, ale wycofała je pod presją oraz za pięćset tysięcy dolarów, które senator McCall dał jej, żeby zamknąć jej usta. Zgodziła się zeznawać w procesie Shawandy Jones.

- Żeby potwierdzić, że Clark McCall był gwałcicielem?

- Tak. Były jeszcze inne kobiety. Sześć kobiet, które również zostały pobite i zgwałcone przez Clarka McCalla. Proszę je, żeby się zgłosiły i złożyły zeznania, by niewinna ofiara Clarka McCalla nie została skazana na śmierć za przestępstwo, którego nie popełniła.

Podczas kolejnej przerwy na reklamy Mack wskazał palcem na laptop Jean i zapytał, czy ma w nim numer do Dana Forda. Miała.

Kiedy skończyły się przerwy na reklamy, dziennikarz zapytał:

- Teraz, panie Fenney, wróćmy do pana oskarżenia o to, że senator McCall utrudnia pracę wymiarowi sprawiedliwości.

Fenney powiedział:

- Z oczywistych względów proces osoby oskarżonej o zabicie Clarka McCalla będzie bardzo głośnym wydarzeniem medialnym. Sąd federalny nie wierzył, że obrońca z urzędu może zapewnie obronę Shawandy Jones na odpowiednim poziomie, biorąc pod uwagę te okoliczności. Dlatego sędzia wyznaczył mnie do reprezentowania Shawandy Jones.

- To musiał być dla pana szok.

- Oczywiście, na początku tak. Jestem wspólnikiem w dużej firmie prawniczej z Dallas i mam mnóstwo pracy jako obrońca dobrze płacących klientów, ale zawsze wierzyłem, że palestra ma obowiązek reprezentowania ludzi, których nie stać na dobrego adwokata. Kiedy więc zadzwonił do mnie sędzia, od razu przyjąłem to zobowiązanie.

- Jak to jednak mówią, żaden dobry uczynek nie pozostanie bez kary.

- Przekonałem się o tym aż nadto dobrze. Spodziewałem się niekorzystnych publikacji w prasie i może jakichś uwag od klientów, którym nie podobało się to, co robiłem, ale nie spodziewałem się, że senator McCall będzie starał się mnie zniszczyć.

- Co takiego zrobił senator McCall?

- Najpierw zadzwonił do mojego starszego wspólnika i przez niego chciał na mnie wymusić zatajenie podczas procesu kryminalnej przeszłości Clarka McCalla. Powiedział, że nie chce, żeby obrzucano błotem jego zmarłego syna. Clark McCall przecież całe życie taplał się w błocie.

- Odmówił pan ukrycia dowodów?

- Oczywiście. Byłoby to nieetyczne postępowanie prawne i niesprawiedliwe wobec Shawandy Jones. Ma prawo do obrony najwyższej jakości i dokładnie to dostanie.

- Co senator zrobił dalej?

- Sprawił, że zastępca prokuratora okręgowego w Dallas zaproponował układ: przyznanie się mojej klientki do winy i dwadzieścia lat w więzieniu w zamian za zatajenie przeszłości Clarka McCalla. Oczywiście odrzuciłem tę propozycję. Moja klientka jest niewinna.

- Co wtedy się stało?

- Agenci Służb Imigracji i Naturalizacji weszli rano do mojego domu i aresztowali gosposię narodowości meksykańskiej. Consuela, tak Ma na imię, była z nami od trzech lat. Była członkiem rodziny.

Łzy pojawiły się w oczach Fenneya.

- Nie miała zielonej karty?

- Nie.

- Pracowała więc w Ameryce nielegalnie?

- Tak.

- Wiedział pan o tym?

- Proszę posłuchać, możemy przez cały dzień roztrząsać zawiłości prawa emigracyjnego, ale tutaj chodzi o to, że senator McCall, wykorzystując władzę polityczną, którą ma w Waszyngtonie, sprawił, że aresztowano moją gosposię w Dallas.

- Żeby wywrzeć na pana nacisk?

- Tak.

- Udało mu się?

- Nie. Nigdy nie poddaję się naciskom, żeby działać na niekorzyść swojego klienta. Senator McCall tylko skrzywdził biedną Meksykankę.

- Niezbyt to rozsądny ruch, biorąc pod uwagę dużą liczbę latynoskich wyborców w Ameryce. Co było dalej?

- Senator McCall sprawił, że zostałem wyrzucony z mojego klubu, z siłowni i Country Clubu.

Dziennikarz zrobił zaskoczoną minę.

- Człowiek, który chce być przyszłym prezydentem, może zniżyć się do takich chwytów?

- Tak, zniżył się.

- Czy to wszystko?

- O nie. Niestety, to nie wszystko. Ponieważ wciąż odmawiałem spełnienia jego żądań, senator McCall wykorzystał swoje wpływy i spowodował, że bank wystawił wezwanie do natychmiastowej spłaty mojego domu i samochodów. Teraz mam dziesięciodniowe wezwanie do zapłaty za samochody i trzydziesto dniowe wezwanie za dom albo stracę wszystko.

- Mój Boże, chyba pan nie mówi poważnie!

- Obawiam się, że niestety tak.

- Aż się boję zapytać, czy wydarzyło się coś jeszcze?

- Tak. Ponieważ wszystkie te działania nie odniosły skutku, McCall, powołując się na przysługę wyświadczoną przed laty, skłonił mojego klienta, Toma Dibrella, dewelopera nieruchomości zDallas, by...

- Jakiego rodzaju była to przysługa?

- Cóż, Tom powiedział mi, że dziesięć, jedenaście lat temu McCall zagroził właścicielom hipoteki budynku Dibrella w centrum, że zawetuje uchwalenie pewnej ustawy, która była im na rękę, jeśli zajmą nieruchomość. Dodał też, że McCall wykorzystując swoje wpływy, załatwił Tomowi kilka kontraktów na budowę budynków federalnych.

- Teraz zaś poprosił pana Dibrella o drobną przysługę?

- Tak.

- Na czym miała polegać ta przysługa?

- Miał mnie zwolnić z funkcji swojego prawnika.

- I zrobił to?

- Tak, zrobił.

- W jaki sposób dotknęło to pana?

- Tom Dibrell był moim największym klientem. Płacił mojej firmie trzy miliony dolarów honorariów rocznie.

- To mnóstwo pieniędzy. Teraz więc, kiedy pan Dibrell pana zwolnił, pana kariera zawodowa może bardzo ucierpieć.

- Tak. To prawda. Stanąłem jednak dziś przed kamerami, żeby powiedzieć senatorowi McCallowi na ogólnokrajowej antenie, że mimo jego starań, by mnie zniszczyć, będę bronił pani Jones najlepiej, jak potrafię. Dowody na rasizm i dowody związane z gwałtami popełnionymi przez jego syna ujrzą światło dzienne podczas procesu. Shawanda Jones będzie miała najlepszą obronę. Dopilnuję tego.

Telefon zadzwonił w chwili, kiedy na ekranie znów pojawiły się reklamy.

Mack podniósł słuchawkę. Z Dallas dzwonił Delroy.

- Ogląda pan to? - zapytał.

- Tak.

- Wciąż pan chce go tylko wziąć w karby?

- Teraz chcę, żeby go zabolało. Ujawnij informację o jeg0 żonie i tym golfiście.

- Dobra, ale możemy go mocniej zranić... I dalej go trzymać w ryzach.

- Masz na myśli...

Mack postanowił nie kończyć w obecności Jean, ale Delroy wiedział, o co chodzi.

- Tak, właśnie to. Udało się z tym meksykańskim księciem prochów, na pewno uda się i z cholernym prawniczyną.

- Nie wiem, Delroy, takie coś...

Mack odwrócił się do ekranu. Dziennikarz mówił teraz wprost do kamery:

- *Jaki człowiek może starać się zniszczyć prawnika za sumienne wykonywanie zawodu? Za obronę Murzynki oskarżonej o zamordowanie białego mężczyzny? Najwyraźniej właśnie takim człowiekiem jest senator McCall.*

Ciśnienie znów podskoczyło Maćkowi i ponownie poczuł ukłucie złości.

- Zrób to - powiedział do słuchawki.

Niemal zobaczył, jak Delroy drapieżnie szczerzy kły, po czym odłożył słuchawkę.

W telewizorze dziennikarz zwrócił się do Fenneya:

- *Panie Fenney, dziękuję za dzisiejszą rozmowę, podczas której naród amerykański mógł się przekonać, jakim człowiekiem naprawdę jest senator McCall, zanim postanowi, czy wybierze go na kolejnego prezydenta. Jest pan dzielnym człowiekiem. Ale senator McCall jest potężny i bogaty. Nie boi się pan, że znów dobierze się panu do skóry?*

Fenney odparł:

- *McCall nie może mnie już bardziej skrzywdzić.*

Mack McCall podszedł do szarki i wyjął rewolwer Smith & Wesson 357 magnum, który trzymał na półce, wycelował w postać w telewizorze i nacisnął spust.

- Pewnie, że mogę.

Po wyjściu z budynku federalnego Scott jechał swoim ferrari przez ciemne i opuszczone centrum. Panowała tu upiorna cisza. Przypomniał mu się jego ostatni sezon, kiedy po finałowym meczu wyszedł z wnętrza stadionu na ciemną i pustą murawę, stanął na linii osiemdziesięciu metrów i rozejrzał się wokół z przeświadczeniem, że to koniec.

Kiedy wszedł do domu, zastał żonę w kuchni, gdzie gapiła się w ekran telewizora. Przedstawiano ostatnie wiadomości i spiker mówił:

- *Sondaże wyborcze od razu zareagowały na wywiad z Shawandą Jones, pozycja senatora McCalla zaczęła spadać na łeb, na szyję. Liczba głosów zmniejszyła się z kilkunastu do kilku procent, do poziomu pozostałych kandydatów, z pierwszego miejsca na ostatnie, być może na stałe grzebiąc jego ambicje związane z zasiadaniem w Białym Domu.*

Scott powiedział:

- Pokazałem temu skurwysynowi.

Rebecca odwróciła się od ekranu. Na jej twarzy widniała skrajna rozpacz.

- Właśnie sprzedałeś nasze życie za życie tej kurwy.

Rozdział dziewiętnasty

Następnego dnia rano Scott Fenney czuł się tak, jakby wczoraj przebiegł sto siedemdziesiąt sześć metrów w meczu z Teksasem. Mniej go bolało, bo przeciwnik cierpiał bardziej. Oczywiście stracił swojego bogatego klienta, całą gotówkę, członkostwo w klubach oraz meksykańską gosposię, a wkrótce pozbędzie się ferrari i posiadłości. Ale Mack McCall stracił Biały Dom. Scott Fenney pokonał teksaskiego zbira jego własną bronią.

„Gdzie masz ten kastet, McCall? Podoba ci się taka ostra gra, ty wredny sukinsynie?".

Kiedy więc Scott Fenney wjechał swoim ferrari na podziemny parking w Dibrell Tower nieco po dziewiątej, uśmiechał się. Dlaczego nie? Wciąż był wspólnikiem firmy Ford Stevens, najbardziej dochodowej kancelarii adwokackiej w Dallas. Wciąż zarabiał siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie (chociaż będzie musiał zdobyć nowych klientów, żeby zastąpić honoraria wpłacane przez Toma Dibrella). Wciąż był legendą futbolu, której widok wywoływał ciepły uśmiech u każdego absolwenta Southern Methodist University, wciąż działał jego znany powszechne czar i mógł błysnąć tym uśmiechem gwiazdy filmowej.

Scott Fenney wciąż był zwycięzcą.

Wsunął kartę otwierającą bramę do otworu i czekał, aż brama się uniesie. Czekał. Ponownie włożył kartę i czekał. Wciąż nic. Nacisnął guzik, który przywoływał Osvaldo z budki w środku. Kiedy Osvaldo wyłonił się i go zobaczył, Scott przywołał go gestem ręki. Osvaldo wyszedł z budki i podszedł do niego. Scott wyciągnął w jego kierunku kartę.

- Ta karta chyba się rozmagnetyzowała - powiedział. - Podnieś bramę.

Osvaldo cofnął się o krok i powiedział:

- Nie ma karty.

- Nie, mam kartę, ale nie działa. Otwórz bramę. Osvaldo kręcił głową.

- Nie ma bramy.

- Otwieraj tę cholerną bramę! Osvaldo uniósł dłonie do góry.

- Nie ma karty. Nie ma bramy.

- Jezus Maria!

Scott wycofał samochód i zaparkował ferrari na ulicy, wcisnął kilka dwudziestopięciocentówek do parkomatu, wkurzony jak diabli, aż przypomniał sobie, że ferrari będzie należało do niego jeszcze tylko przez dziewięć dni. Pierdolić to! Jak ktoś zarysuje samochód za dwieście tysięcy dolarów, to będzie strata banku. Kiedy wchodził do Dibrell Tower dwie przecznice dalej, pogwizdywał sobie.

***

Rebecca Fenney płakała. Wciąż leżała w łóżku, ukrywając się przed Highland Park. Postawiła swoją urodę na Scotta Fenneya i przegrała zakład. Dom. Samochód. Pozycję. Życie. Wszystko, co zdołała uzyskać przez jedenaście lat, zniknie jak sen złoty. W dodatku nie przepadnie za sprawą dwudziestodwuletniej blondyny z dużymi cyckami i jędrnym tyłkiem - dziewczyny znad basenu - tylko przez narkomankę, kurwę i... Rebecca nigdy tak nie mówiła, ponieważ nawet w Highland Park to słow0 słyszało się jedynie za grubymi ścianami klubu, ale teraz je wypowiedziała: czarnuchę.

Jej mąż poświęcił jej życie za życie czarnuchy.

Już. Powiedziała to. Przynajmniej pomyślała. Tak jak wszyscy myślą w Highland Park - ta dzielnica jest tak niewielka, tak odseparowana od reszty, że nic nie umyka uwadze jej mieszkańców. Teraz nic nie umknie uwadze całej Ameryki, ponieważ jej mąż wystąpił w ogólnokrajowej telewizji, na miłość boską! Dzisiaj na lunchu jej (byłe) koleżanki z towarzystwa będą zamawiać sałatkę karaibską, zupę z tortillą, wodę mineralną, a na deser... panią Fenney. To ona będzie dzisiaj podana jako skandaliczny suflet!

Och, jakże one będą plotkować! A jak się będą śmiać!

Dla dziewczyn z klubu nie na nic smakowitszego, w co można by zatopić ostre kły, niż soczysty skandal: lesbijski romans, porządna dama z Highland Park znokautowana przez czarnego sportowca z Southern Methodist University, spartaczona operacja plastyczna, picie, narkotyki, choroby weneryczne w ogólniaku, defraudacja popełniona przez jednego z potomków starej rodziny z Highland Park, demokrata w Highland Park, czyjaś porażka. Skaczą wokół tych tematów jak pies czekający na ochłapy z pańskiego stołu.

Rebecca Fenney tyle razy plotkowała na temat skandali, w które były zamieszane inne kobiety. Teraz każdy w Highland Park będzie plotkował na jej temat - w Village, w klubie, w siłowni, we wszystkich restauracjach i w każdej przebieralni w mieście. Wszyscy będą plotkować i śmiać się - jej kosztem.

„Jak ja będę mogła się gdziekolwiek pokazać?".

Wpełzła pod koc, kiedy zadzwonił telefon.

***

Boo cicho otworzyła drzwi do sypialni rodziców i wetknęła głowę do środka. Zobaczyła mamę siedzącą na skraju łóżka i usłyszała, jak rozmawia przez telefon. Jej głos brzmiał dziwnie.

- Co...? Śpię z Treyem? Gdzie to słyszałaś? Wszyscy o tym mówią? Wszyscy wiedzą...? O Boże!

Odłożyła słuchawkę i ukryła twarz w dłoniach.

- Mamo?

- O Boże.

- Mamo?

- O Boże. - W końcu spojrzała na Boo.

Jej matka wyglądała jak przerażony mały kociak.

- Co jest, Boo?

- Coś ci się stało?

- Stało się.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie. Czego chcesz?

- Mogę pojechać z Pajamae do Village? Będziemy bardzo uważały przy przechodzeniu przez ulicę.

Matka machnęła ręką.

- Dobrze, rób, co chcesz.

- To fajnie. Na razie.

Boo zaczynała zamykać drzwi, kiedy jej matka powiedziała:

- Poczekaj, Boo. Chodź tutaj. Muszę z tobą pomówić.

***

Kiedy Scott tylko wszedł do holu Dibrell Tower, przestał gwizdać. W jego stronę ruszył biegiem tłum kamerzystów i dziennikarzy, którzy przekrzykiwali się pytaniami.

- Panie Fenney, jak nazywała się ta kobieta zgwałcona przez Clarka?

- Jak nazywały się te pozostałe?

- Zniszczył pan senatora McCalla, jest pan zadowolony?

- Czy sądzi pan, że senator McCall zostanie postawiony w stan oskarżenia?

- Co z Tomem Dibrellem, czy jemu przedstawią zarzuty? Scott zmrużył oczy w ostrym świetle kamer, uchylił się i zakosami ruszył w stronę wind. Robiąc jednak uniki i klucząc jak na boisku, nie byłby w stanie dotrzeć do windy przed południem. Była ich tu cała masa. Już miał się wycofać, kiedy przed nim wyrosło dwóch mężczyzn w granatowych mundurach. Dwaj czarni mężczyźni, ochrona z Dibrell Tower, osłaniali teraz Scotta Fenneya. Dziennikarze mieli do wyboru - albo ustąpią z drogi, albo zostaną stratowani. Zeszli z drogi.

Dwaj strażnicy parli do przodu, aż dotarli do wind, gdzie stał trzeci z nich, blokując drzwi windy. Dołączyło do niego dwóch mężczyzn w mundurach, osłaniając Scotta Fenneya przed dziennikarzami i kamerzystami - czarni strażnicy, których Scott nie widział wcześniej,

bo stanowili stały element wyposażenia holu jak wielka brązowa rzeźba Remingtona. Scott sięgnął za jednego z nich, nacisnął guzik z numerem 62 i cofnął się na tył kabiny. Kiedy tylko drzwi się zamknęły, środkowy strażnik powiedział:

- Dziękuję, panie Fenney.

- Za co?

- Za to, że broni pan tej dziewczyny.

***

Pajamae wyszła za Boo przez drzwi i ścieżką na chodnik. Boo powiedziała:

- Jej, moja mama zachowuje się dziś rano bardzo podejrzanie. I gada od rzeczy.

- Chora jest?

- Chyba nie. Czemu pytasz?

- Bo moja mama gada od rzeczy, jak jest chora i bierze lekarstwo.

Skręciły w lewo i poszły przed siebie. Boo cały czas mówiła, ale Pajamae tylko obserwowała. Mama nauczyła ją, że jak się idzie gdzieś dalej, to trzeba mieć oczy z tyłu głowy i trzeba wypatrywać dziwnych ludzi. Oczywiście na jej osiedlu dorośli mężczyźni kręcili się koło sklepów monopolowych na każdym rogu, pili podejrzane płyny z butelek zawiniętych w papierowe torby i sikali wprost na ulicy, kiedy natura dała znać o sobie, Mo więc bardzo dziwne, że w dzielnicy Boo nie było ich nigdzie widać. Ale Pajamae i tak zauważyła coś dziwnego.

Faceta w samochodzie.

Siedział w wozie po drugiej stronie ulicy jeden dom wcześniej. Kiedy wyszły na chodnik, zaczął się im przypatrywać. To był wielki, łysy facet w czarnym samochodzie. Gdyby kiedyś wyszły z mamą na zewnątrz i zobaczyły takiego białego faceta na osiedlu, to wszyscy by wokół stawali i krzyczeli: „Policja!”.

Mężczyzna w samochodzie wyglądał jak policjant.

Pajamae zauważyła, że drzwi od samochodu lekko się otwierają i wysuwa się zza nich czarny but łysego. Miała już złapać Boo za rękę i zaciągnąć ją do domu, kiedy jakiś starszy pan wyszedł z domu, koło którego przechodziły. Poszedł ścieżką w ich kierunku i podniósł gazetę z trawnika.

Boo powiedziała:

- Dzień dobry, panie Bailey. Staruszek uśmiechnął się i odpowiedział.

- Pani również dzień dobry, panno Boo Fenney. Pajamae spojrzała w kierunku czarnego samochodu. Stopa łysego wróciła do środka, a drzwi były zamknięte, ale wciąż się gapił. Poszył dalej i po chwili dotarły do drogi pełnej samochodów i ludzi o nazwie Preston i

skręciły w prawo. Pajamae odwróciła się i zauważyła, że czarny samochód zniknął. Potrząsnęła główką nad własną głupotą „To nie twoje osiedle, mała!".

Poszły dalej i Pajamae zaczęła się cieszyć przechadzką po dzielnicy, którą Boo nazywała Bańką. Zawsze była nerwowa i niespokojna, kiedy nie było w pobliżu Louisa, a ona wraz z mamą chodziły po swoim osiedlu do najbliższego sklepu monopolowego, gdzie można było też kupić jajka i chleb, nawet w środku dnia. Mama zawsze jej powtarzała: „Jak powiem: «biegiem», to biegnij, dziewczyno". Ale w tej dzielnicy wcale nie była wystraszona czy nerwowa. Chodniki były tu czyste, nie leżały na nich puszki po piwie, butelki i strzykawki, ani te dziwne baloniki, których mama zakazała jej dotykać. I nie było tu żadnych facetów wałęsających się koło monopolowego - bo tutaj w ogóle nie było sklepów monopolowych. Żadnych alfonsów ani dilerów starających się zagadać czy coś sprzedać, nie było starszych chłopców pędzących w samochodach i wykrzykujących brzydkie słowa, nie było słychać głośnej muzyki rap z przenośnych wież i nikt nie klął na siebie, bo został eksmitowany. Było tu tak cicho! Bańka Boo była ładna.

Zatrzymały się na skrzyżowaniu i czekały, aż zaświeci się zielone. Kiedy się zapaliło, rozejrzały się ostrożnie w prawo i w lewo, po czym ruszyły pędem przez cztery pasy, przebiegły przez niewielki parking i stanęły na chodniku przy...

- Highland Park Village - powiedziała Boo.

Stały przed sklepem, który nazywał się Polo/Ralph Lauren, w bajkowym świecie, który jak sądziła Pajamae, nie istniał naprawdę. Fajne samochody stały wzdłuż chodników w cieniu niewielkich drzew i eleganckie białe panie wychodziły z tych samochodów, a za nimi śliczne białe dziewczynki wyglądające jak księżniczki, które patrzyły na nią raz i drugi, jakby w życiu nie widziały czarnej dziewczynki, i zostawiały za sobą tak słodki zapach, że Pajamae wdychała go raz za razem. Przypominał jej zapach starych, grubych pań w kościele w niedzielę - tylko że te panie nie były grube i nie pochylały się nad nią i nie szczypały za policzki. Białe panie i białe dziewczynki po prostu przechodziły i znikały w sklepie, z którego wywiewało chłodne powietrze i Pajamae czuła taki chłód na twarzy, jakby wsadziła głowę do lodówki, żeby się ochłodzić, co często robiła w domu na osiedlu.

Boo zapytała:

- Czy macie takie sklepy, jak te tutaj?

- Nie mamy niczego takiego.

Kiedy robiły zakupy z mamą, to albo na wyprzedażach w podwórzu, albo w sklepie Goodwill, a nie w miejscach, których nazw nawet nie potrafiła wymówić, czasami zaś jakiś sąsiad dostał gdzieś tanio buty, wieże albo telewizory i sprzedawał je wprost z ciężarówki po

naprawdę dobrych cenach, ponieważ, jak t0 mama mówiła, towar był lekko ciepły, chociaż Pajamae nie wiedziała dokładnie, co to znaczy. A co roku, zanim rozpoczęła się szkoła, mama pracowała na nadgodziny i Louis zabierał je, żeby kupić ubrania do szkoły u Pana Grosika, ale nie zawsze.

- Zważywszy - rzekła Pajamae.

Szły dalej chodnikiem w cieniu markiz i Pajamae czuła się, jakby było Boże Narodzenie, biegając od jednej wystawy do drugiej, podziwiając strojne ciuchy na chudych manekinach z makijażem i mijając sklep dla dzieci.

- To Jacadi Paris - wyjaśniła Boo. - Mam pełną szafę ich ciuchów.

- Czy to dużo kosztuje?

- Mama je kupuje, więc na pewno tak.

Kiedy stanęły przed sklepem o nazwie Calvin Klein, Boo powiedziała:

- Britney była tu kilka miesięcy temu.

- Jaka Britney?

- Britney Spears, ta wokalistka. Wszyscy szaleli.

- Biała dziewczyna? - Tak.

- Och, my nie słuchamy białych dziewczyn na osiedlu. Boo wzruszyła ramionami.

- Ja mieszkam tutaj i też jej nie słucham.

I poszły dalej, mijając sklepy o nazwach Luca Luca, Escada, Lilly Dodson.

- Pani Bush kupiła tu sobie czerwoną suknię, kiedy George W. został wybrany po raz pierwszy - powiedziała Boo.

Przeszły obok Banana Republic, chociaż sprzedawali tu ubrania, a nie banany. Dziewczynki minęły następnie parking i kupiły sobie lody w wafelkach w Who's Who Burgers.

Wyszły przed sklep i Pajamae stanęła w miejscu jak wryta. Złe przeczucia ogarnęły jej wątłe ciało: łysy w czarnym samochodzie jechał wolno i gapił się tak, że ciarki chodziły po plecach. Naprawdę się wystraszyła, a bardzo trudno było wystraszyć Pajamae Jones.

- Boo, ten facet nas śledzi.

- Jaki facet?

- Ten, który właśnie przejechał w czarnym samochodzie."Widzisz go? Tego łysego, widzisz?

Boo się zaśmiała.

- To Highland Park. Bardzo spokojna okolica.

Boo pociągnęła ją za rękę i Pajamae poszła z oporami. Mijały kolejne sklepy i do jednego weszły. Nazywał się tak, jak jeden taki bezzębny pijak, który mieszkał trzy domy dalej. Harold.

- To ulubiony sklep mojej mamy - wyjaśniła Boo. Sprzedawczyni była przy nich, zanim zdołały dobrze wejść do środka, i Pajamae najpierw pomyślała, że chce je wyrzucić. Ale pani uśmiechnęła się i przywitała z nimi, jakby naprawdę ucieszyła się na ich widok. Była bardzo piękna, jak na białą, z opadającymi gęstymi włosami, gładką skórą i czerwonymi ustami. Spojrzała na Pajamae, przykucnęła przy niej, łącząc nogi i kładąc dłonie na kolanach, i powiedziała.

- Proszę, jakaś ty słodziutka, maleńka!

Pajamae miała na sobie ogrodniczki Boo, biały podkoszulek, białe skarpety i białe buty, włosy uczesane w warkoczyki i jadła loda z wafelka.

- Dziękuję pani.

- I jak ci się podoba mieszkanie w Highland Park? Pajamae spojrzała na Boo, która tylko wzruszyła ramionami. Skąd ta kobieta wie, że mieszka z panem Fenneyem?

- Bardzo mi się podoba, dziękuję.

- Powiedz swojej mamie, żeby do mnie przyszła, na imię mam Sissy. Już ja dopilnuję, żeby mama ubrała się jak wszystkie damy z Highland Park.

- Mama jest w więzieniu.

Kobieta podniosła się momentalnie ze zdziwieniem na twarzy.

- W więzieniu? Czy ty jesteś tą dziewczynką z tej nowej mdziny, która się tu wprowadziła?

- Ja nie mam rodziny. Mam tylko mamę. I Louisa, on jest dla mnie jak wujek, tylko że nie jest prawdziwym wujkiem. Boo zapytała.

- Co to za nowa rodzina?

- Czarna rodzina, która się tutaj właśnie wprowadziła. Pierwsi czarni właściciele posiadłości w historii Highland Park.

- Sprzedawczyni patrzyła teraz na Boo i na jej wymalowanej twarzy pojawił się błysk zrozumienia. - Ty jesteś córką Fenneyów, prawda?

- Tak, proszę pani.

- Nie poznałam cię w tej nowej fryzurze. Co tam u twojej mamy? - Uniosła odrobinę brwi. - I twojego przystojnego tatusia?

- Moja mama świruje, a A. Scott jest bardzo zajęty.

- Pomaga mojej mamie - dodała Pajamae i głowa sprzedawczyni gwałtownie obróciła się w jej stronę. - Mówią, że zabiła tego chłopaka od McCallów, ale tego nie zrobiła.

Sprzedawczyni przytknęła dłoń do ust.

- To twoja matka?

Pajamae polizała loda i przytaknęła.

- Uhm. Pan Fenney jest jej prawnikiem i wszyscy są na niego wściekli.

Twarz sprzedawczyni zmieniła się tak, jak temu chłopakowi na osiedlu, kiedy chciał dostać od mamy za darmo, a jak nie chciała mu dać, to nazwał ją „kurwą białasów". Kiedy się odwrócił i chciał uciec, nadział się na Louisa - i twarz mu zbielała. Tylko że twarz tej pani była dwa razy bielsza. Pewnie nie wiedziała, co powiedzieć, zaproponowała więc tylko:

- Może, dziewczynki, powinnyście już iść.

***

- Pan Ford chce się z panem widzieć - powiedziała Sue.

Scott porwał kartkę z wiadomością i poszedł na górę schodami. Po drodze witał się z kolegami wspólnikami, ale ci tylko dziwnie patrzyli, odwracali wzrok i potrząsali głowami. Bez wątpienia widzieli jego występ w telewizji i nie podobał im się. „A, pierdolcie s}ę!". Zastał Dana stojącego przy oknie w swoim gabinecie.

- Dan, o co chodzi?

Dan się odwrócił. Wyglądał, jakby nie spał całą noc.

- Wejdź, Scotty. Zamknij drzwi. Scott wykonał plecenie.

- Dan, możesz pogadać z Tedem z banku? To kawał gnoja. Wystawił wezwanie do zapłaty za ferrari i dom.

- Obawiam się, że nie mogę.

- Czemu nie?

- Ponieważ, Scotty, od teraz nie jesteś już wspólnikiem w naszej firmie.

- Degradujesz mnie?

- Zwalniam cię.

Słowa Dana uderzyły Scotta z taką siłą, jak kask obrońcy walnął w splot słoneczny. Scott zachwiał się i opadł na sofę. Dan odwrócił się do okna i patrzył w dal, z dłońmi założonymi z tyłu. Scott starał się dobrać odpowiednie słowa.

- Mówiłeś, że jestem dla ciebie jak syn. Nie odwracając się od okna, Dan stwierdził:

- Byłeś. Ale kiedy mój syn zawstydził mnie tymi homoseksualnymi bzdurami, wydziedziczyłem go. Tak samo teraz ciebie wydziedziczam.

- Ale dlaczego?

Dan zwrócił ku niemu twarz - miał teraz minę złego ojca.

- Przez ten twój popis z wczoraj! Na miły Bóg, Scott, co ty sobie do cholery wyobrażasz?

- McCall stara się mnie zniszczyć, to sobie wyobrażam!

- Idziesz więc do ogólnokrajowej telewizji i oskarżasz senatora z Teksasu o utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości? Wymuszenie? Przekupstwo?

- Starałem się tylko zrobić to, co było trzeba!

- Gówno prawda! Za dobrze cię znam. Po prostu chciałeś pokazać McCallowi, na czym polega słynny odwet Scotta Fenneya. Nie zrobiłeś tego dla tej dziwki, zrobiłeś to dla siebie. A nawet jeśli wydawało ci się, że robisz to, co trzeba, to i tak nie ma to znaczenia. Mówiłem ci, Scotty, firma nie istnieje, żeby robić to, co trzeba, żadna firma prawnicza. My nie robimy tego, co trzeba, my robimy, co trzeba dla naszych klientów. A zniszczenie prezydenckich szans Macka McCalla nie leży w interesie naszych klientów. Ale zająłeś się tym, prawda?

- A co miałem zrobić, pozwolić mu, żeby zabrał mi wszystko, co mam? Moje członkostwo w klubach, mój samochód, mój dom, najlepszego klienta? To wszystko sprawka McCalla.

Dan patrzył teraz na niego z miną, którą widział tylko raz w życiu, pięć lat temu. Scott stał obok Dana w sądzie okręgowym, a sędzia czytał orzeczenie - orzeczenie przeciwko klientowi, przeciwko Ford Stevens, przeciwko Danowi Fordowi, który miał istotny wkład w ostatnią kampanię wyborczą tego sędziego. Wyraz twarzy Dana wtedy, podobnie jak i teraz, był miną człowieka zdradzonego, ale też i mającego środki, by odpłacić pięknym za nadobne.

- Nie, Scotty, on ci tego nie zrobił. Ja to zrobiłem. - Ty?

- Tak, ja. Kiedy odmówiłeś wykonania tego, o co cię prosiłem, chciałem, żebyś zobaczył, jakie byłoby życie bez tego, co daje sukces; *Wspaniałe życie* ze Scottem Fenneyem w roli głównej. Ale ty jesteś uparty, Scotty, zbyt uparty, nawet by działać na własną korzyść. McCall prosił mnie o drobną przysługę, żebyś zostawił przeszłość jego syna w przeszłości, tam, gdzie jest jej miejsce, żeby mógł zostać prezydentem. A ja prosiłem ciebie o drobną przysługę, żebym mógł zostać prawnikiem prezydenta. I po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, jak mi odpłacasz? Zdradzasz mnie.

- Drobną przysługę? Dan, bez tych dowodów Shawanda będzie skazana na karę śmierci!

- I co z tego?

- Co, to tylko kolejna czarna suka?

Dan się zaśmiał.

- Tak, jestem rasistą. Mój syn dorastał, chcąc być taki jak Michael Jordan, a miłością życia mojej córki jest Tiger Woods... Nie, może na odwrót, moja córka chciała być Jordanem, a mój syn był zakochany w Woodsie. Nieważne, chciałbym, żeby jeden i drugi byli moimi klientami. Ponieważ są bogaci. Ponieważ płacą swoim prawnikom mnóstwo pieniędzy. Scott, kolor prawa nie jest czarny czy biały, jest zielony! Zasadą prawa są pieniądze - to pieniądze rządzą! Pieniądze tworzą prawo i prawo ochrania pieniądze! A prawnicy ochraniają ludzi z pieniędzmi!

Twarz Dana przybrała czerwoną barwę, a na szyi wystąpiły mu żyły. Zamilkł i się opanował.

- Scotty, ta kancelaria to moje życie. Zbudowałem ją z niczego, żeby stać się właścicielem najbogatszej firmy prawniczej w mieście. Nikt nie robi tego, co my robimy. Nikt! I nikt nie będzie działał na szkodę tej firmy, ani jakaś dziwka, ani ty, ani nikt. Rozjadę każdego, kto stanie mi na drodze.

- A co ze mną, Dan? Mnie też rozjedziesz?

Dan usiadł w fotelu, sięgnął do interkomu i nacisnął przycisk, następnie spojrzał jeszcze raz na Scotta i powiedział.

- Chyba już to zrobiłem.

Scott stanął pośrodku biura, otoczony przez wiszące trofea Dana. Wydawało mu się, że spoglądają na niego, jakby mówiły: „Mamy tutaj dla ciebie miejsce". I teraz Scott się dowiedział, jak czuli się John Walker i inni stojący pośrodku gabinetu, kiedy Dan ich wywalał z pracy. Kiedyś się śmiał, kiedy kolega z pracy pokazał mu ogłoszenie Johna w telegazecie - niegdyś znany prawnik w wielkiej firmie, a później kolejny cienias starający się zarobić na marne utrzymanie. Teraz w jego myślach pojawiło się jego własne ogłoszenie, gdzieś między medium a agencją towarzyską: WYPADEK SAMOCHODOWY? ROZWÓD? BANKRUCTWO? ZADZWOŃ DO MECENASA A SCOTTA FENNEYA. DBAMY O KLIENTA DOGODNE WARUNKI. SE HABLA ESPAŃOL.

„To nieprawda! Nie może mi się to przydarzyć!".

Drzwi za Scottem otworzyły się i pojawiło się dwóch z trzech czarnych ochroniarzy Dibrell Tower. Stanęli, nie wiedząc, co mają robić.

Działo się to, czego nie przewidział: w najczarniejszych snach.

- Twoje rzeczy osobiste zostaną wysłane do ciebie do domu, Scott - powiedział Dan. - Standardowy sposób postępowania w firmie.

Gra skończona. Scott Fenney przegrał. Mógł teraz wyłącznie zejść z boiska. Strażnicy rozsunęli się i Scott poszedł korytarzami, po których niegdyś tak dumnie kroczył A. Scott Fenney, prawnik Toma Dibrella, skazany na sukces. Jeszcze wczoraj inni prawnicy pozdrawiali go jak gwiazdę, dzisiaj odwracali oczy jak od pacjenta chorego na AIDS. Droga dla skazańca systemu. Kariera prawnicza Scotta Fenneya się skończyła.

Wraz z eskortą zeszli po schodach na sześćdziesiąte drugie piętro i natknęli się na Missy, która wyglądała bardzo seksownie w krótkiej spódniczce. Ale dzisiaj nie mrugnęła do Scotta Fenneya, nie miała tego spojrzenia, które świadczyło, że są o krok od romansu, spojrzała na niego tak, jakby był nosicielem choroby zakaźnej. Schodzili dalej i doszli do piętra, gdzie w drzwiach stała Sue trzymając jego aktówkę i kij numer 9. Zanim Scott doszedł do niej, Sid Greenberg zbliżył się do Sue, trzymając plik dokumentów.

- Sue, kładę ci te dokumenty na biurko. Skopiuj je i wyślij do Dibrella, biegusiem. Połóż oryginały na biurku Scotta... znaczy w moim biurze.

- Tak, panie Greenberg. - Sid?

Sid zobaczył Scotta i powiedział.

- Och, Scott. Przykro mi. Powodzenia.

- Zabierasz mi klienta, sekretarkę, biuro? Nauczyłem cię wszystkiego!

- Tak, Scott, nauczyłeś. Nauczyłeś mnie, że prawo to tylko biznes. Nic osobistego.

- Nie mówiłem o sobie!

Sid wzruszył ramionami i odszedł. Scott odwrócił się do Sue. Wyciągnęła do niego ręce z kijem i aktówką. Scott wziął to od niej.

- Do widzenia, panie Fenney.

- I już? Do widzenia? Byłaś moją sekretarką przez jedenaście lat. Nie masz za grosz serca?

Na twarzy Sue pojawiła się mina, jakiej nigdy u niej nie widział. Zdawała się większa niż zwykle.

- Przez jedenaście lat zamawiałam dla pana pralnię i robiłam kawę, troszczyłam się o sprawy osobiste, płaciłam pańskie rachunki, kupowałam prezenty dla żony, dziecka i klientów... Pan miał wobec mnie dobre serce? Troszczył się o moje życie? Nigdy pan o nie nie zapytał. Czy wie pan, że mam niepełnosprawne dziecko i to był jedyny powód, dla którego znosiłam to wszystko przez te lata? Dlatego, że potrzebowałam pieniędzy? Nie wiedział pan i miał pan to gdzieś. Czy obeszło pana to, gdy wylali pana Walkera? Nie. Jak każdy prawnik w tej firmie troszczył się pan wyłącznie o siebie.

Scott odwrócił się od zupełnie nieznajomej osoby stojącej na marmurowej posadzce w lobby, rozmawiającej z nim, jakby przemawiała do tłumu. Strażnicy poszli za nim w kierunku wind. Nacisnął przycisk. Drzwi się otworzyły i weszli do środka. Jeden ze strażników zapytał.

- Co się stało, panie Fenney?

- Wylali mnie.

- Dlatego, że chce pan bronić tej dziewczyny? - Tak.

- Wiem, gdzie pan Ford parkuje swojego mercedesa w garażu. Chciałby pan, żebym poprzecinał mu opony?

- Tak. - Scott potrząsnął głową. - Nie.

Drzwi zaczynały się zamykać, ale w ostatniej chwili czyjaś dłoń wcisnęła się do środka i drzwi się cofnęły. W drzwiach stanęła Sue. Powiedziała:

- Zona Johna Walkera umarła w zeszłym tygodniu.

Wyszły na zewnątrz i Pajamae zamarła.

- Boo, on tu znowu jest.

- Kto?

- Łysy w czarnym wozie.

- Gdzie?

Pajamae wskazała głową na parking. Boo odwróciła się w tę stronę, ale Pajamae ostrzegła ją:

- Nie patrz!

Odwróciły się twarzami do witryny. W Village samochody mogły parkować w oznaczonych miejscach, tuż przy chodnikach. Poza tym była jeszcze jednokierunkowa droga dla samochodów jadących wokół centrum i dwa rzędy miejsc postojowych w środku otwartej przestrzeni parkingowej. Łysy w czarnym samochodzie parkował właśnie tam, dwadzieścia metrów od nich. Boo zachowywała się, jak gdyby nigdy nic, jakby sobie tylko oglądała różne rzeczy, i w końcu jej wzrok spoczął na łysym w czarnym samochodzie - patrzył wprost na nie. Boo się odwróciła.

Pajamae była przerażona.

- Biegiem, Boo!

Boo chwyciła Pajamae mocno za ramiona.

- Nie. Zachowuj się normalnie. Nie może nas obu złapać, nie w tym miejscu. Po prostu stara się nas przestraszyć.

- Słonko, w moim wypadku to mu się udało! Boo poklepała się po kieszeniach.

- Co ty robisz? - zapytała Pajamae.

- Udaję, że czegoś szukam. - Rozłożyła ręce i wskazała na sklep. - Teraz zachowuję się, jakbym zostawiła coś w sklepie. Chodź, wejdziemy do środka i zadzwonimy do A. Scotta. On po nas przyjedzie.

- To musi się pospieszyć.

- Jeździ ferrari.

Weszły do sklepu i Boo poszła od razu do znanej sprzedawczyni.

- Proszę pani, mogę skorzystać z telefonu? To nagły wypadek. Muszę zadzwonić do mojego przystojnego ojca.

***

Scottowi zawsze sprawiała przyjemność jazda do domu po całym dniu pracy. Kiedy wsiadał do drogiego auta, wyjeżdżał z podziemnego garażu, salutując Osvaldo jak prezydent salutował załodze samolotu Air Force One, i kierował swoje ferrari na północ, w stronę Highland Park... Jechał spokojnie przez bogatą dzielnicę na północy, gdzie spacerowali młodzi ludzie szukający pary. Młodzi mężczyźni i śliczne dziewczyny odwracali głowy, kiedy mijał ich, z zazdrością wpatrujących się w jego wóz i zastanawiających się, jak to jest wieść idealne, poukładane życie, jak ten przystojniak w ferrari... I w końcu wjeżdżał do Highland Park, gdzie dzieci są mądre, ich rodzice bogaci, a każdy może czuć się bezpiecznie i błogo. Ale dzisiaj było inaczej.

Jazda do domu nie sprawiała mu przyjemności. Ponieważ na końcu trasy będzie musiał powiedzieć swojej żonie i córce, że został wylany, że nie jest już wspólnikiem w firmie Ford Stevens, że nie będzie już przynosił do domu pieniędzy, że stracił rodzinny majątek. Że Scott Fenney przegrał.

Jak będzie mógł spojrzeć żonie w twarz jako przegrany? A córce? Swoim sąsiadom w Highland Park? Scott włączył prawy kierunkowskaz i zahamował, żeby skręcić w Beverly Drive... ale w ostatniej chwli zmienił zamiar, przyspieszył na skrzyżowaniu i jechał dalej na północ, mijając Highland Park Village. Nie mógł jechać do domu. Jeszcze nie. Kilka przecznic dalej skręcił w lewo i zatrzymał się przed stadionem Highland Park High School, gdzie jego nowe życie zaczęło się od pierwszego treningu w pierwszym roku nauki.

Na stadionie, przy którym inne szkolne stadiony wyglądają jak kopciuszek, obecna drużyna ćwiczyła na sztucznej murawie. Scott wyłączył silnik i wysiadł z wozu. Podszedł do ogrodzenia i obserwował trenujących chłopców oraz czirliderki wykonujące swoje akrobacje za linią boczną. Młodzi chłopcy marzyli, żeby stać się kolejną futbolową legendą Highland Park, jak Doak Walker, Bobby Layne czy Scott Fenney, a dziewczyny marzyły, by zostać kolejną gwiazdką Hollywood z Highland Park, jak Jayne Mansfield czy Angie Harmon,

jednocześnie zdając sobie sprawę, że jeśli ich marzenia się nie ziszczą, zawsze będą mogli uciec pod opiekuńcze skrzydła fortun ich tatusiów, które zapewnią im pewną i świetlaną przyszłość jak amen w pacierzu. Zastanawiał się, czy oszukiwał się przez te wszystkie lata, sądząc, że należy do tego świata, że jego wyczyny sportowe sprawiły, że naprawdę stał się jednym z nich. Być może syn robotnika budowlanego na zawsze pozostanie tylko synem robotnika budowlanego. Może mieszkaniec wynajętego domu będzie w nim mieszkał na zawsze. Może ubogi krewny zawsze nim pozostanie, nawet jeśli mieszka w dużej posiadłości. Może jest się tym, kim się zawsze było.

Jego marzenie zaczęło się tu, na tym boisku, dwadzieścia jeden lat temu, kiedy miał piętnaście lat. I oto dzisiaj nastąpił kres tych marzeń. I złapał się na tym, że po raz pierwszy od bardzo dawna zaczął się zastanawiać, co zrobi z resztą swojego życia.

Wrócił do ferrari. Teraz pojedzie do domu i powie swojej żonie i córce, że stracił wszystko. Pocieszała go jedynie myśl, że Mack McCall i Dan Ford nie byli już w stanie niczego mu zabrać, bo Scott Fenney niczego już nie miał.

Kiedy otwierał drzwi samochodu, zadzwonił telefon komórkowy.

***

Scott powiedział, że będzie za niecałą minutę. Nie kłamał. Stały na chodniku przed sklepem, kiedy Boo usłyszała znany ryk silnika ferrari. Odwróciła się i zobaczyła jak jasnoczerwony wóz ostro wjeżdża na uliczkę Village i przyspiesza na parkingu. Uniosła dłonie nad głową i machała nimi energicznie, podskakując. I potem wskazała wprost na łysego w czarnym samochodzie. Kiedy zobaczył, że został zdemaskowany, usiadł prosto w samochodzie i wtedy zobaczył ferrari pędzące wprost na niego. Włączył silnik, wyjechał z parkingu i skręcił w lewo, ale jakiś samochód wycofywał się z miejsca parkingowego przez chodnik. Zablokował mu drogę.

Czerwone ferrari z piskiem opon zatrzymało się przed maską czarnego samochodu. A. Scott wyskoczył ze środka. Nie zamknął drzwi. Podbiegł do czarnego wozu z kijem golfowym w dłoni.

„Czemu A. Scott trzyma kij golfowy w ferrari?”

Ojciec Boo, prawnik w nienagannie wykrochmalonej białej koszuli i jedwabnym krawacie łopoczącym na ramieniu, zamachnął się i walnął z całych sił kijem w przednią szybę.

Ł-U-U-U-P!

Pękanie samochodowej szyby zabrzmiało jak wystrzał i wszyscy wokół zamarli. Kilku staruszków się schyliło. Panie sprzedawczynie wybiegły na zewnątrz. Teraz to łysy miał

powody, żeby się bać. A. Scott szarpnął za drzwiczki samochodu, ale były zamknięte. Zamachnął się więc ponownie, waląc raz za razem w szybę i krzycząc słowa, których Boo nigdy nie słyszała z jego ust:

- Siedzisz moje dziewczynki, ty skurwysynie! Ł-U-U-U-P!

- McCall cię wysłał, tak? Ł-U-U-U-P!

- Jak cię zobaczę koło moich dziewczynek, to przysięgam na Boga, zapierdolę jak psa! Ł-U-U-U-P!

Samochód z przodu odjechał. Łysy wyprowadził samochód i szybko zniknął za rogiem. A. Scott stał pośrodku parkingu w Village z czerwoną twarzą, ciężko dysząc i pocąc się obficie. Założył kij golfowy na ramię jak barbarzyński topór i wyglądał jak postać ze skandynawskiej sagi. Kupujący gapili się na niego, przerażeni takim zajściem w Highland Park. Boo uśmiechała się szeroko - wspaniałe to było! Znana sprzedawczyni stała obok niej.

- Boże, ależ on przystojny - powiedziała.

Boo Fenney nigdy nie czuła większej dumy ze swojego taty. Podbiegła do niego, objęła go ramionami w pasie i przylgnęła do niego ciasno. Pajamae zrobiła to samo.

- Nic wam nie jest, dziewczynki?

- Teraz tak. Kim był ten facet?

- To Delroy Lund. Pajamae powiedziała.

- Panie Fenney, z pana to jest gość! Boo dodała.

- A. Scott powiedział słowo na „p”!

- Tak. - Oddech miał już spokojniejszy. - Przepraszam.

***

Przypływ adrenaliny ustał, kiedy Scott skręcił w podjazd na Beverly Drive numer 4000 i zajechał z tyłu na parking. Dziewczynki siedziały we dwie na siedzeniu pasażera.

- Dlatego Louis zawsze chodził ze mną i z mamą. Nikt z nim nie chce zadzierać, nawet na naszym osiedlu - wyjaśniła Pajamae.

Scott wyłączył silnik, złapał telefon komórkowy i wcisnął przycisk, pod którym krył się numer dodany ostatnio do listy błyskawicznego wybierania. Kiedy odezwał się znajomy głos, powiedział:

- Louis, tu Scott Fenney. Potrzebuję twojej pomocy. Rozłączył się i wysiadł z samochodu. Wciąż czekała go przeprawa z żoną. Musiał jeszcze przekazać złe wiadomości pani Fenney. Weszli do domu od tyłu. Panowała tu cisza.

- Rebecca?

Boo odpowiedziała zamiast matki:

- Och, zapomniałam. Ona wyjechała.

- Wyjechała? Dokąd wyjechała?

- Na wycieczkę.

- Dokąd?

- Nie wiem. Po prostu powiedziała, że musi wyjechać.

Scott przeskakiwał pod dwa stopnie na schodach i wszedł przez hol do głównej sypialni. Znalazł na łóżku list od żony - napisaną ręcznie pożegnalną wiadomość. Straciła dom, samochód, miejsce w komitecie organizacyjnym Balu Baronów Bydła. Jednym słowem: zrujnował jej życie, jak pisała, a zatem - tak jak obiecała - z nimi koniec. I ponieważ nie mogła już się pokazać w Highland Park, wyjeżdża z instruktorem golfa z Country Club. On będzie brał udział w turniejach PGA. Ona miała zamiar zostać jego groupie.

- Kiedy wraca?

Scott podniósł spojrzenie na Boo stojącą w drzwiach.

- Nie wraca.

***

Boo płakała z twarzą wtuloną w łóżko. Każda znana jej dziewczynka miała matkę, nawet Pajamae! Poczuła, jak Pajamae obejmuje ją i przytula.

- Boo, ja nie mam taty, a teraz ty nie masz mamy, może twój tato i moja mama powinni się pobrać. Wtedy byłybyśmy siostrami.

- Pajamae. A. Scott nie może wyjść za twoją mamę, bo ona jest...

Uścisk Pajamae zelżał. Boo poczuła, jak się odsuwa. Otarła twarz z łez i usiadła. Pajamae dziwnie na nią patrzyła. Zacisnęła piąstki i podparła się nimi pod boki, jak matka, kiedy się zdenerwowała.

- Ona jest co?

Boo wzruszyła ramionami.

- Bo jest za młoda. Ma dwadzieścia cztery lata. Jest dla niego o wiele za młoda. Mój tato jest bardzo stary.

***

Louis przyjechał godzinę po telefonie od Scotta. Zaparkował swój stary samochód z tyłu domu. Scott przywitał go na parkingu. Tym razem uścisnęli sobie dłonie.

- Dzięki za przybycie, Louis.

- Nie ma problemu, panie Fenney. Opiekowałem się Pajamae od małego. Tęskniłem za nią. - Rozejrzał się. - Jasne, nie za często tu pewnie strzelają.

- Wejdź do środka, Louis, przygotowałem dla ciebie sypialnię.

- Ee... no nie, panie Fenney, to chyba nie wypada. Scott widział, że Louis czuł się nieswojo na myśl, że mógłby spać w sypialni, dlatego nie naciskał.

- Możesz zamieszkać w domku przy basenie. Consuela, nasza pokojówka tam mieszka, ale chwilowo jej nie ma.

- Nie, proszę pana, to jej domek. Ja śpię w samochodzie. W garażu. Tam będę mógł mieć oko na wszystko.

- Jest tam klimatyzacja, duża łazienka. Mogę ci wstawić tam łóżko... I telewizor, i fotel składany.

- Telewizor i fotel w porządku, ale nie łóżko. Mogę naprawdę spać z tyłu samochodu. - Louis się uśmiechnął. - Aha, panie Fenney! Niech się już pan nie martwi. Żaden zbir teraz nic nie zrobi dziewczynkom.

***

Scott nie będzie dziś siedział w swoim wytwornym gabinecie na sześćdziesiątym drugim piętrze, robiąc to, co robią wszyscy prawnicy. Nie zje lunchu w Downtown Club i nie będzie ćwiczył w otoczeniu pięknych dziewcząt w siłowni. Nie czuł się dzisiaj nikim wyjątkowym - siedział w swojej kryjówce w domu i patrzył przez okno na basen i specjalnie zaprojektowany ogród. Jego kariera pękła jak bańka mydlana. Żona odeszła, wkrótce zabiorą mu samochody i dom. Mack McCall wygrał. Jego trofeum było idealne życie Scotta Fenneya.

Po raz pierwszy w życiu Scott poczuł się pokonany. Nie wiedział, czy uda mu się tym razem podnieść z murawy.

Dwukrotnie Boo schodziła do niego, przytulała się i płakała w jego ramionach. Za trzecim razem przyszła też Pajamae. Dziewczynki usiadły na dwóch oparciach szerokiego skórzanego fotela i ukryły twarze w jego szerokich ramionach, płacząc, aż jego koszula zrobiła się całkiem mokra. Nie wypowiedzieli ani słowa.

Scott siedział tak kilka godzin. Słyszał dziewczynki w kuchni i Pajamae przyniosła mu kanapkę z jajecznicą, ale nie miał apetytu. Kiedy niebo pociemniało, wstał z fotela, wszedł po schodach na górę i zrobił dziarską minę na użytek dziewczynek. Usiadł i zmówili modlitwę.

Boo się odezwała.

- Nie chcemy, żebyś nam dzisiaj czytał. Chcemy porozmawiać.

Pajamae dodała:

- Chcemy porozmawiać. Scott zdjął okulary.

- Dobra. Na jaki temat?

- Widziałyśmy cię w telewizji w nocy - odparła Boo. - Z mamą Pajamae. Wiem, że nie powinnam oglądać telewizji w nocy, ale zeszłyśmy na dół i zobaczyliśmy, jak mama ogląda twój występ, chcę więc, żebyś o tym wiedział.

Scott pokiwał głową.

- No i...?

- I jesteś nam winien kilka słów wyjaśnienia, A. Scott.

- Pytaj.

Scott nie chciał się wdawać w rozmowy z Boo. Zawsze prosił, żeby zadała konkretne pytanie. Wiedział, że jeśli zapyta, to naprawdę chce się dowiedzieć.

- Co to seks?

Te go pytania się nie spodziewał. Takie pytanie dziewczynka powinna zadać mamie, ale skoro matka uciekła z trenerem golfa, zadanie spadało na tatę. I teraz stanął oko w oko z dwiema dziewczynkami, które z podwiniętymi nogami, z dłońmi na udach i wyczekiwaniem w spojrzeniu pytały go o seks.

- To takie chłopackie sprawy, prawda, panie Fenney?

- Chłopackie sprawy?

- No, wie pan, to, co mają chłopcy. Jak wychodziłam na podwórko na osiedlu, to chłopcy krzyczeli: „Chodź tu, mała dziewczynko, pokażę ci swój seks".

- Och, dobrze już. Seks jest wtedy, kiedy chłopak i dziewczyna... Znaczy... mężczyzna i kobieta... Kiedy oni, ee...

- Biorą brzydala? - wypaliła Pajamae. - Tak mówią o tym duże dziewczyny. Powiedziałam to kiedyś mamie i ona mi zakazała bawić się z nimi.

- Słuchajcie, czy któraś z was ma jakieś pojęcie, co to jest seks?

Dziewczynki potrząsnęły głowami.

- A dlaczego chcecie wiedzieć?

- Bo mama powiedziała, że ten zastrzelony dał jej pieniądze za seks.

- Ach.

- I wtedy ją walnął. I to był jego pierwszy poważny błąd. Mama nie pozwala, żeby ją jakiś facet tłukł, bo tatuś robił to wcześniej. Więc mu nieźle skopała tyłek. - Uśmiechnęła się. - Tak jak walił pan w wóz łysego, panie Fenney.

Boo zawołała:

- To było niesamowite! Wspaniałe! Zniszczyłeś sobie kij?

Ich uwaga skupiła się na czymś innym i Scott nie musiał wyjaśniać dziewięciolatkom, na czym polega seks. Kiedy dziewczynki jeszcze raz przywołały zajście w Village, Boo zapytała:

- Clark nie był miły, prawda?

- Nie, nie był.

- A teraz jego ojciec, ten senator, jest na ciebie wściekły, bo starasz się pomóc mamie Pajamae?

- Tak.

- Żeby policja nie zabiła mamy?

- Tak.

- Ten facet pracuje dla senatora?

- Tak.

- Czy będzie się jeszcze na nas czaił?

- Nie, kochanie. Pajamae się uśmiechnęła.

- Bo musiałby przejść przez Louisa.

Boo zapytała:

- Czy będziemy musieli sprzedać dom?

- Tak, Boo, musimy.

- Dlaczego?

- Bo dzisiaj wylali mnie z pracy.

- Już nie jesteś prawnikiem?

- Nie, wciąż jestem prawnikiem, tylko nie pracuję dla dużej firmy.

- I co to znaczy?

- To znaczy, że od dzisiaj nie mam żadnego dochodu.

- Czyli pieniędzy?

- Mamy trochę pieniędzy, ale nie tyle, żeby utrzymać dom.

Boo kiwnęła głową.

- Kiedy wylali tatę Cindy, musieli sprzedać dom. Powiedziałeś, że to się nam nigdy nie przytrafi.

- Myliłem się.

- I będziesz musiał sprzedać samochody?

- Po prostu bank je zajmie.

- I teraz jesteśmy biedni?

- Nie, Boo. Nie jesteśmy biedni. Biedni to tacy, jak...

- Mama i ja - dokończyła Pajamae.

- Czyli wszystkie te złe rzeczy, to, że zabrali Consuelę, zabiorą samochody, dom, pracę, to, że mama odeszła, wszystko to się stało, bo McCall jest na ciebie zły?

- Tak... No, może z wyjątkiem odejścia twojej mamy.

- Mama zawsze mówiła, że przynosi ludziom pecha.

- Pajamae, nie wiń swojej mamy. To ja podjąłem decyzję. I każda decyzja ma swoje konsekwencje. Czasami złe.

Przez chwilę nie odzywali się do siebie, po czym Boo powiedziała cicho:

- Mama płakała. Powiedziała, że bez niej będzie mi lepiej.

Rozdział dwudziesty

Lipiec zniknął z ich życia i zaczął się sierpień, zapoczątkowując pieskie dni lata, kiedy rozgrzane masy powietrza, zwane meksykańskim pióropuszem, osiadają nad Dallas jak olbrzymie chmurzaste grzyby, odpierające atak zimnego powietrza z północy i deszczu z południa, więżąc mieszkańców miasta na dole w bezlitosnej mieszance czterdziestu pięciu stopni ciepła i osiemdziesięcioprocentowej wilgotności, dzień za dniem. Wiatry cichły w ogóle, tak że nawet najdelikatniejsza bryza była odczuwana przez ludzi jak podmuch mrozu z północy. Wskazówka pokazująca stężenie zanieczyszczeń wędrowała na pole czerwone, co oznaczało, że głębszy wdech może zabić. Na chodnikach nie było widać przechodniów, psy cały dzień leżały w cieniu zbyt zmęczone, żeby nawet ogonem odpędzić muchy bzyczące dokuczliwie nad nimi, dziennikarze z telewizji smażyli jajka na chodniku, żeby pokazać cokolwiek w wieczornych wiadomościach. Wskazówki wlokły się niemiłosiernie po tarczy zegarów. Fryzury kobiece i ich nagradzane ogródki więdły, chłodnice w samochodach gotowały się, podobnie jak ich właściciele, i liczba przypadków furii drogowej wzrosła niepomiernie, tak jak liczba zgłoszeń o przemocy domowej. Poziom w zbiornikach dostarczających wodę pitną spadł drastycznie i przy racjonowaniu wody przez miasto trawniki przybrały kolor żółty, potem brązowy, a biznes szczurołapów kwitł w najlepsze, gdyż gryzonie wychodziły stadami w poszukiwaniu wody, przeważnie z przydomowych basenów. Biedacy umierali bez klimatyzacji.

Gorzej od Dallas było jedynie w Houston. Houston leży na rozległych mokradłach. W Houston, jeśli nie wykończył cię skwar i wilgoć, padałeś ofiarą komarów o rozmiarach małych ptaków.

- Gorąco jest - powiedział Scott.

Życie w Dallas w sierpniu koncentrowało się wewnątrz domów i nad basenami. I tam właśnie znajdował się teraz Scott Fenney, siedząc na stopniach basenu za domem, mocząc się w chłodnej wodzie, z okularami przeciwsłonecznymi na nosie, słomianym sombrero na głowie, nasmarowany kremem z filtrem 50, który chronił go przed zabójczym promieniowaniem ultrafioletowym. Pił mrożoną herbatę przez słomkę z dużego plastikowego kubka, jakby zasysał benzynę, a Bobby zaciągał się papierosem. Boo i Pajamae rzucały do siebie kółkiem na płyciźnie basenu, Louis siedział w cieniu zadaszenia patio, a z przodu domu tabliczka z napisem DO SPRZEDANIA PRZEZ WŁAŚCICIELA sprawiała, że samochody zwalniały, jadąc przez Beverly Drive.

Scott zdecydował, że sam sprzeda dom, nie korzystając z pomocy agenta nieruchomości, co było niebywałe w Highland Park. Sprzedaż własnego domu w tej okolicy była tak samo absurdalną czynnością, jak koszenie własnego trawnika czy mycie samochodu, co stanowiło pracę fizyczną, której żaden właściciel domu z Highland Park, dumny, bogaty i bogobojnie wychowany, nie ośmielał się wykonywać, ponieważ kwestionowało to całą koncepcję boskiej doskonałości: Gdyby nasz Pan chciał, żebyśmy sami kosili trawę albo myli samochody, to po co tworzyłby Meksykanów? Pojawiały się też inne myśli. Konkluzja była taka, że jeśli ktoś jest taką sknerą, że nie chce zapłacić agentowi od nieruchomości, to nie zasługuje na to, żeby w ogóle mieszkać w Highland Park. Ale patrząc, jak na jego oczach topnieje mu majątek, Scott stał się ostatnio strasznym sknerą.

Żądał wartości rynkowej domu, czyli trzech i pół miliona dolarów. Ale wartość rynkowa była tutaj na nic, ponieważ sprzedający był zdesperowany i wszyscy z Highland Park o tym wiedzieli. Najlepsza jak dotąd oferta opiewała na trzy miliony, jedynie dwieście tysięcy dolarów więcej niż był winien bankowi. Opłata dla pośrednika wyniosłaby sześć procent ceny, czyli sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów, zostałoby mu więc tylko dwadzieścia tysięcy dolarów. Przy wszelkich opłatach miałby szczęście, gdyby wyszedł na zero. Po obliczeniu tego wszystkiego Scott pojechał do najbliższego sklepu z narzędziami, kupił czerwono-białą tabliczkę NA SPRZEDAŻ i wbił w trawnik przed domem.

- Jak Boo sobie z tym radzi? - zapytał Bobby.

Scott wyrzucił jednym ruchem dłoni chrabąszcza z wody, zastanawiając się, co chrabąszcze majowe robią w sierpniu w Dallas. Pani Fenney nie było w domu już od piętnastu dni.

- Chyba dobrze. Do diabła tam, myślę, że Boo bardziej tęskni za Consuela, to ona była dla niej matką.

- Rudy sprowadzi ją z powrotem?

Mimo usilnych starań Rudy'ego Gutierreza rząd amerykański deportował Consuele de la Rosa do Meksyku. Mieszkała teraz w czterogwiazdkowym Camino Real Hotel w Nuevo Laredo, opłacanym z karty American Express Scotta Fenneya, czekając, aż Rudy załatwi jej zieloną kartę, żeby mogła wrócić do swojej rodziny w Dallas. Tydzień temu Scott wysłał Estebana Garcię autobusem, by dotrzymał jej towarzystwa.

- Popłaciła wszystko, a ja sponsoruję jej pozyskanie obywatelstwa i zapewniam zatrudnienie... Ale służby rządowe opóźniają wszystko, jak mogą. - Pokręcił głową. - Sprowadzę ją. Obiecałem jej. A Boo potrzebuje jej teraz bardziej niż kiedykolwiek, kiedy jej matka uciekła z cholernym trenerem golfa.

- Rozumiem, że Rebecca zostawiła ciebie. - Bobby posłał Scottowi uśmiech. - Ale jak mogła zostawić Boo?

Scott wzruszył ramionami.

- To przez upokorzenie, jak sądzę. Trudno jest tu mieszkać, kiedy życie cię nie rozpieszcza. Nie ma czegoś takiego jak porażka w Highland Park. - Scott zamilkł na chwilę i spojrzał na dziewczynki. - Dzięki Bogu, że nie zabrała Boo.

- Może po prostu się zmieniła.

- Może. Może naprawdę jej nie znałem. Dawno temu byliśmy tacy sami, dlatego się pobraliśmy. Byliśmy młodzi i pełni ambicji, dwoje ubogich krewnych starających się urosnąć w Dallas. Kiedy staliśmy w tym kościele i wypowiadaliśmy słowa „na dobre i na złe", nie myśleliśmy o tym złym. Wszystko było dobrze i szybko zmieniało się w jeszcze lepsze. Nigdy by mi do głowy nie wpadło, że może być gorzej.

Pokręcił głową.

- Jak w futbolu. Naprawdę nie wiesz, na co stać kolegów z drużyny, dopóki nie zaczynacie przegrywać.

- Jest z tym jeden problem, Scotty. - Jaki?

- Ona zaczęła kręcić z tym facetem, kiedy wciąż wygrywaliście.

Scott pokiwał głową.

- A więc dom, samochody, ubrania, nic z tego nie dawało jej szczęścia. - Spojrzał na Bobbyego. - Czego te baby chcą, do diabła?

Bobby zachichotał.

- A skąd mam wiedzieć? Kurde, Scotty, dwie żony ode mnie odeszły.

- Przez ostatnie siedem miesięcy nie chciała się kochać. Bobby złapał kółko wyrzucone przez Boo i powiedział:

- Moje żony nie chciały się kochać nawet w noc poślubną.

- Pewnie już nigdy mnie to nie spotka - użalił się Scott.

Bobby odrzucił kółko do Boo.

- Ciebie? Kurde, Scotty, połowa mężów w Highland Park martwi się, że ich żony rzucą się, żeby cię pocieszać. To mnie już nigdy w życiu to nie spotka. Już minęły trzy lata od ostatniego razu. - Bobby zaciągnął się papierosem. - Oczywiście można międlić pancernika w dłoni.

- To cię kiedyś zabije, Bobby.

- Nie, najwyżej oślepnę.

- Nie to. Palenie.

- Och. Musi być jakaś nadzieja.

- Przestań mi tu wyjeżdżać z depresją, Bobby. To ja straciłem wszystko.

Bobby wypuścił dym.

- Tak, ale przynajmniej na chwilę miałeś wszystko. Przynajmniej wiesz, jak to jest.

Scott siorbnął trochę herbaty przez słomkę i powiedział.

- Kochałeś się w niej wtedy, prawda?

- Tak, ale bardziej kochałem twoje życie.

- Ja też. Aż przestałem dwa miesiące temu. Gdyby sędzia Buford zadzwonił do kogoś innego, wciąż miałbym idealne życie.

- Nie było idealne, Scotty. Po prostu nie zdawałeś sobie z tego sprawy.

Scott poczuł, jak znów biorą górę emocje, w oczach pojawiają się łzy, i pomyślał, że zaraz wybuchnie płaczem, jak co wieczór pod prysznicem, ale Bobby zapytał:

- Myślisz, że mu się uda?

Mówił to tonem pacjenta pytającego chirurga, czy przeżyje operację na otwartym sercu.

- Komu co się uda?

- Jej golfiście. Myślisz, że mu się powiedzie w trasie? Straszna tam konkurencja.

Bobby mówił to z bardzo poważną miną, kiedy Scott skoczył na niego i zaczął go topić. Bobby trzymał rękę z papierosem w górze, żeby mu nie zamókł. Scott puścił go, kiedy usłyszał głos Boo:

- Och, chłopcy, mamy gościa!

Przy wejściu na parking stał przysadzisty mężczyzna z lustrzankami na nosie i czapką odwróconą daszkiem do tyłu, miał przetłuszczone włosy i czarną przepoconą koszulkę, a jego wielki brzuch wisiał mu w pasie jak nawis lawy nad klifem. Rozglądał się po posiadłości Fenneya jak dzieciak po Disneylandzie.

Komornik.

Przyjechał, żeby zabrać ukochane ferrari Scotta. Dwa dni temu, wiedząc, że taki moment nadejdzie, Scott sprzedał trochę akcji i kupił zastępczy samochód - volkswagena jettę za dwadzieścia tysięcy dolarów.

Scott podszedł do parkingu. Przy krawężniku czekały jeszcze dwie platformy - na rangę rovera i mercedesa. Mężczyzna wyciągnął dłoń z papierami i wskazał na Scotta ze słowami:

- Fajny kapelusz.

Scott podpisał papiery i patrzył, jak jego ferrari 360 modena ze skórą od Connollyego w środku i silnikiem zdolnym wyciągnąć trzysta pięćdziesiąt kilometrów na godzinę został wciągnięty na lawetę i przymocowany do niej. Choć wiedział, że traci coś, czego tak naprawdę nigdy nie miał, to i tak ból związany z obserwacją, jak jego idealne życie odjeżdża w dal, był wielki.

***

Godzinę później Scott, wciąż cierpiący, położył się na leżaku przy basenie.

- Panie Fenney - powiedział Louis.

Scott spojrzał na Louisa, który pokazywał na coś głową przy parkingu. Stał tam szczupły mężczyzna tuż po trzydziestce, ubrany w wykrochmaloną błękitną koszulę z długimi rękawami, spodenki khaki i czarne mokasyny. Miał ciemne kręcone włosy i ohydną bladą ziemistą cerę. Okulary w drucianych oprawkach wisiały mu na nosie. Wydawał się znajomy.

Mężczyzna się odezwał.

- Umówiliśmy się na oglądanie domu na trzecią. Dzwoniliśmy, ale nikt nie otwierał.

Scott spojrzał na zegarek i wygramolił się z leżaka.

- Przepraszam, straciłem poczucie czasu.

Scott podszedł do niego w szortach do pływania, bez koszulki i na bosaka. Wyciągnął dłoń na powitanie.

- Scott Fenney.

- Jeffrey Birnbaum. A to moja żona Penny.

Przed nim stała śliczna młoda żona z Junior League z High-land Park, z nienagannym makijażem, w czerwonej przewiewnej sukience i w czerwonych sandałach. Miała kruczoczarne włosy, opalone nogi, szczupłe ciało i usta w kolorze pasującym do sukienki. Jeffrey wżenił się w wygląd, i to wżenił wysoko.

- Jesteś sławny - stwierdziła Penny.

- Raczej powiedziałbym, że niesławny. Uśmiechnęła się uwodzicielskim uśmiechem, który Scott tak doskonale znał, i od razu rozgryzł Penny, ponieważ w college'u umawiał się z tak wieloma dziewczynami podobnymi do niej. Miła dziewczyna z Highland Park, która zeszła na złą drogę i teraz chciała się ustatkować u boku miłego chłopca z Highland Park, który mógł jej kupić ładną posiadłość. Scott objął gestem dłoni podjazd, parking, garaż i trawnik.

- Garaż na cztery samochody, ogrzewanie, klimatyzacja, basen i centrum odnowy biologicznej, domek z sypialnią i łazienką, wszystko na czterech tysiącach metrów kwadratowych w centrum Highland Park. Chodźcie, pokażę wam dom.

Scott poprowadził Birnbaumów przez dom, zaczynając od nowocześnie urządzonej kuchni z ręcznie malowanymi włoskimi kafelkami i chłodni, na tyle dużej, że można w niej było przechowywać wołową tuszę. Szedł dalej przez spiżarnię, jadalnię i salon na parterze, wykusz, następnie na dół, gdzie znajdowała się piwnica na wino, kino domowe, Pomieszczenie z bilardem, sala ćwiczeń. Jego zdjęcie z boiska stało oparte o ścianę, to samo zdjęcie, które przez jedenaście lat wisiało u niego w biurze.

- Jesteś legendą - powiedziała Panny. - Naprawdę zrobiłeś sto siedemdziesiąt sześć metrów w meczu przeciwko drużynie z Teksasu, jak pisały gazety?

- Jasne. Jesteś fanką futbolu?

- Och, uwielbiam futbol - odparła Penny.

Jeffrey spojrzał obojętnie na przyrządy gimnastyczne i wyszedł z pomieszczenia. Penny została z tyłu, ale przecisnęła się przed Scottem w drzwiach, obrzuciła go znaczącym spojrzeniem i wyszeptała:

- Ale jeszcze bardziej uwielbiam zawodników.

Zastali Jeffreya w sali gier, gdzie toczył kule bilardowe przez stół, następnie poszli na górę oglądać sześć sypialni i sześć łazienek. Trasa skończyła się w sypialni głównej, gdzie kamienny kominek oddzielał łazienkę od sypialni, prysznic parowy zdolny pomieścić trzy osoby, jacuzzi i miejsce do odpoczynku z widokiem na basen. JefTrey okazał się marudą pierwszej wody, musiał narzekać na wszystko w każdym pomieszczeniu i zachowywał się tak, jakby mu wszystko wisiało. Ale nie był w stanie nabrać Scotta. Scott widział, jak jest naprawdę, w jego spojrzeniu. To był dom, o jakim Jeffrey marzył przez całe życie. Scott wiedział, ponieważ w lustrze w łazience zobaczył identyczne spojrzenie jak swoje trzy lata temu. Jeffrey zapytał po raz trzeci czy kino domowe w piwnicy ma dźwięk dolby surround. Scott zapewnił go, że tak, ale Jeffrey powiedział, że sam pójdzie sprawdzić.

Jeffrey poszedł, a Penny skomentowała:

- Uwielbia kino akcji.

Poszli do głównej łazienki. Wkrótce Penny znów się odezwała:

- Scott, co to jest tu, w tym prysznicu parowym? Scott wszedł do łazienki i podszedł do prysznica. Drzwi były otwarte i Penny siedziała na wbudowanej w ścianę ławce.

- Co takiego?

- To.

Scott podszedł, żeby zobaczyć, a Penny bez słowa złapała jego szorty, ściągnęła je na dół i wzięła w usta jego penis, jakby wiedziała, co robi. Wiedziała. Mylił się co do Penny - nie skończyła jeszcze kroczyć złą drogą. Scott nie uprawiał seksu od ponad siedmiu miesięcy, a był zbyt przybity po odejściu żony, żeby się onanizować, nie trwało to więc długo.

- Matko!

Scott przytulił się twarzą do kafelków i poczuł, że ogarnia go senność, ale...

- Penny!

Jeffrey wrócił. Scott podciągnął spodenki, a Penny wytarła usta chustką. Chwilę później Jeffrey wsunął głowę do środka i powiedział z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Niech mnie, naprawdę słychać to dolby tam, na dole! Scott wyszedł z prysznica, a za nim, krok w krok, wyszła Penny, która uszczypnęła go w tyłek na odchodne. Kwadrans później cała trójka stała przy drzwiach frontowych.

- Nie pamiętasz mnie, prawda, Scott? - zapytał Jeffrey.

- Nie. A powinienem?

- Kilka lat temu pracowaliśmy razem nad pewną nieruchomością. Prezentowałeś Dibrellowi projekt biura terenów zielonych w północnym Dallas.

- A tak. Pracowałeś dla Dewey, Cheatham i Howe.

- Dewey, Chatcham i Howe.

- Tak, oczywiście.

- Cisnąłeś nas wtedy mocno. Ale nauczyłem się wiele na temat negocjacji, widząc cię w akcji.

- Wyślę ci rachunek. - Jeffrey się uśmiechnął, a Scott dodał: - To tylko biznes. Nic osobistego.

- Wobec tego mojej propozycji również nie potraktujesz jako niczego osobistego.

- A jaką masz propozycję?

- Trzy miliony sto tysięcy dolarów.

- Nie, nie potraktuję jej jako nic osobistego, bo z niej nie skorzystam.

Jeffrey uśmiechnął się chytrze.

- Daj spokój, Scott, wszystko było w gazetach. Wszyscy wiedzą, że się wyprzedajesz. Nie możesz oczekiwać najwyższej ceny.

Scott sięgnął do stolika przy drzwiach i wziął do ręki kopertę, która zawierała końcowy rachunek z Country Club, opiewający na cztery tysiące dolarów wypracowane przez panią Fenney w zeszłym miesiącu. Scott pomachał kopertą przed oczami Jeffreya.

- Dostałem już ofertę na trzy miliony trzysta tysięcy. Uśmieszek Jeffreya zniknął mu z twarzy.

- Żartujesz sobie.

Scott przybrał najszczerszą z min.

- Nic a nic.

Jeffrey spojrzał na Penny. Zrobiła nadąsaną minę, której uczą się dziewczęta w Highland Park w szkole średniej, minę, która była jednocześnie wstrętnie gówniarska i niezwykle zmysłowa. Sprawiała, że facet miał ochotę albo wziąć ją przez kolano i spuścić lanie, albo też zerwać z niej ubranie i posiąść siłą. Penny była dobra w te klocki. I Scott wiedział, że Jeffrey wysupła dodatkowe pieniądze, żeby Penny mogła zostać prawdziwą damą z Highland Park.

- Trzy miliony trzysta dziesięć tysięcy. Scott tylko się uśmiechnął.

- Jeffrey, nie masz się czego wstydzić, że nie stać cię na mój dom.

Scott nauczył się lata temu, kiedy był jeszcze ubogim krewnym, że można w Highland Park obrazić matkę chłopaka, jego siostrę, dziewczynę, tężyznę fizyczną i nawet zadrwić z rozmiarów jego małego, i nie wzbudzało to najmniejszych emocji, jeśli jednak kwestionowało się jego status majątkowy w społeczności, to bójka zaczynała się od razu. Twarz Jeffreya czerwieniała z każdą sekundą, i to nie tylko od przytyku Scotta - Penny ściskała go za ramię, jakby chciała sprawdzić mu ciśnienie krwi.

- Nie stać mnie? A właśnie, że stać! Trzy miliony czterysta! Jeffrey powinien zwracać baczniejszą uwagę na Scotta podczas negocjacji, bo najwyraźniej nie nauczył się zbyt dużo. Pierwsza zasada negocjacji mówi, żeby ego zostawić poza stołem negocjacyjnym, a druga zasada - żeby nie zabierać żony na negocjacje. Jeffrey pogwałcił obie zasady i teraz będzie musiał za to zapłacić. Scott wyciągnął do niego dłoń.

- Właśnie kupiłeś sobie dom.

Jeffrey na to:

- Chcę do tego wyposażenie, okiennice i tego czarnego. - Co?

- Urządzenia...

- Możesz sobie zatrzymać urządzenia, Jeffrey. Co miałeś na myśli, mówiąc, że chcesz tego czarnego?

- Nie idzie razem z domem? To twój służący, prawda?

- Nie, to mój przyjaciel. I nie idzie z domem. Niewolnictwo skończyło się kilka lat temu, może czytałeś coś na ten temat.

Jeffrey zmarszczył czoło, ale Penny uśmiechnęła się tylko i powiedziała:

- Będę musiała wymierzyć ściany na meble, może w poniedziałek rano? Będziesz w domu, Scott? Bardzo chciałabym dojść... Hm... przyjść.

***

- Nie mogę uwierzyć, że inne ofiary Clarka się nie ujawniły - powiedział Scott.

Było po kolacji. Dziewczynki siedziały na górze, a Scott i Bobby zalegli w kuchni na podłodze, pijąc piwo. Rozprawa miała się rozpocząć za dwa tygodnie.

- Są przerażone - wyjaśnił Bobby. - Widziały, co McCall co zrobił.

- Teraz cała sprawa opiera się na zeznaniu Hannah.

- I moich notatkach - odparł Bobby. - Czytałeś je już?

- Tak. Dobrze piszesz, Bobby.

- To jedyna prawnicza robota, którą lubię.

- Czemu więc w tym tkwisz? Bobby wzruszył ramionami.

- Za późno, żeby coś zmieniać. I mam długi, nie mogę sobie pozwolić na rzucenie tego w diabły. Głupio to zabrzmi, ale troszczę się o swoich klientów; chyba dlatego, że nikt inny tego nie robi.

- Zawsze przygarniałeś bezpańskie psy.

- Tak, w tym byłem dobry.

- Pamiętam takiego jednego z biało-brązowym pyskiem, nazywałeś go Obsraluch. Co się z nim stało?

- Ciężarówka go przejechała. - Aha.

- Lubiłem tego psa. - Siedzieli w milczeniu, po czym Bobby powiedział: - Kiedy będzie po wszystkim, może powinieneś wyjechać z Dallas.

- McCall mnie nie wypędzi z miasta. Zostaję.

- Dobrze. - Bobby upił nieco piwa. - Wezwijmy do sądu Dana Forda, niech poda nazwiska tych sześciu dziewczyn, którym zamknął usta pieniędzmi McCalla.

Scott potrząsnął głową.

- Nie poda ich za żadne skarby. A sędzia nie przebije się przez przywilej poufności klienta z mecenasem. Wiem, bo skrywałem dostatecznie dużo dowodów, powołując się na ten przywilej.

- W takim razie Hannah jest naszym jedynym świadkiem, oprócz Shawandy?

- Czy mówiłeś Carlowi, żeby sprawdził Delroya Lunda?

- O tak. Zabrał się za niego.

- A co ze świadkami oskarżenia?

- Dostałem listę od Raya. Pokazuje, jak przebiegnie proces.

- I jak to wygląda?

- To proces poszlakowy, jak większość. Ray najpierw wypuści gliniarzy z Dallas, którzy znaleźli samochód Clarka. Następnie pójdą gliniarze z Highland Park, którzy pojechali do posiadłości McCalla i znaleźli ciało. Potem przyjdzie kolej na agentów FBI, którzy badali miejsce zbrodni, zrobili zdjęcia, które on wyświetli na dużym ekranie. Następnie pojawi się patolog hrabstwa Dallas, który złoży zeznania na temat czasu zgonu i przyczyny. Następnie pojawią się laboranci, którzy zidentyfikowali odciski palców Shawandy na broni i samochodzie, testowali narzędzie zbrodni i zrobili badania balistyczne, oraz kryminolodzy, którzy przedstawią sposób, w jaki popełniono zbrodnię. Scotty, kiedy Ray skończy, cała ława przysięgłych będzie przekonana o jej winie.

- A wtedy my wystawimy Shawandę, prostytutkę i narkomankę.

- Musi zeznawać, Scotty. Wspaniale jest mieć Piątą Poprawkę, ale przysięgli oczekują, że osoba, która jest niewinna, zostanie zaprzysiężona, spojrzy im w oczy i powie, że jest niewinna.

- Wygląda jak z krzyża zdjęta.

- Też byś tak wyglądał, Scotty, gdybyś sobie wstrzykiwał smolistoczarną meksykańską herę trzy razy dziennie.

***

Sześć kilometrów dalej Shawanda Jones wyciągnęła igłę z prawego ramienia, opadła na pryczę w celi i czekała, aż heroina dostanie się do całego krwiobiegu, dotrze do mózgu, wypełni go i zakleszczy się w receptorach opiatów w komórkach nerwowych szarej masy. Kiedy heroina dotrze do receptorów, wyzwoli euforyczną ekstazę, która wstrząśnie ciałem jak orgazm, tylko mocniej. Kiedy minie pierwsza gorączka, Shawanda zapadnie w błogi spokojny sen.

Myślała o swoim krótkim życiu. Pierwszego leszcza miała w wieku dwunastu lat. Oczywiście jeśli nie liczyć wujka, który macał ją palcami, kiedy miała sześć lat, a potem dał

pięćdziesiąt centów na loda. W wieku czternastu lat zażywała regularnie kokainę, zaszła w ciążę jako piętnastolatka, a za heroinę zabrała się w wieku lat szesnastu. Od dwunastu lat była prostytutką, od ośmiu - heroinistką.

Dobrze myślała o sobie jedynie w takich chwilach. Kiedy była na prochach, znów czuła się, jakby była małą dziewczynką, szczęśliwą i czystą. Nie była dziwką biedaków czy białych. Znów była młoda i nie wiedziała nic na temat prochów czy oddawania się za pieniądze na Harry Hines Boulevard białym mężczyznom, którzy zapragnęli Murzynki. Była małą, szczęśliwą dziewczynką, jak Pajamae.

Na myśl o córeczce zachciało się jej płakać. Płakała, bo wyobraziła sobie, jak Pajamae daje sobie w żyłę i kładzie się za pieniądze z kim bądź i nikt inny jej nie kocha. Chciała, żeby jej córeczka miała lepiej w życiu niż ona. Chciała, żeby żyło się jej szczęśliwie, żeby poślubiła dobrego człowieka i mieszkała w dużym domu. Chciała, żeby ktoś kochał Pajamae, tak jak ona ją kochała. Jedyną rzeczą, którą Shawanda Jones kochała bardziej niż heroinę, była jej córka.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Scott wraz z Louisem i dziewczynkami przyjechał w południe następnego dnia, w sobotę, do aresztu. Louis został w samochodzie z powodu zadawnionych spraw z federalnymi. Scott wniósł do środka wielki koszyk, który został dokładnie jak zawsze sprawdzony przez strażnika za pomocą wykrywacza metali. Teraz, kiedy Scott nie stołował się już w Downtown Club, zaczęli jadać lunche z Shawandą w areszcie federalnym.

- Znowu piknik, panie Fenney?

- Tak. Może troszkę smażonego kurczaka, Jerry?

Jerry, pięćdziesięciokilkulatek z nadwagą, uśmiechnął się i wziął jedną nóżkę. Scott z dziewczynkami pojechał windą na piąte piętro, gdzie odebrał ich czarny strażnik.

- Ron! - przywitał się Scott. - Czas na piknik, kolego. Ron poprowadził ich korytarzem do tej samej sali, ale dziś wydawał się jakiś inny, poważniejszy. Już wcześniej przesunął stół i krzesła w róg pomieszczenia. Boo wraz z Pajamae rozłożyły koc na cementowej posadzce i usiadły na swoich miejscach. Ron wyszedł i wkrótce pojawił się z Shawandą, która najpierw uściskała Pajamae, później Boo, a następnie zwróciła się do Scotta:

- Panie Fenney, opuściła pana kobieta?

- Tak.

- Przeze mnie?

- Nie, Shawando, przeze mnie.

- Mamy kurczaka, mamo! Z Colonela! - wykrzyknęła Pajamae. - I sałatkę z ziemniaków, i fasolę, i bułki. Takie jak lubisz.

Ron podrapał się po głowie.

- Panie Fenney, ja... Ee...

- Ron, ile razy mam ci powtarzać? Jestem Scott. Nie możesz jeść ze mną smażonego kurczaka i mówić do mnie „panie Fenney".

- Scott, ja... muszę wszystkich zrewidować.

- Co takiego? Dlaczego?

- Przeszukaliśmy celę Shawandy i znaleźliśmy, ee... - Spojrzał na Pajamae. - Trochę niedozwolonej substancji.

- Myślisz, że ja jej to przynoszę? Ron pokręcił głową.

- Nie, proszę pana, nie pan.

Kiedy do Scotta zaczęło to docierać, obaj zwrócili się wolno w stronę Pajamae.

- Pajamae - powiedział Scott. - Kiedy zatrzymaliśmy się przy twoim mieszkaniu, wzięłaś coś dla mamy?

Z Louisem trzymającym strzelbę w dłoniach Scott nie bał się wrócić na osiedle. Ale jetta nie przyciągała tłumu gapiów. Kilku mieszkańców, którzy ich dostrzegli, było przyjaźnie usposobionych. Jeden chłopak zapytał:

- Louis mówi, że pobiegł pan sto siedemdziesiąt sześć metrów w meczu przeciwko drużynie Teksasu, to prawda? Biały chłopak? - Kiedy Scott zapewnił, że to prawda, chłopak stwierdził: - Z pana to jest gość.

Pomachał im na pożegnanie. Pajamae wzruszyła ramionami.

- Tylko lekarstwo mamy.

- A gdzie było?

- W apteczce, w ścianie pod zlewem w kuchni.

- Proszę, daj mi je.

Wsadziła rękę do kieszeni i wyciągnęła plastikową torebkę wypełnioną czarną substancją. Scott podał to Ronowi.

- Meksykańska czarna smoła - stwierdził Ron. Spojrzał na Shawandę. - Ten towar ma osiemdziesiąt procent czystości. Może cię zabić, mała!

Shawanda rzuciła się w kierunku Rona, stając się wyrwać mu torebkę.

- Oddawaj to!

Scott złapał Shawandę i przytrzymał, aż się poddała i opuściła ramiona.

- Przepraszam, panie Fenney. Ja już sobie pójdę - powiedział Ron. Otworzył drzwi, ale zatrzymał się w progu. - Shawanda, a może sędzia umieści cię w szpitalu więziennym w Forth Worth? Dadzą ci tam metadon.

Shawanda nic nie odpowiedziała, a Ron wyszedł, potrząsając głową. Scott puścił Shawandę, która opadła na podłogę. On usiadł na jednym z krzeseł i spojrzał na młodą Murzynkę.

- Czemu to robisz? Shawanda podniosła oczy.

- Bo tak się czuję dobra.

- Nie potrzeba ci tego. I tak jesteś dobra. Zaśmiała się.

- Mówi pan jak Louis. On zawsze powtarza: „Shawanda, jesteś dobrą dziewczynką Pana Boga".

- Ma rację.

- Nie, nie ma, panie Fenney. Wszyscy mieli Shawandę gdzieś. Mama, tata... Wszyscy.

- Ale Pajamae nie. - Odwrócił się do niej. - Kochasz swoją mamusię, prawda?

- Tak, panie Fenney, bardzo ją kocham.

- Masz więc już mnie, Louisa, Pajamae, Boo, Bobbyego... i Rona. Sześcioro ludzi zaświadczy, że jesteś dobra.

- To bardzo miłe, panie Fenney, ale jak wyjdę, to raczej nie będziemy się spotykać.

- Jasne, że będziemy. Nasze córki się przyjaźnią. Są jak siostry.

Shawanda zwróciła się do Pajamae:

- Prawda to? Boo jest jak twoja siostra?

- Tak, mamo.

- Pajamae jest jak siostra dla ciebie? - zapytała Boo.

- Tak, proszę pani.

I uśmiechnęła się najpiękniejszym uśmiechem, jaki Scott kiedykolwiek widział na jej twarzy.

- To dobrze. - Podniosła wzrok na Scotta. - Panie Fenney, jeśli stąd nie wyjdę albo jak oni... No, wie pan... Obieca mi pan coś?

- Jasne. Co takiego?

- Niech się pan zaopiekuje Pajamae.

Pięć tygodni temu, kiedy Scott zabrał małą dziewczynkę do domu w Highland Park, jego żona zapytała, co z nią zrobi, kiedy skażą jej matkę. Adoptuje ją? Wychowa jak swoją córkę? Wyśle ją do szkół w Highland Park? Tego dnia nie odpowiedział swojej żonie, bo

wtedy nie myślał o Pajamae. Myślał o sobie, o tym, jak boi się wrócić na tamto osiedle. Ale dzisiaj odpowiedział.

- Tak, Shawando. Obiecuję.

***

- Doskonały - powiedziała Boo.

Scott z dziewczynkami oglądał sześć domów - jeden tańszy od drugiego, aż w końcu cała trójka weszła do miniaturowego budynku o powierzchni stu czterdziestu metrów kwadratowych, z dwiema sypialniami i dwiema łazienkami, zlokalizowanego przy SMU, z huśtawką na podwórzu i basenem wielkości wanny, jaka była w rezydencji przy Beverly Drive numer 4000. Cena wynosiła tylko czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów, czyli była w zasięgu możliwości finansowych Scotta. Poza tym dom znajdował się w rejonie szkoły w Highland Park, Boo nie będzie więc musiała przenosić się do nowej podstawówki.

- Jedna sypialnia dla nas - zarządziła Boo - a druga dla ciebie. Możesz sobie wziąć tę większą.

Pajamae wybiegła na podwórze i Scott powiedział do Boo:

- Złotko, zrozum, jeśli jej mama wyjdzie z więzienia, to Pajamae wróci, żeby mieszkać razem z nią.

Boo skierowała na niego swoje zielone oczy.

- Bo tak sobie myślałam o tym...

- Na pewno.

- Ona nie ma taty, a ja teraz nie mam mamy, pomyślałyśmy więc, że moglibyście się pobrać z jej mamą... Albo co.

- Pobrać? Ale ona...

- Wiem, jest za młoda. Ma tylko dwadzieścia cztery lata. Ale Pajamae mówi, że to dobrze, jak starszy mężczyzna żeni się z młodszą. Mówi, że cały czas tak robią w Hollywood.

- Ale Boo, ja wciąż jestem mężem twojej matki.

***

Scott biegł z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę na mechanicznej bieżni. Ale nie była to siłownia w centrum Dallas, myśli nie układały się w logiczny ciąg, nastrojowi daleko było do szampańskości, a jego wzrok nie spoczywał na jędrnych pośladkach młodej dziewczyny, która biegła na przyrządzie przed nim, ani też figlarne spojrzenie dziewczyny za nim nie spoczywało na jego pośladkach, nie czuł się również ani młody, ani zwycięski, ani męski - ani też szczególny. Biegł po bieżni w siłowni w domu w Highland Park, który za dwa tygodnie przestanie być jego własnością.

Poranna wizyta u Shawandy zrodziła w głowie Scotta te same pytania: Czy dobrze zrobił? Czy dokonał właściwego wyboru? Czy życie Shawandy było warte poświęcenia jego idealnej rzeczywistości? Czy życie heroinistki jest warte życia prawnika? Nie mógł ocalić jej życia z dowodami, jakie przeciwko niej zgromadził Ray Burns. Zostanie uznana za winną i skazana na śmierć lub długi wyrok w więzieniu. Ale on już złożył ofiarę - jego życie legło w gruzach. Nie było mowy o żadnym qui pro quo, nie ma czegoś za coś, czegoś w zamian. Oddał swoje idealnie poukładane życie i nie dostał za to niczego. I sama ta myśl przywołała znów ciemne chmury, które zasnuły mu umysł. Zrobił więc to, co potrafił robić w złych chwilach - ćwiczył. Intensywnie. Dwa razy dziennie. Codziennie. Zaczął ćwiczyć tak pilnie, jakby miał dojść do formy przed kolejnym sezonem futbolowym: biegał, podnosił ciężary, torturował swoje ciało, żeby uwolnić umysł.

Ale z powodu tych ćwiczeń zaczął myśleć o futbolu, a myśli o futbolu zawsze krążyły wokół myśli o czirliderkach, to zaś w prostej linii prowadziło do rozważań o żonie. Rozpamiętywał ich wspólne życie we dnie i w nocy, wakacje na Hawajach, w San Francisco i w Londynie, i oczywiście myślał o Boo. Mieli za sobą jedenaście lat małżeństwa i teraz odeszła. Czy ich małżeństwo było od początku pomyłką? Czy kiedykolwiek go kochała? Oczywiście nigdy nawet do głowy mu nie przyszło, że go nie kochała, bo kochali go wszyscy - fani, trenerzy, czirliderki... Wszyscy zawsze kochali Scotta Fenneya.

Miał tyle pytań, ale nikt nie potrafił mu na nie udzielić odpowiedzi. Jego matka powiedziałaby: „Taki był boski plan. Bóg miał swojej powody i nie nam je roztrząsać". Butch powiedziałby: „Żeby tak uciec, trzeba być samolubną suką". Prawda leżała jednak gdzieś pośrodku. Ale wiedział jedno - gdyby Rebecca nie została jego żoną, nie byłoby Boo. A bez Boo nie byłoby życia dla Scotta Fenneya.

***

- A co miałem, do cholery, zrobić? Zabić go?

- Jezu, Delroy! W Highland Park Village?

Delroy Lund znajdował się w domu McCalla w Georgetown. Senator stał przy oknie. Nie był zadowolony, kiedy usłyszał, co zaszło między Delroyem i Fenneyem w centrum handlowym.

- Starałem się tylko dać mu do myślenia, a ten zupełnego świra dostał... A, właśnie. Kupił pan samochód z wypożyczalni.

Senator machnął tylko ręką. Delroy szczególnie doceniał ten aspekt pracy u faceta, którego majątek wynosił osiemset milionów dolarów - nawet okiem nie mrugnął na wydatek

rzędu trzydziestu pięciu tysięcy dolarów. Chciał tylko wyników i miał w dupie koszty. A Delroy Lund miał wyniki.

- Teraz z tyłu domu mieszka taki wielki Murzyn. Ale mogę spróbować znów, jak pan chce.

- Nie, zostaw to. Jak się weźmiecie z tym Murzynem za łby, to czyjaś głowa spadnie, to na pewno. I tylko jeszcze tego mi potrzeba, żeby powiązano mnie z morderstwem. Żona Fenneya go rzuciła?

- Tak, uciekła z tym golfistą.

Senator uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia.

- To dobrze.

- Niech pan posłucha, senatorze. Fenney nagadał ile wlezie w telewizji, ale nie ma nic, żeby to udowodnić. Inne dziewczyny nie będą zeznawać. Mają tylko Hannah Steele.

- Ona wystarczy, do jasnej cholery!

Senator odwrócił się od okna i zaczął chodzić po pokoju, mówiąc do siebie, jakby głośno myślał:

- Piętnaście miesięcy do wyborów. Jeśli skażą dziwkę, to wszyscy pomyślą, że to, co Fenney mówił w telewizji, to stek kłamstw prawnika. Po kilku miesiącach ludzie o wszystkim zapomną... Wyborcy traktują moją kandydaturę poważnie już od dwóch lat. Wciąż mogę dostać się do Białego Domu, Delroy, ale po warunkiem, że ją skażą. Jeśli jednak na sali sądowej pojawi się Hannah Steele i zezna, że Clark ją pobił i zgwałcił...

Senator potrząsał głową.

- Ale panie senatorze, jeśli tamta nie będzie zeznawać, to mają tylko słowo tej kurwy.

Senator wpatrywał się przez chwilę w Delroya.

- Delroy, sprawdź, czy ryby biorą w Galveston.

Scott Fenney nie płakał od śmierci matki. A wcześniej tylko wtedy, kiedy zginął ojciec. Nie płakał, gdy przyszpilali jego ciało do murawy, ani kiedy złamali mu palce, ani kiedy trzasnęły mu żebra, ani kiedy pękły wiązadła w kolanach. Nie wolno płakać na boisku.

Ale Scott Fenney nie był już na boisku - leżał w łóżku i płakał.

Zona rzuciła go dla golfisty. Było to ostateczne upokorzenie na długiej liście upokorzeń, które ze szczegółami opisała miejscowa gazeta. Całe Dallas wiedziało o upadku z piedestału Scotta Fenneya. Kilka tygodni temu miał wzorową rodzinę mieszkającą w Highland Park: szykowną żonę i inteligentną córkę, pracującą na czarno meksykańską pomoc domową oraz ferrari. Dzisiaj rodzina składała się z białej dziewczynki w afrykańskich warkoczykach, wyszczekanej czarnej dziewczynki, która niejedno w życiu widziała,

prostytutki w areszcie, prawnika, który ogłaszał się w telegazecie, i mierzącego ponad dwa metry, ważącego sto osiemdziesiąt kilogramów czarnego ochroniarza, który mieszkał w garażu.

- A. Scott, nic ci nie jest?

Głos Boo dobiegł z ciemności. Scott otarł oczy prześcieradłem.

- Nic.

Boo wspięła się na łóżko.

- Nie wstydź się, ja też płaczę.

Scott usiadł na łóżku i przyciągnął do siebie córkę. Poczuł, jak jej drobne ciałko lekko osunęło się w jego ramionach. Pomyślał, że zasnęła, ale odezwała się cicho:

- Zawsze byłam inna. Teraz jestem zupełnie inna.

- Jak to?

- Jestem jedyną dziewczynką, jaką znam, która nie ma komórki lub matki. Pajamae mówi, że nie zna u siebie nikogo, kto miałby ojca, ale matki mają wszyscy. Rachel i Cary, one nie mają ojców... No, może i mają, ale oni z nimi nie mieszkają. Rozwiedli się z matkami. Ale widują tatusiów w weekendy. - Znów zamilkła. Po chwili dodała: - Raczej nie sądzę, żebyśmy widywali się z mamą w weekendy.

Scott objął ją mocniej.

- Teraz mamy tylko siebie, kochanie.

I zapłakali razem.

Rozdział dwudziesty drugi

W poniedziałkowy poranek Bobby pojawił się w domu Scotta o godzinie dziewiątej. Obrzucił przyjaciela bacznym spojrzeniem.

- Masz zamiar pójść na spotkanie do sędziego w dżinsach i koszulce polo?

- A co Buford mi zrobi? Wyleje mnie?

- Dobre pytanie.

Wyszli tylnymi drzwiami akurat w chwili, kiedy Louis wchodził. Po niemal trzech tygodniach spania w garażu i nieustannych błaganiach Scotta w końcu się poddał i zaczął jadać w domu. Pajamae właśnie przygotowywała śniadanie.

***

Kiedy Scott, kierując volkswagenem, skręcił na południe, w Turtle Creek Boulevard, Bobby zapytał:

- Jak ci się jeździ jettą?

- Cóż, ferrari rozpędzało się do setki w pięć sekund, a jetta rozpędza się pół dnia, ale słuchaj, to maleństwo pali minimalnie. - Bobby się zaśmiał, ale natychmiast spoważniał, kiedy Scott powiedział: - Czemu nie jesteś na mnie zły?

- Za co?

- Ze cię wtedy tak olałem.

- Och! - Wzruszył ramionami. - Co by to dało? Zniknąłeś. Nie wiedziałem, co mam zrobić, ożeniłem się więc z pierwszą panną, która powiedziała: „tak". Trwało to krócej niż rok, tyle zajęło jej zorientowanie się, że wyszła za frajera. Z drugą żoną pobraliśmy się cztery lata po moim rozwodzie. To była siostra faceta, który prowadzi bar koło mojej kancelarii, Meksykanka, najpiękniejsza kobieta, jaką widziałem w życiu nago. Problem polegał na tym, że nie byłem jedynym facetem, który oglądał ją nago. Szła w tango z większością klientów tego baru. Niektórzy z nich byli moimi klientami. Wciąż są.

Bobby zrobił głupią minę.

- Czy to można podciągnąć pod konflikt interesów?

***

- Komornik zabrał ci też garnitury?

Ray Burns miał ten sam cwaniacki wyraz twarzy co poprzednio. Spotkali go przed gabinetem sędziego Buforda, gdzie miało się odbyć spotkanie przed rozprawą.

- Kurwa, Scott! Może powinieneś przyłożyć sobie spluwę do czoła, jak twoja klientka przyłożyła Clarkowi? To by ci bardzo ulżyło.

- O czym ty gadasz, Ray?

- Przecież zaprzepaściłeś dla niej karierę. Jezu, naprawdę zarabiałeś rocznie siedemset pięćdziesiąt? I miałeś ferrari? Co ty, życia ci się odechciało, czy jak?

Scott spojrzał na Raya Burnsa i mijając go, wszedł do gabinetu sędziego Buforda, ale usłyszał, jak Bobby mówi:

- Ray, jak na taki niewyparzony pysk masz zbyt chuderlawe ciałko. Uważaj!

***

- Wstępny wybór ławy przysięgłych odbędzie się w poniedziałek dwudziestego trzeciego - oznajmił sędzia Buford. - Coś jeszcze, panowie?

- Tak, panie sędzio - powiedział Scott. - Pan Burns upiera się we wstępnym oskarżeniu, że domniemana zbrodnia jest zagrożona karą śmierci, ale chyba nie w tym wypadku.

Ray Burns wzruszył ramionami.

- Prokuratura uważa, że skoro ofiarą był urzędnik federalny, to oskarżona zabiła go z zamiarem rabunku.

- Daj spokój, Ray. Clark McCall był z prostytutką. Nie wykonywał swoich obowiązków urzędnika federalnego. A ona nie dokonała rozboju. Wzięła tylko tysiąc dolarów, które był jej winien Clark. Miał jeszcze przy sobie tysiąc sześćset dolarów. Nie wzięła ich, podobnie jak niczego innego z domu.

- Zabrała samochód.

- Tylko po to, żeby dojechać tam, skąd została przywieziona.

- Miała jego skórę pod paznokciami.

- Podrapała go, kiedy się na nią rzucił. Nie wypiera się, że tam była.

- Ale wypiera się tego, że pociągnęła za spust, nawet w samoobronie. Widzisz, Scott, gdyby choć do tego się przyznała, bylibyśmy skłonni zrezygnować z żądania kary śmierci.

- Wykorzystywanie kary śmierci do wymuszenia zeznania to poważny błąd proceduralny, Ray.

Ray wzruszył ramionami.

- My to nazywamy proceduralną decyzyjnością, Scott.

- Gadasz bzdury, Ray - odparował Scott.

- A ty jesteś bezrobotny.

- Panowie! - powiedział sędzia Buford, kiedy Scott zwalczył w sobie chęć przyłożenia zastępcy prokuratora z ramienia rządu Stanów Zjednoczonych. - Kwestia kary śmierci została dobrze opracowana przez pana Burnsa z prokuratury i pana Herrina, obrońcy, jak sądzę. - Sędzia Buford spojrzał na Scotta znad okularów. - Zajmiemy się tym zagadnieniem, jeśli będzie to konieczne. Coś jeszcze?

- Nie, panie sędzio - odpowiedział Ray Burns.

- Nie, panie sędzio - zawtórował mu Scott.

- Dobrze. Spotykamy się ponownie dziewiętnastego. Trzej prawnicy wstali i chcieli już wyjść, kiedy sędzia powiedział:

- Scott, mogę zamienić z tobą słowo na osobności? Buford zwrócił się też do Raya:

- Nie ma pan nic przeciwko, panie Burns?

- Nie, panie sędzio, nie mam.

Ray i Bobby wyszli z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

- Usiądź, Scott.

Scott usiadł. Sędzia Buford wpatrywał się w niego jak psychiatra w swojego pacjenta.

- Trzymasz się jakoś?

- Tak, panie sędzio - skłamał Scott.

- Czytałem o tym, co się stało. Jak wszyscy w Dallas, tak sądzę. Naprawdę deportowali tę gosposię?

- Tak, panie sędzio. Teraz czeka w Nuevo Laredo na zieloną kartę. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, ale w urzędzie imigracyjnym mówią, że są zawaleni robotą.

- Scott, gdybym wiedział, że tak to się skończy, że stracisz pracę, nigdy bym cię nie wyznaczył. Spodziewałbym się czegoś takiego po McCallu, ale Dan Ford... - Ramiona mu opadły i potrząsnął głową. - Nie wiem, co się stało z tymi wszystkimi prawnikami. Kiedy praktykowałem, dostać taką sprawę to było coś. Teraz wszyscy tego unikają, ponieważ mogłoby to zaszkodzić interesom firmy.

Spojrzał na Scotta z prawdziwym zdziwieniem na twarzy.

- Czy mecenasi dzisiaj gonią tylko za pieniędzmi? Scott powiedział prawdę:

- Nie, panie sędzio, według mnie nie. Sędzia mruknął.

- Scott, mogę zadać ci pytanie osobiste?

- Oczywiście, panie sędzio.

- Ta twoja przemowa podczas lunchu... Naprawdę mówiłeś prawdę o obronie niewinnych, chronieniu ubogich i walce o sprawiedliwość?

„Skłamać czy powiedzieć prawdę?". Scott zobaczył w oczach sędziego błysk nadziei, że mówił wtedy to, co myślał, w pierwszym odruchu miał więc zamiar zrobić to, co każdy doświadczony prawnik robi najlepiej - skłamać. Ale sędzia potrzebował tej prawdy. Dlatego A. Scott Fenney uczynił coś, co stało w sprzeczności z czternastoma latami edukacji prawniczej, i powiedział prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

- Nie, proszę pana. Nie było w tym ani słowa prawdy. Powiedziałem to, co chcieli usłyszeć prawnicy.

Sędzia pokiwał w skupieniu głową.

- Doceniam twoją prawdomówność, Scott. Zwalniam cię z tej sprawy. - Oczy sędziego spoczęły na sprawozdaniu sądowym. Zaczął pisać. - Wyznaczam pana Herrina za ciebie. Wydaje mi się, że sobie poradzi. Z całą pewnością pisze dobre podsumowania.

Dwa miesiące temu Scott aż podskoczyłby z radości na słowa sędziego. Ale dzisiaj siedział tylko osłupiały i szczerze przerażony wizją utraty ostatniej klientki, nawet jeśli nie płaci, bo prawnik bez klienta jest tylko zwykłym człowiekiem.

- Panie sędzio, wiem, że daleko mi do pana, nie jestem też prawnikiem, jakim moja matka chciała, żebym był... Do diabła, nawet nie jestem prawnikiem, jakim sam chciałem

być. Ale się nie poddaję. Nigdy nie poddałem meczu i niczego w swoim w życiu. Zawsze rozgrywam to, co mam do rozegrania.

Sędzia podniósł wzrok i wpatrywał się teraz intensywnie w Scotta.

- To nie jest jakiś cholerny mecz, Scott!

Scott aż się wzdrygnął, słysząc ostry ton sędziego.

- W tej sprawie nie chodzi o twoje życie, nie chodzi o udowadnianie czegokolwiek ani Danowi Fordowi, ani McCallowi! To sprawa Shawandy Jones, tu chodzi o jej życie! Jest oskarżona! Ma prawo do dobrej obrony, do jasnej cholery!

Sędzia podniósł się z miejsca, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Po chwili odezwał się już łagodniej:

- Jestem starym sędzią, który już dawno powinien przejść na emeryturę i pielęgnować ogród. Ale pojawiła się ta sprawa i wiem, że wciąż mogę zadośćuczynić sprawiedliwości, za każdym razem w wypadku jednej osoby. I w ten sposób się to robi, Scott: jedna osoba, jeden proces. Dzisiaj spotkaliśmy się po to, aby chronić Shawandę Jones. Ta kobieta jest pod moją opieką do czasu, kiedy przebywa w areszcie federalnym. Aresztowaliśmy ją, zabraliśmy z domu od dziecka i będziemy sądzić, a stawką w tym osądzie będzie jej życie. Może jest winna, może jest niewinna... Nie wiem. Ale dopóki nie poznamy werdyktu przysięgłych, w świede prawa jest niewinna, a tym samym w moich oczach. I będę ją chronił. To mój obowiązek. A obowiązkiem jej adwokata jest bronić jej, dopilnować, żeby prokuratura z całą pewnością udowodniła jej winę, bez wątpliwości. Tego właśnie wymaga konstytucja, żeby prawnik toczył spór z oskarżycielami w imieniu obywatela. To właśnie podstawowa powinność adwokata, Scott.

Sędzia wrócił za biurko i usiadł.

- Kiedy jeszcze praktykowałem, w kilku sprawach podobnych do tej, w których wina oskarżonego nie była ewidentna, w każdej z takich spraw zmuszałem prokuraturę do bezspornego udowodnienia winy. Co się jej nie udawało. Byli niewinni i zostawali uwolnieni od oskarżenia. Sześciu ludzi, Scott, sześć istnień ludzkich, które ocaliłem. Troszczyłem się o nich, tak jak teraz troszczę się o panią Jones. Nie umrę bogaty, Scott, ale te kilka spraw to mój wkład w sprawiedliwość na świecie. Dzięki nim wiem, że życie ma jakiś sens. Pani Jones potrzebuje adwokata, który zatroszczy się o nią, kogoś, kto będzie jej bronił z całych sił, kogoś, kto rozumie, że to zaszczyt bronić obywatelki Ameryki stojącej w obliczu kary śmierci. Ona potrzebuje bohatera. Byłeś takim zawodnikiem i sądziłem, że jesteś również takim adwokatem. Myliłem się. - Sędzia wziął pióro do ręki. - Zabieram ci tę sprawę. Wyznaczam Herrina na jej obrońcę i odraczam rozprawę.

Scott podskoczył na równe nogi i nachylił się nad biurkiem sędziego.

- Panie sędzio, nie może pan odroczyć rozprawy! To ją zabije! Teraz już ledwie się trzyma. Mówiłem jej, że to wszystko się niedługo skończy. Ale jeśli odroczy pan proces, Shawanda umrze w swojej celi!

Sędzia usiadł prosto z dziwnym wyrazem twarzy.

- Co to, troska o klientkę?

- Miał pan rację, panie sędzio, nie troszczyłem się o nią. Ale jestem cholernie dobrym prawnikiem i ona mnie potrzebuje.

Sędzia Buford zdjął okulary i wytarł szkła chusteczką. Włożył je ponownie na nos i spojrzał na Scotta.

- Jest heroinistką, wiesz o tym?

- Tak, panie sędzio.

- Dlaczego nie wnioskowałeś o przeniesienie jej do szpitala więziennego na odtrucie?

- Nie... nie pomyślałem o tym.

- A ja pomyślałem. Ale odmówiła. Chce być blisko swojej córki. Widziałeś narkomankę na głodzie?

- Nie, panie sędzio.

- To idź na dół i się przypatrz. Przechodzi przez piekło sama w celi, byle tylko widywać się z córką. Co to nam o niej mówi? Mówi, że w tej kobiecie jest dobro, mówi, że może powinniśmy przymknąć oko na prostytucję, narkomanię, a nie zakładać z góry, że jest winna, że może powinniśmy jej dać błogosławieństwo wątpliwości. Mimo wszelkich innych wątpliwości, Scott. - Westchnął. - Mam z jednej strony Burnsa, który stara się za wszelką cenę z wysokości swojego prokuratorskiego piedestału posłać ją do celi śmierci, co prawdopodobnie zostanie podtrzymane w sądzie apelacyjnym. I mam ciebie. Dla niego nie ma nadziei; jest prawnikiem najgorszego chowu, zwierzęciem politycznym wykorzystującym prawo, żeby zdobywać władzę. A ty, A. Scott Fenney...? Tak w ogóle, od czego to skrót to „A”?

- Od niczego.

Sędzia mruknął coś pod nosem.

- Ty nie pragniesz zdobyć władzy, ty chcesz tylko pieniędzy. Muszę więc sobie odpowiedzieć na pytanie: Czy dla ciebie jest jakaś nadzieja? Wiem, że przyprowadzasz do niej jej córkę na widzenia, jak mówią strażnicy, trzy, cztery razy w tygodniu. To dobrze. I że przyjąłeś jej córkę i mieszkacie razem w domu w Highland Park. To bardzo dobrze.

Sędzia zamilkł i odkaszlnął.

- Prawdopodobnie nie zostaniesz człowiekiem roku w Highland Park, prawda? Ale to mi mówi, że też masz w sobie dobro, Scott, że może jest dla ciebie jakaś nadzieja, że być może nie zmienisz się w kolejnego Dana Forda. Ze może pewnego dnia będziesz mógł powiedzieć: „Mama byłaby ze mnie dumna".

Sędzia zamilkł i wpatrywał się w Scotta w taki sam sposób, jak trenerzy z college'u, którzy przyszli do wynajmowanego domu Fenneyów, żeby pooglądać go sobie przed naborem, zobaczyć go na żywo, zmierzyć, ocenić i przekonać się, że jest prawdziwie dobrym nabytkiem. Nagle Buford machnął ręką.

- Idź już sobie. - Co...?

- Idź, przemyśl to sobie. Mam przesłuchania aż do południa. Wrócisz wtedy, ale wyłącznie wtedy, kiedy będziesz pewien, że chcesz być jej adwokatem. Jak się nie pokażesz, to wyznaczę Herrina na obrońcę i odroczę rozprawę.

Przed drzwiami czekali Bobby i Ray.

- Co się dzieje? - zapytał Bobby. Scott potrząsnął tylko głową.

- To sprawy osobiste. - Następnie zwrócił się do Raya. - Zachowujesz się jak rasowy kutas, Ray.

- Tak, Scott. Jak kutas z karierą. Wyrok skazujący zaprowadzi mnie wprost do Waszyngtonu.

- Ty w ogóle możesz spojrzeć na siebie w lustrze? Ray zarechotał.

- Oho, nowo wyświęcony prawnik. Przez jedenaście lat tylko naliczałeś płatne godziny, zarabiałeś kupę szmalu, mieszkałeś w wielkiej posiadłości i jeździłeś ferrari; ile to kosztowało twoich klientów? Potem cię wylali i nagle zobaczyłeś światło, jak konający: „Chcę się poprawić, Panie Boże!". Gówno prawda, Scott. Masz ją centralnie w dupie. W końcu co kogo obchodzi jakiś asfalt, mam rację? Dwa miesiące temu starałeś się podrzucić ją komukolwiek jak zgniłe jajo, a teraz chcesz być jej bohaterem? Zadzwoń do Oprah. A tak w ogóle, to nie budzę się sam i nie muszę patrzeć w lustro, śpię z cudowną rudą z księgowości. A z kim ty śpisz? Nie z żoną, bo ona wysypia się na turniejach golfowych.

Scott ruszył w kierunku Raya, ale Bobby wskoczył między nich.

- Do diabła, Scott - powiedział Ray z uśmieszkiem na twarzy.

- Nie łam się. Ta suka pewnie nie pociągnie długo na głodzie.

W ułamku sekundy Bobby puścił Scotta i uderzył Raya w twarz. Ten tylko osunął się po ścianie.

- A nie mówiłem, Ray, żebyś uważał - skomentował Bobby.

***

- Naprawdę martwię się o nią, panie Fenney - powiedział strażnik Ron. - Teraz sobie myślę, że może zrobiłem błąd, zabierając jej heroinę.

Stali przed celą Shawandy. Leżała na łóżku twarzą do ściany, zwinięta w kłębek, a całym jej ciałem wstrząsały drgawki. Jęczała, jakby miała umrzeć, jej skóra błyszczała od potu.

- Dlatego mówią o rzucaniu nałogu - wyjaśnił Bobby.

- Teraz dałaby wszystko, żeby dostać działkę.

***

Bobby potarł prawą pięść.

- Bicie boli.

- Jestem z ciebie dumny, Bobby. - Scott skierował jettę do Highland Park. - Wiesz, co mnie najbardziej wkurza?

- Ferrari?

- Nie, u Burnsa. - Co?

- Ze ten kutas ma rację. Co do mnie.

Bobby rozmasowywał dłoń.

- Czego chciał Buford?

- Chciał odebrać mi sprawę. Powiedział, że wyznaczy ciebie.

- Wciąż chcesz się jej pozbyć?

- Nie. Powiedziałem to Bufordowi, ale on kazał mi to przemyśleć, przyjść w południe i powiedzieć, że jestem gotów zostać jej adwokatem.

Aż do granic śródmieścia nie odzywali się do siebie. Wtedy Bobby powiedział łagodnie:

- Nie dam sobie rady z tą sprawą, Scotty. Nie jestem tak dobry. Ona potrzebuje ciebie.

***

Godzinę później Scott wyszedł z domu tylnymi drzwiami i pobiegł na zachód przez Beverly Drive. Była jedenasta - miał równo godzinę na podjęcie najważniejszej decyzji w życiu.

Scott skręcił na południe, w Lakeside Drive, i pobiegł wzdłuż statecznych starych posiadłości, które stały tutaj niemal od czasu powstania Highland Park. Domy wznosiły się nieco nad poziomem ulicy, górując nad niewielkim parkiem i Turtle Creek, gdzie Scott często zabierał Boo, żeby wspólnie puszczać kaczki na wodzie.

Skierował się na zachód, w Armstrong Parkway, i skręcił na północ, w Preston Road, gdzie pobiegł po chodniku. Po obu stronach drogi wznosił się mur strzegący olbrzymich posiadłości Trammela Crowa, Jerry'ego Jonesa, Macka McCalla i...

Toma Dibrella.

Scott niemal wpadł na wielkiego srebrnego mercedesa, w którym Tom przystanął przy wyjeździe, żeby zobaczyć, czy nic nie jedzie, blokując jednocześnie chodnik. Wpatrywali się w siebie z niewielkiej odległości. Tom miał na sobie garnitur i krawat, ale był bezpieczny w klimatyzowanym niemieckim samochodzie. Scott miał na sobie tylko spodenki i buty do biegania i pocił się obficie w czterdziestostopniowym upale. Przez jedenaście lat nie było dnia, żeby ze sobą nie rozmawiali, podróżowali po kraju, negocjowali warunki umów, zawierali umowy, podpisywali umowy, świętowali zwycięstwa i opłakiwali porażki, jedli razem, upijali się, ale nigdy nie byli przyjaciółmi. Znany prawnik Scott wiedział już, że miał bogatych klientów, a nie lojalnych przyjaciół.

Teraz widząc tego mężczyznę, który dał mu tożsamość i potem mu ją zabrał, Scott zauważył, że to smutny człowiek. Miał cztery żony, ale żadna nie dała mu szczęścia. Miał sześcioro dzieci z trzema z nich; dzieci, które nie mieszkały w pełnej przepychu posiadłości, ponieważ ich ojciec darzył swój wieżowiec większym uczuciem niż je. Człowiek otoczony prawnikami, ale nie przyjaciółmi. Ma pieniądze i wszystko, co można za nie kupić, ale ani odrobiny szczęścia. Trzy tygodnie temu, po tym jak Tom go wylał, gdyby spotkali się tak jak teraz, Scott Fenney pewnie wykonałby w jego kierunku obraźliwy gest.

Dzisiaj Scott tylko skinął głową i uśmiechnął się do smutnego faceta w mercedesie.

Tom otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili gwałtownie odwrócił wzrok i mocno wdusił pedał gazu, wyjeżdżając srebrnym sedanem na Preston Road. Scott patrzył przez chwilę w ślad za Tomem, stojąc w obłoku spalin, po czym znów zaczął biec. Pobiegł na północ przez Village, przecinając Mockingbird Lane. Kilometr dalej skręcił na wschód, na Lovers Lane. Teraz wiedział, dokąd biegnie.

Droga zaprowadziła go na granicę terenu Highland Park Country Club, otoczonego wysokim murem strzegącym członków przed gapiami. Ale była w nim niewielka przerwa zabezpieczona jedynie kutym, żelaznym parkanem. Scott zatrzymał się i zajrzał do środka. Czterech białych starszych mężczyzn stało przy siódmym dołku, starając się pograć w golfa, zanim gorące lato odbierze im siły.

Dorastając w Highland Park, Scott często zaglądał przez ten parkan, obserwując starców grających w golfa. Przypominało to stanie z nosem przy szybie w Highland Park Village przy sklepach, w których nie mógł robić zakupów, bo nie było go na to stać. Zawsze

wtedy powtarzał sobie, że pewnego dnia będzie tak bogaty, żeby kupić sobie posiadłość w Highland Park, grać w golfa w klubie i kupić mamie cokolwiek, czego by zapragnęła z każdego sklepu w Village. Zmarła, zanim zdołał jej coś kupić w Village, ale cztery lata temu, kiedy Scotta przyjęto w poczet członków klubu, pomyślał sobie, jaka dumna byłaby jego matka, gdyby go widziała. Przez ostatnie cztery lata grał w golfa i był dumny, że stoi za tym murem, a inni tylko zaglądają przez parkan.

Dziś patrzył na to inaczej.

Wewnątrz ci biali, starzy mężczyźni wyglądali szykownie, bo byli bogaci. Z zewnątrz było widać tylko ich wiek. I Scott zauważył, że kiedy patrzył na nich, oni obserwowali jego. I zobaczył zawiść w ich spojrzeniach. Z ochotą oddaliby każdego dolara, żeby być znów młodzi, mieć znowu włosy na głowie, bystry wzrok i czysty umysł oraz pamięć, która nie zawodzi kilka razy w ciągu dnia. By znów obudzić się w mocnym, umięśnionym ciele, zamiast w osłabionym, przygiętym troskami całego życia. By lekko pobiec ulicą, zamiast człapać do wózka golfowego. By mieć sprawną prostatę, zamiast zakładać pieluchę, bo po wszystkich operacjach ciało odmawiało już posłuszeństwa. By znów móc czerpać radość z seksu. Spoglądali przez parkan na młodzieńca, przed którym było jeszcze całe życie, on patrzył na starców, których życie dobiegało końca.

Starców obsługiwali pomocnicy - czarni, w średnim wieku, w białych płóciennych strojach. Czarni, którzy muszą złapać autobus wcześnie rano w południowym Dallas i jechać na drugi koniec miasta do Highland Park, do pracy w klubie, którego członkami nigdy nie zostaną, bo urodzili się czarni. Byli to dobrzy ludzie, tacy jak Louis, ale nie dość dobrzy, żeby zostać członkami klubu. Byli to ci, którzy ustawiali chorągiewki starcom, odnajdywali piłeczki i nosili kije, zachowując się jak aktorzy z Przeminęło z wiatrem: „Oczywiście, panie Smith, macha pan tym kijem jak sam Arnold Palmer", ponieważ kiedy starcy czuli się jak właściciele plantacji na Południu, czarni dostawali większe napiwki. Scott czuł się niepewnie w otoczeniu czarnych pomocników, ale zawsze wynajmował jednego, bo w klubie po prostu tak wypadało.

Po każdej rundzie odpoczywał w sali klubowej przy drinkach czy kartach z tymi starcami i czuł się tak dumny z tego, że go akceptują, że ludzie widzą go w ich towarzystwie, że znajduje się w drogocennym i szczególnym otoczeniu. Spijał słowa z ich ust - zwykle były to dowcipy lub komentarze o „czarnuchach", „kaktusach" czy Żydach, które padały bez względu na to, czy w pobliżu znajdował się kelner, czy nie. Ale spojrzenie Scotta zawsze padało na tego kelnera i widział, że ten ledwie może to wytrzymać. A jednak Scott Fenney, który grywał w futbol z czarnymi zawodnikami, wchodził z nimi pod prysznic, kolegował się

z nimi, imprezował, nigdy nie wstał i nie powiedział tym staruchom, że nie będzie więcej grał z bandą rasistowskich skurwysynów. Nie, A. Scott Fenney uśmiechał się grzecznie w reakcji na ich żarty. I potakiwał, żeby się nie obrazili. Ponieważ urażenie tych starców mogło źle wpłynąć na jego pozycję.

Pewnego dnia, rok temu, Scott zapytał Dana Forda, czy ci ludzie rzeczywiście nienawidzą czarnych, Meksykanów i Żydów. Dan zaśmiał się tylko i powiedział: „Och, nie, oni nienawidzą większości ludzi, nie tylko Murzynów, Meksykanów czy Żydów. Nienawidzą demokratów, jankesów, Kalifornijczyków, Azjatów, feministek, muzułmanów - każdego, kto się od nich różni. Widzisz, Scotty, ci starzy pierdziele byli w szczytowej formie w latach pięćdziesiątych, w czasach, kiedy byli młodzi i biali rządzili Dallas, a z czarnym kojarzyła im się tylko ropa, i kiedy Texas Railroad Commission kontrolowała cenę ropy na całym świecie. Teraz najlepszy golfista na świecie jest czarny, mamy w Dallas panią burmistrz, a cenę ropy kontrolują szejkowie arabscy. Jedyną cząstką ich świata, w której dalej rządzą biali, jest ten klub. Jakby znów były lata pięćdziesiąte. I chcą, żeby tak było dalej, do dnia ich śmierci. Czy to się komuś podoba czy nie, te gnojki mają na własność prawie całe Dallas, jeśli więc chcesz być bogatym prawnikiem, musisz do nich dołączyć. Scotty, mój chłopcze, to tylko biznes.

Dan Ford się mylił: to nie był tylko biznes, to był uwiąd starczy. I A. Scott Fenney też się mylił: jego matka nie byłaby dumna z syna.

Scott spojrzał po raz ostatni na członków klubu i ich czarnych pomocników - i zauważył, że jeden z pomocników patrzy na niego. Uśmiechnął się i dyskretnie uniósł kciuk ku górze. Scottowi się wydawało, że go poznaje, ale nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska - nigdy nie pytał ich o imię czy nazwisko - odwzajemnił się jedynie tym samym gestem i pobiegł dalej.

Kilka przecznic dalej myślami wciąż był w klubie, przypominając sobie pomocników oraz swoją dobrą matkę, kiedy usłyszał czyjś wysoki głos:

- Scott! Scott!

Zwolnił, odwrócił się i zobaczył rękę machającą do niego z czerwonej beemki. „Cholera jasna, Penny Birnbaum!”.

- Scott! Zaczekaj!

Penny zbliżała się z przeciwległego krańca Lovers, Scott rzucił się więc przez Curtis Park, przebiegł przez dwa podwórza, skoczył w wąską alejkę i po przebiegnięciu kilku przecznic dotarł do Hillcrest Avenue. Skręcił na południe i pobiegł wzdłuż granicy kampusu SMU. Wszedł na jego teren od strony University Boulevard i stanął przed wydziałem prawa.

Zatrzymał się.

W tym budynku spędził trzy lata, studiował w nim prawo: delikty, podatki, umowy, spory, procedury, akty własności, a także etykę - przedmiot, którego uczy się na studiach i od razu zapomina. Prawo nie ma nic wspólnego z etyką, ma za to wiele wspólnego z pieniędzmi.

Scott zaczął znów biec. Mijał żeńskie akademiki, wszystkie ku wygodzie ułożone w jednym ciągu - tak wtedy myślał, bo nie musiał długo chodzić od jednej dziewczyny do drugiej. I przypomniał sobie wszystkie uciechy, jakich doznał w tych budynkach z dziewczynami, i zaczął się zastanawiać, jak nigdy dotąd, czy życie potraktowało je jak należy.

Przebiegł wzdłuż University Boulevard do serca wypielęgnowanego miasteczka studenckiego, następnie skręcił na południe, na Hilltop Lane, która przeszła w Ownby Drive i prowadziła wprost na Gerald Ford Stadium, nazwany tak na cześć miliardera - bankiera z Dallas, a nie byłego prezydenta. Odnalazł otwartą furtę i wszedł na stadion, podszedł do najbliższej rampy i wyszedł z betonowej gardzieli na zieloną murawę.

Był sam na boisku.

Na tym niewielkim obszarze - długim na sto dziesięć i szerokim na pięćdziesiąt metrów - rozgrywał najlepsze lata swojego życia. W trudnych chwilach zawsze przychodził tutaj porozmyślać. O wspaniałych zwycięstwach i druzgoczących porażkach. O chwilach niewysłowionej radości i niewypowiedzianego smutku. Kiedy zamknął oczy, zobaczył tłumy na trybunach. Wciąż słyszał, jak skanduje, i niemal czuł zapach świeżo skoszonej trawy. Wciąż czuł smak krwi w ustach. Wciąż czuł piłkę w dłoniach.

Scott wspiął się po schodach na trybuny i powodowany gwałtownym odruchem, zaczął robić to, co kiedyś - wbiegał po kolei na każdą z nich. Machał rękami, nogi paliły żywym ogniem, a on wbiegał po każdej z nich, docierając w końcu na samą górę. Odwrócił się i spojrzał na linię dachów wieżowców śródmieścia w oddali - sylwetki drapaczy chmur odcinały się na tle błękitnego nieba. Między nimi stała Dibrell Tower, a na sześćdziesiątym drugim piętrze Sid Greenberg stał w gabinecie Scotta. Sid nie mógł zobaczyć Scotta z takiej odległości, ale ten, tak dla zasady, pokazał mu wyprostowany środkowy palec.

Jeszcze w college'u często wbiegał po trybunach, żeby móc sobie usiąść na samej górze i patrzeć na światła centrum Dallas, Szmaragdowego Miasta wyrastającego na nieskończonej teksaskiej równinie: Dibrell Tower otaczała błękitna poświata, świetlista kula nad Reunion Arena wyglądała jak bombka bożonarodzeniowa i był też Pegaz - czerwony neon przedstawiający lecącego konia nad starym Magnolia Building. Jak wielu innych białych młodzieńców, Scott Fenney został zauroczony tymi światłami, marzeniami o tym, żeby zostać bogatym obywatelem Big D. Tak nazywają Dallas - Big D - ponieważ jest mekką ludzi o wielkich marzeniach. Marzyciele lgnęli do Dallas jak grzesznicy do Jezusa: „Chcecie

być zbawieni, idźcie do Jezusa, chcecie się wzbogacić, jedźcie do Dallas". Siedząc w tym samym miejscu, Scott Fenney snuł kiedyś wielkie plany.

- Nieźle jak na staruszka!

Dudniący głos wyrwał go z rozmyślań i Scott aż podskoczył na jego dźwięk. Rozejrzał się po stadionie i zobaczył wielkiego czarnego mężczyznę stojącego na linii bocznej na dole. Postać wyglądała znajomo. Scott zszedł do niego po schodach. Kiedy się zbliżył, rozpoznał go.

- Wielki Charlie, czy to ty?

- Scott Fenney. Jak się masz, stary?

Scott podszedł do niego i wyciągnął dłoń, ale Wielki Charlie objął go swoimi łapskami i uściskał go mocno, jakby Scott Fenney właśnie zdobył kolejny punkt.

Charles Jackson mierzył dwa metry dziesięć centymetrów i ważył sto sześćdziesiąt kilogramów, kiedy był na pierwszym roku, a więc w wieku osiemnastu lat. Teraz był już seniorem i ważył sto osiemdziesiąt kilogramów. Grał na prawym skrzydle, co wymagało rozgrywania na całym boisku i usuwania wszelkich przeszkód z drogi Scotta Fenneya. Scott zdobywał punkty, ale Wielki Charlie mu to ułatwiał.

Wielki Charlie pochodził z Tyler we wschodnim Teksasie, miasteczka słynącego z czerwonych róż i czarnych zawodników. Earl Campbell był najbardziej znany, ale Wielki Charlie był największy. Poszedł na SMU zamiast na uniwersytet stanowy w Teksasie, ponieważ nie chciał się przeprowadzać daleko od swojej mamy i sióstr. W każdy niedzielny poranek jechał dwie godziny do kościoła i wracał w niedzielę przed ciszą nocną.

Ostatnie wieści, które miał Scott na temat Wielkiego Charliego, mówiły, że zaangażowali go do Rams. Charlie powiedział mu, że grał tam przez dwa sezony i jedynie kontuzja kolana sprawiła, że nie spełniły się jego marzenia. Wrócił do SMU, gdzie trenował linię obrony przez dziesięć lat. Scott był na tych wszystkich meczach, ale nie zauważył Wielkiego Charliego. Od linii bocznej do prywatnej loży firmy Ford Stevens jest bardzo wysoko.

- Przydałby się nam trener napastnik - powiedział Wielki Charlie. Czytał o kłopotach Scotta.

- Dzięki, ale wciąż jeszcze di się we mnie ogień prawniczy.

- Wygrasz?

- Nie wiem.

- Myślisz, że jest niewinna?

- Jeśli chodzi o morderstwo, to tak, ale nie w kwestii zabicia Clarka.

- To znaczy?

- W najgorszym razie dostanie karę śmierci. W najlepszym skażą ją za zabójstwo w afekcie i dadzą dwadzieścia lat. Ale tyle nie pożyje bez heroiny i córki.

- Czytałem, że ją przygarnąłeś. Scott się uśmiechnął.

- Tak. Ma na imię Pajamae i jest słodka. Masz dzieci? Charlie pokiwał głową.

- Dwie dziewczynki. Jedna siedem, druga dziesięć lat.

- Na pewno jesteś dobrym ojcem.

- Kocham te małe bardziej niż piłkę.

- Mają szczęście. Ale słuchaj. Pajamae była sama na tamtym osiedlu, pojechałem więc tam i zabrałem ją...

- Pojechałeś na osiedle? Sam? - Tak, ferrari.

Wielki Charlie aż odchylił głowę i wybuchnął śmiechem, trzymając się za brzuch.

- Biały chłopak w ferrari na południowym osiedlu, to musiał być widok! Jestem zdumiony, że przeżyłeś!

- Był tam mój przyjaciel, Louis. Osłaniał mnie, tak jak ty to kiedyś robiłeś. Teraz mieszka z nami. Tak czy inaczej, pierwszego dnia Pajamae zaplotła mojej córce warkoczyki. Moja żona mało trupem nie padła.

Wielki Charlie się uśmiechnął.

- Trzymasz się jakoś, od kiedy odeszła? Scott potrząsnął głową.

- Czasem się mażę po nocy.

- To dlatego, że masz serce, Scotty. Mazałeś się, kiedy wygrywaliśmy, i mazałeś się, kiedy była wtopa. Płakałeś, bo na czymś ci zależało - na wygranej, na drużynie, na mnie. Wiesz, Scotty, nigdy ci tego nie mówiłem, ale byłeś moim bohaterem.

- Scott musiał wyglądać na porządnie zaskoczonego, bo Charlie wyjaśnił:

- Nie, stary, naprawdę. Sto siedemdziesiąt sześć metrów w meczu przeciwko drużynie Teksasu: nikt nie mógł tego powtórzyć! Tego dnia były dwadzieścia trzy rozgrywki, bujałem się raz na jeden koniec boiska, raz na drugi. Myślałem wtedy, że wykorkuję ze zmęczenia. Ale patrzyłem na ciebie i zaciskałem zęby: nie dam się. Patrzyłem, jak cię przywalają, a ty się podnosiłeś i biegłeś dalej... Stary, twardziel był z ciebie.

Scott westchnął.

- Życie jest twardsze.

- Nie, nie jest. Zapomniałeś tylko, jakie masz waleczne serce. Wejrzyj w głąb siebie, wciąż to masz, Scotty. Bóg dał ci wielki dar, twoją budowę i możliwości. Ale to była tylko gra. To tutaj to nie jest gra, tu chodzi o życie tej dziewczyny. - Położył dłoń na ramieniu

Scotta. - Scotty, nie rozumiesz? Bóg podarował ci coś znacznie ważniejszego niż możliwość zostania gwiazdą futbolu. Masz możliwość uratowania życia tej dziewczynie.

Scott spojrzał na Wielkiego Charliego, który na boisku oddawał Scottowi wszystko, co miał najlepsze, a teraz, ponownie na murawie, dał mu coś jeszcze cenniejszego. W tej chwili Scott zrozumiał, że potrzebuje Shawandy Jones tak samo, jak ona potrzebowała jego. Musiał zostać bohaterem. Tym właśnie był. I znów chciał nim zostać. Tego właśnie brakowało mu w dotychczasowym życiu. Dźwięk dzwonu z kościoła metodystów w kampusie wyrwał Scotta z zamyślenia.

- Cholera, która godzina? - zapytał Scott.

- Punktualnie południe - odparł Wielki Charlie.

- Jasny gwint, jestem spóźniony! - Scott wyciągnął dłoń, ale Wielki Charlie ponownie go uściskał. Scott powiedział. - Dzięki, przyjacielu.

I pobiegł w kierunku Szmaragdowego Miasta.

***

Sędzia federalny Samuel Buford siedział za biurkiem w swoim gabinecie i zerkał na zegarek. Dwunasta trzydzieści. Nie ma Scotta Fenneya. Nie pokazał się.

Sam Buford westchnął. Wydawało mu się, że jest jakaś nadzieja dla A. Scotta Fenneya, ale się mylił. Fenney ma dość oleju w głowie, żeby stać się bohaterem, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości, i Buford wciąż miał nadzieję, że posiada również serce do walki. Ale teraz wiedział, że tak nie jest. Nie było ratunku dla Scotta Fenneya... Ani dla Shawandy Jones... Ani dla prawa.

W tej właśnie chwili Samuel Buford postanowił przejść w stan spoczynku.

Nadszedł jego czas. Przejdzie na emeryturę i zajmie się swoim ogrodem. Wyplewi chwasty, skopie grządki, nasadzi marchewek, dyni, kapusty i pomidorów, może trochę podsypie nawozu, doprowadzi ogród do ładu, czyli zrobi coś, na co już nie miał czasu od... Cóż, od zawsze. Tak, nadszedł czas, żeby odwiesić togę na kołku i wziąć się za motykę.

Zadzwonił do sekretarki przez interkom i powiedział, że musi podyktować kilka pism. Po pierwsze, trzeba odroczyć rozprawę Stany Zjednoczone Ameryki przeciwko Shawandzie Jones. Po drugie, należy wyznaczyć następcę mecenasa Scotta Fenneya. Ale kto niby miał nim być? Herrin? Chłopak dobrze pisał, bez wątpienia, ale oskarżona potrzebowała orła, a nie pisarza. Żałował, że już nie jest mecenasem Samuelem Bufordem. Wziąłby tę sprawę. Byłby jej orłem. Ale jest sędzią Samuelem Bufordem. Wkrótce sędzią na emeryturze. Jak zwykle Helen była szybka. Po kilku sekundach drzwi się otworzyły i...

W progu stanął ociekający potem Scott Fenney, jedynie w szortach do biegania.

- Panie sędzio, jestem gotów do obrony mojej klientki. Samuel Buford niemal wyskoczył ze swojego fotela i już miał uściskać młodego prawnika, ale myśląc, że w ten sposób pogwałci zasady etyki zawodowej, powstrzymał swoje emocje.

- Dobrze, synu. Jej życie spoczywa w twoich rękach. Mam nadzieję, że jesteś na tyle dojrzały, że sprostasz odpowiedzialności, jaka na tobie ciąży.

- Jestem. Aha! Panie sędzio, będzie ze mnie dumna. Moja matka.

Scott Fenney odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Na jego miejscu pojawiła się Helen z notesem w dłoni.

- Jest pan gotowy, panie sędzio? Buford tylko machnął ręką.

- Wracaj do siebie, Helen. Muszę się zająć osądzaniem.

- Helen się odwróciła. - Och, zaczekaj, Helen. - Zawróciła.

- Połącz mnie z Bobem Harrisem.

- Z Bobem Harrisem?

- To dyrektor regionalny Służb Imigracji i Naturalizacji.

- Buford oparł się w fotelu i się uśmiechnął. - Mama zawsze mi powtarzała, że jeden dobry uczynek zasługuje na drugi.

Rozdział dwudziesty trzeci

W sobotę cyrk przyjechał do miasta.

Mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczęta, starzy i młodzi - wszyscy mieszkańcy Highland Park przybyli tłumnie. Zaparkowali sami przy chodnikach, bez udziału obsługi parkingowej. Jakimś cudem pojawili się w czterdziestostopniowym skwarze i podeszli do domu numer 4000 przy Beverly Drive. Przyszli zobaczyć coś, co zwykle odbywało się w innych regionach Dallas, w tych dzielnicach, w które się nie zapuszczali.

Wyprzedaż przydomową.

Nie było na tej wyprzedaży starych tosterów, poobijanych kanap, znoszonych ubrań, rozmaitych zabawek, wózków dziecięcych, foteli czy kijów golfowych. Nie, ta wyprzedaż mogła się poszczycić orzechowym kredensem od Francesca Molona, mahoniową biblioteczką marki Bevan Funnell, krzesłem z drewna orzesznika projektu Guya Chaddocka, skórzanym fotelem od Ralpha Laurena i stołem bilardowym firmy Brunswick. Znajdowały się tutaj różne sofy, stoły, lampy, było też wyposażenie sypialni, orientalne dywany, słowem - eklektyczna mieszanka mebli mających tylko dwie wspólne cechy: nie tak dawno jeszcze podobały się byłej pani tego domu oraz były potwornie drogie. Na sprzedaż wystawiono także

markowe ubrania, buty i kobiece akcesoria - sukienki od Rickie Freeman i Luca Luca, torebki marki Louis Vuitton i Bottega Veneta, buty od Diora, Donny Karan, Marca Jacobsa i oczywiście Jimmy Choo, bluzki od Anne Fontaine i jedwabne chusty z firmy Hermes. Nie zabrakło także dziecięcych ubrań ze sklepu Jacadi Paris. Ogólnie na wyprzedaży znalazły się cenne przedmioty o łącznej wartości pół miliona dolarów. I chociaż mieszkańcy Highland Park podśmiewali się z białych biedaków i przedstawicieli mniejszości etnicznych, którzy wyprzedawali swoje rzeczy na chodniku, to zakup za pół darmo leży u podstaw natury ludzkiej i jest niezależny od rasy, koloru skóry, życiowego kredo, pochodzenia, sympatii politycznych oraz pozycji socjalnej i ekonomicznej. Dlatego przyszli.

Przeszli podjazdem na tyły domu, gdzie na parkingu, na podwórku i w garażu na cztery samochody wystawiono na sprzedaż rzeczy rodziny Fenneyów. Tylko gotówka. Pajamae powiedziała Scottowi, że na wyprzedażach przydomowych nie przyjmuje się ani czeków, ani kart kredytowych.

Tydzień wcześniej, przy kolacji, Boo zapytała Scotta, co zrobią z tymi wszystkimi rzeczami. Mieli wystarczająco mebli, żeby urządzić pięć takich domów, jak ten przy SMU. Scott powiedział, że nie ma pojęcia, ale Pajamae miała na to pomysł:

- Zrobimy wyprzedaż przydomową, panie Fenney.

Pajamae zgłosiła się na ochotnika do przeprowadzenia całej akcji, gdyż miała doświadczenie zdobyte podczas licznych wyprzedaży w południowym Dallas. I tak w dniu rozpoczęcia wyprzedaży Scott zasiadł za zaimprowizowaną kasą przy wejściu na parking i przyjmował pieniądze od klientów, a Pajamae i Boo zajęły się handlem.

- Dwieście - zaoferowała starsza pani w słonecznym kapeluszu, która przedstawiła się jako pani Jacobs.

- Zaraz, zaraz, pani Jacobs - powiedziała Pajamae. - Pani Fenney dała dwa tysiące za tę kanapę, a pani chce ją kupić za dwieście? My wyceniłyśmy ją na siedemset. - Rozejrzała się wokół i dodała ciszej: - Jeśli nie powie pani tego panu Fenneyowi, może ją pani wziąć za sześćset dolarów.

- No to wezmę.

Pajamae napisała mazakiem na kartce: SPRZEDANE i JACOBS na metce, na której przekreśliła starą cenę i wpisała nową: 600. Wskazała na pana Fenneya.

- Prosimy do kasy.

Pani Jacobs udała się we wskazanym kierunku, aby uiścić zapłatę.

- Hej, mała opalona dziewczynko!

Jakaś starucha machała do Pajamae spod garażu. Pajamae podeszła do niej. Kobieta wskazała jej skórzany fotel.

- Czy to Ralph Lauren?

- Proszę pani, nie jestem opalona, jestem czarna. Przynajmniej w jednej czwartej czarna. Widzi pani, tatuś mojej mamy był biały, tak samo jak mój. Dlatego jestem w jednej czwartej czarna i w trzech czwartych biała. - Uśmiechnęła się do kobiety. - Cóż, nie byłabym zdziwiona, gdybyśmy były spokrewnione! I nie, proszę pani, to nie jest żaden Ralph Lauren, to fotel.

- To Ralph Lauren. Pajamae wzruszyła ramionami.

- Jak tam sobie pani chce.

- Cena wynosi sześćset pięćdziesiąt dolarów, ale ja mam tylko same setki - zmartwiła się kobieta. - Masz drobne?

- Nie, proszę pani. Nie mam.

- Ale ja chcę ten fotel!

- To tak jak ten pan, o... tam. Kobieta odwróciła się gwałtownie.

- Który pan?

- Łysy w niebieskich szortach. Ten z wielkim brzuchem, który gada z tą grubą panią w koszuli w pasy. Powiedział, że musi pokazać żonie.

Pajamae nigdy nie rozmawiała z tym człowiekiem.

- Nie pozwól mu kupić mojego fotela!

- Proszę pani, tutaj obowiązuje jedna zasada: kto płaci, ten nie traci.

Kobieta oglądała fotel, następnie spojrzała na łysego, później znów na fotel. W końcu powiedziała to, czego spodziewała się Pajamae: - Zapłacę siedemset.

Pajamae wyciągnęła mazak i napisała, mówiąc głośno:

- Sprzedane pani...?

- Smythe, pisane przez „Y” i „E”. S-M-Y-T-H-E.

- Zapraszam do kasy.

- Mieszkam tuż obok. Może mi to ktoś dostarczyć?

- Nie, droga pani, ale Louis może zanieść.

Pajamae pomachała na Louisa, który stał z boku, jakby chciał pozostać niezauważony. Jakby mierzący niemal dwa i pół metra Murzyn ważący dwieście kilogramów mógł się wmieszać w tłum w Highland Park. Kiedy podszedł, Pajamae powiedziała:

- Louis, trzeba zanieść tej miłej pani fotel do domu. Louis pochylił się, rozłożył ręce, złapał za brzegi fotela i podniósł go bez najmniejszego wysiłku. Zaczął iść w kierunku pana Fenneya, jakby niósł torbę z zakupami. Kobieta zapytała:

- Muszę mu dać napiwek?

- Nie, proszę pani - odparła Pajamae. - Tylko niech go pani nie rozzłości.

Pani Smythe przez „Y" i „E" spojrzała na szerokie plecy Louisa odchodzącego z jej fotelem, zmarszczyła brwi i powiedziała:

- Dam mu napiwek. Dwadzieścia. Nie, pięćdziesiąt. I poszła za Louisem do pana Fenneya.

Pajamae tylko pokręciła głową. „Biali nie przetrwaliby jednego dnia na osiedlu".

Kiedy podeszła do niej Boo, Pajamae powiedziała:

- Mamie by się to spodobało.

- Co?

- Bogaci biali na wyprzedaży.

- Często kupujecie na wyprzedażach przydomowych?

- Wyprzedaże przydomowe to nasze supermarkety.

- Można dostać dobre rzeczy?

- Nic stąd. Oczywiście u nas nie szuka się znanych marek. Trzeba tylko sprawdzić, czy ubrania nie mają plam z krwi i czy nikt nie narzygał do szafki.

Kobieta w wielkich okularach przeciwsłonecznych podeszła do nich z torebką w dłoni.

- Czy to podróbka? - zapytała. Boo spojrzała na nią pobłażliwie.

- Proszę pani, moja mama prędzej by umarła, niż wyszła do miasta z podróbką. To oryginalny Louis Vuitton, siedemset pięćdziesiąt w detalu. My oferujemy za dwieście pięćdziesiąt. Moja mama nawet nie wyniosła jej nigdy z domu.

- Biorę.

- Zapraszamy do kasy.

Kobieta poszła, a Pajamae powiedziała:

- Twoja mama ma fajne graty. Boo pokiwała głową.

- Mama zawsze mówiła, że dziewczyny, które mówiły, że nie można kupić szczęścia, nie wiedzą, gdzie robić zakupy. Ale chyba nie miała racji.

Boo zdjęła czarną suknię z wieszaka.

- Tysiąc dolarów. Założyła ją raz na przyjęce w klubie. - Odwiesiła suknię na wieszak i wzięła czerwone szpilki. - Trzysta dolarów.

- Za buty? - To Dior. - Dio... jak?

- Christian Dior. Kobiety zabijają się za nimi. Pajamae wzięła but do ręki i przyjrzała mu się uważnie.

- Mama mogłaby je zakładać do pracy.

Scott wystawił całą garderobę żony na parking - setki sukienek, par butów, spodni, bluzek i strojów wszystkich rodzajów i kolorów. Nigdy nie zaglądał do jej przepastnej garderoby, nawet więc nie wiedział, ile tego miała. Zastanawiał się teraz, ile to wszystko kosztowało. Scott uśmiechnął się na tę myśl, przyjmując pieniądze od kolejnej klientki, która kupowała ubranie jego żony.

Pajamae wyciągnęła jasnoniebieską minispódniczkę z frędzlami.

Boo wyjaśniła:

- To był strój mojej mamy na Bal Baronów Bydła.

- W takim stroju mogła się spokojnie pokazać na Harry Hines Boulevard obok mamy i Kiki.

Pajamae odłożyła spódniczkę i wzięła do ręki czerwoną piżamę.

- Neiman Marcus - powiedziała Boo. - Sto trzydzieści dolarów.

- Myślisz, że pan Fenney mógłby mi ją sprzedać? Mogę zapłacić siedem dolarów.

- Chcesz tę jedwabną czerwoną piżamę?

- Dla mamy, żeby nie musiała spać w więziennym stroju.

- Och! - Boo zastanowiła się przez chwilę i powiedziała:

- A. Scott dał nam towary do wyceny, bo sam nie ma pojęcia, ile mama zapłaciła za te szmaty (gdyby się dowiedział, dostałby wylewu), więc ja wyceniam to na siedem dolarów. Zapraszam do kasy.

- Ta mała czarna dziewczynka mówiła, że mam panu zapłacić.

- Tak.

Scott podniósł wzrok i zobaczył Penny Birnbaum.

- Och, cześć, Penny! Znalazłaś coś ciekawego?

- Znalazłam coś ciekawego już za pierwszym razem, kiedy tu przyszłam. - Uśmiechnęła się łakomie i oblizała usta.

- Chcesz wejść do środka i sprawdzić, czy znów uda mi się to znaleźć?

- Cóż, Penny... Muszę zająć się kasą, widzisz?

- Nie potrzebujesz pieniędzy. Ja to daję za darmo. Nachyliła się i rozchyliła bluzkę, ukazując opalone piersi.

Scotta owiał zapach jej perfum i przypomniał sobie chwilę pod prysznicem i zaczął słabnąć. Pomyślał, jak jej nagie ciało ociera się o niego, jak się dotykają, ona otwiera usta... I wtedy pomyślał o Boo. Nie byłaby zbyt zachwycona, gdyby jej ojciec ulegał słabościom.

- Przychodziłam codziennie i nie było cię w domu. Chcesz się przekonać, co jeszcze potrafię?

Scott jednak był wtedy w domu, ale kiedy zobaczył, kto stoi pod drzwiami na werandzie, przeczekał, aż sobie pójdzie.

- Cóż, wiem, że jesteś bardzo utalentowaną dziewczyną i...

- Dziewczynka z warkoczykami powiedziała, że mam panu zapłacić.

„Dzięki ci, Boże". Starsza dama podeszła z naręczem ubrań. Penny upuściła trzy banknoty studolarowe na ladę i kołysząc się, odeszła z dwiema torebkami pani Fenney, a jej wąskie biodra w obcisłych szortach kołysały się kusząco na prawo i lewo.

***

Bobbyego nie było stać na nic, co Scott oferował na wyprzedaży, poza tym żaden mebel nie pasowałby do wystroju z pchlego targu, w jakim to stylu był urządzony jego dom we wschodnim Dallas. Nie pomagał też Boo i Pajamae sprzedawać, bo pewnie skopałby pierwszą bogatą sukę, która próbowałaby się targować. Grał więc w bilard, trzymając kciuki, żeby pan Doskonały, który oglądał stół bilardowy, nie kupił go, ponieważ Bobby miał nadzieję, że Scotty da mu ten stół w ramach honorarium. Mógłby go wstawić do swojego salonu, pełniącego jednocześnie funkcję jadalni.

- Pana żona robi zakupy na zewnątrz? - zapytał pana Doskonałego.

- Tak. - Pan Doskonały wybrał sobie kij i zapytał: - Rozegramy partyjkę?

Bobby wzruszył ramionami.

- Czemu nie.

Bobby grywał w bilard w meksykańskim barze obok swojej kancelarii, w którym mieściło się również „centrum striptizu", dwie, trzy godziny dziennie, czasami dłużej. Zwykle dłużej. Nawet jego stali klienci wiedzieli, że w razie draki mogli go tam zastać, czyli mogli dzwonić, kiedy zostali niespodziewanie aresztowani przez obyczajówkę.

Bobby ustawił bile i wyciągnął banknot dwudziestodolarowy.

- Za dwadzieścia. A może za wysoko? Pan Doskonały aż się cofnął.

- Za wysoko?

Walnął dwudziestką, kładąc ją na banknocie Bobby'ego i rozbił bile. Całkiem niezłe ułożenie.

Bobby natarł kredą końcówkę kija. Za ósmym uderzeniem wbił ósmą bilę do bocznej łuzy i wygrał. Sięgnął po dwa banknoty, ale pan Doskonały nie dawał za wygraną.

- Podwójnie albo nic?

Bobby się uśmiechnął. Pan Doskonały nie zarabiał, grając w bilard w meksykańskim barze. Dwie gry później przyszła go szukać żona, a Bobby zarobił na czysto sto czterdzieści dolarów, więcej niż zwykle na pomocy prawnej.

Boo zobaczyła znajomą twarz.

- Widzisz tamtą panią, tę blondynkę? - Wskazała na kobietę i wzrok Pajamae powędrował w tym kierunku. - Tę w szortach i w butach na obcasie? Tę chudą dziewczynę?

- To lizak.

- Lizak? Znaczy do smoktania?

- Aha. Widzisz jak ma za dużą głowę w stosunku do reszty? Pajamae spoglądała na kobietę.

- Naprawdę wygląda na lizaka. Ta biała panna powinna trochę nabrać ciała.

- Mama mówiła, że najpierw je, a potem wymiotuje.

- Bo jest chora?

- Nie, celowo! Żeby nie przybrać na wadze.

- Boo, teraz to mnie nabierasz?

- Nie! Mieszkała w jednym akademiku z mamą. Wyszła za pieniądze.

Pajamae zmarszczyła czoło.

- Jak można wyjść za pieniądze?

- Najpierw trzeba wyglądać tak jak ona, a potem znaleźć jakiegoś starego pana z pieniędzmi.

- Aha. To coś jak mama, tylko to dłużej trwa.

- Mama mówiła, że ta pani ma dopiero trzydzieści trzy lata, ale wstawiła sobie implanty piersi, zrobiła operację brzucha, podniesienie tyłka i liposukcję. Mama mówiła, że jedyne, co ma prawdziwe, a nie sztuczne, to mózg, ale tylko dlatego, że nie robią jeszcze implantów mózgu. - Boo wzruszyła ramionami. - Tak przynajmniej mówiła mama.

- Czy jest tutaj jej stary mąż?

Pani Lizak odwróciła się i podeszła do białowłosego mężczyzny siedzącego w salonie na kozetce, która kosztowała tysiąc dolarów. Usiadła, a on poklepał jej chude udo.

- To on. Mama mówi, że to miliarder.

- Wygląda jak jej dziadek. Mama brała podwójnie za zabawianie takich starych jak on. Musiał zapłacić mnóstwo forsy za swojego lizaka.

***

Scott przyjmował pieniądze za ubrania, w których nigdy nie widział swojej żony, za fotele, w których nigdy nie siedział, i za dywany, po których nigdy nie stąpał. I nie nadążał z liczeniem. Rebecca wypełniła cały olbrzymi dom przedmiotami, które się jej podobały. Teraz Scott sprzedawał wszystko ciężarówkami. I radowało go to niepomiernie.

- Pańska córka powiedziała, że pan przyjmuje pieniądze. Murzynka w średnim wieku podeszła do Scotta.

- Cześć, jestem Scott Fenney.

- A ja Dolores Hudson. Właśnie wprowadziliśmy się do domu przy tej ulicy. - Uśmiechnęła się. - Pierwsi czarni właściciele domu w tej dzielnicy.

- O tak, czytałem. Witajcie wśród nas, chociaż my nie zagrzejemy tu długo miejsca.

Posłała mu współczujące spojrzenie.

- O tobie też sporo czytałam.

- Ale mam nadzieję, że nie wierzysz bezkrytycznie we wszystko, co czytasz.

- Raczej nie. Kiedy się wyprowadzacie?

- Finalizuję sprzedaż w czwartek, a na nowym miejscu będziemy w piątek. Przeprowadzimy się od razu po procesie.

- Ale jakby wam coś nie poszło z terminami i musielibyście się gdzieś zatrzymać, to możecie zostać z dziewczynkami u nas na jakiś czas. I założę się, że dziewczynki nie jadły nic treściwego od czasu, kiedy twoja żona...

Była zażenowana. Ale Scott uśmiechnął się i odparł z rozbrajającą szczerością:

- Moja żona nie umiała gotować.

- Ale ja umiem. Przyniosę wam coś.

- Dzięki, Dolores.

- Nie, to ja tobie dziękuję, Scott. Za to, co robisz. Wiesz, nie byliśmy przekonani, czy dobrze robimy, kupując dom w tej dzielnicy. Nie jestem pewna, czy chciałabym zostać Rosą Parks z Highland Park. Nie wiedziałam, jak nas tutaj powitają.

- Dobrze zrobiliście, Dolores. Większość ludzi tutaj, szczególnie młodych, będzie się zachowywać dobrze w stosunku do was. Niektóre staruchy na pewno was nie zaakceptują, ale uwierz mi: i tak nie chcielibyście się z nimi przyjaźnić.

Dolores zapłaciła i podziękowała raz jeszcze.

***

Boo prezentowała kwiecistą sukienkę młodej kobiecie.

- To Luca Luca, słyszała pani o nim? To włoski projektant.

- Oczywiście. Kto by nie słyszał?

Wzięła sukienkę od Boo i przyłożyła do ciała. Pasowała jak ulał.

- Wygląda prawie tak ślicznie, jak na mojej mamie. - Wiesz, że mieszkałyśmy w jednym akademiku z twoją mamą?

Studiowała sześć lat po mnie. Ale wciąż jest wzorem dla wszystkich dziewcząt: miss uniwersytetu wychodzi za gwiazdę futbolu, która zostaje bogatym prawnikiem. Jak w bajce o Kopciuszku. Boo pokiwała głową.

- Musiałam przeoczyć tę część, kiedy Kopciuszek ucieka od rodziny z trenerem golfa.

***

Bobby ustawiał się do uderzenia, kiedy ktoś stanął na wprost jego linii strzału po drugiej stronie stołu. Podniósł się, żeby powiedzieć temu idiocie, żeby zlazł z drogi...

- Cześć, Bobby.

Prawie uderzył się własnym kijem w czoło.

- Karen, co ty tu robisz?

- Odeszłam. - Co?

- Z firmy Ford Stevens.

- Pier... Zalewasz! Dlaczego?

- Nie podoba mi się sposób, w jaki chcą, żebym myślała.

- Jak prawniczka?

- Tak.

- Mądra dziewczyna. Co będziesz robić?

- Pracować z tobą i Scottem nad sprawą.

***

Kiedy słońce zaszło nad posiadłością przy Beverly Drive numer 4000 w sercu Highland Park, nic nie zostało - ani jeden but, ani jedna lampa, ani nawet stół do bilardu. W ciągu niecałych dziewięciu godzin Scott sprzedał większość przedmiotów zakupionych podczas jedenastu lat małżeństwa, zatarł wszystkie ślady jego istnienia - ślady po swoich ambicjach, po swojej karierze i po swojej żonie.

Dziewczynki siedziały na podłodze w drugim kącie kuchni, obliczając zyski. Louis liczył swoje napiwki - zarobił sześćset dolarów za przenoszenie przedmiotów z miejsca na miejsce. Siedział wraz ze Scottem, Bobbym i Karen na podłodze, zajadając się pieczonym kurczakiem przyniesionym przez Dolores Hudson. Stół i krzesła poszły za tysiąc pięćset.

- Karen - powiedział Scott. - Zapomnij wszystko, co ci kiedykolwiek mówiłem o uprawianiu tego zawodu. Myliłem się.

- Jesteś wspaniałym prawnikiem, Scott. Wszyscy w firmie tak uważają, nawet po twoim odejściu.

- Nie odszedłem. Wylali mnie.

- No, nawet gdyby.

- Nie, Karen. Byłem skorumpowanym prawnikiem. Oszukiwałem klientów, łamałem prawo, oszukiwałem sam siebie. Chciałem wygrać za wszelką cenę. Traktowałem prawo jak grę w futbol. Nie jest tak.

- Karen chce nam pomóc - wyjaśnił Bobby.

- Dlaczego?

- Bo potrzebujecie pomocy. I jeszcze dlatego, że mam słabość do Bobby'ego.

Bobby upuścił udko kurczaka. Boo krzyknęła pełnym głosem:

- Sześćdziesiąt siedem tysięcy czterysta pięćdziesiąt dolarów!

Rozdział dwudziesty czwarty

Voir dire to termin prawniczy oznaczający „mówić prawdę". W amerykańskim systemie prawnym voir dire to procedura wyboru członków ławy przysięgłych, ponieważ w postępowaniu karnym procesowym tylko przysięgli są naprawdę zainteresowani prawdą. Wszyscy pozostali chcą wygrać.

W sądzie federalnym przysięgli muszą być obywatelami w wieku co najmniej osiemnastu lat, biegłymi w mowie i piśmie języka angielskiego, nieupośledzonymi fizycznie lub psychicznie, niekaranymi i przeciwko którym nie toczy się obecnie żadne postępowanie. Znalezienie dwunastu osób, które spełniają te kryteria, jest sprawą prostą, znalezienie dwunastu przysięgłych, którzy mają orzekać o czyimś życiu - już nie.

I tu pojawia się *voir dire*. Sędzia i prawnicy stron przesłuchują kandydatów na przysięgłych pod kątem tendencyjności, uprzedzeń i skłonności uniemożliwiających im wydanie sprawiedliwego i bezstronnego werdyktu. Przynajmniej w teorii. Rzeczywistość uczy, że każdy przysięgły zjawia się w sądzie wyposażony w osobnicze cechy, uprzedzenia i skłonności, które całkowicie wykluczają wydanie sprawiedliwego i bezstronnego werdyktu - czyli takiego, jaki spełnia oczekiwania systemu sprawiedliwego prawa. Prawdziwym celem *voir dire* jest znalezienie takich dwunastu przysięgłych, którzy mają skłonności, uprzedzenia i cechy korzystne dla jednej ze stron.

Rozprawa w sądzie nie polega na ustaleniu prawdy, wprowadzeniu sprawiedliwości i amerykańskiego stylu postępowania. Polega na osiągnięciu przewagi i zdobyciu wygranej.

Prokuratorzy chcą mieć na swoim koncie wyroki skazujące i zamykać przestępców w więzieniu, oczekując dzięki temu wyboru lub awansu na wyższe polityczne stanowisko. Obrońcy dążą do oddalenia pozwu, ponieważ uniewinnienia w sprawach kryminalnych przynoszą im sławę i pieniądze. Dlatego ani prokurator, ani obrońca nie są zainteresowani odkryciem prawdy: ich prawda polega na skłonieniu przysięgłych, żeby im uwierzyli, a ich sprawiedliwość - na wygrywaniu sprawy.

Siedząc w sali sądowej Sądu Federalnego w Dallas gorącego sierpniowego dnia, Scott Fenney wierzył, że jego klientka przyłożyła lufę pistoletu kaliber 22 do czoła Clarka McCalla i pociągnęła za spust. Wierzył także, że zrobiła to w samoobronie. Teraz musiał przesłuchać kobiety i mężczyzn siedzących przed nim, mając nadzieję znaleźć dwunastu przysięgłych, którzy mogą się z nim zgodzić, i nawet jeśli nie uwolnią jego klientki od zarzutów, to przynajmniej nie zamkną jej w celi śmierci.

Sędzia Buford przepytał już kandydatów na przysięgłych pod kątem ich kwalifikacji do zajęcia tej funkcji i odesłał tylko jednego z nich, mężczyznę, który zapytany o ewentualne toczące się postępowania w jego sprawie, odpowiedział:

- Jeszcze niczego mi nie udowodnili!

Ray Burns również przepytał kandydatów na przysięgłych pod kątem ich zdolności skazania oskarżonej na śmierć, jeśli udowodniono by jej winę. Siedmiu kandydatów na przysięgłych zadeklarowało, że są przeciwni karze śmierci, i tym podziękowano.

Teraz dwudziestu dziewięciu kandydatów na przysięgłych wpatrywało się w Scotta Fenneya i Roberta Herrina, czekając na przesłuchanie przez obrońców. Podczas wszystkich poprzednich *voir dire* z udziałem A. Scotta Fenneya obok niego siedział niezwykle wysoko opłacany psycholog - doradca specjalizujący się w doborze przysięgłych, a nie prawnik praktykujący w kancelarii sąsiadującej z barem meksykańskim w dzielnicy uciech. Za honorarium często wyższe niż milion dolarów tego rodzaju eksperci przeprowadzają inscenizowane procesy, wybór grupy docelowej i swoiste wybory, żeby wyłonić idealnego przysięgłego do danej sprawy. Badają historię zatrudnienia kandydatów na przysięgłych, ich dochody, religię, hobby i poglądy polityczne. Przyglądają się ich ubraniom, mowie ciała i przysłuchują się bacznie odpowiedziom udzielanym w trakcie *voir dire*. Szkolą adwokatów, w czym przyjechać do sądu (zostaw mercedesa w domu, bo przysięgli zobaczą cię na parkingu), co założyć na rozprawę (żadnych roleksów czy trzyczęściowych garniturów od Armaniego) i jak mają się zachowywać wobec przysięgłych (żeby starali się być bardziej ludzcy, to znaczy mają udawać zwykłego człowieka, co niejednokrotnie jest najtrudniejszym

zadaniem dla większości prawników, o wiele trudniejszym niż zwykła przebieranka). I pokazują adwokatom kciuk skierowany ku górze lub w dół przy każdym kandydacie.

Każdy prawnik przekonuje się przy pierwszej rozprawie z ławą przysięgłych, że to, czy sprawa jest wygrana czy przegrana, rozstrzyga się już przy wyborze przysięgłych. W dzisiejszych czasach przy odpowiedniej ilości pieniędzy można w legalny sposób odpowiednio ustawić ławę przysięgłych. Ale ponieważ ani Scotta, ani tym bardziej jego klientkę nie było stać na takiego doradcę, nie on siedział obok niego, tylko Bobby.

Dlatego Scott zwrócił się do mężczyzn i kobiet przed sobą, mówiąc:

- Jestem zdenerwowany tym wszystkim. Nigdy nie reprezentowałem osoby oskarżonej o morderstwo. Czy wy też się denerwujecie?

Niektórzy potakująco pokiwali głowami.

- To na początek, zamiast gradu pytań, oderwijmy się na chwilę od tego wszystkiego. Zapomnijcie, po co się tutaj zjawiliście, zapomnijcie, że możecie zostać wybrani do ławy przysięgłych, zapomnijcie, że jesteśmy prawnikami. Jak zapewne czytaliście, moja była firma prawnicza usilnie starała się mi pokazać, że nie jestem prawnikiem.

Cichy chichot z ławy sędziowskiej podsunął Scottowi pewien pomysł.

- Jaka jest różnica między martwym grzechotnikiem na autostradzie a martwym prawnikiem na autostradzie?

Żeński głos odpowiedział:

- Przed wężem widać ślady hamowania.

Kandydaci na sędziów przysięgłych wybuchnęli śmiechem.

- A wiecie dlaczego przy tworzeniu świata New Jersey dostało wysypiska odpadów toksycznych, a Kalifornia prawników?

Męski głos:

- Bo New Jersey mogło wybierać pierwsze. Dało się słyszeć głośniejsze śmiechy.

- Czym różni się prawnik od plemnika? Znów męski głos:

- Niczym, obaj mają jedną szansę na milion, żeby stać się człowiekiem.

Wybuch śmiechu.

Odezwał się ten sam kandydat:

- A po czym poznać, że prawnik kłamie? Starsza pani:

- Bo rusza ustami. Kolejny głos:

- Prawnik to łgarz z licencją na wykonywanie tego procederu.

I następny:

- Gdyby tonął inspektor skarbówki i prawnik, a można byłoby uratować tylko jednego, czy zacząłbyś czytać gazetę, czy poszedł na lunch?

Scott w końcu przerwał te żarty.

- Ej, to ja poszedłem na prawo. To ja powinienem sprzedawać te dowcipy.

Śmiech kandydatów powoli zamilkł, ale wciąż się uśmiechali.

- Rozumiem, że nie macie specjalne dobrego mniemania o prawnikach?

Wszystkie dwadzieścia dziewięć głów przytaknęło.

- Nienawidzicie prawników? Wszystkie głowy przytaknęły gorliwie.

- Dlaczego? Starszy mężczyzna:

- Bo prawnicy uważają, że bycie sprytnym to to samo, co bycie inteligentnym.

Moda kobieta:

- Bo prawnik będzie mówił, że niebo jest zielone, jeśli mu to pomoże wygrać sprawę.

Młody mężczyzna:

- Bo prawnicy są zachłanni. Bobby:

- Tak, to straszne...

- Bobby! - zawołał Scott, po czym zwrócił się do kandydatów na przysięgłych: - Ten gość to też prawnik!

Znów rozległy się chichoty na sali. Wstał Ray Burns.

- Panie sędzio, jeśli pan mecenas Fenney już skończył swój występ satyryczny, to proponuję...

- Siadaj pan, panie Burns! - uciął sędzia.

Ray Burns usiadł. Scott spojrzał na kandydatów na przysięgłych.

- Dobrze, chyba już ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, że nie cierpicie prawników. I to wasze prawo. Zasługujemy na to. Ale moja klientka nie zasługuje. Możecie mnie nienawidzić bo jestem prawnikiem, ale niech ta nienawiść nie przenosi się ze mnie na nią. Jej życie jest w waszych rękach. Dajcie jej szansę. Wszyscy się z tym zgodzicie?

Uśmiechy zniknęły z twarzy, zastąpiła je powaga. Każdy kandydat przytaknął.

- W porządku, teraz muszę wam zadać kilka pytań. Najpierw zapytam, czy braliście już udział w voire dire?

Młody człowiek z kolczykiem w nosie podniósł dłoń i zapytał:

- Czy to wtedy, kiedy jest czwórka?

- Czwórka czego?

- Cztery osoby. No, wie pan, trójkącik i jeszcze jedna panna na dokładkę.

Z tyłu rozległ się znużony głos sędziego.

- Dziękujemy panu.

Mężczyzna wstał, wzruszył ramionami i wyszedł z sali. Scott zapytał:

- Czy ktoś z obecnych nie słyszał o tej sprawie? Nikt nie podniósł dłoni.

- Dobrze. Moja klientka jest prostytutką i narkomanką. Wiecie o tym, prawda?

Kandydaci pokiwali głowami.

- Jeszcze raz was proszę, nie uprzedzajcie się do niej. Nie wysuwajcie pochopnych wniosków. Naprawdę nie poznacie jej życia, dopóki nie znajdziecie się w podobnej sytuacji. Pani Jones nie ma z nami dzisiaj, bo jest chora. Cierpi na głód narkotykowy. Ilu z was pali?

Ośmioro kandydatów podniosło dłonie.

- Wyobraźcie sobie, jak to jest rzucić nałóg od razu. Pokiwali głowami.

- Ilu z was korzystało kiedyś z usług prostytutki?

Nikt nie podniósł dłoni, ale jeden mężczyzna rozejrzał się po sali.

- Słucham pana?

- Ja tam nie korzystałem z usług, ale spałem kiedyś z jedną.

Sędzia:

- Dziękujemy panu. Scott przeglądał formularze wypełnione przez kandydatów i zatrzymał się przy jednym - trenera futbolu z collegeu. Większość trenerów uważała się za mądrzejszych od innych, ponieważ znali definicję przechwycenia piłki. Ale inna charakterystyczna cecha trenerów działała na ich niekorzyść. Zwrócił się więc do kandydata numer dwadzieścia osiem i zapytał:

- Panie trenerze, kto jest najlepszym obrońcą, jakiego kiedykolwiek wydał Teksas?

Trener wypalił bez mrugnięcia okiem:

- Czarny Negr czy biały? Sędzia:

- Dziękujemy panu.

Po wyjściu trenera Scott zwrócił się do kolejnego kandydata, starszego mężczyzny, którego ogorzała twarz podpowiedziała Scottowi, że pracuje na świeżym powietrzu.

- Proszę pana, w odpowiedzi na pytanie numer jedenaście, czyli: „Jak daleko zaszedł pan w szkole", napisał pan, że dwadzieścia pięć kilometrów.

- Tak, proszę pana, mieszkaliśmy na wsi i tak daleko musieliśmy iść.

- Ale to pytanie dotyczyło poziomu edukacji, jaki pan osiągnął.

Mężczyzna był prawdziwie zażenowany.

- O, do diaska, przepraszam. Kiedyś dostałem czwórkę. Sędzia:

- Dziękujemy panu.

Scott zwrócił się teraz do starszej pani trzymającej kurczowo wielką torebkę na kolanach, która wyglądała na wiecznie zmartwioną.

- Proszę pani? - Kobieta podniosła wzrok. - Proszę pani, czy istnieje jakikolwiek powód, dla którego nie może pani uczestniczyć w obradach tego sądu?

- Czy zdążę do domu na Oprah? Sędzia:

- Dziękujemy pani.

***

W drodze do domu Bobby zapytał:

- Czy zdążę do domu na Oprahi To było dobre.

Scott odrzucił siedmiu kandydatów na sędziów, a Ray Burns dziewięciu. Wybrano dwunastu sędziów przysięgłych, którzy mieli zdecydować, czy Shawanda Jones będzie żyć czy nie. Proces miał się rozpocząć w poniedziałek. W składzie ławy sędziowskiej znalazło się siedmiu mężczyzn i pięć kobiet, sześciu białych, czterech czarnych, dwoje Latynosów. Byli to: nauczyciel, pielęgniarka, cieśla, asystentka dentystyczna, sprzedawca samochodów, dwie gospodynie domowe, mechanik, młody profesor uniwersytetu, pracownik budowlany, barman i ekspedientka w sklepie spożywczym.

- Ufasz Karen? - zapytał Scott.

- Tak, dlaczego pytasz?

- Boję się, czy Dan Ford jej nie podsrawił.

- Mówisz, że może nas szpiegować?

- Tak, odkryć naszą strategię.

- Jaką strategię? Modlitwę? - Bobby się uśmiechnął. - Nie przejmuj się, Scotty, ona nie jest szpiegiem.

- Skąd ta pewność?

- Pamiętasz, jak kilka tygodni temu przy basenie powiedziałem ci, że prawdopodobnie z nikim już się w życiu nie prześpię?

- Tak.

- Myliłem się.

- To znaczy...?

- Tak. I żadna kobieta nie przespałaby się ze mną dla pieniędzy. Uwierz mi, ja wiem.

***

Pieniądze nie zagłuszyły bólu po gwałcie. Ból fizyczny minął, ale to co czuła, nigdy nie opuściło Hannah Steele.

W Galveston było piękne popołudnie. Słońce grzało mocno, ale bryza od oceanu chłodziła jej skórę. Hannah spacerowała sobie po nabrzeżu nieopodal plaży. Po lewej stronie, po drugiej stronie bulwaru, mijała restauracje, bary, sklepy z pamiątkami, domy z mieszkaniami, których okna wychodziły na ocean, i hotele. Po prawej stronie rozciągała się piaszczysta plaża i Zatoka Meksykańska. Zwały brązowawej wody rozbijały się przy brzegu na mniejsze fale, które lizały stopy dzieci bawiących się przy brzegu. Ich rodzice siedzieli w plażowych krzesłach pod kolorowymi parasolami, których szeregi ciągnęły się na plaży po horyzont z prawej i z lewej strony. Inne dzieci budowały zamki z piasku albo szukały muszli, a kilku surferów starało się znaleźć odpowiednio wysoką falę, która mogłaby ich unieść. Na próżno.

Hannah lubiła spacery nad brzegiem oceanu. Jej terapeuta potwierdził, że takie spacery jej służą, bo uświadamiają jej, że życie wokół niej toczy się dalej i jej życie też musi się jakoś unormować. Ale Hannah zawsze skupiała się na dzieciach. Terapeuta mówił, że ona też kiedyś będzie miała dzieci, Hannah nie sądziła jednak, żeby kiedykolwiek mogła znaleźć się z kimś w sytuacji intymnej. Clark McCall zniszczył jej życie.

A teraz sam marnie skończył.

Starała się poskromić uczucie radości po usłyszeniu o śmierci Clarka. Ale gdzieś w głębi miała nadzieję, że cierpiał. Teraz była ostatnią deską ratunku oskarżonej kobiety, jak powiedział pan Fenney. Jej jedyną nadzieją. Poleci więc do Dallas w niedzielę. Będzie to jej pierwsza podróż do tego miasta od dnia wyjazdu.

Czy da radę?

Czy będzie w stanie wejść do sali sądowej, usiąść w tym samym pomieszczeniu co senator McCall i powiedzieć światu, co jej zrobił Clark? „Pocałował mnie... dotknął mnie... powiedziałam nie... on powiedział tak... spoliczkował mnie... uderzył... raz, drugi, trzeci, za każdym razem mocniej... miał obłęd w oczach, szaleństwo, był silny... przygniótł mnie... zdarł ze mnie majtki... rozsunął nogi... tak, walczyłam... ale był za silny... wdarł się we mnie... i tylko ból... ten ból...” Ból, który nigdy jej nie opuści.

Poszła na SMU, uzyskawszy stypendium taneczne. Uwielbiała tańczyć. Od tamtej nocy nie zatańczyła ani raz. Gwałt zmienił jej życie. Nie była sobie w stanie z tym poradzić, wyrzucić go ze swojego życia. Jej terapeuta przekonał ją, żeby zeznawała na procesie, który mógłby być cezurą w jej życiu, który mógł pomóc jej w otrząśnięciu się z tego wszystkiego. Niemal wpadła na tego mężczyznę.

- Przepraszam - powiedziała.

- Cześć, Hannah - odparł mężczyzna.

Hannah podniosła wzrok i kiedy zobaczyła przed sobą zwalistą postać łysego mężczyzny, zaczęła płakać.

***

Jedyne wolne krzesło znajdowało się obok Penny Birnbaum.

Scott i Bobby wrócili do domu, zjedli obiad z Louisem i dziewczynkami. Następnie Scott pojechał swoją jettą do notariusza, żeby sfinalizować transakcję sprzedaży posiadłości przy Beverly Drive numer 4000. Recepcjonista skierował go do niewielkiej sali konferencyjnej, gdzie złoży podpis na umowie sprzedaży swojego domu państwu Birnbaum.

Penny, uśmiechając się, poklepała siedzenie obok siebie.

Scott przedstawił się Joy, pani notariusz siedzącej przy stole obok Jeffreya, który nachylał się nad dokumentami jak jubiler nad nieoszlifowanymi diamentami. Scott obszedł stół, usiadł obok Penny i wsunął się z krzesłem pod blat. Jeszcze nie zdążył się dobrze usadowić, kiedy poczuł jej dłoń na swoim udzie.

- Mówiłam ci, że muszę pomierzyć ściany pod meble, Scott - powiedziała.

Miała na sobie letnią sukienkę, która podkreślała jej krągły biust i wąską talię. Jej dłoń przesunęła się wyżej i zaczęła zbliżać się do krocza. Sięgnął w dół, złapał ją za nadgarstek i stanowczo położył dłoń na kolanie dziewczyny. Obrażona wydęła usta. Kiedy jednak puścił jej nadgarstek, dłoń powróciła w dawne miejsce z siłą drzwi na sprężynie. Uśmiechnęła się.

Joy podsunęła stertę dokumentów w kierunku Scotta i zaczęła wymieniać wszystkie dane na końcowej umowie.

- Trzy miliony czterysta tysięcy dolarów pomniejszone o spłatę pożyczki wynoszącej dwa miliony osiemset tysięcy dolarów oraz dwadzieścia cztery tysiące osiemset dziewięćdziesiąt dolarów podatku, przekazanie własności, dziewiętnaście tysięcy, opłaty firmowe za zdeponowanie kwoty zakupu...

- Dwieście pięćdziesiąt? - zapytał Jeffrey. Joy odparła:

- Standardowa opłata.

- Ale nie ma żadnego rachunku depozytowego.

- I tak pobieramy tę opłatę. - Ale...

- Ja zapłacę te dwieście pięćdziesiąt dolarów, Jeffrey - powiedział Scott.

Nie był w nastroju, żeby wykłócać się o dwieście pięćdziesiąt dolarów przy transakcji za trzy miliony czterysta tysięcy. Nawet przy wszystkich opłatach Scottowi zostawało ponad pół miliona netto. Po opłaceniu podatku i zawarciu transakcji kupna domu przy SMU z resztą rachunku maklerskiego i sześćdziesięcioma siedmioma tysiącami po wyprzedaży domowej miał dość pieniędzy, by rozpocząć nowe życie.

Ponownie odsunął dłoń Penny i wyszeptał:

- Przestań!

Po drugiej stronie stołu Jeffrey i Joy byli zajęci umową i innymi dokumentami, ponieważ Jeffrey wziął kredyt hipoteczny ze swojego banku. Myśli Scotta krążyły wokół tego dnia, kiedy sam podpisywał podobne zobowiązania, by kupić ten sam dom, ale zanim dane mu było całkowicie zatopić się w myślach, z zamyślenia wyrwał go szept wprost do ucha:

- A ja nie mam majteczek!

Penny odsunęła się i ich spojrzenia się spotkały. Jego oczy podążyły za jej spojrzeniem, które teraz było skierowane na dół. Przekręciła się nieznacznie na siedzeniu, rozchyliła nogi i wolno uniosła brzeg sukienki, ukazując łydki, opalone uda i w końcu urocze miejsce, w którym kończyły się nogi, a zaczynał tułów. Scott wciągnął powietrze przez zęby. Nie kłamała.

Scott poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Zaczął podpisywać dokumenty tak szybko, jak to tylko było możliwe: ostateczną umowę, zaświadczenia retencji, oświadczenie o braku współwłasności osób trzecich, ugodę równomiernego wspólnego opodatkowania i w końcu przekazanie aktu własności, przekazując dom swoich marzeń w ręce państwa Jeffreya i Penny Birnbaumów. Scott złożył podpis drżącą dłonią: A. Scott Fenney. Pchnął ostatni dokument w stronę Jeffreya. I w ten sposób jego dom z marzeń trafił w obce ręce. Czuł się, jakby oddawał swoją męskość.

Ale wiedział, że tak nie jest, ponieważ Penny trzymała jego męskość w pewnym uścisku pod stołem. Scott poczuł, że wychodzą mu rumieńce na twarzy, i nie wiedział, czy to z tych emocji związanych z przekazaniem domu, czy też pod wpływem ruchów ręki Penny. Wiedział tylko, że musi jak najszybciej stąd uciec, nabazgrał więc swój podpis na ostatnim dokumencie, czasowym użyczeniu, na mocy którego Birnbaumowie będą mogli się wprowadzać po dziesięciu dniach od podpisania aktu, co powinno wystarczyć na wyprowadzkę. Podsunął dokument przez stół Jeffreyowi, który podniósł wzrok znad sterty papierów, spoglądając na niego, potem na Scotta i Penny, potem znów na Scotta. Oczy zmrużyły mu się podejrzliwie.

- Co to ma znaczyć, do cholery? - zapytał. Scott stężał, podobnie jak dłoń Penny.

- Ee... co masz na myśli, Jeffrey? Jeffrey podniósł umowę do góry.

- Dziesięć dni? Mało być siedem.

Scott odetchnął z ulgą, dłoń Penny zabrała się ochoczo do pracy.

- Jeffrey, to ty przeniosłeś podpisanie umowy na dzisiaj. - Ale nie możesz się wyprowadzić wcześniej? My jesteśmy gotowi do przeprowadzki.

- Nie, Jeffrey, nie mogę. Mam rozprawę o morderstwo, która zaczyna się w poniedziałek, pewnie czytałeś o tym. To jest o wiele ważniejsza sprawa niż twoje wcześniejsze wprowadzenie się do mojego domu.

- To już nie jest twój dom, Scott.

Jeffrey wypowiedział te słowa z arogancją człowieka całkowicie nieświadomego faktu, że właśnie w tej chwili jego żona pieściła członka obcego mężczyzny pod stołem.

***

Tego wieczoru po zmówieniu modlitwy Pajamae zapytała Scotta:

- Tych dwunastu ludzi będzie decydować, co się stanie z mamą?

- Tak, kochanie.

- Czy pan im ufa, panie Fenney?

- Cóż... Nie znam ich na tyle, żeby wiedzieć, czy im ufam czy nie. Mam nadzieję, że ocenią wszystko sprawiedliwie.

Pajamae stwierdziła:

- Pomodlę się za nich.

- Za przysięgłych? Pokiwała głową.

- Mama zawsze powtarza, żeby modlić się za innych, żeby robili dobrze. Mówiła, żebym pomodliła się i za pana.

Rozdział dwudziesty piąty

Kiedy Scott obudził się w niedzielę rano, nagle przepełnił go strach. Rozprawa rozpocznie się za dwadzieścia cztery godziny. Czy był na tyle dobrym prawnikiem, żeby ocalić Shawandę? Przez ostatnich jedenaście lat Scott, kiedy potrzebował pomocy, zwracał się o nią do Dana Forda. Teraz potrzebował wsparcia i przypomniał mu się Butch Fenney: „Synu, kiedy będziesz potrzebował pomocy, padaj na kolana i módl się".

Scott wyturlał się z łóżka, założył szorty i popędził korytarzem, a później po schodach na trzecie piętro. Dziewczynki jeszcze leżały w łóżku. Pajamae poprawiała warkoczyki Boo.

- Ubierajcie się, dziewczynki. Jedziemy do kościoła. Boo aż otworzyła buzię ze zdziwienia.

Louis szedł pierwszy chodnikiem do niewielkiego kościółka we wschodnim Dallas, kiedy Pajamae powiedziała:

- Byłam ciekawa, dlaczego nie chodzicie do kościoła. Mama i ja chodzimy co niedzielę. Pomyślałam, że może biali nie chodzą do kościoła.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że chcesz iść? - zapytał Scott.

- To nie byłoby grzecznie, panie Fenney.

Scott Fenney chodził regularnie do kościoła z rodzicami, ale po śmierci Butcha stracił zapał religijny. Dlaczego Bóg zabrał takiego dobrego człowieka jak Butch Fenney? Ale jeszcze chodził do kościoła z mamą, aż do jej śmierci. Ostatni raz przestąpił kościelny próg na pogrzebie matki:

Pastor nie miał nic z Wielkiego Charliego.

Zanim rozstali się na stadionie dwa tygodnie temu, Wielki Charlie powiedział:

- Kiedy Bóg ofiaruje ci dar, to nie znaczy, że jesteś wyjątkowy. Oznacza to, że jesteś błogosławiony.

Scott w końcu zrozumiał, co miała na myśli jego matka, kiedy powiedziała, że ma dar, ale nie jest to umiejętność gry w piłkę. Wiedział, że jego całe dotychczasowe życie skupiło się na tej jednej chwili, na tym procesie, na Shawandzie Jones. Sędzia miał rację - ona potrzebowała bohatera. Potrzebowała jego. A on potrzebował jej. Ale minęło już sporo czasu, od kiedy Scott Fenney był czyimś bohaterem. I, szczerze mówiąc, nie wiedział, czy sprosta temu zadaniu teraz.

Spojrzał na dwie dziewczynki siedzące obok niego. Boo i Pajamae zwróciły wzrok ku niemu, w taki sposób, w jaki on sam spoglądał w tym samym kościele na Butcha. Przypomniał sobie znów słowa ojca i uklęknął.

I modlił się o pomoc.

***

Dwa kilometry dalej Bobby Herrin siedział w swojej obskurnej kancelarii, przygotowując plan procesu. Frontowe drzwi były otwarte i zablokowane, ponieważ właściciel nie włączał klimatyzacji w niedziele. Wciągnął powietrze i poczuł zapach taniej wody kolońskiej. Podniósł wzrok. W drzwiach stał biały mężczyzna, łysy, krępy i z grubym karkiem. Delroy Lund.

Kiedy Carl sprawdzał Delroya Lunda, odkrył, że jego kariera w wydziale do walki z narkotykami była napiętnowana licznymi naganami za nieuzasadnione użycie siły. Carl mówił, że będzie kopał dalej, ale jeszcze nie przedstawił raportu.

Bobby starał się trzymać fason, ale wzdrygnął się, kiedy Delroy sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Nie próbuj niczego, Delroy! Jak krzyknę, to wpadnie tu Joo-Chan, a on zna karate!

Delroy parsknął.

- Ten żółtek wie, jak robić pączki, ale nie w niedziele. Sam jesteś, Herrin.

Delroy nie wyciągnął jednak broni. W dłoni trzymał kopertę. Bobby wypuścił powietrze z ulgą. Delroy rzucił kopertę na biurko. Bobby otworzył ją. W środku był czek wystawiony na Roberta Herrina, opiewający na sto tysięcy dolarów. Bobby poczuł się od razu lepiej: w końcu uznano, że jest na tyle ważny, że próbowano go przekupić. Spojrzał na czek.

- Czek bankowy wystawiony przez Island Bank na Kajmanach. Słodkie to, Delroy. Nie będzie można dojść do McCalla.

- Nie jesteśmy głupi.

- To otwarta kwestia.

- Układ jest taki, Herrin. Ten mały pojeb Clark nie przeszkodzi tatusiowi w dostaniu się do Białego Domu, żywy czy martwy. Masz więc wybór: weź pieniądze i wyjedź z miasta albo zostaniesz aresztowany.

- Za co?

- Za dystrybucję narkotyków.

- Nie mam żadnych narkotyków.

- Będziesz miał, kiedy z tobą skończę. Zadzwonię do moich kumpli z wydziału i wsadzą cię na dobre.

- Z twoimi zasługami w służbach? Nie sądzę. Powiem im, że podłożyłeś narkotyki, i to ciebie aresztują. I co, McCall myśli, że Scotty nie poradzi sobie z obroną beze mnie? Scotty mnie nie potrzebuje.

- Już to wcześniej pokazał, no nie? - Delroy uśmiechnął się drapieżnie. - Według tego, co mówi Burns, jesteś jedynym sumieniem, jakie ma.

Bobby włożył z powrotem czek do koperty i odrzucił ją Delroyowi.

- Wynocha!

- Robisz wielki błąd.

- Nie pierwszy i nie ostatni. Do zobaczenia na rozprawie, Delroy.

- Wybacz, ale nie mam czasu.

- Znajdziesz. - Bobby wziął druk wezwania na świadka, wpisał DELROY LUND w rubryce ŚWIADEK i rzucił je Delroyowi. - Dostałeś wezwanie, gnoju.

Kiedy tylko wypowiedział te słowa, wiedział, że zagrał ostro na emocjach zbira - tego nie powinien był robić. Delroy nachylił się i podniósł wezwanie z podłogi. Spojrzał na nie i zmienił się na twarzy. Podszedł do Bobby ego, złapał go za koszulę i poderwał z krzesła. Delroy zbliżył usta do twarzy Bobby ego i wycedził:

- Ty mały skurwy...

- Ej, *hombre*!

W drzwiach stał Carlos Hernandez. Carlos miał prawie dwa metry wzrostu, ważył jakieś sto kilogramów i był wystrojony do kościoła: miał na sobie czarne skórzane spodnie, czarne kowbojki ze szpicem, czarną koszulkę, która opinała się na jego muskularnym torsie i wytatuowanych ramionach, oraz dwie grube srebrne bransolety na każdym nadgarstku.

- Zabieraj swoje śmierdzące łapy od mojego adwokata, *gringo*!

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu Delroy parsknął, puścił Bobbyego, odszedł kilka kroków, ale się odwrócił.

- Aha, wasz koronny świadek dał sobie spokój. Wolała pojechać na wakacje, niż robić za przynętę dla ryb w Zatoce Galveston.

Delroy zarechotał i wyszedł obrzucany paskudnymi spojrzeniami Carlosa. Kiedy poszedł, na ustach Carlosa pojawił się szeroki uśmiech.

- To dobrze, że wyszedłem za kaucją, co, panie Herrin?

- Tak, dzięki, Carlos.

Carlos wyciągnął banknot dwudziestodolarowy.

- To od matki.

***

- Możemy zobaczyć mamę? - zapytała Pajamae.

Scott otworzył drzwi samochodu przed dziewczynkami.

- Jasne.

Droga z kościoła we wschodnim Dallas do budynku aresztu federalnego zajęła tylko kilka minut po pustych ulicach w niedzielny poranek. Louis został w samochodzie. Scott z dziewczynkami wszedł do środka i wjechał windą na piąte piętro. Poprowadzono ich do pustego pokoiku, gdzie czekali na Shawandę. Kiedy się pojawiła, uściskała Pajamae i Boo. Wtedy Scott ją uściskał.

Kiedy ją już puścił, przytrzymał ją za ramiona i powiedział:

- Shawando, nie bój się tego, co może się stać w sądzie. Będziemy mieć dużą szansę, bo Hannah Steele będzie zeznawać. A jeśli przegramy, to będziemy apelować aż do Sądu Najwyższego.

Shawanda uśmiechnęła się łagodnie.

- Nie mam pietra, panie Fenney. Ludzie tacy jak ja za długo mieszkają po złej stronie życia, żeby nie wiedzieć, czego można się spodziewać w sądzie. Ale przede wszystkim nie boję się, bo jest pan moim prawnikiem.

***

Godzinę później wrócili do domu i zastali samochód Bobbyego zaparkowany za domem, a jego samego siedzącego na stopniach schodków z tyłu i palącego papierosa. Bobby powiedział:

- Hannah Steele zniknęła. McCall ją przekupił albo Delroy ją przestraszył. Tak czy inaczej, nie będzie zeznawać. Mamy przerąbane.

Rozdział dwudziesty szósty

Scott zaparkował jettę na odkrytym parkingu dwie przecznice od siedziby sądu federalnego. Nigdzie nie mógł znaleźć miejsca w cieniu, opuścił więc odrobinę szyby w oknach, mając nadzieję, że temperatura w środku nie stopi deski rozdzielczej, i wysiadł z samochodu. Za nim wysiadły dziewczynki, obie w strojach, które Rebecca kupiła Boo u Neimana Marcusa. Pajamae miała na sobie białą letnią sukienkę w czarne duże kropy i biały kapelusz z szerokim rondem. Boo założyła jasnoniebieską letnią sukienkę z pasującym kolorystycznie kapeluszem. Wyglądały jak dwie piękności z Południa - jeśli nie patrzeć na warkoczyki.

Scott wyciągnął chustkę z tylnej kieszeni spodni, zdjął okulary i otarł cały pot już gromadzący się na czole. Następnie ponownie założył okulary, marynarkę, zamknął samochód i wziął do ręki aktówkę. Zapłacił parkingowemu dziesięć dolarów za cały dzień parkowania i razem z dziewczynkami wyszedł na ulicę. Scott czuł się tak, jak zawsze przed meczem - jego ciało pulsowało energią, szczególnie w momentach, takich jak ten, kiedy przeciwnik, przed którym zaraz stanie, był większy, silniejszy i nie miał ochoty na żarty.

Spojrzał na dwie dziewczynki idące przed nim. Boo była miłością jego życia, a Pajamae stała się jego drugą córką. Dziewczynki były poruszone, jakby szły do zoo zamiast na proces o morderstwo, trajkotały i chichotały - aż skręcili w Commerce Street.

I tutaj cała trójka zamarła. Setki ludzi zgromadziły się przy wejściu do budynku sądu federalnego - wozy transmisyjne miejscowych, sieciowych i kablowych telewizji ustawiły się wzdłuż ulicy, ich anteny satelitarne i ekipy kamerzystów przygotowywały się do wyemitowania sensacyjnych wiadomości, kilkudziesięciu policjantów pilnowało porządku. To był właśnie ów cyrk medialny, który przewidział sędzia Buford.

- A. Scott, na kogo czekają ci wszyscy ludzie? - zapytała Boo.

- Na mnie.

Przyciągnął dziewczynki do siebie i ruszył naprzód. Kiedy ich zobaczyli, kamerzyści i dziennikarze ruszyli biegiem, jak drużyna przeciwnika gotowa powalić zawodnika numer 22

na murawę w odwecie za pierwszy atak w mediach. Scott wolał już raczej stanąć oko w oko z tymi toczącymi pianę z pysków obrońcami niż z oszalałymi dziennikarzami chcącymi uszczknąć coś dla siebie do wieczornych wiadomości. Przystawili mu mikrofony do twarzy i przekrzykiwali się z bliskiej odległości.

- Czy Shawanda przyzna się do samoobrony?

- Czy inne kobiety zaświadczą, że Clark je zgwałcił?

- Czy wezwie pan senatora na świadka?

Na wszystkie zaczepki Scott odpowiadał: „bez komentarza" i parł do przodu. Ale wtedy opadli Pajamae, przytykając jej mikrofony do twarzy i krzycząc na nią:

- Jak myślisz, twoja mamusia zabiła Clarka?

- Gdzie będziesz mieszkać, jak ją skażą?

- Czy wciąż kochasz swoją mamę?

Scott dostał szału. Odtrącił mikrofony i kamery.

- Zostawcie ją w spokoju!

Ale Pajamae się zatrzymała. Przekrzywiła głowę, spoglądając na dziennikarza, który zadał ostatnie pytanie, z dziwnym wyrazem twarzy, po czym odezwała się bardzo łagodnym głosem:

- Oczywiście że kocham moją mamę.

Na te słowa wszyscy dziennikarze zamilkli. Mała czarna dziewczynka zawstydziła cały cyrk medialny na amen. Tłum się rozstąpił i Scott wraz z dwiema dziewczynkami mógł bez przeszkód wejść do gmachu sądu.

Wysiedli z windy na piętnastym piętrze, poszli korytarzem i skręcili za róg do sali sądowej sędziego Buforda, gdzie na ławce na korytarzu, jak gdyby nigdy nic, siedział Delroy Lund i czytał gazetę sportową. Nie widzieli go od zajścia w Village, ale Delroy tylko podniósł wzrok na Scotta i wrócił do lektury bez żadnego komentarza czy reakcji. Po otrzymaniu wezwania Delroy był zmuszony siedzieć przed salą sądową przez cały czas trwania procesu, czekając na złożenie zeznań.

Scott otworzył duże podwójne drzwi i wprowadził dziewczynki na salę rozpraw, wskazując im miejsca w pierwszym rzędzie. Spojrzał na drugi rząd i zobaczył nie kogo innego, tylko senatora Stanów Zjednoczonych Macka McCalla z żoną. A oni patrzyli na niego. Scottowi wydawało się, że senator już wyciąga dłoń w geście powitalnym, co mogło być związane z odruchem doświadczonego polityka, ale szybko się zmitygował. Oczy Scotta spoczęły na Jean McCall. Spojrzała mu prosto w oczy i uniosła nieznacznie brwi, jakby zadając nieme pytanie, po czym zdjęła prawą nogę z lewej i założyła je na odwrót. Przez

sekundę spojrzenie Scotta przyciągnęła jej krótka spódniczka, lecz Jean uciekła wzrokiem, przesuwając jednak ręką po gładkim udzie. Scott już odwracał się do dziewczynek, kiedy zauważył Dana Forda. Jego były starszy wspólnik, mentor i przybrany ojciec, siedział obok Jean McCall z ponurą miną. Dan odwrócił spojrzenie i spuścił wzrok, z wolna kręcąc głową.

Scott usadowił dziewczynki po stronie ławy przysięgłych w miejscach dla publiczności. Chciał, żeby przysięgli zobaczyli córkę oskarżonej i zaczęli się zastanawiać: „Jak ta sama osoba może być jednocześnie kochającą matką i zimnokrwistą morderczynią?".

- Och, zaraz się rozpłaczę.

Bezczelny głos Raya Burnsa. Scott odwrócił się do niego, ale Ray tylko pokręcił głową i podszedł do stołu prokuratorskiego. Bobby i Karen siedzieli już przy stanowisku obrony.

- Clark McCall leżał na podłodze swojej sypialni, zwijając się z bólu po kopnięciu w krocze. Wtedy oskarżona, Shawanda Jones, podeszła do niego, złapała go za włosy, uniosła mu głowę, przyłożyła lufę pistoletu kaliber 22 do jego czoła i pociągnęła za spust, powodując natychmiastową śmierć. Następnie ukradła mu pieniądze i samochód. Shawanda Jones zamordowała Clarka McCalla, urzędnika federalnego, podczas popełniania rabunku. To właśnie ukażą dowody. I dlatego będę wnosił o uznanie oskarżonej przez ławę przysięgłych za winną i skazanie jej na karę śmierci.

Zastępca prokuratora Ray Burns odwrócił się od przysięgłych, poszedł z powrotem do stołu prokuratorskiego na podium i mrugnął po drodze do Scotta, wiedząc, że właśnie określił bardzo wyraźnie swoje stanowisko w mowie wstępnej, mówiąc przysięgłym, czego ma zamiar dowieść, i wiedząc, że ma dowody na poparcie swojego stanowiska.

- Mecenasie Fenney - powiedział sędzia Buford.

Scott wstał i spojrzał po widowni, którą stanowili gapie, zebrani, żeby osobiście oglądać proces, jakiego Dallas jeszcze nie widziało. Z tyłu sali siedzieli stali widzowie procesów, starsi mężczyźni, którzy pojawiali się w sądzie codziennie, tak jak inni chodzili codziennie na golfa. Następnie znajdowało się kilka rzędów dostępnych dla publiczności, do których ludzie ustawiali się przed świtem, żeby dostać miejsce. Dalej pięć rzędów dla dziennikarzy, którzy robili notatki, oraz rysowników sądowych szkicujących portrety istotnych osób procesu. Przybyli również licznie rozmaici adwokaci i sędziowie, którzy traktowali ten proces jako kontynuację swojej prawnej edukacji. I w końcu siedział tutaj senator McCall, starając się zabić Scotta wzrokiem, jego żona Jean, która tylko patrzyła, oraz Dan Ford kręcący cały czas głową. Tuż przed nimi siedziały Boo i Pajamae, jak grzeczne dziewczynki z Highland Park, ze złączonymi nogami i dłońmi na kolanach. Spojrzał na Boo,

a ona uśmiechnęła się i pokazała mu kciuki uniesione w górę. Chciał podzielać jej entuzjazm. Podszedł do podium i stanął przed ławą przysięgłych. Mógł jedynie zakwestionować oskarżenie prokuratora.

- Shawanda Jones jest prostytutką i narkomanką. Nie ma jej dzisiaj rano na sali, ponieważ jest chora. Cierpi na objawy głodu narkotycznego. Sędzia Buford udzielił mi pozwolenia na powiadomienie państwa o jej chorobie, abyście państwo nie odebrali jej nieobecności jako faktu świadczącego przeciwko niej. Jak pamiętacie państwo z dnia wyboru składu ławy przysięgłych, prosiłem każdego z państwa o jedno: o potraktowanie Shawandy uczciwie.

Były takie czasy, nie tak znowu odległe, kiedy czarny oskarżony na Południu nie mógł liczyć na uczciwe potraktowanie. Kiedy całkowicie obca osoba prosto z ulicy, nie wiedząc niczego o sprawie, mogła wejść na salę sądową i wskazać oskarżonego - jedyną czarną osobę na sali, kiedy to ława przysięgła złożona z „niezależnych" sędziów składała się wyłącznie z białych. Ale czasy się zmieniły, podobnie jak prawo.

Scott spoglądał w oczy czarnych, śniadych i białych członków ławy przysięgłych - nauczyciela, mechanika, pielęgniarki, barmana i innych - i zastanawiał się, czy potraktują ją uczciwie.

- Trzymacie jej życie w swoich rękach. Przysłuchujcie się państwo uważnie. Myślcie samodzielnie. Bądźcie sprawiedliwi.

***

Funkcjonariusz policji z Dallas, Eddie Castille, przysiągł „mówić prawdę, tylko prawdę i samą prawdę, tak mu dopomóż Bóg" i usiadł na miejscu dla świadków. Castille był dwudziestokilkuletnim Latynosem, ideowo nastawionym policjantem, który wciąż wierzył, że może coś zmienić na ulicach Dallas. Był pierwszym świadkiem oskarżenia. Ray Burns zwrócił się do niego z podium.

- Funkcjonariuszu Castille, jaką piastuje pan funkcję w Wydziale Policji w Dallas?

- Jeżdżę w patrolu.

- Czy patrolował pan okolice Harry Hines Boulevard w Dallas w niedzielne popołudnie szóstego czerwca?

- Tak, proszę pana.

- I czy podczas tego patrolu natknął się pan na porzuconego mercedesa benza?

- Tak, proszę pana.

- Proszę powiedzieć przysięgłym, co pan w związku z tym zrobił.

- Zobaczyłem pojazd zaparkowany w bocznej uliczce, podjechałem więc do niego. Zwykle nie widujemy takich samochodów w okolicy Harry Hines Boulevard, chyba że przy lokalach ze striptizem. W pojeździe nie było nikogo, dlatego sprawdziłem numery rejestracyjne. Odezwał się dyspozytor i przekazał mi, że nie zgłoszono kradzieży tego samochodu i że jest zarejestrowany na Macka McCalla.

- Czyli senatora Macka McCalla?

- Tak, proszę pana. Tego dowiedziałem się od dyspozytora, ale nie wiedziałem, kto to jest Mack McCall.

Na sali rozległy się przytłumione śmiechy, co senator skwitował tylko skromnym wzruszeniem ramion.

- I co pan zrobił wtedy?

- Adres zamieszkania właściciela wskazywał na Highland Park, oficer dyżurny zawiadomił mnie więc, że przekaże sprawę komendzie policji w Highland Park i oni już pojadą do tej rezydencji.

- I czy to zakończyło pańskie zainteresowanie tą sprawą?

- Tak, proszę pana. Musiałem tylko poczekać na lawetę.

- I o której to było?

- Mniej więcej około pierwszej po południu.

- Dziękuję panu, panie Castille. Nie mam więcej pytań. Sędzia Buford zwrócił się do Scotta, który tylko powiedział:

- Nie mam pytań, wysoki sądzie.

- Mamo, dobrze się czujesz?

Zamiast iść do miasta na lunch, ekipa obrony postanowiła zjeść lunch z oskarżoną. Znajdowali się więc teraz wszyscy w niewielkiej sali pozbawionej wyposażenia, zajadając się kanapkami z szynką i serem, które dziewczynki zrobiły rano. Scott ściągnął marynarkę z oparcia krzesła i okrył nią ramiona Shawandy. Jego klientką znów wstrząsały dreszcze.

- Dobrze, maleńka.

- To czemu nie możesz wziąć swojego lekarstwa?

- Nie wiem.

- Mamo, ci przysięgli ciągle się na mnie gapią.

- To dlatego, żeś taka śliczna - powiedziała ciepło Shawanda. - Jak tam w sądzie, panie Fenney?

- Dziś rano nic specjalnego się nie zdarzyło, Shawando.

- Mamo, ten pan Burns to jest mały fiutek. Stanął sobie tak i cały czas kłamał do tych przysięgłych. Kłamał im jak z nut, że zabiłaś tego chłopaka od McCallów!

- Jasne, maleńka.

***

Po przerwie na lunch Ray Burns, mały fiutek, wezwał sierżanta Rolanda Jamesa z Wydziału Policji w Highland Park na drugiego świadka oskarżenia. Sierżant James należał do tych funkcjonariuszy w średnim wieku, którzy już dawno pogodzili się z faktem, że nic się nie da zrobić, należy więc spokojnie odbębnić swoje i zaczekać do emerytury. Zeznał, że był na służbie w niedzielne popołudnie, szóstego czerwca, i odebrał wezwanie od policji w Dallas w związku z odnalezieniem mercedesa senatora McCalla. Pojawił się w posiadłości McCallów o godzinie trzynastej trzydzieści.

- Sierżancie James - powiedział Ray Burns. - Kiedy przyjechał pan do rezydencji McCallów, czy zauważył pan coś odbiegającego od normy?

- Nie, proszę pana. Tylko frontowa brama była otwarta.

- Co pan zrobił?

- Wjechałem na posesję, podszedłem do drzwi wejściowych i kilkakrotnie dzwoniłem. Nikt nie otwierał. Sprawdziłem drzwi, ale były zamknięte. Obszedłem więc dom i z tyłu zastałem otwarte drzwi. Wszedłem do środka i zawołałem, ale nikt mi nie odpowiedział.

- Co pan wtedy zrobił?

- Rozpocząłem przeszukiwanie domu, zaczynając od parteru. Nic nie odbiegało od normy i nie zastałem tam nikogo. Wszedłem po schodach na pierwsze piętro, zaczynając od skrzydła zachodniego. Ciało znalazłem w sypialni we wschodnim skrzydle.

- Co to było za ciało?

- Biały mężczyzna, nagi, rana postrzałowa na czole. Leżał na białym dywanie przesiąkniętym krwią.

- Czy było to ciało Clarka McCalla?

- Tak, proszę pana.

- Czy wiedział pan o tym, bo znał wcześniej Clarka McCalla?

- Tak, proszę pana.

- Czy sprawdził pan ciało pod kątem ewentualnych oznak życia?

- Nie, proszę pana.

- Dlaczego nie?

- Z wyglądu ciała wywnioskowałem, że jest martwy, i to od wielu godzin. Nie chciałem naruszać stanu faktycznego i zatrzeć dowodów.

- Czy to jest zgodne z zasadami policyjnego postępowania?

- Ee... nie, proszę pana. To jest zgodne z tym, co widziałem na procesie OJ. Simpsona. Oskarżyli policjantów z Los Angeles, że zatarli ślady na miejscu zbrodni. Nie miałem zamiaru powtarzać tego błędu.

- Co więc pan zrobił?

- Wyszedłem z sypialni i zadzwoniłem do centrali, rozmawiałem z szefem. On wezwał federalnych. FBI.

- Dziękuję, sierżancie James. Nie mam więcej pytań.

Scott wstał i podszedł do podium.

- Sierżancie James, dlaczego pana szef zadzwonił po FBI?

- Bo pomyślał, że to ich działka.

- Przy morderstwie?

- Ofiara była urzędnikiem federalnym.

- Wiedział pan o tym wtedy, kiedy stał pan w sypialni denata?

- Nie, proszę pana, wtedy nie wiedziałem. Ale chyba szef wiedział.

- Ale wiedział pan, kim była ofiara?

- Tak, proszę pana.

- A skąd pan znał Clarka McCalla?

- No... Clark McCall. On, ee... Był u nas notowany.

- Notowany?

- Tak, proszę pana.

- Jak długo pracuje pan w komendzie w Highland Park?

- W grudniu miną dwadzieścia trzy lata.

- Czy wcześniej osobiście aresztował pan Clarka McCalla?

- Tak, proszę pana.

- Ile razy?

- Z tego, co pamiętam, to trzy.

- Za co?

- Zakłócanie porządku publicznego.

- Co takiego zrobił?

- Picie w miejscu publicznym, kiedy jeszcze był w ogólniaku.

- Tylko tyle?

- Narkotyki.

- Czy to wszystko?

- Pewnego razu stał nago w fontannie na terenie kampusu uniwersyteckiego.

- Nigdy nie był aresztowany za przestępstwa na tle seksualnym?

- Z tego, co mi wiadomo, to nie, proszę pana.

- Czy kiedykolwiek złożono oficjalną skargę przeciwko Clarkowi McCallowi na jego domniemany czyn o charakterze przestępczym?

- O ile mi wiadomo, to nie.

- Podsumowując: pański szef zadzwonił po federalnych, ponieważ wiedział, że ofiarą jest syn senatora McCalla?

- Tak, proszę pana. I dlatego, że w Highland Park nigdy nie mieliśmy morderstwa.

***

Następnym świadkiem oskarżenia był agent FBI, który pierwszy pojawił się na miejscu zbrodni. Agent Paul Owen, lat pięćdziesiąt, były wojskowy, wciąż noszący się i zachowujący po wojskowemu.

- Agencie Owen - zaczął Ray Burns. - O której godzinie przybył pan do rezydencji McCallów?

- Około czternastej trzydzieści.

- I co pan zrobił?

- Wszedłem na teren rezydencji, zabezpieczonej przez Wydział Policji z Highland Park, i poszedłem na górę, na miejsce zbrodni. Tam zauważyłem denata leżącego na podłodze. Rozpocząłem dokumentowanie miejsca zbrodni i wezwałem ekipę techniczną. Przybyli około godziny piętnastej.

- Stał pan na czele ekipy dochodzeniowo-śledczej?

- Tak, proszę pana.

- Czy zbadał pan miejsce zbrodni?

- Tak, proszę pana. Zebraliśmy dowody.

- I jakie zebrali panowie dowody?

- Odcięliśmy fragment dywanu, na którym leżało ciało, żeby pozyskać próbki krwi. Zebraliśmy włosy leżące obok ciała, odciski palców z pomieszczenia, różne części garderoby, rzeczy osobiste, pościel, szklanki, pocisk kaliber 22 zakotwiczony w podłodze, pistolet kaliber 22 oraz ciało denata.

- I co zrobili panowie z tymi dowodami?

- Ciało zostało przekazane do anatomopatologa okręgu Dallas. Pozostałe dowody zostały wysłane do laboratorium FBI w Quantico w stanie Wirginia do analizy.

- Czy przeprowadziliście test luminolowy, żeby zlokalizować krew w pomieszczeniu?

- Tak, proszę pana, przeprowadziliśmy.

- Czy znaleźliście jeszcze gdzieś ślady krwi?

- Nie, proszę pana.

- A więc ofiara została zabita w miejscu, w którym znaleziono później jego ciało?

- Tak, proszę pana. Ciało nie było przemieszczone.

- Czy od razu przeprowadziliście identyfikację daktyloskopijną?

- Tak, proszę pana. Zrobiliśmy to w Dallas.

- I czy dopasowaliście odciski palców do konkretnej osoby?

- Tak, proszę pana. Odciski palców na jednej ze szklanek i na pistolecie należały do oskarżonej.

- Do Shawandy Jones?

- Tak, proszę pana.

- Co następnie zrobiliście?

- Uzyskaliśmy nakaz aresztowania Shawandy Jones.

- Czy pan dokonał aresztowania?

- Nie, proszę pana. Posłałem agenta Edwardsa z tym zadaniem.

- A co było potem?

- Zadzwoniliśmy do najbliższego krewnego.

- Czyli do senatora McCalla?

- Tak jest, proszę pana. Poinformowałem pana senatora, że jego syn został zamordowany w rodzinnej posiadłości.

- I co senator McCall powiedział na to?

- Zapytał, w jaki sposób zginął jego syn.

- I powiedział mu pan?

- Tak, proszę pana.

- Dobrze. Wróćmy jeszcze na chwilę na miejsce zbrodni, agencie Owen. Czy na miejscu przestępstwa zrobiono zdjęcia?

- Tak jest, proszę pana.

Ray Burns podszedł do Scotta i podał mu cztery fotografie, które miał zamiar pokazać przysięgłym. Zdjęcia z miejsca zbrodni były przedmiotem gorącej dyskusji przedprocesowej, ponieważ fotografie mogły wywołać uprzedzenie u przysięgłych. Burns chciał pokazać dwa tuziny zdjęć, ale sędzia dopuścił jedynie te cztery, z których szczególnie jedno było bardzo drastyczne. Scott podał zdjęcia siedzącej obok niego Karen. Wciągnęła głośno powietrze przez zęby. Zapomniał, że dziewczyna nie widziała tych fotografii. Scott coś sobie

przypomniał w związku z tym, odwrócił się do dziewczynek i gestem nakazał im spuścić wzrok. Wiedział, że pokażą te zdjęcia podczas procesu, i omówił to z dziewczynkami podczas porannej drogi na rozprawę. Nakazał im spuścić wzrok, aż oskarżenie zakończy pokaz zdjęć.

- Agencie Owen, czy może pan spojrzeć na ekran komputera i opisać zdjęcie, które przysięgli będą mogli zobaczyć na dużym ekranie?

Agent Owen obrócił się na krześle dla świadków, żeby spojrzeć na ekran komputera. Scott patrzył uważnie na reakcję przysięgłych.

- To jest obraz miejsca zbrodni widziany od drzwi sypialni, tak jak zobaczyłem je po raz pierwszy. Łóżko znajduje się na wprost drzwi, łazienka jest po prawej, a ciało po lewej. Na zdjęciu widać tylko nogi denata.

- Tak wyglądało miejsce zbrodni?

- Tak, proszę pana, właśnie tak.

Kolejne zdjęcie pojawiło się na ekranie na górze.

- Agencie Owen, może pan opisać to zdjęcie?

- To jest zbliżenie łóżka, wskazujące na to, że ostatnio było, hm... zajęte.

- Czy tak wyglądało to w chwili, kiedy pan się tam pojawił.

- Tak, proszę pana.

- A to zdjęcie?

- To łazienka. I też tak wyglądała.

- I w końcu ostatnie zdjęcie.

Na sali rozległy się stłumione okrzyki przerażenia. W ławie przysięgłych dwie gospodynie domowe odwróciły wzrok, barman skrzywił się z niesmakiem, a sprzedawca samochodów gapił się w osłupieniu. Ray Burns pokazał swoje drastyczne zdjęcie - zbliżenie ciała Clarka McCalla z otwartymi, pozbawionymi życia oczami, dziurą w czole i głową leżącą w kałuży krwi.

- To jest zbliżenie ciała denata. Był nagi, na ciele nie było widocznych ran poza tą na czole. Widać wyraźną opuchliznę pod prawym okiem, ślady zadrapań na twarzy i ranę wlotową po lewej stronie czoła.

Scott odwrócił się w stronę dziewczynek. Wpatrywały się z natężeniem w podłogę, tak jak im kazał, ale rondo kapelusza Pajamae uniosło się nieznacznie - podglądała. Scott strzelił palcami w jej kierunku, spojrzała na niego. Wyraz jej twarzy mówił, że już jest za późno. Widziała zdjęcie.

Ray poczekał aż ponury obraz zapadnie dobrze w pamięci przysięgłych, po czym oświadczył.

- Nie mam więcej pytań.

Przez następne pół godziny Bobby przesłuchiwał agenta Owena na temat raportu toksykologicznego, który wykazał obecność alkoholu i narkotyków w krwiobiegu Clarka McCalla, żeby sędziowie przysięgli wyszli z sali sądowej z czymś, co odwróciłoby ich uwagę od zdjęć z miejsca zbrodni. Po zwolnieniu świadka sędzia Buford zakończył posiedzenie tego dnia. Scott, Bobby, Karen i dziewczynki wrócili do domów. Senator McCall zwołał konferencję prasową na schodach gmachu sądu. Senator mówił pewnie, jak człowiek, który jest przekonany, że żadna Hannah Steele nie podda w wątpliwość jego słów:

- Clark był synem, jakiego każdy ojciec mógłby sobie wymarzyć.

***

- No, Scotty! Nie wpadaj w depresję - powiedział Bobby z ustami pełnymi chińskiego jedzenia na wynos. - Pierwszy dzień procesu w sprawie kryminalnej zawsze jest zły. Przynajmniej niczym nas nie zaskoczył.

- Nie wpadam w depresję pod wpływem poczynań prokuratury, Bobby. Jestem zdruzgotany naszą linią obrony. Nie mamy dosłownie niczego!

Siedzieli na podłodze w swoim rogu kuchni, a dziewczynki w swoim.

- Carl pracuje pełną parą.

- A gdzie on jest, do diabła?

- W Del Rio.

- Co on robi na granicy? Bobby wzruszył ramionami.

- Carlowi trzeba dać wolną rękę i nie zadawać pytań. Zawsze coś znajduje.

- Mam nadzieję, że znajdzie coś wkrótce, Bobby, bo to nie wygląda dobrze.

Bobby wsadził sobie kawałek żeberka do ust, poobgryzał je trochę, wyciągnął samą kostkę i powiedział:

- Kurde, Scotty, nie przejmuj się tym, co było dzisiaj. Jutro będzie o wiele gorzej.

Boo i Pajamae były już w łóżku, kiedy Scott przyszedł zmówić z nimi modlitwę.

Po modlitwie Pajamae powiedziała:

- Jednej nocy zastrzelili takiego przed naszym mieszkaniem. Kiedy przyjechała policja, mama i ja byłyśmy na zewnątrz. Ten trup był przykryty białym prześcieradłem. Zawsze byłam ciekawa, jak taki trup wygląda. Teraz wiem.

- Pajamae, obiecałaś nie patrzeć.

- Przepraszam, panie Fenney, ale musiałam. Mówią, że moja mama zabiła tego faceta. Musiałam zobaczyć. Ale ona tego nie zrobiła. Wierzy jej pan, panie Fenney?

Scott spojrzał jej głęboko w wielkie brązowe oczy.

- Tak, wierzę - skłamał.

Rozdział dwudziesty siódmy

Następnego dnia rano Scott z dziewczynkami wszedł niezatrzymywany przez nikogo do siedziby sądu federalnego. Dziennikarze nie przekrzykiwali się pytaniami. Zamiast tego z pewnej odległości kamery rejestrowały wejście adwokata Shawandy Jones i dziewczynek ubranych w eleganckie letnie ubranka, dopasowane kolorystycznie do gmachu sądu. Boo, która wcześniej uporczywie odmawiała zakładania tych sukienek mimo gróźb matki, teraz starannie dobierała stroje dla siebie i Pajamae, bo wiedziała, że muszą dobrze wyglądać dla Shawandy.

Minęli Delroya Lunda, który wyglądał tak, jakby się od wczoraj nie ruszył z miejsca, pomijając trzymane przez niego dzisiejsze wydanie gazety sportowej. Ponownie weszli na salę rozpraw i wszystkie głowy odwróciły się w ich kierunku, jakby goście zgromadzeni w kościele starali się spojrzeć na pannę młodą prowadzoną do ołtarza. Dziewczynki znów usiadły w pierwszym rzędzie i rozpoczęło się poranne posiedzenie. Scott ponownie wymienił spojrzenia z McCallami i Danem Fordem. Najwyraźniej jego były starszy wspólnik chciał być świadkiem sromotnej porażki swojego protegowanego.

Wkrótce Scott się przekonał, że Bobby miał rację. Drugi dzień rozprawy był o wiele gorszy od pierwszego. Pierwszym świadkiem oskarżenia był agent FBI, który dokonał aresztowania. Agent Andy Edwards, lat czterdzieści, zawodowiec w każdym calu, zeznał przesłuchiwany przez Raya Burnsa, że aresztował Shawandę Jones około godziny osiemnastej szóstego czerwca w jej mieszkaniu w południowym Dallas, że poinformował ją o prawach Mirandy* i że jego agenci uzyskali nakaz przeszukania jej mieszkania. Odnaleźli heroinę, ubranie, które miała na sobie krytycznego dnia, blond perukę i dziesięć stu-dolarowych banknotów.

Zeznał jeszcze, że zabrał ją do izby zatrzymań, a ona podpisała dobrowolne oświadczenie, w którym przyznała się do tego, że była z denatem w nocy z piątego na szóstego czerwca i że uprawiała z nim seks w posiadłości w Highland Park, że się pokłócili, ona go uderzyła, potem zabrała kluczyki od mercedesa, tysiąc dolarów, które był jej winny, i porzuciła wóz przy Harry Hines Boulevard.

Kiedy Ray Burns wracał na swoje miejsce, spojrzał na Pajamae, który wykrzywiła się do niego i pokazał mu język. Ray tylko pokręcił głową, ale dwójka przysięgłych, asystentka

dentystyczna i nauczyciel, uśmiechnęła się. Jak dotąd dziewczynki stanowiły najskuteczniejszą tajną broń obrony.

Scott rozpoczął przesłuchanie świadka.

- Agencie Edwards, co robiła pani Jones, kiedy przybył pan do jej mieszkania?

- Siedziała na schodach na zewnątrz i bawiła się z córką. Wskazał na Pajamae siedzącą w pierwszym rzędzie.

- Czy to jest córka pani Jones?

Agent Edwards popatrzył na dziewczynkę i potwierdził:

- Wydaje mi się, że to ona.

- Czy pani Jones próbowała ucieczki?

- Nie, proszę pana.

- Czy w jakikolwiek sposób stawiała opór?

- Nie, proszę pana.

- Czy zachowywała się jak morderczyni? Ray Burns podskoczył na krześle.

- Sprzeciw! To domniemanie. Scott zwrócił się do sędziego:

- Wysoki sądzie, agent Edwards jest doświadczonym śledczym FBI, agentem, który aresztował... - Spojrzał ponownie na świadka. - Ilu morderców pan aresztował w życiu?

- Dziesiątki.

Znów zwrócił się do sędziego:

- Pan Edwards jest agentem, który aresztował dziesiątki morderców i wie, jak zachowuje się morderca.

- Oddalam sprzeciw.

- Agencie Edwards, czy Shawanda Jones w chwili aresztowania zachowywała się jak morderczyni?

- Nie, proszę pana.

- Czy poinformował ją pan, że aresztuje ją za morderstwo na Clarku McCallu?

- Tak, proszę pana.

- I co na to powiedziała? - Kto?

- Pani Jones.

- Nic, proszę pana. Powiedziałem, że to był Clark McCall, a ona na to: „Kto?”.

- Nie wiedziała, kim był Clark McCall?

- Najwidoczniej nie.

- A kiedy pani Jones złożyła pisemne oświadczenie, czy napisała je sama, samodzielnie?

- Nie, proszę pana. Najpierw jej zeznanie zanotowała stenografistka, później zostało przepisane na maszynie. Pani Jones przeczytała je, potem ja jej przeczytałem jeszcze raz, a ona podpisała oświadczenie.

- Zauważyłem, że w oświadczeniu nie ma stwierdzenia, w którym pani Jones przyznawałaby się, że zabiła Clarka McCalla. Czy pytał ją pan o to?

- Tak, proszę pana. Zaprzeczyła.

***

Ray Burns wezwał kolejnego agenta FBI, Wendella Lee, analityka z laboratorium kryminalistyki, żeby zeznał na temat dowodów, jakie pozyskano na miejscu zbrodni. Agent Lee był metodyczny jak księgowy składający raport kwartalny. Burns najpierw dociekliwie przepytał go na temat procedur dowodowych FBI, katalogowania dowodów i tworzenia ciągu materiału dowodowego, żeby zapobiec niejasnościom. Potem przeszedł do konkretów.

- Agencie Lee, czy krew zabezpieczona podczas zbierania dowodów z dywanu znajdującego się na miejscu zbrodni pochodziła od Clarka McCalla?

- Tak, proszę pana. Testy DNA wskazywały na to jednoznacznie.

- A kępka włosów do kogo należała?

- Do Clarka McCalla. To również potwierdziły testy DNA.

- Z jakiej części ciała pochodziły te włosy?

- Z głowy. - Agent Lee przyłożył dłoń do głowy nad prawym okiem. - Z tej okolicy. Zostały wyrwane z cebulkami.

- A ubranie?

- Zbadaliśmy granatową koszulkę polo, dżinsy i sportowe buty. Niczego nie znaleziono na ubraniu.

- A na pościeli?

- Na pościeli nie było śladów nasienia. Zdjęliśmy prezerwatywę z ciała denata, ze śladami nasienia w środku.

- Czy znaleziono coś jeszcze na pościeli?

- Tak, proszę pana. Znaleźliśmy włos łonowy należący do Clarka McCalla i syntetyczny włos koloru jasnego.

- Czy dopasowano ten syntetyczny włos?

- Tak, proszę pana, pasował do blond peruki zabranej z mieszkania oskarżonej.

Ray Burns wyciągnął perukę koloru blond z plastikowego worka do przechowywania dowodów i wyciągnął ją w górę, jakby trzymał w ręku martwego skunksa.

- Ta peruka została zapisana w materiale dowodowym pod numerem piętnaście?

- Tak, proszę pana.

- A co z odciskami palców?

- Odciski palców zostały pobrane ze szklanek, z półki w łazience, pistoletu i samochodu. Wszystkie odpowiadają odciskom palców Shawandy Jones i Clarka McCalla. Odciski na narzędziu zbrodni należały do Shawandy Jones.

- Czy znaleźliście jakieś niezidentyfikowane odciski?

- Nie, proszę pana.

- Dobrze. Przejdźmy do narzędzia zbrodni. Kula została wystrzelona z pistoletu kaliber dwadzieścia dwa. Czy przeprowadzono na niej testy balistyczne?

- Tak, proszę pana. Została wystrzelona z pistoletu kaliber dwadzieścia dwa znalezionego na miejscu zbrodni.

- A więc kula, która zabiła Clarka McCalla, została wystrzelona z broni należącej do Shawandy Jones?

- Tak, proszę pana.

- Nie mam więcej pytań. Scott podszedł do podium.

- Agencie Lee, ubrania oskarżonej zostały zabezpieczone podczas przeszukania w jej domu, czy tak?

- Tak, proszę pana.

- Czy znaleziono jakiekolwiek ślady krwi Clarka McCalla na jej ubraniach?

- Nie, proszę pana.

- Czy znaleziono by jakieś ślady jego krwi na ubraniu oskarżonej, gdyby zastrzeliła go, przykładając lufę do czoła?

- Nie znaleziono by, jeśli strzelałaby nago.

Po tej katastrofie Scott nie przesłuchał już doktora Victora Urbina, anatomopatologa okręgu Dallas, który zeznawał jako kolejny świadek, opisując przyczynę zgonu („Od rany postrzałowej w głowę"), czas zgonu („mniej więcej około dwudziestej drugiej trzydzieści, w sobotę piątego czerwca") oraz na temat rany wlotowej, wylotowej i kąta, pod którym został oddany strzał. Pomyślał, że przez to przesłuchanie sędziowie przysięgli dłużej obcowaliby z dowodami obciążającymi, co nie działałoby na korzyść jego klientki.

***

Tego dnia lunch składał się z sałatki z jajek przygotowanej przez Pajamae Jones, która zawinęła ją w aluminiową folię i trzymała w przenośnej lodówce razem z ulubionymi lodami waniliowymi. Po posiłku Scott streścił Shawandzie poranne posiedzenie. Pajamae powiedziała:

- Mamo, a ja pokazałam język temu panu Burnsowi.

- Pajamae, zachowujesz się niegrzecznie.

- On też jest niegrzeczny. Żebyś go słyszała, jak mówił o tobie, mamo. Aż by ci uszy spuchły!

- Shawando - zapytał Scott. - Lepiej się czujesz? Dasz radę zeznawać?

- Kiedy?

- Jutro.

***

Po przerwie na lunch agent FBI Henry Hu, ekspert kryminologii, zsiadł na miejscu dla świadków. Po potwierdzeniu oświadczenia doktora Urbina na temat kąta wlotowego kuli w mózgu Clarka McCalla agent Hu podczas długiego, żmudnego i szczegółowego przesłuchania wydał fachową opinię na temat tego, jak według niego przebiegło morderstwo w świetle posiadanej wiedzy kryminologicznej, za pomocą wykresu, na którym widniał kontur człowieka klęczącego czy też wpółleżącego oraz zarys drugiej postaci, stojącej nad nim i przytykającej lufę pistoletu do czoła ofiary. Wokół sylwetki ofiary było widać wyliczenia, ukazujące rozmaite możliwe kąty, i ciemną linię prostą, która oznaczała tor lotu kuli przebijającej się przez czaszkę, a następnie wbijającej się w podłogę. Doktor Hu podczas zeznania posługiwał się metalowym wskaźnikiem teleskopowym.

- Ofiara znajdowała się w pozycji klęczącej, kiedy padł strzał. Uważamy, że, jak państwo widzą, tor lotu załamał się w tym miejscu, przy przejściu przez czaszkę, i dopiero potem pocisk uderzył w parkiet. Ofiara mierzyła dokładnie metr osiemdziesiąt. Gdyby denat w chwili strzału stał, przy skierowanym ku dołowi dwudziestoośmiostopniowym nachyleniu toru kuli, sprawca musiałby trzymać broń nad jego głową, kierując lufę na dół, co wymagałoby przyjęcia przez niego bardzo nienaturalnej pozycji. - Agnet Hu zademonstrował nienaturalną pozycję ławie przysięgłych. - Albo też że sprawca był niespotykanie wysokiego wzrostu.

- Dlatego też, jeśli ofiara klęczała, wlot kuli na czole znajdował się w oddaleniu o sto dwadzieścia siedem centymetrów od podłogi, czyli też za wysoko. Jeśli natomiast przyjąć, że denat pół klęczał, pół leżał na podłodze, tak jakby chciał się podnieść, to kanał wlotowy znajdowałby się około metra nad ziemią, co przy zwykłym wzroście sprawcy, z tolerancją kilku centymetrów, byłoby wykonalne. - Agent Hu znów zademonstrował pozycję ławie przysięgłych. - Wtedy tor lotu kuli przechodzącej przez czaszkę oraz punkt odbicia i zmiany toru lotu pasują idealnie.

Sędziowie pokiwali głowami, zgadzając się z jego wywodem.

- Wiemy także, że włosy ofiary zostały wyrwane z cebulkami, co wymaga sporej siły. Prowadzi nas to do następującej konkluzji: ofiara leżała na podłodze w sypialni. Sprawca złapał ofiarę za włosy z prawej strony głowy i podciągnął ją do góry o metr z podłogi. Następnie przyłożył lufę pistoletu do czoła ofiary nad lewym okiem i oddał strzał. Impet wystrzału przygwoździł ofiarę do podłogi (co zgadza się z ułożeniem ciała denata), a sprawca został z kępką włosów w dłoni.

Clark McCall był co prawda gwałcicielem, ale zmarł straszną śmiercią. Kiedy doktor Hu skończył składać zeznanie, sędziowie przysięgli byli w bardzo poważnym nastroju. Może i współczuli małej dziewczynce siedzącej w pierwszym rzędzie, ale musieli spojrzeć prawdzie w oczy. A fakty wskazywały na to, że jej matka zamordowała Clarka McCalla. Ray Burns nie mógł powstrzymać się od uśmieszku, kiedy stanął i powiedział.

- Wysoki sądzie, oskarżenie nie ma więcej świadków.

Scott zauważył, że Ray zwrócił się w stronę senatora McCalla i spojrzał na niego, a ten był wyraźnie zadowolony z postępowania prokuratora oskarżającego zabójczynię jego syna. Nic dziwnego, pewnie powiedział Rayowi Burnsowi, że nigdy mu tego nie zapomni, szczególnie jeśli nazwisko Raya Burnsa pojawi się na liście osób, które Senat Stanów Zjednoczonych Ameryki będzie zatwierdzał na wysokie rządowe stanowiska.

Dan Ford poczuł na sobie spojrzenie Scotta. Wyraz twarzy byłego wspólnika mówił: „Porzuciłeś swoją karierę dla morderczyni?”.

Sędzia Buford zarządził wznowienie rozprawy na drugi dzień. Obrona Shawandy Jones rozpocznie przesłuchania jutro od rana. Teraz Scott musiał tylko ustalić linię obrony.

***

Kolacja w kuchni przypominała stypę.

- Wszystko, co mówił ten Hu, to prawda - powiedział Bobby. - Tylko że to nie dowodzi winy Shawandy. Problem polega na tym, że nie było jej wtedy w sypialni. Ale wcześniej się bili, a jej broń została użyta do popełnienia zbrodni, każdy rozumny człowiek stwierdzi więc, że jest winna. A bez Hannah Steele, która poprze wersję o samoobronie (z której i tak nie możemy skorzystać, dopóki Shawanda zapiera się, że nie strzelała do Clarka), nie możemy wnioskować do ławy przysięgłych o uniewinnienie na tych podstawach.

- To co nam zostało?

- Musimy odpowiedzieć sobie na jedno pytanie przed ławą przysięgłych, Scotty. Czego chcą się dowiedzieć. Kto zabił Clarka McCalla? Jeśli nie zrobiła tego Shawanda, to kto? Kto wszedł do domu zaraz po jej wyjściu, zanim Clark mógł się pozbierać z podłogi, podniósł jej pistolet, przyłożył go do czoła Clarka i pociągnął za spust?

Scott pokręcił głową.

- Masz jakieś wieści od Carla?

- Jak będzie coś miał, to da znać.

- To mamy na to jakieś dwanaście godzin. Teraz mamy tylko Shawandę, jej zeznanie przeciwko materiałowi dowodowemu.

Pajamae spytała.

- Mama będzie zeznawać?

- Tak, kochanie. Musi.

- Co założy?

- O tym nie pomyślałem.

- Zatrzymałyśmy kilka ciuchów mamy z wyprzedaży - powiedziała Boo. - Dla mamy Pajamae. Żeby miała co założyć, kiedy wyjdzie.

Scott zwrócił się do Karen:

- Pomożesz dziewczynkom wybrać jakieś ciuchy?

- Jasne.

- Przynajmniej będzie elegancko ubrana.

Jedli posiłek kupiony w meksykańskiej jadłodajni, w milczeniu. Scott, zatopiony w myślach, patrzył na jedzące dziewczynki i zastanawiał się, jak Pajamae zniesie to, że jej matka trafi do celi śmierci, i jak będzie wyglądało jej życie bez niej po egzekucji. I wtedy coś zauważył. Boo trzymała widelec w lewej ręce.

- Boo, chodź tu na chwilę.

Wstała z podłogi i podeszła do ojca. Scott wziął arkusz folii aluminiowej i uformował ją w kształcie litery „L". Zrobił pistolet z aluminium. Położył go na podłodze.

- Podnieś to, proszę. Boo zmarszczyła czoło.

- Co to ma niby być? Broń?

- Tak.

Wzruszyła ramionami, schyliła się i podniosła broń lewą ręką.

- A teraz chwyć mnie za włosy.

Stanęła na wprost niego i prawą dłonią chwyciła włosy ojca nad lewym okiem.

- A teraz wyceluj mi w czoło tak, jak byś chciała mnie zastrzelić.

Boo przyłożyła lufę atrapy pistoletu z aluminium do czoła Scotta nad prawym okiem. Bobby powiedział:

- Clark został postrzelony nad lewym okiem.

- Przez praworęcznego zabójcę.

Widząc, jak Boo bierze widelec w lewą dłoń, Scott przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Shawandą, kiedy chwyciła pióro w lewą dłoń.

- Pajamae, twoja mama jest leworęczna, prawda?

- Tak, panie Fenney. Jasne, że tak.

Rozdział dwudziesty ósmy

- Obrona powołuje na świadka agenta Henry'ego Hu. Ray poderwał się z krzesła.

- Wysoki sądzie, pan Fenney zrezygnował z przesłuchiwania agenta Hu nie dalej jak wczoraj, a teraz powołuje go na świadka?

Sędzia spojrzał na Scotta i zapytał:

- Mecenasie Fenney?

- Właśnie to chcę zrobić, wysoki sądzie.

- Proszę kontynuować.

Scott do tej pory był tak pewny, że jego klientka zabiła Clarka McCalla, że nawet nie zadał podstawowego pytania ekspertowi kryminalistyki: „Czy morderca był praworęczny, czy leworęczny?". Był tak pewny, że jego klientka kłamie, że nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że może mówić prawdę. Teraz, po raz pierwszy, od kiedy został powołany na obrońcę w sprawie „rząd Stanów Zjednoczonych przeciwko Shawandzie Jones", Scott wiedział, że jego klientka jest niewinna. Shawanda Jones nie zabiła Clarka McCalla.

Kto w takim razie to zrobił?

Agent Hu zajął miejsce świadka. Sędzia przypomniał mu, że w dalszym ciągu jest zaprzysiężony, a Scott powiedział:

- Agencie Hu, pańskie wczorajsze zeznanie było bardzo kształcące, i mówię to jako komplement.

- Dziękuję.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym, żeby przypomniał pan sędziom przysięgłym sposób, w jaki odbyło się morderstwo Clarka McCalla.

- Oczywiście.

- Mój współpracownik, pan Herrin, będzie panu asystował. Bobby, możesz uklęknąć na podłodze.

Bobby wyszedł na środek i uklęknął przed Scottem.

- Wczoraj, agencie Hu, zeznał pan, że denat na wpół klęczał, na wpół leżał na podłodze, kiedy został zastrzelony, tak jak teraz pokazuje to pan Herrin, zgadza się?

- Tak.

- I że zabójca stał nad ofiarą tak, jak ja to w tej chwili robię, tak?

- Tak.

- Zabójca złapał Clarka za włosy po prawej stronie, o tak? Scott chwycił Bobbyego za włosy lewą ręką.

- Tak.

- Następnie zabójca przystawił Clarkowi lufę do czoła nad lewym okiem, czy tak?

Scott przystawił prawy palec wskazujący do czoła Bobbyego, imitując broń.

- I wtedy sprawca do niego strzelił?

- Tak. Według mnie ta zbrodnia miała właśnie taki przebieg.

- Cóż, zgadzam się z panem. Ale czy niniejsza demonstracja nie dowodzi jeszcze czegoś, czegoś bardzo ważnego na temat zabójcy?

Agent Hu zmarszczył czoło.

- Przepraszam?

- Że zabójca był praworęczny.

Twarz agenta Hu się rozjaśniła. Wiedział już, o co chodzi.

- Tak, najprawdopodobniej zabójca był praworęczny.

- Zabójca złapał Clarka za włosy lewą ręką i trzymał broń w prawej, czy tak?

- Tak, wszystko na to wskazuje.

- I jeszcze jedno, agencie Hu. Anatomopatolog zeznał, że wokół prawego oka Clarka widniała opuchlizna, jakby ktoś uderzył go pięścią.

- Tak, tak było.

- Jako ekspert kryminalistyki może pan stwierdzić, czy osoba, która uderzyła Clarka, była praworęczna czy leworęczna?

- Leworęczna.

- A więc osoba, która uderzyła Clarka McCalla, była leworęczna, ale osoba, która go postrzeliła, była praworęczna?

- Tak, tak najprawdopodobniej to wyglądało.

***

Scott ponownie wezwał na świadka agenta FBI Edwardsa.

- Agencie Edwards, zeznał pan, że aresztował pan oskarżoną?

- Tak, proszę pana.

- I to pan przyjął od niej zeznanie?

- Tak, proszę pana.

- Spisał pan na maszynie jej zeznanie?

- Tak, proszę pana.

- A ona je przeczytała i podpisała?

- Tak, proszę pana.

- Którą ręką oskarżona podpisała zeznanie?

Agent Edwards zastanowił się chwilę, po czym odpowiedział:

- Lewą ręką.

***

Sędziowie przysięgli nie oglądali do tej pory oskarżonej. Widzieli jej zdjęcia policyjne oraz fotografie w gazetach i telewizji, ale nie widzieli jej na żywo. A musieli ją zobaczyć i wysłuchać jej zeznań, w których zaprzecza, że zamordowała Clarka McCalla. Scott wiedział, że będzie musiał przesłuchać Shawandę, nie powołując się na Piątą Poprawkę do konstytucji, ale chciał, żeby wypadła jak najlepiej. Zrobił więc dwie rzeczy: przekonał sędziego, żeby dopuścił do kuracji metadonem i żeby pojawiła się na sali rozpraw dopiero, kiedy będzie zeznawać.

Teraz wszystkie oczy - sędziego, sędziów przysięgłych, prokuratora i widzów - były utkwione w bocznych drzwiach sali rozpraw, w których miała się pojawić Shawanda Jones. Boo, Pajamae i Karen zostały wpuszczone do jej celi - po uprzednim przeszukaniu przez strażniczkę więzienną - żeby pomóc się jej ubrać. Wróciły do sali rozpraw przed kilkoma minutami. Boo uniosła triumfalnie kciuki w kierunku Scotta.

Drzwi się otworzyły i szmer rozszedł się po sali. Shawanda nie wyglądała już jak narkomanka, którą Scott widział rano. Wyglądała młodo i oszałamiająco. Scott zapomniał prawie, że ma dopiero dwadzieścia cztery lata - nałóg bardzo ją postarzał. Ale dzisiaj odzyskała młody wygląd. Miała na sobie ciemnogranatową garsonkę żony Scotta, jej buty na wysokich obcasach i jej kosmetyki na twarzy, wyszczotkowane i lekko ułożone włosy oraz czujne i skupione spojrzenie. Spojrzała na Scotta i uśmiechnęła się delikatnie. Shawanda wyglądała dziś jak Hale Berry, kiedy miała wyśmienity dzień.

Sędziowie przysięgli odprowadzili ją wzrokiem, eskortowaną na miejsce obrony przez Rona, który odsunął przed nią krzesło. Usiadła z wdziękiem i Ron posunął jej krzesło do stołu. Odwróciła się i spojrzała po kolei na każdego z przysięgłych, a oni cały czas nie spuszczali z niej wzroku. Zrobiła wyśmienite pierwsze wrażenie. Scott obejrzał się i spojrzał na McCallów. Na twarzy senatora zagościł niepokój, a na twarzy Jean - zawiść. Obok nich Dan Ford z nowym zainteresowaniem zaczął przyglądać się procesowi.

Scott wstał i powiedział:

- Obrona wzywa na świadka Shawandę Jones.

Shawanda wstała i podeszła do miejsca dla świadków, złożyła przysięgę i usiadła. Scott stanął na podium.

- Pani Jones - zaczął. - Czy jest pani leworęczna?

- Tak, proszę pana.

- Czy zabiła pani Clarka McCalla?

- Nie, panie Fenney, nie zabiłam.

- Dobrze, pani Jones. Porozmawiajmy o pani życiu. Gdzie się pani urodziła?

- Na osiedlu.

- Na osiedlu w południowym Dallas, w tym samym miejscu, w którym pani teraz mieszka?

- Tak, proszę pana.

- Jak miała na imię pani matka?

- Moja mama nazywała się Dorena.

- A jak miał na imię pani ojciec?

- Panie Fenney, pan wie, że nie wiem.

- Pani matka i ojciec byli po ślubie?

- Nie, proszę pana. Mój tatuś był białym, dla którego pracowała moja mama. Sprzątała u niego w biurze.

- Czyli urodziła się pani z nieprawego łoża?

- Nie, proszę pana, urodziłam się w szpitalu, w Parkland.

- W porządku. Nigdy nie poznała pani swojego ojca, czy tak?

- Tak, proszę pana. Nie poznałam.

- Dorastała pani na osiedlu?

- Tak, proszę pana.

- Pani matka zmarła, kiedy miała pani trzynaście lat?

- Coś koło tego.

- Na co zmarła?

- Doktora nie było.

- Nie, mam namyśli to, czy zmarła na raka, czy na coś innego?

- Nie, proszę pana, zmarła na brak doktora. Przewróciła się i dzwoniliśmy po karetkę, ale nie przyjechała.

- Dorastała więc pani sama?

- Tak, proszę pana.

- I wplątała się pani w złe towarzystwo.

- Tylko w takie, jakie mamy na osiedlu, panie Fenney. Jak ludzie nie mają co robić, to szukają sobie kłopotów.

- I pani też wpadła w kłopoty?

- Eddie, to był dopiero kłopot.

- Eddie to ojciec pani dziecka?

- Tak, proszę pana. Biały, sprzedawał prochy na osiedlu, zobaczył mnie kiedyś, miałam czternaście lat. Spodobało mu się, co zobaczył, dał mi więc trochę towaru i pozwoliłam mu się obmacać.

- I Eddie dał pani heroinę?

- Tak, proszę pana.

- I uzależniła się pani w wieku szesnastu lat?

- Tak, proszę pana.

- I już wtedy parała się pani prostytucją?

- Tak, proszę pana.

- Dlaczego? Spuściła wzrok.

- Faceci myśleli, że znajdą wszystko, czego im w życiu brakuje, między nogami Shawandy. Tak nie jest. - Podniosła wzrok. - Tylko tego chcieli ode mnie faceci.

- Pani Jones, ma pani córkę?

- No przecież pan wie, panie Fenney. Mieszka u pana. Nauczyciel i gospodynie domowe uśmiechnęli się. Scott odwrócił się za siebie i pokazał na migi Pajamae, żeby wstała. Pajamae wstała z najniewinniejszym wyrazem buzi, jaki zdołała przybrać.

- Czy to pani córka?

- Tak, proszę pana, to moje maleństwo.

Pajamae odwróciła się do ławy przysięgłych i dygnęła. Teraz wszyscy sędziowie się uśmiechali. Dobra była ta mała.

***

Przed zeznaniem Shawandy w sprawie wydarzeń w noc morderstwa Clarka McCalla ogłoszono przerwę na lunch. Shawanda nie usiadła na podłodze z dziewczynkami, ale przy stole ze Scottem, Bobby i Karen, bardzo uważając, żeby tuńczykiem nie poplamić swojego kostiumu od Neimana Marcusa.

- Mamy dla ciebie naprawdę piękny strój na jutro, mamo - powiedziała Pajamae z podłogi.

- Jak wypadłam, panie Fenney?

- Świetnie, Shawando. Ale po południu będzie ciężko.

- Myśli pan, że mi uwierzą? Pomyślał, że nie, ale powiedział, że tak.

***

- Pani Jones - zaczął Scott. - Wróćmy do krytycznej soboty piątego czerwca. Czy brała pani tego dnia heroinę?

- Oddychałam, to musiałam wziąć.

- Narkotyzuje się pani codziennie?

- Dwa, trzy razy na dzień.

- Zanim więc poszła pani do pracy tego wieczoru, wstrzyknęła sobie pani heroinę?

- Tak, proszę pana. Łatwiej jest.

- Co jest łatwiej?

- Uprawiać seks.

- Dobrze. Wtedy pojawiła się Kiki, druga prostytutka, i pojechałyście razem na Harry Hines Boulevard?

- Tak, proszę pana, na nasze stałe miejsce.

- I czekałyście tam na klientów?

- Nigdy nie czekamy długo.

- I wtedy nadjechał Clark McCall?

- Tak, proszę pana, ale nie wiedziałam, co to za gość. Po prostu biały chłopak w czarnym mercedesie.

- I zaproponował pani tysiąc dolarów za noc?

- Tak, proszę pana.

- Aha, czy zanim pojawił się Clark... Czy, ee... Czy miała pani tego wieczoru jakiegoś innego klienta?

- Nie, proszę pana, nie pracuję dla nikogo. Sama się zatrudniam.

- Mam na myśli to, czy ktoś jeszcze zapłacił pani za seks tego wieczoru?

- Zrobiłam loda gliniarzowi, ale oni nie płacą.

- Uprawiała pani seks oralno-genitalny z funkcjonariuszem policji?

- Tak, proszę pana, panie Fenney, żeby się nas nie czepiali. Mnie i Kiki. Robimy to na zmianę gliniarzom. Za darmochę.

- Dobrze, wróćmy więc do Clarka McCalla. Wsiada pani do jego samochodu i on wiezie panią do posiadłości w High-land Park?

- Tak, proszę pana.

- Wchodzi pani do środka?

- Tak było.

- I po schodach do sypialni?

- Tak, proszę pana.

- Proszę opowiedzieć przysięgłym, co się stało potem.

Shawanda zwróciła się w stronę ławy przysięgłych i opowiedziała swoją historię bez zażenowania czy winy w głosie, beznamiętnie przedstawiła wszystkie fakty. Powiedziała, że poszli do łóżka, ale przedtem kazała mu założyć prezerwatywę („Nie mogę podłapać tego AIDS. Muszę się opiekować Pajamae"). Opowiedziała, że zaczął się zachowywać jak bydlę, zaczął ją bić, wyzywać od czarnuchów, że podrapała go i walnęła pięścią w twarz, po czym kopnęła w jądra, że aż upadł na podłogę. Wtedy wzięła tysiąc dolarów i kluczyki do samochodu, wróciła na Harry Hines Boulevard i zostawiła samochód na ulicy.

- I Clark McCall żył, kiedy pani wychodziła?

- Tak, proszę pana. Żył jak diabli, klął na mnie jak na rudego podrzutka.

- Co robiłyście potem z Kiki?

- Wróciłam do domu spać.

- Co robiła pani następnego dnia rano, w niedzielę?

- Wstałam, wyszykowałam się, zrobiłam śniadanie Pajamae i poszłyśmy do kościoła.

- Poszła pani do kościoła? Zrobiła zdziwioną minę.

- Panie Fenney, gdyby nie było grzeszników, to po co by były kościoły?

Przysięgli uśmiechnęli się, słysząc to zdanie.

- I co pani robiła, kiedy przyjechało FBI, żeby panią aresztować?

- Siedziałam sobie na schodkach i patrzyłam, jak Pajamae się bawi.

- Wiedziała pani, za co ją aresztują?

- Mówili, że za zabicie jakiegoś faceta. Ja im na to, że nikogo nie zabiłam. Nie wierzyli mi.

- Nie mam więcej pytań, wysoki sądzie.

Ray Burns niemal przewrócił Scotta, tak mu się paliło do przesłuchania Shawandy.

- Pani Jones, jest pani prostytutką, zgadza się?

- Tak, proszę pana.

- I narkomanką?

- Tak, proszę pana.

- I była pani z Clarkiem McCallem w noc, w którą został zamordowany?

- Tak mówi policja. Nie wiem, kiedy go zabili.

- Zabrał panią z ulicy, żeby uprawiać z panią seks, tak?

- Tak, proszę pana.

- Zaproponował pani tysiąc dolarów za noc?

- Tak było, proszę pana.

- Wsiadła pani do jego mercedesa, czy tak?

- Tak, proszę pana.

- Zawiózł panią do swojego domu?

- Tak, proszę pana.

- Poszła pani na górę i dał pani alkohol?

- Tak, proszę pana.

- Rozebrał się, pani też się rozebrała i odbyła pani stosunek płciowy z Clarkiem McCallem, zgadza się?

- Tak, proszę pana.

- A potem uderzyła go pani w twarz?

- Tylko dlatego, że mi przywalił i wyzwał od czarnuchów.

- I kopnęła go pani w krocze?

- Nie, proszę pana. Nie kopnęłam go, jak kroczył. W jaja go kopnęłam.

- Dobrze, w jaja.

- Bo znów na mnie skoczył.

- A potem złapała pani za broń i go zastrzeliła?

- Nie, proszę pana, nikogo nie zastrzeliłam.

- Wie pani, że pani pistolet był narzędziem zbrodni?

- Nic takiego nie wiem. To pan tak mówi. Ray Burns podniósł pistolet kaliber 22.

- To pani broń, prawda?

- Tak, proszę pana.

- Dlaczego pani nosi przy sobie broń?

- Jak by pan mieszkał na osiedlu i gdyby ktoś się próbował dostać do mieszkania i chciałby pan zadzwonić na policję, to zmarłby pan ze starości, jeśliby pan na nich czekał.

- Zastrzeliła pani Clarka McCalla, zgadza się?

- Nie, proszę pana, nikogo nie zastrzeliłam.

- I ukradła mu pani tysiąc dolarów?

- Nie, proszę pana. Wzięłam to, co mi się należało.

- I ukradła mu pani samochód?

- Nie, proszę pana. Pożyczyłam, żeby wrócić na swoje miejsce.

- Żeby uciec z miejsca zbrodni?

- Żeby uciec, gdyby chciał mi znów przylać.

- A potem pojechała pani do domu, do córki, jakby nic się nie wydarzyło?

- Bo nic się nie wydarzyło.

- Pani Jones, naprawdę oczekuje pani, że przysięgli uwierzą w pani bajeczki?

Shawanda spojrzała na przysięgłych i powiedziała cicho:

- Nie, proszę pana, nie oczekuję, że ktokolwiek mi uwierzy.

***

Idąc na górę, żeby ułożyć dziewczynki do snu, Scott zatrzymał się przy małym odbiorniku telewizyjnym stojącym w kuchni. W wiadomościach streszczano właśnie ostatnie wydarzenia z sali sądowej. Na ekranie pojawił się rysunek Shawandy. Dziennikarz mówił, że oskarżona jest piękną kobietą i doskonale się prezentowała na sali sądowej. Sędziowie przysięgli, jak mówił, z dużą uwagą i zaciekawieniem słuchali przebiegu procesu i pod koniec dnia stanęli przed prawdziwym dylematem, gdyż zabójca był najprawdopodobniej praworęczny, a oskarżona jest leworęczna.

- *Jeśli Shawanda Jones nie zabiła Clarka McCalla - pytał dziennikarz, patrząc w kamerę - to kto go zabił?*

***

Na górze Scott opierał się o łóżko, przykrywając dziewczynki, kiedy Pajamae odezwała się łagodnie:

- Panie Fenney, teraz już wiem, co robi moja mama z leszczami.

- Naprawdę? Pokiwała głową.

- Mama pozwala im się tam dotykać, a oni przystawiają to, co tam mają, do niej. I to jest właśnie seks, prawda, panie Fenney?

- Tak, to prawda.

- Dlaczego, panie Fenney? Mama zawsze mi powtarza, żebym nie pozwalała się tam dotykać. To dlaczego pozwala, żeby inni ją dotykali?

- Już ci mówiłem, Pajamae: kocha ciebie, ale siebie ani trochę.

- Moja mama miała smutne życie, prawda, panie Fenney?

- Tak, to prawda.

- Teraz wiem, czemu jest zawsze smutna. Nigdy nie miała nikogo, kto by ją kochał całą, a nie tylko za to, co ma tam.

- Właśnie tak.

- Ale pięknie dzisiaj wyglądała, prawda?

- Bardzo pięknie.

- Tak pięknie, że można by było się z nią ożenić? Boo usiadła na łóżku.

- A. Scott, chcemy mieszkać razem z tobą i jej mamą. Czy to nie byłoby piękne zakończenie?

Scott usiadł na brzegu łóżka. Tyle razy skrywał prawdę przed Boo, ale po trzech dniach procesu o morderstwo ona i Pajamae musiały to znieść.

- Dziewczynki, szczęśliwe zakończenia zdarzają się tylko w bajkach, a nie w prawdziwym życiu.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Shawanda wyglądała równie oszałamiająco następnego dnia, w brązowym kostiumie żony Scotta. Scott stał obok niej na sali sądowej i wszyscy patrzyli na niego, a on patrzył na nią. Ale Scott był prawnikiem i wiedział, jak wszyscy prawnicy, że prawda rzadko zwycięża w sądzie. Bobby miał rację. Kiedy przysięgli udadzą się na naradę, podczas której będą decydować o losie Shawandy, będą zadawać sobie jedno pytanie: „Skoro Shawanda Jones nie zabiła Clarka McCalla, to kto to zrobił?". Będą chcieli poznać odpowiedź. Ale Scott nie znał odpowiedzi. Nie miał zielonego pojęcia.

Poszedł więc na żywioł. Kiedy prawnik w procesie cywilnym nie ma pojęcia, co robić, idzie na żywioł. Zadaje całe mnóstwo pytań, mając nadzieję, że świadkowi coś się wyrwie i powie mu coś ważnego. Ale to rzadko skutkuje. Ale Scott już i tak zarzucił sieci.

- Obrona wzywa na świadka Macka McCalla.

Ray Burns mało nie pękł ze złości na swoim krześle.

- Sprzeciw! Senator McCall nie znajduje się na liście świadków.

- To prawda, panie Fenney - powiedział sędzia. - Ma pan jakiś dobry powód do wezwania świadka, który nie jest na liście?

- Tak, wysoki sądzie. Pan Burns stara się za wszelką cenę posłać moją klientkę do celi śmierci. Staram się go przed tym powstrzymać.

Sędzia Buford uśmiechnął się nieznacznie.

- Bardzo dobrze. Oddalam sprzeciw.

Senator McCall wolno wstał ze swojego miejsca w drugim rzędzie, poprawił marynarkę i krawat, po czym minął Scotta, nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem. Po złożeniu przysięgi zasiadł na miejscu dla świadków, jakby przygotowywał się do pozowania malarzowi.

- Senatorze McCall, pana syn miał do czynienia z narkotykami i alkoholem, zgadza się?

- Clark miał pewne problemy z nadużywaniem, ale udało mu się to zwalczyć w sobie.

- Czy miał również problemy z gwałtem?

- Przepraszam, nie rozumiem pytania.

- Czy zna pan kobietę o nazwisku Hannah Steele?

- Nie, nie znam.

- Czy kiedykolwiek słyszał pan nazwisko Hannah Steele?

- Nie, nie słyszałem.

- Czy kiedykolwiek zapłacił pan komukolwiek o nazwisku Hannah Steele?

- Nie.

- Czy wie pan o tym, że Hannah Steele złożyła skargę na policji na Clarka rok temu, utrzymując, że pobił ją i zgwałcił?

- Nic mi nie wiadomo o czymś takim? Ma pan kopię tej skargi?

- Senatorze McCall, czy zapłacił pan Hannah Steele pięćset tysięcy dolarów, żeby wycofała skargę przeciwko Clarkowi i wyprowadziła się z Dallas?

Senator spojrzał wprost w oczy Scottowi i zrobił to, co jedynie polityk potrafi robić lepiej od prawnika. Skłamał.

- Oczywiście, że nie.

- Czy zapłacił pan sześciu innym kobietom za wycofanie oskarżeń o gwałt przeciwko Clarkowi?

- Czy ma pan jakieś nazwiska na poparcie swoich oskarżeń, panie Fenney? Wygłosił pan te pomówienia na ogólnokrajowej antenie, ale nie ma pan żadnych konkretów na ich poparcie, prawda?

Scott spojrzał w kierunku Dana Forda. Jego były przybrany ojciec i starszy wspólnik siedział, jak gdyby nigdy nic, jakby nie zauważył, że senator Stanów Zjednoczonych na jego oczach właśnie popełnił krzywoprzysięstwo. Dan Ford znał nazwiska tych kobiet, ponieważ osobiście zapłacił wszystkim siedmiu. Ale że, z czego Scott zdawał sobie doskonale sprawę, przywilej poufności między adwokatem i klientem pozwalał mu ukryć wykroczenia swojego klienta, począwszy od ukrycia wycieku skażonej ołowiem wody do popełnienia krzywoprzysięstwa w sądzie, Dan Ford milczał. Scott zwrócił się ponownie w stronę McCalla.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie, senatorze.

- Nie, nie płaciłem żadnym kobietom.

- Czy Clark miał mieszkanie w Waszyngtonie?

- Tak, miał.

- Mieszkał tam, kiedy zajmował się sprawami w Federalnej Komisji Regulacji Energii?

- Tak.

- Czy oczekiwał pan, że Clark weźmie udział w rozpoczęciu przez pana kampanii w poniedziałek siódmego czerwca w Waszyngtonie?

- Tak. Powiedział, że będzie.

- Czy wiedział pan, że Clark przyjechał do Dallas piątego czerwca w sobotę?

- Nie. Aż do telefonu z FBI.

- Czy był pan zaskoczony, kiedy dowiedział się, że przyjechał do Dallas?

- Byłem zaskoczony, kiedy dowiedziałem się, że nie żyje.

- Clark często wracał do Dallas?

- Tak. Nie podobało mu się w Waszyngtonie.

- I Clark mógł, ot tak sobie, przylecieć do Dallas, nie informując pana?

- Tak, Clark był... impulsywny.

- A kiedy przyjeżdżał do Dallas, zatrzymywał się w pańskiej posiadłości w Highland Park?

- Tak.

- Czy zna pan Delroya Lunda? - Tak, znam.

- Czy jest pańskim pracownikiem? - Tak.

- Czym się u pana zajmuje? - Jest moim ochroniarzem.

- Czy to właśnie robi? Zapewnia panu ochronę osobistą?

- Czasami nosi mi bagaż. Mam chory kręgosłup.

- Czy przekupuje dla pana świadków?

- Nie, tego nie robi.

- Czy przekupił dla pana Hannah Steele? - Nie.

- Czy wysłał go pan, żeby przekupił mojego współpracownika, Roberta Herrina?

- Nie. Nawet nie wiem, kim jest pan Herrin. Mógłby pan go wskazać?

Bobbyego nie było na miejscu dla obrońców. Dostał wiadomość na komórkę i wyszedł z sali przy pierwszej sposobności.

Ray Burns wstał.

- Wysoki sądzie, czy pan Fenney ma zamiar poświęcić cały poranek na obrażanie senatora z Teksasu, czy też ma zamiar zacząć zadawać pytania istotne dla sprawy?

- Ma pan do zgłoszenia jakiś sprzeciw, panie Burns?

- Sprzeciw! Nieistotne dla sprawy.

- Oddalony. - Sędzia zwrócił się do Scotta. - Panie Fenney, proszę powiązać zeznania pana senatora ze sprawą.

Scott myślał gorączkowo - „Gdybym jeszcze wiedział jak?" - kiedy otworzyły się drzwi i Bobby wszedł na salę. Pokazał Scottowi dłońmi ułożonymi w kształt litery „T", że czas na przerwę. Scott poprosił o przerwę i sędzia ogłosił wznowienie rozprawy za piętnaście minut.

***

Scott wyszedł z sali sądowej z Bobbym i poszli korytarzem, aż spotkali Carla Kincaida, który opierał się o ścianę, trzymając w dłoni dużą żółtą kopertę. Carl był długi i chudy. Miał na sobie sportową marynarkę i koszulkę bez krawata. Kiedy podeszli do niego, Carl podał kopertę Scottowi. Scott wyjął jej zawartość i przejrzał ją. Potem spojrzał jeszcze raz na Carla.

- Wiesz, co to znaczy? - zapytał Scott.

- Chyba tak - odparł Carl. - Jest umoczony.

- Jak to wszystko zdobyłeś? Carl się uśmiechnął.

- Umówmy się: ja nie będę ci mówić, jak przekupywać sędziów, a ty mnie nie pytaj, jak zdobywam informację, dobra?

***

Kiedy ponownie rozpoczęła się rozprawa, Scott już wiedział, w jaki sposób senator był powiązany z morderstwem syna: przez swojego ochroniarza.

- Wysoki sądzie, obrona powołuje na świadka Delroya Lunda.

- Nie ma pan dalszych pytań do senatora McCalla?

- Nie, wysoki sądzie.

- Doskonale.

Sędzia dał znak woźnemu i ten wyszedł na zewnątrz. Kiedy otworzyły się drzwi sali sądowej, Delroy Lund wszedł krokiem byłego agenta federalnego, którym w końcu był. Był potężnym mężczyzną i taka go też otaczała aura - z pewnością był gliniarzem, który w przeszłości nabił kilka guzów. Podszedł do miejsca dla świadków i złożył przysięgę. Następnie usiadł, oparł się wygodnie, założył nogę na nogę, kładąc lewą kostkę na prawym kolanie, jakby był właścicielem całego cholernego budynku. Scott widział, jakie wrażenie zrobiło to na przysięgłych: zanim wypowiedział choćby słowo, serdecznie go znienawidzili.

Czyli na sali sądowej było przynajmniej trzynaście osób żywiących do Delroya Lunda żarliwe uczucie.

- Znów się spotykamy, panie Lund.

Scott najpierw uzyskał od Delroya informacje na jego temat. Miał pięćdziesiąt jeden lat, urodził się i wychował, choć może to za duże słowo, w Victorii w stanie Teksas, ukończył college A&I w Teksasie, przez trzy lata patrolował ulice Houston, dwadzieścia lat pracował w wydziale do walki z narkotykami w południowym Teksasie, aż w końcu przeszedł do spokojniejszej roboty u senatora McCalla.

- Panie Lund, czy kiedykolwiek wrobił pan podejrzanego? - Nie.

- Czy kiedykolwiek podłożył pan prochy w samochodzie podejrzanego?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek pobił pan podejrzanego? - Nie.

Ale jego oczy mówiły „tak". Latynoscy i czarni sędziowie przysięgli wyraźnie widzieli tę prawdę w jego oczach.

- Czy kiedykolwiek zabił pan kogoś? - Tak.

- Ile osób?

- Wiem o dziewięciu.

- Może być więcej?

- Kiedy się uczestniczy w strzelaninie z ludźmi z kartelu meksykańskiego, to można sobie darować rachunki.

- Czy zabił pan kogoś z bliska, osobiście, twarzą w twarz?

- Tak.

- Kiedy i gdzie?

- W Laredo w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym.

- W jakich okolicznościach?

- Pracowałem wtedy jako agent wydziału do walki z narkotykami. On był handlarzem prochów. Nie chciał iść do więzienia. Wyciągnął broń, ja byłem szybszy.

Teraz przysięgli wiedzieli, że Delroy Lund jest w stanie kogoś zabić.

- Jak się pan potem czuł?

- Szczęśliwy. On gryzł ziemię, ja żyłem.

- Panie Lund, to nie był jedyny raz, kiedy zabił pan kogoś z bliskiej odległości, prawda?

Delroy zmrużył oczy.

- Mówi pan o Del Rio? - Tak.

- Zostałem całkowicie oczyszczony z zarzutów.

- Brak oskarżenia ze strony wielkiej ławy* przysięgłych nie oznacza oczyszczenia, tylko brak wystarczających dowodów na postawienie w stan oskarżenia.

Ray Burns wstał.

- Sprzeciw! Nieistotne dla sprawy. Wysoki sądzie, nie sądzimy dziś pana Lunda.

Scott odparł.

- A może powinniśmy.

- Oddalam - powiedział sędzia.

Scott znów zwrócił się w stronę świadka.

- Panie Lund, co się stało w nocy trzynastego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku w Del Rio w Teksasie?

- Zastrzeliłem kogoś podczas konfrontacji z doleraminaekotyków.

- Zastrzelił pan szesnastolatka.

- Wyglądał poważniej.

Scott podniósł kopertę, którą dostał od Carla, wyjął z niej jakieś dokumenty i położył je na biurku. Carl zdecydowanie dokopał się głębiej. Znalazł więcej szlamu.

- Panie Lund, wewnętrzny raport wydziału z całego zajścia...

- To jest dokument objęty tajemnicą. Skąd pan go ma?

- Przepraszam, zasada poufności adwokata z klientem, panie Lund. Jak już mówiłem, wewnętrzny raport wydziału do walki z narkotykami mówi, że rzeczonej nocy podszedł pan do grupy Meksykanów. Przed barem na przedmieściu Del Rio stało około tuzina chłopców i dziewcząt. Podszedł pan do nich, kiedy zobaczył, jak handlują między sobą narkotykami. Przynajmniej taka była pańska wersja. Świadkowie mówią, że był pan pijany i składał nieprzystojne propozycje jednej z Meksykanek.

- Kłamali.

- Tak czy inaczej, wywiązała się sprzeczka, a kiedy się skończyła, strzelił pan i zabił nieuzbrojonego szesnastolatka.

- Sięgał po broń.

- Raport mówi, że na miejscu zdarzenia nie znaleziono żadnej broni.

- Jego amigos ją zabrali, kiedy uciekali.

- Czy chłopak zaczął pyskować, czy tak się zaczęła cała awantura, panie Lund?

- Podejrzany odmówił wykonania polecenia. Chciał mnie uderzyć w twarz. Sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Sytuacja wymknęła się spod kontroli?

- Tak, zdarza się.

- Zdaje się, że panu częściej niż innym, panie Lund. W przebiegu pańskiej służby odnotowano dziewięć strzelanin zakończonych śmiercią, liczne kontrowersyjne wypadki użycia broni, tuzin nagan za nieuzasadnione użycie siły, śledztwa prowadzone przez wydział wewnętrzny za działanie na własną rękę, przeprowadzanie samodzielnych akcji bez pozwolenia - niezłą zrobił pan karierę w wydziale do walki z narkotykami, panie Lund.

Delroy potrząsnął głową z obrzydzeniem.

- Ach, ci cywile. Panie Fenney, wojna z narkotykami to nie przepychanka w klubie. Meksykańskie kartele narkotykowe to brutalni i niebezpieczni terroryści narkotykowi. W samym Juárez zabili ze sto młodych Amerykanek. Porwali i zabili dziesiątki amerykańskich turystów w Nuevo Laredo i rzucili ich ciała do Rio Grande. Mordowali patrole przygraniczne i katolickich księży, którzy zeznawali przeciwko nim. Mają na własność policję w całym Meksyku, a kogo nie uda im się kupić, tego zabijają. Chciałby pan, żeby tacy ludzie włóczyli się po Dallas? Ludzie tacy jak ja, panie Fenney, trzymają takich jak oni po drugiej stronie rzeki.

- Może to i prawda, panie Lund, ale faktem jest, że pańskim przełożonym w wydziale znudziły się pańskie praktyki, prawda?

- Banda gryzipiórków, którzy nie potrafią ukrócić, zdusić wszystkiego w zarodku.

- Wkrótce po wydarzeniach w Del Rio zmuszono pana do przejścia na emeryturę z wydziału do walki z narkotykami?

- Tak. Zmusili mnie biurokraci, którzy bardziej cenili sobie awanse niż wyniki. Ja miałem wyniki.

- Miał pan też dobre wyniki z Hannah Steele, nieprawdaż?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Panie Lund, czy przekupił pan Hannah Steele, żeby nie pojawiła się na procesie?

- Nie.

- Czy groził jej pan, że przerobi ją na przynętę dla ryb?

- Nie wędkuję.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Nie, nikomu nie groziłem.

- Czy zna pan Hannah Steele? - Nie.

- Czy starał się pan przekupić mojego współpracownika, Roberta Herrina, żeby zrezygnował z udziału w sprawie?

- Nie.

- Nie proponował mu pan stu tysięcy dolarów? - Nie.

- Czy znał pan Clarka McCalla? - Tak.

- Co pan o nim sądzi?

- Szczerze?

- Czemu nie, jest pan na sali sądowej.

- Był małym pop... - Delroy zamilkł i jego spojrzenie powędrowało ze Scotta na senatora McCalla.

- Małym popierdoleńcem? Czy nie tak pan mówił o Clarku? Czy nie określał go pan w ten sposób?

Delroy znów spojrzał na Scotta i odparł:

- Był naprawdę miłym chłopcem.

- Miłym chłopcem, który lubił bić i gwałcić dziewczyny?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo.

- Gdzie pan był w sobotni wieczór piątego czerwca tego roku?

- W stolicy.

- W Waszyngtonie?

- Tak.

- Jest pan pewien? - Tak.

Scott wyjął kolejny dokument z koperty Carla.

- Panie Lund, mam tutaj duplikat biletu pierwszej klasy na samolot z Waszyngtonu do Dallas, lot numer tysiąc sześćset siedem liniami American, na ósmą dwadzieścia trzy rano piątego czerwca na nazwisko Clark McCall.

- No i co?

Scott podniósł kolejny dokument.

- Mam również duplikat innego biletu pierwszej klasy na samolot z Waszyngtonu do Dallas o ósmej trzydzieści rano, na lot numer tysiąc osiemset piętnaście liniami US Airways. Jest na nim pańskie nazwisko.

Delroy nawet okiem nie mrugnął.

- To musi być jakaś pomyłka.

- Myśli pan, że gdzieś tam jest drugi Delroy Lund?

- Nigdy nie wiadomo.

- Samolot Clarka został zarezerwowany o szesnastej trzydzieści czwartego czerwca. Pański lot został zarezerwowany dwadzieścia osiem minut później. Miał pan kogoś w jego biurze, kto notował dla pana skrzętnie wszystko, co robi, prawda?

- Nie.

- Mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy? - Co?

- Pańskie prawo jazdy, może pan je pokazać? Nieznaczny błysk niepokoju pojawił się w ciemnych oczach Delroya. Przechylił się na lewą stronę na krześle i sięgnął do prawej tylnej kieszeni spodni. Wyciągnął z niej portfel, wyjął z niego prawo jazdy i niechętnie podał Scottowi.

- Wysoki sądzie, mogę podejść do świadka?

Sędzia Buford skinął głową. Scott podszedł do Delroya, wziął prawo jazdy i wrócił na podium. Porównał prawo jazdy z kolejnym dokumentem.

- Panie Lund, jest pan pewien, że to nie pański bilet?

- Tak.

- I jest pan pewien, że nie był pan w Dallas piątego czerwca.

- Tak.

Scott wyciągnął następny dokument.

- To jak pan wyjaśni umowę wynajmu samochodu w Avisie na lotnisku w Dallas, datowaną na piątego czerwca, z pańskim podpisem oraz pańskim numerem prawa jazdy na niej.

Delroy zdjął nogę z nogi. Wbił wzrok w podłogę. Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę, ale mięśnie szczęk napięły się gwałtownie i wydawało się, że za chwilę zetrze zęby na proch. Cienka warstewka potu zalśniła na jego szerokim czole. Kłamał - i wszyscy na sali sądowej o tym wiedzieli. On wiedział, że oni wiedzą, oraz że znajduje się na krawędzi oskarżenia o krzywoprzysięstwo. Ale Delroy Lund nie mógłby deptać po piętach meksykańskim bonzom narkotykowym, gdyby nie miał nerwów jak postronki. Podniósł głowę, spojrzał Scottowi prosto w oczy i powiedział:

- A, wie pan co, teraz mi się przypomniało, że jednak byłem w Dallas tego dnia. Po prostu zapomniałem.

- Zapomniał pan?

- Tak, zapomniałem.

- Dobrze, panie Lund, do tego jeszcze wrócimy. Przyleciał pan do Dallas w sobotę piątego czerwca o jedenastej przed południem, a wyleciał pan w niedzielę po południu liniami US Airways, lotem numer tysiąc osiemset dwanaście o szesnastej pięćdziesiąt pięć?

- Coś koło tego.

- Dlaczego więc przyleciał pan do Dallas tylko na trzydzieści godzin?

Delroy uśmiechnął się szeroko.

- Żeby sobie coś zaliczyć. Poderwać tanią dziwkę - pokazał na Shawandę - jak tę tu, blondynę, i ją zaliczyć.

- Panie Lund, czy zwykle ma pan przy sobie chusteczkę?

- Tak, te alergie.

- Mogę ją zobaczyć?

Lund wyjął chustkę z kieszeni i wyciągnął w kierunku Scotta.

- Niech pan ją sobie zatrzyma.

Scott podszedł do stołu obrony, żeby wziąć pióro i notes. Spojrzał na Shawandę i zamarł... miała brązowe włosy. A nie blond, jak... Scott rzucił spojrzeniem w stronę stołu prokuratorskiego... Peruka. To peruka, którą miała na sobie krytycznej nocy, zmieniała ją w blondynkę. Delroy powiedział właśnie o Shawandzie „blondyna". Delroy był tam w nocy.

Delroy Lund zamordował Clarka McCalla.

Adrenalina buzowała teraz w organizmie Scotta i rwała szerokim strumieniem do wszystkich zakamarków ciała. Umysł zaczął mu pracować na najwyższych obrotach. Morderca siedział o kilka metrów od niego, na miejscu przeznaczonym dla świadków, ale Scott nie miał niczego, co mogłoby powiązać go z morderstwem. Delroy Lund był doświadczony w sądzie i z niejednego pieca chleb jadł - na pewno nie zostawił żadnych obciążających go dowodów na miejscu zbrodni. Jedyną nadzieją Scotta było wyduszenie z niego zeznań tu i teraz, złamanie go, żeby wykrztusił zbolałym głosem, że tak, zabił, zamordował Clarka McCalla. Chwila znana z książek o Perrym Masonie. Wszyscy prawnicy marzą o tym, by doświadczyć takiej chwili w sądzie. Moment chwały, który zdarza się tylko w telewizji lub w kinie.

Scott podszedł do miejsca dla świadka i położył notes oraz pióro przed Delroyem.

- Panie Lund, zechciałby pan napisać swoje nazwisko? Delroy wzruszył ramionami, wziął do prawej ręki pióro i się podpisał.

- Jest pan praworęczny, panie Lund.

- Tak, i co z tego?

- Tyle z tego, że ekspert, kryminolog z FBI, zeznał pod przysięgą, że osoba, która zastrzeliła Clarka McCalla, była praworęczna. Pan jest praworęczny, morderca był praworęczny. Morderstwo zostało dokonane w Dallas piątego czerwca i pan był w Dallas piątego czerwca.

- Dziewięćdziesiąt procent ludzi na tej sali to praworęczni. A jeszcze więcej osób było w Dallas piątego czerwca.

- Tak, ale żadna z nich nie miała powodu, żeby zabić Clarka McCalla, prawda?

- Trzeba ich zapytać.

- Pana pytam: Czy zabił pan Clarka McCalla?

Sędzia obserwował świadka, a Ray Burns zaczął wstawać ze swojego miejsca.

- Wysoki sądzie...

- Siadaj pan, panie Burns - zagrzmiał sędzia, nie spuszczając wzroku z Delroya. Ray usiadł. - Proszę odpowiedzieć na pytanie, panie Lund.

Delroy odparł:

- Nie, nie zabiłem Clarka. Czemu miałbym chcieć jego śmierci? Pracowałem dla jego ojca.

- Który chce zostać prezydentem. - No i...?

- No i kiedy stało się tajemnicą poliszynela, że jego syn zażywał kokainę, płacił prostytutkom, a może nawet zgwałcił kilka dziewcząt, szanse senatora McCalla na Biały Dom nagle zrównały się z szansami oskarżonej. Czy to prawda?

Delroy parsknął.

- A dajże pan, kurwa, spokój! Sędzia:

- Panie Lund, proszę rozważniej dobierać słowa. Delroy odpowiedział:

- Do diabła! Gdyby posiadanie pokręconych bachorów było motywem wystarczającym, żeby zabić, to połowa polityków ze stolicy dawno już podusiłaby swoje. Nic nie wiem na temat żadnych gwałtów, ale sądzi pan, że Clark był jedynym dzieckiem polityka, które ćpa, chleje i robi inne jeszcze brzydkie rzeczy, które wyciszają tatusiowie? Pełno ich w całym mieście, bogatych szczeniaków, którzy dostali życie na srebrnej tacy, po czym na nią nasrali.

- Panie Lund, dlaczego postanowił pan coś zaliczyć, jak to pan powiedział, akurat piątego czerwca i akurat w Dallas?

Delroy wzruszył ramionami.

- Większość najpiękniejszych kobiet na świecie mieszka w Dallas.

- Może to i prawda, ale pan pracuje dla senatora McCalla w Waszyngtonie. Z pewnością mógłby pan znaleźć znośną prostytutkę w stolicy, żeby zostać w mieście, szczególnie kiedy dwa dni później, siódmego czerwca, senator miał oficjalnie ogłosić rozpoczęcie przystąpienia do kampanii wyborczej na fotel prezydencki. Ale zamiast zostać w Waszyngtonie, przyleciał pan do Dallas piątego czerwca, żeby coś zaliczyć, tego samego dnia, kiedy w Dallas pojawił się Clark? Panie Lund, czy przyleciał pan tu specjalnie, żeby zabić Clarka? Delroy westchnął.

- Już mówiłem, że nie zabiłem Clarka.

- Po co zatem przyjechał pan do Dallas? Dlaczego opuścił pan Waszyngton na dwa dni przed wielkim świętem senatora McCalla? Dlaczego poleciał pan do Dallas, żeby poderwać prostytutkę, zamiast zostać w Waszyngtonie i ochraniać senatora...

Scott zrozumiał.

- O to chodziło, prawda? - O co?

- To takie proste, prawda?

- O czym pan mówi?

- Nie przyjechał pan, żeby zabić Clarka. Przyjechał pan do Dallas, by chronić senatora McCalla.

- Nie wiem, o czym pan, do cholery, bredzi.

- Panie Lund, co się zwykle działo, kiedy Clark pojawiał się w Dallas?

- Ze niby co?

- Wpadał w kłopoty. Zawsze wpadał w kłopoty po same uszy. To prawda, że Clark był na tyle sprytny, żeby wpadać w kłopoty tylko w Dallas, ponieważ tu jego ojciec był w stanie z każdego miejsca go wyciągnąć. Nazwisko McCall znaczy coś w Dallas. Pieniądze McCallów mogą wszystko w Dallas, nawet uciszyć ofiary siedmiu gwałtów.

- Jak mówiłem, nic na ten temat nie wiem.

- A ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował senator tuż przed ogłoszeniem swojej kandydatury w wyścigu o prezydenturę, było aresztowanie Clarka, i to nie tylko za picie i prochy, bo jak pan mówił, to się zdarza cały czas. Ale oskarżenia o gwałt już nie są takie powszechne, prawda? Szczególnie w wypadku syna przyszłego prezydenta. Prasa by go rozszarpała, może nawet dotarłaby do pozostałych dziewcząt. Senator wydawał miliony, żeby utrzymać przeszłość Clarka w tajemnicy, żeby nie zrujnowała mu kariery politycznej. A teraz, kiedy prezydentura była tuż, tuż, kiedy prowadził w sondażach i jego marzenia miały się właśnie spełnić... Co mogło być przyczyną, że drzwi Białego Domu zamknęłyby się przed nim z trzaskiem, zanim jeszcze wystartowałby w kampanii? Syn gwałciciel. To by wystarczyło. To zniszczyłoby całkowicie marzenia senatora McCalla, prawda?

Scott wskazał na senatora siedzącego w ławach dla publiczności.

- Kiedy senator McCall dowiedział się, że Clark leci do Dallas tuż przed jego wielkim dniem, wysłał za nim pana, żeby śledził pan Clarka i ustrzegł go przed kłopotami.

Scott uniósł do góry kolejny dokument wyciągnięty z koperty Carla.

- Clark zarezerwował lot powrotny do Waszyngtonu na szóstego czerwca na godzinę piętnastą dwadzieścia, żeby zdążyć na rozpoczęcie kampanii swojego ojca. Senator wiedział, że jeśli jego syn leci do Dallas tylko na sobotni wieczór, to oznaczało wyłącznie jedno:

odezwały się jego demony i on odpowiadał na to wezwanie. Leciał do domu, żeby się upić, nawalić i poderwać jakąś dziewczynę. I senator wiedział, co się zwykle działo, kiedy mroczna strona Clarka zaczynała brać górę: właśnie to, do czego nie mógł dopuścić. Nie mógł dopuścić, żeby po przebudzeniu w niedzielę przeczytać o tym, jak to jego syn został aresztowany za pobicie i gwałt kolejnej dziewczyny z Dallas. Wysłał więc pana do Dallas, by mieć pewność, że tak się nie stanie. Miał pan matkować Clarkowi, być jego aniołem stróżem, trzymać go z dala od kłopotów i z dala od prasy. Przyleciał pan do Dallas, żeby chronić senatora McCalla przed jego własnym synem.

Spojrzenie Delroya ponownie ześliznęło się ze Scotta i spoczęło na McCallu. Scott również odwrócił się w jego stronę i to, co zobaczył, zadziwiło go. W oczach senatora i na jego twarzy zobaczył, że bardzo się mylił. Ponownie zwrócił się do Delroya.

- Senator nie wysłał pana, mam rację? Tym razem zadziałał pan na własną rękę. Przeprowadził pan tę operację bez zgody zwierzchnika. Dlaczego? Czemu nie powiedział pan senatorowi? Czy uważał pan, że lepiej go we wszystko nie wtajemniczać? A może nie chciał go pan niepokoić tuż przed wielkim dniem? - Scott pokręcił głową. - Tak czy inaczej, przyleciał pan tutaj, żeby się upewnić, że Clark nie zespsuje czegoś przed wielkim dniem swojego ojca. Dlatego przyleciał pan do Dallas w sobotę piątego czerwca, prawda panie Lund?

- Nie.

- Przyleciał pan do Dallas, wynajął pan samochód, śledził pan Clarka tego wieczoru. Proszę się przyznać.

- Nie.

- Jechał pan za nim na Harry Hines Boulevard, w miejsce, gdzie kręcą się prostytutki? - Nie.

- I patrzył pan, jak Carl zatrzymuje mercedesa przy dwóch czarnych dziewczynach, jednej w czerwonej peruce, a drugiej w blond peruce, prawda?

- Nie.

- Dziewczyna w blond peruce wsiadła do samochodu Clarka, mam rację?

- Nie wiem.

- Ta dziewczyna to dzisiejsza oskarżona, tak?

- Nie wiem.

- To dlaczego powiedział pan o oskarżonej „blondyna”?

- Ja...

- Nie ma blond włosów, panie Lund, tylko brązowe. Nie miała na sobie tej peruki od krytycznego wieczoru. Siedziała w więzieniu, panie Lund.

Scott podszedł do miejsca prokuratora, wyjął blond perukę z plastikowego worka na dowody i podał ją Shawandzie.

- Wysoki sądzie, czy oskarżona może włożyć perukę? - Tak.

Shawanda nałożyła perukę. Scott wrócił na podium i wskazał na Shawandę.

- Panie Lund, widział pan oskarżoną w tej peruce tamtej nocy. Tylko w ten sposób mógł pan powiedzieć o oskarżonej „blondyna". Widział pan, jak wsiada do samochodu Clarka. Jechał pan za nimi do rezydencji McCallów w Highland Park. Zaparkował pan samochód tak, żeby go nie było widać z domu. Pomyślał pan, że zwykła czarna dziwka nie powinna sprawić Clarkowi kłopotu. Może nawet jej przywali, ale co ona zrobi? Zadzwoni po policję? Nie była studentką miejscowej uczelni, tylko zwykłą dziwką. Siedział więc pan w samochodzie, a Clark się w tym czasie zabawiał. Ale wtedy zobaczył pan, jak oskarżona wyjeżdża z posiadłości mercedesem Clarka. Wbiegł pan do środka i na górę, do sypialni Clarka, i zastał go pan leżącego na podłodze i trzymającego się za klejnoty rodowe. I wtedy... Wtedy zaczął się pan z niego nabijać. Mały bogaty chłopczyk dostał kolanem w jajka od czarnej dziwki, to przecież było cholernie śmieszne. Śmiał się więc pan z niego do rozpuku. Kpił pan z niego. Nazwał go pan wtedy małym popierdoleńcem?

- Nie było mnie tam.

- Clarkowi to się nie spodobało, żeby ktoś taki jak pan kpił z niego? Był pan tylko pracownikiem, a pracownikom nie wolno żartować z Clarka McCalla. Zaczął pana lżyć. Był pan od niego cięższy. O ile, o pięćdziesiąt kilogramów? Ale alkohol i kokaina dodały mu odwagi, a pobicie przez dziwkę rozwścieczyło go, klął więc na pana tak ordynarnie jak na nią. A potem... No co? Co jeszcze panu powiedział? Co takiego musiał powiedzieć, że zapragnął pan nagle go zabić?

Scott strzelił palcami i wycelował jednym z nich w Delroya.

- Zagroził, że pana wyleje z pracy. Że powie tatusiowi i on pana wyleje. Oczywiście na dwoje babka wróżyła, ale nie mógł pan ryzykować. Bo co by pan wtedy robił, gdyby senator pana wylał. Wrócił do wydziału do walki z narkotykami? Nie sądzę. Po takich numerach? Perspektywa pańskiej kariery nie wyglądałaby specjalnie różowo, prawda, panie Lund? Cholera, gdyby pana wylał, mógłby pan najwyżej zostać ochroniarzem na parkingu w supermarkecie. Delroy Lund, była szycha z wydziału do walki z narkotykami, łapiąca meksykańskich baronów narkotykowych na granicy, musiałby gonić kieszonkowców na parkingu. Tak wyglądałaby pańska przyszłość bez senatora McCalla, prawda? I to pana

wkurzyło, prawda? Że taki mały, goły gówniarz leżący na podłodze może decydować o pańskiej przyszłości? Taki sobie mały popierdoleniec!

Sprawy znów wymknęły się spod kontroli, tak, panie Lund? Clark nastąpił panu na odcisk, tak jak ten chłopak z Del Rio. Furia wzięła górę. Bardzo chciał pan zabić Clarka McCalla. Zobaczył pan pistolet leżący na podłodze. Wyciągnął pan chustkę z kieszeni. Owinął pan nią rękojeść i podniósł broń prawą ręką. Podszedł pan do Clarka. Lewą sięgnął pan i chwycił te piórka tego małego popierdolenca i podniósł mu głowę. Następnie przyłożył mu pan pistolet do czoła nad lewym okiem. I pociągnął pan za spust. Zabił pan Clarka McCalla, tak jak zabił pan tego meksykańskiego chłopaka w Del Rio, prawda, panie Lund?

Oczy Delroya ponownie powędrowały w kierunku senatora McCalla. Scott odwrócił się i patrzył, jak ochroniarz i senator wpatrują się w siebie przez dłuższą chwilę, po czym McCall spuścił wzrok. Twarz mu oklapła i nagle zaczął wyglądać jak stary człowiek, czy to pod wpływem wiedzy, że własny ochroniarz zamordował mu syna, czy świadomości, że jego marzenie o Białym Domu zostało ostatecznie pogrzebane. Scott zwrócił się do Delroya.

- Pomyślał pan, że wina spadnie na oskarżoną. To była jej broń, jej odciski palców, ale nie wiedział pan o jednej bardzo ważnej rzeczy. Nie wiedział pan, że jest leworęczna. To właśnie zdarzyło się tamtej nocy. Sprawy wymknęły się panu spod kontroli i zabił pan Clarka McCalla. Prawda, panie Lund?

Scott zawiesił głos. Dwanaścioro sędziów przysięgłych pochylało się w przód, jakby zmagali się z wiatrem wiejącym prosto w twarz. Sędzia Buford obrócił się na fotelu i intensywnie wpatrywał się świadkowi w oczy. Wyraz twarzy Raya Burnsa świadczył o tym, że właściwie pogodził się z utratą perspektywy pracy w Waszyngtonie. Bobby, Karen i Shawanda właściwie stali już na stole obrony. Dan Ford opierał się łokciami o ławkę i składał dłonie, jakby się modlił. Boo i Pajamae trzymały się za ręce jak finalistki konkursu piękności. Cała sala rozpraw czekała na to, żeby Delroy Lund przyznał się do zabicia Clarka McCalla. Scott postanowił, że Delroy potrzebuje nieco zachęty. Postanowił stanąć Delroyowi na odcisk.

- No, Delroy, przyznaj się! Wiem, że zabiłeś Clarka! Ta ława przysięgłych wie, że go zabiłeś! Nawet twój senator wie, że zabiłeś mu syna!

Czerwona twarz Delroya pokryła się potem. Zaczął szybko i ciężko oddychać. Ciśnienie mu rosło, wypychając na zewnątrz żyły na czaszce, które wyglądały jak niebieskie kable pod białą skórą. Jego umięśnione łapska zacisnęły się na zdjęciu spoczywającym na jego kolanach i zmiażdżyły je w kulkę. Ugniatał je mocno, jakby próbował zmielić na papkę wspomnienie Clarka McCalla. Scott wiedział, że za chwilę sprawy wymkną się spod kontroli.

Wściekłość Delroya weźmie górę i poderwie się z okrzykiem: „Tak, zabiłem Clarka! Tak, zabiłem tego małego popierdoleńca!”.

Ale kiedy Delroy w końcu uniósł swoją łysą głowę, spojrzał na Scotta bezczelnie. Powiedział.

- To udowodnij mi to.

- Obrona nie ma więcej pytań, wysoki sądzie.

Ray Burns starał się odzyskać widoki na pracę w Waszyngtonie, wzywając agenta FBI Henry’ego Hu, żeby ponownie stanął na miejscu dla świadków i przyznał, cokolwiek niechętnie, że oczywiście teoretycznie jest możliwe, by osoba leworęczna była w stanie strzelić, trzymając broń w prawej ręce. Kiedy Ray usiadł, Scott wstał i wziął do ręki przypadkowy dokument.

- Wysoki sądzie, mogę podejść do świadka?

- Tak, panie Fenney.

Scott obszedł stół obrony i podszedł do miejsca dla świadków, po czym na ostatnim kroku niby się potknął, upuszczając papier obok stojącego agenta FBI. Stojąc tuż obok ławy przysięgłych, agent Hu podniósł papier prawą dłonią.

Scott zapytał.

- Agencie Hu, czy jest pan praworęczny?

Agent Hu wiedział już, że było to jego nieme zeznanie, ponieważ podniósł papier prawą dłonią, jak to odruchowo zrobiłby każdy praworęczny, jak zrobiłby to każdy, nawet zabójca Clarka McCalla. Uśmiechnął się nieznacznie.

- Tak, jestem praworęczny.

- Nie mam więcej pytań.

***

Karen i Bobby gotowali makaron w kuchni, dziewczynki się kąpały, a Scott siedział zgarbiony na podłodze, fizycznie i psychicznie wykończony. Bobby otworzył lodówkę, wyjął dwa piwa, podszedł do Scotta i wyciągnął jedno w jego stronę.

- Nieważne, co będzie jutro, Scotty, postąpiłeś dobrze w stosunku do niej.

- Dzięki, Bobby. I tak gwoli ścisłości, naprawdę zrobiłem to dla Shawandy. Nie, żeby odegrać się na McCallu czy Danie Fordzie. Tylko dla niej.

- Dzięki, że mi to powiedziałeś. Musiałem wiedzieć.

- Wiem. I dziękuję ci, Bobby.

- Za co?

- Za to, że to zrobiłeś, że byłeś częścią tego wszystkiego, że harowałeś jak wół, i to za darmo.

Butelka piwa zawisła w połowie drogi do ust Bobby'ego. Zamarł.

- Chcesz powiedzieć, że nie dostanę kasy?

Po modlitwie Pajamae otworzyła oczy i powiedziała:

- Panie Fenney, nie chcę, żeby ten cały McCall został prezydentem.

Scott się uśmiechnął.

- Ja też nie.

- A ten Delroy to zły człowiek, prawda, panie Fenney? Boo zapytała.

- To on zabił Clarka?

- Jest zły i zabił.

- Pójdzie do więzienia?

- Nie wiem. - Scott wstał. - Kładźcie się już, dziewczynki. Jutro mamy kolejny ważny dzień, mowy końcowe, być może ogłoszenie werdyktu.

- Mama może jutro wyjść?

- To możliwe. Ale może też nie wyjść. Pajamae zastanowiła się nad tym i powiedziała:

- Dziękuję, panie Fenney.

- Za co, maleńka?

- Za to, że zatroszczył się pan o mamę. Scott zdjął okulary i przetarł oczy.

- Pajamae, moje życie jest teraz lepsze właśnie dzięki twojej mamie. I dzięki tobie.

Rozdział trzydziesty

Mecenas A. Scott Fenney stał przed dwanaściorgiem członków ławy przysięgłych i mówił:

- Kiedy byłem chłopcem, moja mama czytała mi przed zaśnięciem swoją ulubioną książkę. Zabić drozda. Może ją państwo czytali albo widzieli film. To opowieść o małej dziewczynce i jej ojcu, prawniku Atticusie Finchu. Zawsze był człowiekiem honorowym i honorowym prawnikiem, co było niezwykłe w tamtych czasach, czyli w latach trzydziestych, w których toczy się akcja powieści. Co wieczór moja mama mówiła do mnie: „Scotty, bądź taki jak Atticus. Bądź prawnikiem. Czyń dobro". Nawet dała mi po nim imię - Atticus Scott Fenney. Cóż, moja mama nie żyje, a ja staję się prawnikiem, ale nie Atticusem Finchem. Nie

uczyniłem wiele dobra. Zarobiłem mnóstwo pieniędzy, ale nie zasłużyłem na dumę swojej matki.

Ale to zupełnie inna opowieść.

A może jednak ta sama. Ponieważ jest to historia, nasza historia, która rozgrywa się tutaj, na sali sądowej, i również jest to opowieść mówiąca o dumie matki z własnego dziecka.

Bo, widzą państwo, w książce Atticus zostaje wyznaczony do reprezentowania Murzyna o nazwisku Tom Robinson. Tom został oskarżony o pobicie i zgwałcenie białej dziewczyny. Atticus wykazał przed ławą przysięgłych, że dziewczyna została pobita przez mańkuta, ponieważ prawa strona jej twarzy była posiniaczona, ale lewa dłoń Toma była niesprawna w wyniku wypadku sprzed lat. Atticus udowodnił, że Tom jest niewinny. Atticus wykazał również, że ojciec dziewczyny jest mańkutem i paskudnym zapijaczonym zbirem. Cóż, wszyscy na sali wiedzieli, że Tom tego nie zrobił i że przestępstwo popełnił ojciec dziewczyny. Ale ława przysięgłych, dwunastu białych mężczyzn, i tak uznała Toma Robinsona winnym tylko dlatego, że był czarny.

Akcja powieści toczy się w latach trzydziestych w Alabamie; w innych czasach, w innym świecie, w okresie, kiedy prawo było czarno-białe. Ale nasza opowieść zdarza się siedemdziesiąt lat później w Dallas w Teksasie. Świat się bardzo zmienił, wszystko się zmieniło; może nie wszystko, nie wszyscy i nie dość radykalnie, ale w naszych sądach na pewno tak. Sędziowie się zmienili. Ławnicy się zmienili. Kolor prawa się zmienił. Już nie jest czarno-biały. Mój były starszy wspólnik powiedział mi, że prawo ma kolor zielony. Dzisiaj, mówił, prawem rządzą pieniądze. Pieniądze górą. I ma rację. Prawnicy wykorzystują prawo, żeby zarobić pieniądze, politycy kupczą prawem, wymieniając je na swoje przywileje, ludzie pozywają się dla pieniędzy. Wszechobecne prawo opiera się na sile pieniądza - z wyjątkiem jednego miejsca. Tego, w którym siedzicie, w ławie przysięgłych. Nie jesteście tu dla pieniędzy. Jesteście tutaj dla prawdy.

A jaka to prawda kryje się w tej opowieści? Po pierwsze: prawdą jest, że Clark McCall został zamordowany przez osobę praworęczną, na tyle silną, że była zdolna poderwać go z podłogi za włosy, na tyle złą, że była w stanie przyłożyć mu lufę do czoła i patrząc mu w oczy, pociągnąć za spust, i wystarczająco doświadczoną w zawiłościach śledztwa dotyczącego morderstwa, żeby wiedzieć, że na miejscu zbrodni nie zostawia się śladów. Prawda jest taka, że Delroy Lund zamordował Clarka McCalla.

Po drugie: prawdą jest, że Delroy Lund śledził Clarka McCalla, jechał za nim aż na Harry Hines Boulevard, zobaczył, jak podrywa oskarżoną, noszącą wtedy blond perukę, i pojechał za nimi do domu w Highland Park. Kiedy zobaczył, jak oskarżona odjeżdża

mercedesem Clarka McCalla, wszedł do środka. Zastał Clarka żywego, nagiego, trzymającego się za krocze po tym, jak został kopnięty przez oskarżoną. Śmieje się z Clarka, a Clark się wścieka. Clark obrzuca Delroya stekiem wyzwisk, Delroy się wścieka i Clark ginie. Sprawy wymknęły się spod kontroli i Delroy zabija Clarka.

Po trzecie: prawdą jest, że Shawanda Jones jest niewinna. Clark McCall został zabity przez osobę praworęczną. Shawanda Jones jest leworęczna. Nie mogła więc tego zrobić.

Tak wygląda prawda. Na to wskazują dowody. Dowiedliśmy, że oskarżona jest niewinna, i odpowiedzieliśmy na pytanie postawione na tej wokandzie: „Kto zabił Clarka McCalla?". Pozostał już tylko jeden rozdział tej opowieści i to państwo muszą go napisać: zakończenie. Jak skończy się ta historia? Czy tak jak w Zabić drozda, gdzie niewinny oskarżony zostaje uznany za winnego tylko dlatego, że jest czarny? A może państwo napiszą nowe zakończenie, w którym kolor prawa nie jest biały, czarny ani zielony, w którym zwyciężają prawda i sprawiedliwość nawet w sytuacji, w której oskarżona jest biedna i czarna:

Scott wziął głęboki wdech i spoglądał na sędziego przez dłuższą chwilę, po czym znów zwrócił się do przysięgłych.:

- Panie i panowie! Zanim sędzia Buford wyznaczył mnie do obrony, żebym reprezentował oskarżoną, wydawało mi się, że jestem triumfatorem prawnej gry. I w ten właśnie sposób postrzegałem prawo: jako grę. Kiedy zabierałem się za jakąś sprawę, musiałem wygrać za wszelką cenę. Chciałem pokonać adwokata strony przeciwnej. Nie chodziło ani o prawdę, ani o sprawiedliwość, chodziło wyłącznie o wygraną... I pieniądze. Ale się myliłem. Prawo nie jest żadną grą. Nie chodzi w nim wcale o zaszczyty czy pieniądze. Ale o prawdę, sprawiedliwość... i o życie. Dzisiaj to życie oskarżonej waży się na wadze Temidy.

Ta sprawa dała mi możliwość zrobienia czegoś, czego nigdy wcześniej nie potrafiłem robić jako prawnik: sprawić, żeby moja mama mogła być ze mnie dumna. Mam nadzieję, że mi się udało. Mam nadzieję, że moja mama, tam, w górze, w końcu jest ze mnie dumna. - Zamilkł na chwilę. - I mam nadzieję, że państwa mamy również będą z was dumne.

***

Sędzia wypuścił przysięgłych o jedenastej czterdzieści pięć. Sędziowie przysięgli udali się do pokoju przysięgłych na lunch i debaty. Sędzia Buford poszedł do swojego gabinetu, Shawanda wróciła do celi, a Scott, Bobby, Karen i dziewczynki udali się do domu na Beverly Drive.

Scott wielokrotnie czekał na werdykt przysięgłych w swojej karierze, za każdym razem w sprawach cywilnych, w których chodziło o pieniądze. Kiedy ostatnio czekał na werdykt, siedział w biurze i obliczał alternatywne wersje rachunku dla swojego klienta, z jednej strony zwykłe zsumowanie godzin pracy, gdyby przegrali, i drugi - z premią - gdyby wygrali.

Ta sprawa była inna.

Nie chodziło o pieniądze, chodziło o życie Shawandy. Dwanaścioro ludzi miało zadecydować, czy Shawanda będzie żyć, czy zginie, czy spędzi resztę swojego życia w więzieniu, czy na wolności, czy Pajamae będzie miała dalej matkę, czy tylko wspomnienie po niej.

Urzędnik z sądu zadzwonił o trzynastej trzydzieści. Sędziowie ustalili werdykt.

- Pani Jones - powiedział sędzia Buford. - Proszę wstać.

Shawanda Jones i jej troje prawników wstali i zwrócili się w stronę przysięgłych. Kilkoro z nich, czarnych, śniadych, białych, miało łzy w oczach, tak samo jak Shawanda. Scott poczuł drżącą dłoń Shawandy przy swojej, całym jej ciałem wstrząsały dreszcze. Objął ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

Przewodniczący ławy przysięgłych podał kartkę z werdyktem woźnemu, który przekazał ją sędziemu. Sędzia Buford założył okulary do czytania, spojrzał na kartkę i podniósł wzrok na oskarżoną.

- W sprawie Stany Zjednoczone Ameryki przeciw Shawandzie Jones ława przysięgłych uznała oskarżoną za niewinną.

Shawanda byłaby się osunęła na podłogę, gdyby Scott jej nie podtrzymał. Schowała twarz w jego piersiach i objęła go.

On objął ją mocno, a ich łzy mieszały się ze sobą. Boo i Pajamae podbiegły do nich, a cała sala sądowa wybuchła wrzawą okrzyków radości i oklasków. Przysięgli obejmowali się wzajem, dziennikarze stłoczyli się wokół Scotta i Shawandy, Ray Burns siedział na prokuratorskim stołku i kręcił głową, a Bobby i Karen całowali się jak nowożeńcy. Senator McCall przepchnął się przez tłum i wyszedł z sali. Dan Ford siedział, kręcąc głową w zadziwieniu na nieoczekiwany zwrot biegu wydarzeń. Shawanda wyszeptała Scottowi do ucha:

- To właściwe imię, Atticus.

Scott spojrzał na sędziego Buforda i ich oczy się spotkały. Sędzia skinął mu, a Scott odpowiedział tym samym gestem.

***

Shawanda Jones była wolna. Pół godziny później w końcu udało im się przedrzeć przez tłum dziennikarzy i kamerzystów i wyjść na chodnik przed gmachem sądu. Tam czekał Dan Ford. Scott posłał Shawandę i dziewczynki przodem, po czym podszedł do niego. Dan wyciągnął dłoń, którą Scott uścisnął.

- Scotty, mój chłopcze, jesteś wytrawnym prawnikiem.

- Dan, nie jestem już twoim chłopcem.

- Tak, rzeczywiście... Słuchaj, Scotty, skoro Mack nie trafi do Białego Domu, to może do nas wrócisz? Dostaniesz z powrotem swój dawny gabinet, załatwię wszystko z Dibrellem i z bankiem, będziesz mógł sobie znów kupić duży dom, odzyskać ferrari... Wrócić do dawnego życia, z podwyżką, powiedzmy, milion rocznie? Nieźle jak na trzydziestosześcioletniego mecenasa. Co ty na to?

Był czas. Było miejsce. I był prawnik.

Ale to przeszłość.

- Dan, nie nadaję się już do firmy Ford Stevens.

Scott odwrócił się od Dana Forda, kiedy na drodze stanęła mu kolejna znajoma postać: Harry Hankin.

- Harry! Jak się masz, stary?

Podczas czteroletniego członkostwa w klubie Scott grał w golfa z Harrym prawie w każdy sobotni poranek - i zwykle wygrywał od niego setki dolarów. Harry miał czasem zabójcze uderzenie. Uścisnęli sobie dłonie i Scott wskazał kciukiem gmach sądu.

- Miałeś sprawę?

Harry Hankin był najbardziej znanym mecenasem od rozwodów w Dallas i wstępując do Country Club, musiał podpisać zobowiązanie, że nigdy nie będzie reprezentował żony żadnego z jego członków.

- Ee... hm... - Harry spojrzał na swoje błyszczące buty, po czym cofnął się o krok. - Mam tutaj.

Harry wyciągnął gruby plik dokumentów, jakby z zażenowaniem. Scott je wziął i wyszkolony wzrok od razu trafił na właściwą linię: POZEW ROZWODOWY.

- Chciałem to zrobić osobiście, Scott, żebym mógł wyjaśnić.

- Złożyła pozew o rozwód? Harry przytaknął.

- Trey, ten golfista mnie wynajął. I on mi płaci. Właśnie wygrał milion dolarów na jakimś turnieju, więc go stać.

Scott niemal się zaśmiał.

- Ile razy graliśmy razem w golfa? Ze sto? A ty bierzesz pieniądze od faceta, z którym uciekła moja żona?

- Nie mogłem odmówić, Scott. Nauczył mnie tego uderzenia.

Scott zaśmiał się teraz pełnym głosem.

- Jasne, Harry! Skorygowanie twoich umiejętności w golfie to cholernie ważna sprawa.

- Kiedyś też tak uważałeś. - Harry podniósł ręce do góry. - Słuchaj, Scott, przepraszam.

- Jest szczęśliwa?

Harry niezgrabnie wzruszył ramionami.

- Kiedyś byłem żonaty z podobną kobietą. Z nimi to nigdy nie wiadomo.

- Czy chce Boo? - Co?

Scott uniósł pozew.

- Czy chce mi zabrać Boo? Harry wolno pokręcił głową.

- Nie. Powiedziała, że turnieje golfowe to nie miejsce dla małej dziewczynki. I dodała, że ty bardziej potrzebujesz Boo, niż Boo potrzebuje jej.

Scott już odchodził, ale Harry go zatrzymał.

- Scott!

Scott odwrócił się do Harry'ego.

- Biorę od niego pieniądze, ale nigdy nie zabrałbym ci córki. Prawnicy spojrzeli sobie w oczy i Scott przypomniał sobie, że kilka lat temu Harry Hankin stracił dwójkę dzieci po swojej zaciekłej batalii rozwodowej w sądzie.

- Dzięki, Harry.

Scott dogonił wszystkich ulicę dalej, w miejscu, gdzie Louis opierał się o swój stary samochód, a Shawanda obracała się w kółko, rozkładając ramiona z twarzą uniesioną do nieba. Młoda piękna kobieta, której skóra błyszczała w promieniach letniego słońca. Pajamae i Boo patrzyły na to i śmiały się radośnie. Scott też uśmiechnął się na ten widok. Była to bez wątpienia najważniejsza chwila w prawniczej karierze Atticusa Scotta Finneya.

Boo powiedziała.

- A. Scott, oni chcą nam pomóc się przeprowadzić.

- Boo, nie sądzę, żeby Shawanda chciała spędzić pierwszy dzień na wolności po trzech miesiącach, pomagając nam w przeprowadzce.

- Ależ tak, panie Fenney. Ja i Pajamae przyjedziemy jutro. Louis nas przywiezie.

Louis podszedł do Scotta i uścisnął mu dłoń.

- Jest pan dobrym człowiekiem, panie Fenney.

- Dzięki, Louis, za opiekę nad dziewczynkami. Za wszystko. - A do Shawandy powiedział: - Słuchaj, musisz iść na odwyk, dobrze? Zapłacę za wszystko.

- Chociaż nie ma pan pieniędzy?

- Sprzedałem dom. Chcę, żebyś pracowała u mnie i u Bobby'ego, zakładamy firmę. I chcę, żebyś wraz z Pajamae wyprowadziła się z osiedla.

- Dzięki, panie Fenney, za bycie moją papugą. I za troskę o mnie.

Shawanda uśmiechnęła się, dotknęła jego policzka i spojrzała na niego najdziwniejszym spojrzeniem z możliwych, jakby chciała zapamiętać jego twarz. Wyciągnęła się i pocałowała go w policzek.

- Nigdy pana nie zapomnę, panie Fenney.

I on też nie zapomni. A kiedy Scott Fenney wróci do domu, zostanie tam powitany przez enchiladas i Consuelę de la Rosa, która właśnie wysiadła z autobusu jadącego od granicy. „Nagle i niespodziewanie" Służby Imigracji i Naturalizacji przyznały jej zieloną kartę, jak powiedział *seńor* Gutierrez, kiedy zadzwonił rano. Nie wiedziała, jak, i nie wiedziała, dlaczego, i nie obchodziło ją to specjalnie, wiedziała tylko, że będzie już mogła mieszkać z *seńor* Fenneyem, z Boo, z jej *familia*. A później, wieczorem, kiedy Scott Fenney ułoży już swoją córkę do snu i pocałuje na dobranoc, ona uśmiechnie się do niego i powie:

- Widzisz, A. Scott, szczęśliwe zakończenia zdarzają się też w życiu.

Epilog

Dziewczynki aż piszczały z emocji.

Cztery miesiące później Scott siedział w piżamie i szlafroku w małym domu przy uniwersytecie i uśmiechał się do dziewczynek, które otwierały prezenty bożonarodzeniowe.

Ich życie zmieniło się diametralnie.

W te święta nie miał już żony, a Boo nie miała matki. Rebecca zostawiła ich i nie wróciła. Co jakiś czas widział, jak Boo płacze w poduszkę, i on też zapłakał, kiedy rozwód stał się faktem. Ale teraz oboje czuli się lepiej. Był pewien, że już się w życiu nie ożeni, mimo wysiłków swatki Boo (powiedziała mu, że jej nauczycielka naprawdę na niego „leci" - pani Dawson zdawała się, według niej, odpowiednią kandydatką).

Ale teraz Boo miała Pajamae, a Pajamae miała Boo. Uczęszczały do czwartej klasy szkoły podstawowej w Highland Park, w której Pajamae była jedyną czarną dziewczynką, a Boo jedyną dziewczynką z warkoczykami. Były jak siostry i staną się nimi, kiedy zakończy się proces adopcyjny.

Scott miał Bobbyego, a Bobby miał Karen, Consuela zaś miała Estebana i spodziewali się dziecka, które miało zostać obywatelem Ameryki. Pobrali się miesiąc temu podczas tradycyjnej meksykańskiej ceremonii w katolickim kościele Cathedral Santuario de Guadalupe w Dallas. Scott oddał Estebanowi Consuelę, a Boo była jej druhną.

W życiu Scotta na powrót zjawił się Wielki Charlie. Często przyjeżdżał do niego z córkami, które bawiły się z Boo i Pajamae. Ale nie rozmawiali już o starych czasach z drużyny. Rozmawiali o wychowywaniu dziewczynek. Scott Fenney i Charles Jackson byli ojcami, i to wystarczyło.

Scott przegrał wybory na szefa teksaskiej palestry na rzecz prawnika z wielkiej firmy z Houston. Teraz miał kancelarię w południowym Highland Park, prowadzoną razem z Bobbym i Karen, na pierwszym piętrze starego, wiktoriańskiego budynku, w którym po renowacji było mnóstwo miejsca. Firma prawnicza Fenney Herrin Douglas reprezentowała trzydziestu właścicieli domów, którzy decyzją miasta musieli się przenieść, żeby zrobić miejsce na nowy hotel Toma Dibrella, i przygotowywali pozew w imieniu mieszkańców osiedla w południowym Dallas przeciw miastu za pogwałcenie prawa lokalowego. Louis chodził od drzwi do drzwi i zbierał podpisy. Nagle odzyskana reputacja luminarza prawa pozwoliła Scottowi wyrównać wszystkie zaszłości, jakie ciążyły na Louisie ze strony służb federalnych. Bobby wciąż reprezentował swoich stałych klientów z meksykańskiego baru we wschodnim Dallas. Oskarżenie przeciwko Carlosowi Hernandezowi upadło z powodu uchybień proceduralnych. Teraz szkolił się na pomocnika i służył za tłumacza hiszpańskojęzycznych klientów Bobby ego. Scott nosił do pracy dżinsy, jadł raz na tydzień lunch z dziewczynkami w szkolnej kafejce i grał w kosza z Bobbym oraz z Johnem Walkerem w YMCA.

Okna jego kancelarii wychodziły na południe i dawały piękny widok panoramy śródmieścia. Mógł siedzieć przy biurku i widzieć z okna Dibrell Tower. Była sekretarka Karen w kancelarii Ford Stevens powiedziała jej, że firma osiągnie w tym roku rekordowe zyski. Dan Ford był na szczycie i wszystko byłoby pięknie, gdyby nie to, że jacyś wandale regularnie przecinali mu opony w mercedesie na parkingu. Sid Greenberg zadomowił się w biurze Scotta, jeździł ferrari i stosował agresywnie i kreatywnie literę prawa dla byłego klienta Scotta.

Co dziwne, Scott nie poczuł żadnej satysfakcji, kiedy Franklin Turner pozwał Toma Dibrella o dziesięć milionów dolarów za molestowanie seksualne blond recepcjonistki, ani też kiedy Harry Hankin, występując w imieniu jego czwartej żony, złożył przeciwko niemu pozew rozwodowy, domagając się pięćdziesięciu milionów z jego majątku, ani też kiedy

Agencja Ochrony Środowiska Naturalnego złożyła pozew w sadzie federalnym, żądając od niego siedemdziesięciu pięciu milionów dolarów za oczyszczenie dwudziestu hektarów ziemi przy Trinity River z powodu zanieczyszczenia ołowianego.

Scott poczuł ulgę, kiedy aresztowano Delroya Lunda i oskarżono go o morderstwo na Clarku McCallu oraz utrudnianie pracy organom sprawiedliwości przy sprawie Shawandy Jones. Hannah Steele zgodziła się złożyć zeznania. Mack McCall wycofał się z wyścigu do Białego Domu, ale został wybrany przewodniczącym większości senackiej. Wkrótce stwierdzono u niego raka prostaty. Ray Burns został nowym zastępcą prokuratora w Lubbock. Sędzia federalny Samuel Buford pozostał na swoim stanowisku w Dallas.

Tuż po procesie Scott wyprowadził Shawandę i Pajamae z osiedla i umieścił je w kamienicy czynszowej niedaleko High-land Park. Zapłacił za leczenie Shawandy. Walczyła dzielnie, jak mogła, ale nie była w stanie zerwać z nałogiem. Dwa miesiące po rozprawie Shawanda Jones wstrzyknęła sobie heroinę w prawe ramię, zasnęła i już się nie obudziła. Pajamae bardzo tęskniła za mamą, ale powtarzała, że teraz jest w lepszym miejscu, w którym nie potrzebuje lekarstwa, żeby być szczęśliwą. Modli się za mamusię co niedziela, kiedy Scott zabiera dziewczynki do kościoła.

Scott zaczął czytać dziewczynkom nową książkę do snu. *Zabić drozda*. Obie uwielbiają Boo Radlew.